

ZOSTAŁA WYBRANA I WŁAŚNIE NADSZEDŁ JEJ CZAS

DZIEWCZYNA COGNIA i CIERNI



RAE CARSON

O książce

TRYLOGIA OGNIĄ I CIERNI TOM I

Raz na cztery pokolenia jedna osoba zostaje wybrana. Otrzymuje Boski Kamień, a wraz z nim – wielkie zadanie. Sama musi jednak odkryć jakie. I udowodnić, że jest godna boskiego daru.

Elisa została wybrana.

Nie wie dlaczego. Jest tą gorszą z dwóch księżniczek. Tą, która nigdy nie dokonała niczego godnego uwagi. I nie wyobraża sobie, że w ogóle by mogła.

W dniu swoich szesnastych urodzin zostaje oddana za żonę obcemu mężczyźnie. Wyjeżdża z rodzinnego kraju i nagle wychodzi na jaw, że ma wielu wrogów, którzy wiedzą o niej wszystko.

Ona nie wie nic.

Musi znaleźć w sobie siłę, aby spełnić proroctwa o wielkości. Jeśli jej się nie uda – zginie młodo. Jak większość wybrańców.

RAE CARSON

DZIEWCZYNA
COGNIA i
CIERNI

Z angielskiego przełożyła
ELŻBIETA PIOTROWSKA



Wydanie elektroniczne

Hannah Elise dedykuję

CZĘŚĆ I





W sypialni migoczą płomienie modlitewnych świec. Na łóżku leży porzucony manuskrypt *Scriptura Sancta* z pozaginanymi rogami kart. Na kolanach mam siniaki od klęczenia na kafelkach, a w pępku czuję pulsowanie Boskiego Kamienia. Modłę się — nie, błagam, zaklinam — żeby król Alejandro de Vega, mój przyszły mąż, okazał się brzydki i stary, i tłusty.

Dzisiaj jest dzień mojego ślubu. I moje szesnaste urodziny.

Zwykle unikam zwierciadła, ale dzień jest tak doniosły, że ryzykuję i zerkam. Nie widzę siebie zbyt wyraźnie, powierzchnia polerowanego ołowiu zaciera kontury. Pęka mi głowa i jestem półprzytomna z głodu. Mimo zamazanego odbicia podziwiam swoje ślubne *terno* — jest piękne, jedwabne, naszywane szklanymi paciorkami i mieni się jak woda, gdy się poruszam. Wyhaftowane róże ozdabiają skraj spódnicy i bufiaste rękawy. To arcydzieło, zważywszy na to, iż szyte w pośpiechu.

Wiem, że wiele straci, gdy zaczną je na mnie dopinać.

Wzdycham i skinieniem przywołuję pomoc. Suną

do mnie obydwie, niania Ximena i lady Aneaxi, wyposażone w haczyki do zapinania guzików i przepraszające uśmiechy.

— Wciągnij głęboko powietrze, słońce moje — instruuj mnie Ximena. — A teraz wypuść. Do końca.

Wypuszczam powietrze z płuc, wydycham je i wydycham, aż opada mi głowa. Moje panie łapią haczykami guziki, przeciągają przez pętelki; suknia mnie ściska. Widzę w zwierciadle mocno ściągnięty gorset. Wpija się w ciało tuż nad biodrami. Przeszywa mnie szarpiący ból podobny do kolki, jaka chwyta mnie nieraz, gdy idę na górę po schodach.

— Prawie gotowe, Eliso — zapewnia Aneaxi, a ja mam, niestety, niepokojące przecucie, że przy następnym wdechu ucisk gorsetu na płuca okaże się dla mnie śmiertelny. Chcę zerwać suknię. Nie chcę wychodzić za mąż.

— Koniec! — obwieszczają jednogłośnie, każda cofa się o krok, staje z boku i podziwia wspólne dzieło.

— No i co powiesz na to? — pyta Aneaxi cichym, niepewnym głosem.

Gorset pozwala mi jedynie na szybkie, płytkie oddechy.

— Ja sędzę... — Gapię się oszołomiona na moje piersi. Nad górną krawędzią gorsetu widzę obfite fałdy skóry. — Cztery! — chichoczę nerwowo. — Cztery cyce!

Na twarzy niani pojawia się tłumiony wyraz

rozbawienia. Kiedy rok temu moje piersi stały się wyjątkowo obfite, to Ximena zapewniała mnie, że mężczyźni nie będą potrafili się oprzeć ich urokowi.

— Piękna suknia — mówi Aneaxi wpatrzona w samą spódnicę.

Potrząsam głową.

— Wyglądam jak kiełbasa — fukam. — Jak wielka, rozdęta kiełbasa w białej, jedwabnej osłonie. — Chce mi się płakać. Albo śmiać. Trudno powiedzieć, co bardziej.

Śmiech niemal zwycięża, ale moje dwie panie ze zmarszczonymi czołami, dwie siwiejące mamy kwoki, gdaczą obok, słyszę ton współczucia i pokrzepienia.

— No nie, skądże, jesteś uroczą panną młodą! — mówi Aneaxi. — Przeszłaś kolejny skok dojrzewania, rozrosłaś się, to wszystko. Masz przepiękne oczy! Król Alejandro nie zauważy, że suknia jest przyciasna.

Więc jednak skłaniam się do płaczu, ponieważ nie znoszę współczucia, zwłaszcza że Ximena nie patrzy mi w oczy, gdy z ust Aneaxi padają fałszywe komplementy. Po chwili leją się łzy, bo w ogóle nie chcę mieć na sobie tego *terno*.

Kiedy bliska torsji pochlipuję, Aneaxi całuje mnie w czubek głowy, a Ximena wyciera mi łzy. Płacz pobudza do głębszych oddechów. Potrzebuję całych kubłów powietrza. Jedwab się napina, szwy wgryzają mi się w talię, tkanina pęka. Kryształowe guziki z brzękiem toczą się po glazurowanej podłodze, a do moich wygłodniałych płuc napływa wreszcie powietrze.

Żołądek reaguje gniewnym pomrukiem.

Obydwie padają na kolana i przeczesują palcami dywaniki z owczego futra oraz szczeliny między podłogowymi płytkami w poszukiwaniu oswobodzonych guzików.

— Powinnam mieć jeszcze tydzień — pomrukuje Ximena znad podłogi. — Cały tydzień, żeby cię porządnie wyszykować. W końcu to królewskie wesele i chyba wymaga odpowiednich przygotowań!

Mnie także przeraża tempo tego wszystkiego.

Gorset zrobił się luźny i udaje mi się rozpiąć na plecach pozostałe guziki. Oswobodziwszy ręce z rękawów, próbuję zsunąć suknię przez biodra, ale jedwab trzeszczy, więc ściągam ją przez głowę. Odrzucam *terno* jak najdalej od siebie, nie przejmując się, że ląduje w nieładzie na podłodze, zamiast spocząć na łóżku. Wciągam na siebie szorstką wełnianą suknię. Trochę mnie gryzie, ale za to jest przyjemnie luźna.

Odwracam się plecami do dwóch dam kontynuujących poszukiwania na podłodze i schodzę do pomieszczeń kuchennych. Skoro moja suknia i tak jest za ciasna, mogę wrzucić w siebie ciasto — jest jeszcze ciepłe — żeby pozbyć się bólu głowy i burczenia w brzuchu.

Gdy wchodzę do kuchni, obrzuca mnie wzrokiem moja starsza siostra Juana-Alodia. Powinna mi złożyć życzenia urodzinowe, tymczasem wykrzywia się na mój widok. Siedzi na przypiecku oparta o ciepłe kafle. Ma

dystyngowanie skrzyżowane nogi, kołysze w przód i w tył szczerpłą stopą, skubiąc kromkę chleba.

Dlaczego to nie ona wychodzi dzisiaj za mąż?

Widząc mnie, szef kuchni uśmiecha się spod przyprószonego mąką wąsa i podsuwa mi talerz. A na nim puszyste, złociste ciasto, posypane zmielonymi orzeszkami pistacjowymi i polane miodem. Ślina napływa mi do ust. Mówię kucharzowi, że zjem nie jedną porcję, lecz dwie.

Siadam koło Alodii, bacząc na wiszące nad naszymi głowami mosiężne patelnie. Spogląda na mój talerz z niesmakiem. Nie przewróciła oczami, jednak czuję się tak, jakby to zrobiła. Patrzę na nią.

— Eliso... — zaczyna, lecz nie wie, co powiedzieć, a ja wpycham do ust kawał puszystego ciasta, demonstrując, że mam gdzieś jej uwagi. Ból głowy ustępuje niemal natychmiast.

Siostra mnie nienawidzi. Wiem o tym od lat. Ximena mówi mi, że to dlatego, iż to ja, a nie ona, zostałam wybrana przez Boga. Bóg ją powinien był wybrać: jest wysportowana i rozsądna, wytworna i silna psychicznie. Papa mówi, że warta jest tyle, co dwóch synów. Obserwuję ją, przeżuwając ciasto — jej lśniące czarne włosy i policzki jak spod dłuta rzeźbiarza, piękne łuki brwi okalające ufne oczy. Nienawidzę jej, tak jak ona mnie.

Gdy umrze papa, ona zostanie królową Orovalle. Marzy o władzy, ja zaś nie, tymczasem jak na ironię

właśnie ja przez małżeństwo z królem Alejandrem zostanę królową kraju dwa razy większego i dwa razy bogatszego niż nasz. Wciąż nie wiem, dlaczego to mnie wydają za męż. Z pewnością władca kraju Joya d' Arena wolałby z dwóch córek wybrać tę piękną, godną królewskiej korony. Zamieram w połowie kęsa, gdy uświadamiam sobie, że z pewnością takiego wyboru dokonał.

Ja jestem kontrpropozycją.

Znowu pod powieki cisną mi się łzy, więc zaciskam szczęki aż do bólu, bo raczej dałabym się stratować koniom, niżbym miała okazać słabość przed siostrą. Wyobrażam sobie, co mówili, żeby go przekonać. „Została wybrana do spełnienia misji. Nie, jeszcze nic się nie działo, ale nadchodzi czas, jesteśmy pewni. Tak, zna biegle *lingua classica*. Nie, nie jest piękna, ale jest mądra. Służba ją uwielbia. I pięknie haftuje konia”.

A potem usłyszał znacznie więcej. Już wie, że łatwo się zniechęcam, że moje suknie wciąż trzeba poszerzać i że obrzydliwie się pocę podczas pustynnego lata. Modłę się, byśmy jakimś dziwnym trafem okazali się dobraną parą. Być może chorował w dzieciństwie na ospę. Być może powłóczy nogami. Miałabym powód, by się nie przejmować, gdy odwróci się ode mnie ze wstrętem.

Alodia zjadła swój chleb. Wstaje i się przeciąga, świadoma własnej gracji i smukłej sylwetki. Patrzy na mnie jakoś dziwnie — podejrzewam, że z litością.

— Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebowała dzisiaj pomocy — mówi. — W przygotowaniach... — Wychodzi pośpiesznie, nie czekając na odpowiedź.

Zabieram się do drugiej porcji ciasta. Już nie smakuje jak pierwsza, ale przynajmniej zabijam czas.

*

Później tego dnia stoję obok papy przed bazyliką, mobilizując się do wejścia jako panna młoda. Przytłaczają mnie wielkie sklepione drzwi; złowrogo mruga wyrzeźbione na nich słońce — herb królewski de Riquezów. Zza drzwi dochodzi gwar tłumu. Jestem zdziwiona, że tak wielu gości przybyło, mimo że zawiadomiono ich niemal w ostatniej chwili. Być może właśnie ten pośpiech sprawił, iż wydarzenie przyciągnęło takie tłumy. Pewnie podejrzewają, że kryje się za tym jakiś sekret czy desperacja, może ciąża księżniczki lub tajny pakt polityczny. Mnie nie obchodzi, co myślą, byleby tylko król Alejandro był brzydki.

Czekamy na sygnał herolda. Papie nie przyszło do głowy, żeby złożyć mi życzenia urodzinowe. Jestem więc wstrząśnięta, widząc nagle łzy w jego oczach. Czyżby go smuciło, że odjadę? A może czuje się winny?

Zaskakuje mnie jeszcze bardziej, gdy przyciąga mnie do siebie i z całej siły przyciska do piersi. Niemal

się duszę, ale chętnie odwzajemniam taki rzadki uścisk. Papa jest wysoki i chudy jak Juana-Alodia. Wiem, że nie wyczuwa moich żeber, ale ja jego tak. Niewiele je od czasu, kiedy Inwierni zaczęli naruszać nasze granice.

— Przypomina mi się dzień twojego chrztu — szepcze papa. Słyszałam tę opowieść setki razy, ale nigdy z jego ust. — Leżałaś w kołysce w białym jedwabnym beciku, przewiązanym czerwonymi kokardami. Arcykapłan nachylił się nad tobą z flakonem z wodą święconą w rękę, by polać nią twoje czoło i nadać ci imię Juana-Anica.

Nagle niebiańskie światło zalało świątynię i kapłan rozlał wodę na twój becik. Wiem, że światło padało z samego nieba, gdyż nie było żółte, lecz białe, delikatne i ciepłe. Chciało mi się śmiać i modlić jednocześnie. — Papa uśmiecha się na tamto wspomnienie. Jakbym słyszała tamten śmiech w jego głosie. I słyszę dumę. Aż mi się serce ściska. — Poświata skupiła się w wiązkę, która padła na twoją kołyskę, a wtedy ty się roześmiałaś. — Głaszcz mnie po głowie, potem przeciąga ręką po moim welonie. Słyszę własne westchnienie. — Miałaś tylko siedem dni, a śmiałaś się i śmiałaś.

Juana-Alodia pierwsza przydreptała do ciebie, jak tylko światło się rozproszyło. Twoja siostra odwinęła mokry becik i zobaczyliśmy Boski Kamień w twoim pępku, gorący i pulsujący życiem, chociaż niebieski, krystaliczny i twardy jak diament. Wtedy właśnie

postanowiliśmy nadać ci imię Lucero-Elisa. — Niebiańskie światło, wybranka Boga. Duszę się od jego słów i jego uścisku. Przez całe życie przypominano mi, że jestem powołana przez Boga.

Słychać dźwięki trąb, stłumione, ponieważ dochodzą zza drzwi. Papa wypuszcza mnie z objęć i opuszcza mi welon na twarz. Przyjmuję to z ulgą, nie chcę, żeby ktokolwiek dostrzegł mój strach i pot gromadzący się nad górną wargą. Drzwi otwierają się na oścież, odsłaniając przytłaczającą ogromem halę z łukowym sklepieniem i malowidłami na ścianach. Wypełnia ją woń róż i kadzidła. Z ław podnoszą się setki sylwetek w szatach o jasnych, weselnych kolorach. Gdy patrzę przez welon, widok przypomina mi ogród kwiatowy mamy: gąszcz pomarańczowych bugenwilli z plamami żółtocytrynowych kwiatów allamandy i różowych hibiskusa.

Herold obwieszcza:

— Jego Królewska Mość Hitzedar de Riqueza, król Orovalle! Jej Wysokość Lucero-Elisa de Riqueza, księżniczka Orovalle!

Papa ujmuje moją rękę i trzyma ją na wysokości ramienia. Jego dłoń jest tak samo wilgotna i drżąca jak moja, ale udaje nam się sunąć płynnie do przodu przy brzękliwych dźwiękach weselnej pieśni w wykonaniu kwartetu vihuelistów. Na końcu nawy stoi mężczyzna w czarnym stroju. Nieostro widzę jego sylwetkę, ale nie jest ani niski, ani przygarbiony. Ani też gruby.

Mijamy kamienne kolumny i dębowe ławy. Kątem oka zerkam na damę w zwojach błękitnej tkaniny, a zerkam na nią, gdyż nachyla się do swojej towarzyszki i szepcze jej coś do ucha, gdy przechodzę obok. Zaczynają trajkotać. Płonie mi twarz. Dochodząc do mojego wysokiego i prostego jak trzcina narzeczonego, modłę się jeszcze o dziury po ospie.

Papa przekazuje moją śliską dłoń mężczyźnie w czerni. Jego ręka jest duża, większa niż dłoń papy, i ma zdecydowany chwyt, jakby nie odczuwała, że trzyma coś przypominającego lepka, śniętą rybę. Chciałabym oswobodzić palce z jego dłoni i wytrzeć je o coś, choćby o suknię.

Za mną rozlega się echem głośne pociąganie nosem — to bez wątpienia lady Aneaxi, która jest w łzawym nastroju od czasu zapowiedzi mojego ślubu. Przedemną ksiądz szczebiocze śpiewnie w *lingua classica* — coś na temat małżeństwa. Lubię ten język za liryczne brzmienie samogłosek i miękkość słów wyczuwalną na zębach, ale teraz nie mogę skupić uwagi.

Od zapowiedzi odpychałam od siebie rozważanie o pewnych sprawach. Spychałam je głęboko do wnętrza, zajęta nauką, haftowaniem i jedzeniem. I nagle teraz, gdy stoję w ślubnej sukni z dłonią w żelaznym uścisku ręki tego wysokiego cudzoziemca, zaczynam o nich myśleć i serce wali mi w piersi.

Wyruszam jutro do kraju na pustyni, który się nazywa Joya d’Arena, i będę tam królową. Zostawiam

rosnącą za oknem mojej sypialni jakarandę, która zakwitnie na liliowo, czego już nie zobaczę. Zostawiam malowane ceglane ściany i szemrzące fontanny, by osiąść w tysiącletnim kamiennym zamku. Zostawiam młodszy, prężny naród dla kraju podobnego do wielkiej bestii — wypalonego przez słońce i zastygłego w tradycjach, które spowodowały, że moi przodkowie z niego uciekli. Nie miałam i nie mam odwagi zapytać papę czy Alodię, dlaczego tak ma być. Boję się usłyszeć, że chcą się mnie pozbyć.

Najbardziej jednak przeraża mnie to, że zostaję czyjaś żoną.

Mówię trzema językami. Znam niemal na pamięć *Belleza Guerra* i *Scriptura Sancta*. Potrafię ozdobić haftem *terno* w ciągu zaledwie dwóch dni. Ale czuję się jak mała dziewczynka.

To Juane-Alodię od zawsze pociągały sprawy królestwa. To ona przemierza konno kraj, pokazuje się publicznie u boku ojca i czaruje szlachtę. Ja nie mam pojęcia o obowiązkach dojrzałej kobiety. A dzisiaj w nocy... Nadal nie mogę myśleć o dzisiejszej nocy.

Szkoda, że nasza mama nie żyje.

Książd ogłasza, że zawarliśmy związek małżeński przed Bogiem, królem Orovalle i zebrany tu gronem *nobleza d'oro*. Potem spryskuje nas wodą ze świętej studni *cenote* i wreszcie daje znak, byśmy stanęli twarzami do siebie, i mówi przy tym coś o moim welonie. Odwracam się do mojego męża. Policzki mi

płoną, wiem, że moja twarz jest cała w szkarłatnych plamach i będzie się świeciła od potu, gdy on uniesie welon, który na razie chroni mnie jak tarcza.

Puszcza moją rękę. Zaciskam ją w pięść, zwalczając odruchową chęć wytarcia jej w *terno*. Widzę jego palce na brzegu welonu. Brązowe, grube, z krótkimi, czystymi paznokciami. To nie są ręce uczonego, nie takie ma mistrz Geraldo. Podnosi mój welon, mrużę oczy, gdy chłodniejsze powietrze opływa moje policzki. Wpatruję się w twarz mojego męża. Czarne włosy zaczesane do tyłu opadają mu miękko na szyję, brązowe oczy mają odcień cieplejszy od cynamonu, a usta są silne jak jego ręce.

Jakiś grymas przemyka po jego twarzy. Zdenerwowanie? Rozczarowanie? Lecz natychmiast uśmiecha się do mnie — bez politowania czy zawodu, po prostu przyjaźnie — a ja wzdygam, czując, jak moje serce zalewa wbrew woli fala ciepła.

Król Alejandro jest najpiękniejszą mężczyzną, jakiego w życiu widziałam.

Powinnam odwzajemnić uśmiech, ale policzki nie są mi posłuszne. Pochyliła się i muska wargami moje usta. To niewinny i delikatny pocałunek. Przeciąga kciukiem po moim policzku i mówi szeptem, tak że tylko ja słyszę:

— Miło cię poznać, Lucero-Eliso.

*

Długi stół zastawiony jest półmiskami z jedzeniem. Siedzimy obok siebie na ławie i wreszcie mam co robić poza unikaniem jego wzroku. Nasze ramiona stykają się, gdy sięgam po opiekane kalmary i kieliszek wina. Przeżuwam szybko i już zastanawiam się, co wybrać dalej: zielone chili faszerowane serem czy strzępioną wieprzowinę w sosie orzechowym? Przed nami, na podłodze poniżej podium, uczują arystokratyczni goście — *nobleza d'oro*. Krążą z kielichami w rękach, a wśród nich Juana-Alodia, szczupła i piękna, i uśmiechnięta. Czują się przy niej swobodnie, śmieją się. Zauważam rzucane ukradkiem spojrzenia w stronę siedzącego przy mnie mężczyzny. Dlaczego nie podchodzą, by się przedstawić? Dziwne, że to odziane w złoto towarzystwo rezygnuje z okazji przypochlebiania się królowi.

Czuję na sobie jego oczy. Obserwował mnie, gdy wpychałam do ust smażoną sardelę. Czuję się zawstydzona, ale nie mogę się oprzeć pokusie spojrzenia mu w oczy. Na jego twarzy nadal gości ten przyjazny uśmiech.

— Lubisz ryby?

— Uhm — odpowiadam z pełnymi ustami.

Uśmiecha się szerzej. Ma piękne zęby.

— Ja również — mówi. Sięga po sardelę i wrzuca

ją do ust. W kącikach oczu pojawiają mu się zmarszczki, gdy ruszając szczękami, patrzy na mnie. Odzywa się stłumionym głosem, bo jeszcze ma pełne usta.

— Będziemy mieli o czym rozmawiać, ty i ja.

Przełykam i potakuję. Jego słowa powinny mnie przestraszyć. Tymczasem czuję w brzuchu iskierki ciepła, jestem dumna, że król tak wielkiego kraju jak Joya d’Arena uważa mnie za osobę, z którą warto rozmawiać.

Bankiet kończy się zbyt szybko. Rzeczywiście trochę rozmawiamy, ale ja wypadam jak niemota, gdyż na niewiele mnie stać poza wpatrywaniem się w jego poruszające się wargi i słuchanie jego głosu.

Pyta, jakie nauki pobieram. Zdradzam, że mam stuletni egzemplarz *Belleza Guerra*. Widzę w jego oczach żywe zainteresowanie.

— Tak, twoja siostra mówiła mi, że jesteś wielce odcytana w arkanach sztuki wojennej.

Nie wiem, co na to powiedzieć. Nie chcę rozmawiać o Juanie-Alodii i zdaję sobie sprawę, jak bardzo śmieszna mogę się wydawać jako żona: infantylna grubaska, która nigdy nie dosiadła konia, a mieczem posługiwała się jedynie do krojenia mięsa. A jednak wojny mnie fascynują i zgłębiałam historię każdej potyczki z wrogiem w dziejach naszego kraju.

W pewnym momencie ucisza się szlachetne zgromadzenie, więc podążam wzrokiem za zbiorowym spojrzeniem skierowanym na małą scenę z desek.

Muzycy z niej zeszli — nie przypominam sobie momentu, kiedy zamilkły vihuele — i ich miejsce zajęli mój ojciec i moja siostra. Ona zabiera głos, trzyma w górze kielich, złoci się jej nagie opalone ramię, mówi głośno i wyraźnie:

— Jesteśmy dzisiaj świadkami powstania nowej więzi między Joyą d’Arena i Orovalle. Niech Bóg pobłogosławi ten związek pokojem i mądrością, zamożnością i pięknem — mówiąc to, Alodia uśmiecha się szeroko. — Oraz licznym, bardzo licznym potomstwem. — Sala bankietowa rozbrzmiewa śmiechem, jakby to był najdowcipniejszy toast w świecie. Twarz mnie pali i wybucha we mnie nienawiść do siostry, silniejsza niż kiedykolwiek dotąd. — Czas powiedzieć młodej parze dobranoc — kontynuuje Alodia. Uczestniczyłam w setkach uctw weselnych, a mimo to skaczę do góry, gdy lady Aneaxi chwyta mnie za ramię. Przyszła z grupą ubranych na biało dwórek z girlandami papierowych kwiatów, żeby odprowadzić nas do małżeńskiej komnaty.

Wstajemy, król i ja, chociaż nie wiem, jakim cudem ja się podnoszę, gdyż moje nogi ogarnia niepokojąca bezwładność. Pachy mam lepkie od potu, serce wali mi jak szalone. Boże mój, nie wiem, co mam robić. Mrugam rozpaczliwie powiekami, żeby tylko się nie rozpląkać.

Dwórki, wesołe i rozchichotane, otaczają nas i wyprowadzają z sali bankietowej przy okrzykach

błogosławieństwa i zachęt zgromadzonych gości. Ukradkiem zerkam na męża. Po raz pierwszy od momentu, kiedy odsłonił mój welon, unika kontaktu wzrokowego ze mną.



W komnacie jest przytulnie od złotego blasku i miodowego zapachu woskowych świec. Migoczą wszędzie — na parapecie, na kamiennym kominku, na mahoniowych ławach otaczających zasłonięte łoże.

Łoże...

Na prawo ode mnie mój mąż podobnie jak ja zastygł w miejscu niczym statua. Nie mam odwagi spojrzeć na tę ciemną kolumnę cienia, więc patrzę na baldachim z ufarbowanej na czerwono cienkiej bawełny. Dwórki śpiesznie rozsuwają go i przywiązują fałdy tkaniny do kolumn w rogach łoża. Wielkie słońce w herbie de Roquezów śmieje się do mnie z kołdry. Wbijam wzrok w ledwie zarysowane słoneczne oblicze, w języki złotego ognia wokół tarczy, ale lady Aneaxi wytrząsa na kołdrę wiadro płatków różanych i rozprowadza je palcami, tak że w rezultacie nic spod nich nie widać.

Różowoczerwone płatki nasycają powietrze delikatną kwiatową nutą, łączącą się z zapachem świec w odurzającą mieszaninę. Wspominam woń róż towarzyszącą ślubnej ceremonii i dotknięcie jego warg, które zbyt szybko przesunęły się po moich ustach.

Pragnę, żeby znowu mnie pocałował.

To nie był mój pierwszy pocałunek. Gdy miałam czternaście lat, ten wątpliwy zaszczyt spotkał pewnego wysokiego, tyczkowatego chłopaka podczas którejś uczty weselnej. Zbyt nieśmiała, żeby z kimś tańczyć, schowałam się w kącie — tam mnie znalazł i wyznał miłość. Oczy błyszczały mu takim ogniem, że krew napłynęła mi do twarzy. Przycisnął usta do moich warg, poczułam smak bazylii na jego języku, ale całował mnie w taki sposób, w jaki ja recytowałabym fragment *Przewodnika po służbie Bogu*. Z pamięci. Beznamiętnie.

Wyszłam z bankietu wytrącona z równowagi, a rano, przy śniadaniu z jajek w koszulkach na warstwie porów, Alodia opowiedziała mi, że jakiś hrabiowski synalek zaciągnął ją poprzedniego wieczoru w ciemny kąt i ta chudzina, wyznawszy jej miłość, próbował ją pocałować. Dała mu prztyczka w nos i odeszła, śmiejąc się z biedaka, któremu zamarzyło się być w łóżku z księżniczką. Tak mi mówiła.

Aneaxi przyciska usta do mojego czoła.

— Moja Eliso — szepcze.

Potem wychodzi z naszej komnaty wraz z dwórkami. Nim zamkną za sobą drzwi, widzę przez moment stojących u wejścia potężnych, ogorzałych od słońca żołnierzy w stalowych napierśnikach. Rozpoznaję u nich czerwone jedwabne naszywki osobistej gwardii króla Alejandra, więc zadaję sobie pytanie, czy Jego Królewska Mość czuje się zagrożony.

Kiedy jednak patrzę znów na niego, na czarne włosy zwijające się w loki przy szyi, na silne spalone słońcem ręce, zapominam o strachu.

Pragnę czegoś więcej niż krótki pocałunek. Jednak ta myśl przeraża.

Mój mąż nic nie mówi, tylko spogląda szeroko otwartymi oczami na obrzuconą płatkami pościel. Chciałabym wiedzieć, o czym myśli, lecz nie mam śmiałości zapytać. Wpatrzona w jego profil, wracam wspomnieniem do beznamiętnego pocałunku hrabiowskiego syna. Czuję pulsowanie krwi w uszach, gdy wreszcie otwieram usta.

— Nie zależy mi na zbliżeniu dzisiejszej nocy.

Rozluźnia ramiona, a z poruszenia warg odczytuję jakby przebłysk uśmiechu.

— Jak sobie życzysz — mówi.

Odwracam się i tak ciężko siadam na łóżku, że podrywam chmurę płatków, które opadają na glinianą podłogę. Czuję wielką ulgę. Jednak również lekkie rozczarowanie, że tak chętnie się zgodził. Miłe byłoby poczucie, że choć troszkę mnie pragnie.

Skrzyżował ręce i oparł się o masywną kolumnę łóżka. Dobrze mnie teraz widzi; podejrzewam, iż odczuwa ulgę równą mojej. W świetle świec jego włosy mienią się odcieniem czerwieni jak góry Sierra Sangre o zachodzie słońca.

— A więc, możemy porozmawiać — mówi z radością.

Ma sympatyczny głos. Niski i ciepły.

— Porozmawiać? — pytam poważnie.

Lekki grymas jego ust zamienia się w szeroki uśmiech, jakby księżyc wschodził na niebo w letnią noc.

— Chyba że wolisz pozostać poślubiona obcemu człowiekowi.

Poślubiona...

Nagle to wszystko wydaje się tak groteskowe, że nie mogę powstrzymać chichotu wyrywającego mi się z krtani. Zakrywam usta pięścią i śmieję się w zwinięte palce.

— Przyznaję, że czuję się zakłopotany, jednak nie przyszło mi do głowy, żeby się zaśmiewać — mówi.

Jego słowa mnie otrzeźwiają. Podnoszę wzrok, zaniepokojona, że go rozgniewałam, ale nie, dalej się uśmiecha i ma zmrużone wesoło kąciki oczu.

Odwzajemniam uśmiech.

— Przepraszam, Wasza Królewska Mość...

— Alejandro.

Przełykam ślinę.

— Alejandro.

Patrzy na mnie z sympatią i coś się we mnie przełamuje. Wylewam potok słów.

— Papa i Alodia od dawna mi mówili, że wyjdę za mąż dla dobra królestwa Orovalle. Zaakceptowałam to lata temu. Mam jednak tylko pięć... szesnaście lat. Miałam nadzieję, że będę miała więcej czasu... Nie spodziewałam się... Chcę powiedzieć, że jesteś... —

Upewniam się, że na jego twarzy nie ma rozbawienia. — Jesteś bardzo uprzejmy — kończę nieprzekonująco.

Przechodzi do sofy pod oknem.

— Dostanę poduszkę?

Sięgam po taką okrągłą z czerwonymi frędzlami i strząsam z niej płatki róż, a potem rzucam nią w niego. Chwyta ją z łatwością, kładzie się na sofie, podciągając długie nogi, a poduszkę kładzie sobie na brzuchu. Z podkurczonymi nogami i szeroko otwartymi oczami nie wygląda na dużo starszego ode mnie.

— Więc... — odzywa się, patrząc w sufit. Jestem zadowolona, że to on zaczyna rozmowę. — Co chciałabyś wiedzieć o mnie i o Joya d'Arena?

Zastanawiam się. Wiem już, że jego pierwsza żona zmarła przy porodzie, że jego syn ma sześć lat i że Inwierni nękają granice jego królestwa częściej niż naszego, ponieważ potrzebują dostępu do morza. Joya to głównie pustynia, ale bogata w srebro i diamenty, a wzdłuż wybrzeża pasą się stada bydła. Właściwie wiem prawie wszystko. Oprócz...

— Proszę, pytaj — ponagla.

— Alejandro... czego ty chcesz? Ode mnie?

Jego uśmiech znika. Tylko przez moment boję się, że go zirytowałam — niezmiennie rozdrażniałam swoimi pytaniami Alodię — i uspokajam się, gdy porusza głową, a ja widzę idealną linię jego profilu, na który padło światło.

Słyszę westchnienie.

— Nasze małżeństwo jest częścią traktatu, jaki zawarłem z twoim ojcem. Są sprawy, przy których możesz być mi pomocna. Przede wszystkim jednak... — Przeciąga ręką po gęstych czarnych włosach. — Przede wszystkim potrzebuję przyjaciela. — Alejandro patrzy mi prosto w oczy i czeka na odpowiedź.

Przyjaciel. Mój nauczyciel, mistrz Geraldo, jest moim przyjacielem. Myślę, że moimi przyjaciółkami są niania Ximena i lady Aneaxi, chociaż one raczej mi matkują. Zdaję sobie sprawę, że warto mieć w nim przyjaciela. To słowo mnie pociesza, ale i boli, jednak tak czy owak nie brzmi tak przerażająco jak „mąż”.

Jestem zachwycona, że będzie mnie potrzebował, chociaż mnie to dziwi.

— Wydaje mi się, że władca najbogatszego w świecie kraju nie powinien mieć trudności ze znajdowaniem przyjaciół — mówię, nabierając śmiałości.

Zaskoczony podnosi wzrok.

— Twoja siostra mówiła mi, że krótką drogą trafiasz w samo sedno sprawy.

Mam ochotę się nasrożyć, ale uświadamiam sobie, że słowa Alodii nie musiały być krytyką.

— Powiedz mi, Lucero-Eliso. — Usta układają mu się w łagodny uśmiech, który budzi zaufanie. — Czy łatwo ci zawierać przyjaźnie? Będąc księżniczką? Nosząc Boski Kamień przekazywany nam przez Boga raz na sto lat?

Doskonale rozumiem, co ma na myśli. Pamiętam tego hrabiowskiego syna, który lata temu próbował całować się i ze mną, i z moją siostrą.

— Nikomu nie wierzysz? — pytam.

Potrząsa głową.

— Bardzo niewielu osobom.

Kiwam głową.

— Ja wierzę tylko mojej niani Ximenie i mojej damie dworu Aneaxi. I w pewnym sensie także Juanie-Alodii.

— Dlaczego w pewnym sensie?

Muszę się zastanowić nad odpowiedzią.

— Jest moją siostrą. Pragnie wszystkiego co najlepsze dla Orovalle, ale... — Coś zamyka mi usta. Być może intensywne spojrzenie jego oczu, które z ciepłego cynamonu zmieniają barwę na prawie czarne. Nigdy nie wahałam się narzekać na Alodię, rozmawiając z nianią. Jednak teraz...

— Ale...? — nalega.

Wzrok ma skupiony na mnie, z zaciekawioną miną czeka, co powiem.

— Ona mnie nienawidzi — wyrzucam z siebie.

Król Alejandro nie odzywa się od razu. Czuję, że go rozczarowałam i chciałabym wessać z powrotem wypowiedziane słowa.

— Dlaczego tak myślisz? — pyta wreszcie.

Nie odpowiadam. Kilka świec się dopaliło, z czego jestem zadowolona, gdyż łatwiej mi unikać jego

spojrzenia w migających cieniach.

— Eliso?

Powiedz mu o Boskim Kamieniu i o tym, że Alodia jest z tego powodu zazdrosna. Że jest zła, ponieważ mam już szesnaście lat, a nie wykazuję żadnej inklinacji do wypełniania misji boskiej wybranki. Jednak jego szczere spojrzenie nakazuje mi być uczciwą, więc mówię to, czego nie mówiłam nikomu.

— Zabiłam naszą mamę.

Oczy mu się zwężają.

— Jak mam to rozumieć?

Drżą mi wargi, wciągam jednak powietrze przez nos i staram się mówić z dystansem.

— Alodia powiedziała mi, że mama dwa razy poroniła. Więc kiedy była w ciąży ze mną, położyła się do łóżka. Modliła się do Boga o syna, o księcia. — Muszę zacisnąć na chwilę zęby, kontynuuję po chwili. — To była trudna ciąża, osłabiła mamę i podczas porodu straciła dużo krwi. Alodia mówi, że kiedy ułożono mnie w jej ramionach i zobaczyła, że jestem dziewczynką, mam śniadą skórę i jestem tłuściutka... — Czuję, jak tężeją mi szczęki. — Wtedy ogarnął ją straszny żal i wydała ostatnie tchnienie.

— To ci powiedziała siostra? Kiedy? Jak dawno temu? — Chociaż pytania są natarczywe, jego głos jest ciepły, jakby mi współczuł.

Ale ja nie pamiętam.

Unosi brwi.

— Rok temu? — Domaga się odpowiedzi. — Kilka lat temu? Kiedy byłyście bardzo małe?

Marszczę czoło, staram się umiejscowić to w czasie. Wtedy razem pobierałyśmy jeszcze nauki. Pamiętam, że prawie dotykałyśmy się głowami pochylone nad pachnącym stęchlizną *Przewodnikiem po służbie Bogu*. Kiedy mistrz Geraldo kazał jej wyjaśnić historię Boskiego Kamienia, ja jej przerwałam, recytując cały fragment słowo po słowie. Po tej sesji lekcyjnej Alodia pogoniła za mną po schodach, dopadła mnie w kuchni i opowiedziała tę historię o śmierci mamy.

Nie chcę, żeby wiedział, że aż tak długo ciąży mi to wspomnienie, więc nie odpowiadam.

Wpatruje się we mnie, a ja mam ochotę schować się pod kołdrę z wyszytym herbowym słońcem.

— Sądzisz, że wciąż wini cię za śmierć waszej matki?

— Nigdy nie dała mi do zrozumienia, że jest inaczej. — Zbyt ostrym i twardym głosem to mówię, jak nadąsane dziecko, ale nie chcę spuścić z tonu.

— Myślę, że będziesz zdziwiona.

— Czym?

— Wieloma rzeczami, Eliso.

Wiele rzeczy może mnie zdziwić, to prawda. Łatwo o zaskoczenie, kiedy nikt z tobą nie rozmawia. A na początek uświadamiam sobie, że w dalszym ciągu nie wiem, czego on chce ode mnie. Mógł mieć „przyjaciela”

w Alodii albo w jakiegokolwiek innej damie z arystokracji. Król zbył moje pytania byle czym, potraktował jak dziecko podobnie jak papa i Alodia, a ja, niczym zauroczone nim cielę, na to pozwalałam.

Odzywa się, zanim zdobywam się na odwagę, żeby kontynuować temat.

— Sądzę, że powinniśmy przespać się trochę, skoro jutro mamy być w podróży. — Wstaje i zaczyna strząsać z kołdry różane płatki.

— Możesz zająć łóżko. Ja położę się na sofie — proponuję.

— Łoże jest wystarczająco duże, zmieścimy się we dwoje. Będę spał na kołdrze.

Zamieram. Na chwilę.

— Świetnie. — Zmiotam ręką resztę płatków i podciągam kołdrę. Sen nie przyjdzie szybko. Jestem pewna. Nawet diament, który łagodnie pulsuje w moim pępku, nie jest w stanie przekonać mnie, że mogę zdjąć dla wygody ślubne *terno*. Nie wyobrażam sobie, by świadomość bliskości Alejandra przez całą noc mogła pomóc. Zdmuchuję świece stojące na komódce przy łóżku i wsuwam się między prześcieradła odwrócona plecami do męża.

Czuję wstrząs materaca uginającego się pod ciężarem układającego się obok Alejandra. Słyszę, jak zdmuchuje świece od swojej strony. Zaskakuje mnie dotyk jego gorących warg na policzku.

— Byłbym zapomniał. Najlepsze życzenia

urodzinowe, Lucero-Eliso — szepcze mi do ucha.

Wzdycham w ciemności. Myślałam, że najgorszą rzeczą, jaka może mnie spotkać, to odtrącenie przez męża, który poczuje wstręt. Byłam w błędzie. O wiele gorsze jest to, że chce mnie słuchać i dostrzegać. Że nie tylko jest przystojny, lecz również miły.

Zbyt łatwo będzie się w nim zakochać.

Nie śpię, leżę z otwartymi oczami i trzepoczącym się sercem jeszcze długo po tym, jak przestała migotać ostatnia świeca na kominku i dał się słyszeć miarowy, świadczący o głębokim śnie oddech leżącego obok mnie mężczyzny.

*

Nasz powóz stoi na czele długiej karawany innych, czekających za brukowanym dziedzińcem. Stoją przy nim wysocy gwardziści króla Alejandra z enigmatycznym wyrazem ciemnych twarzy. Żeby tam dotrzeć, musimy minąć fontanny i drzewa jakarandy oraz przejść wzdłuż szpaleru dworaków i służby, uzbrojonych w siemię lniane i różane płatki. Alejandro wyciąga do mnie rękę, ale papa jest szybszy i chwytą mnie w ramiona.

— Eliso — szepcze z nosem w moich włosach. — Będę za tobą tęsknił.

Wzrusza mnie prawie do łez. W ciągu ostatnich dwóch dni okazał mi więcej uczucia niż przez cały rok. Zawsze był zajęty, odległy. Czyżby dopiero oddanie mnie w obce ręce coś w nim poruszyło?

— Też będę tęskniła — zdobywam się na słowa prawdy. Wiem, że nigdy nie będę mu tak droga jak Alodia, ale mimo wszystko go kocham.

Kiedy wypuszcza mnie z objęć, zbliża się moja siostra. Ma na sobie odsłaniającą szczupłe ramiona prostą suknię z niebieskiego jedwabiu układającego się w urocze, miękkie fałdy. Jej twarz — harmonijna i chłodna niczym rzeźba — zbliża się do mojej. Czuję zapach jaśminowych perfum i nagle dostrzegam delikatne linie wokół brązowych oczu. Zmarszczki mimiczne. Dziwne, że wcześniej ich nie zauważyłam.

Alodia chwyta mnie za ramiona, zaciska na nich palce.

— Eliso, słuchaj uważnie — mówi cicho.

Coś w jej zachowaniu, chyba moc spojrzenia, powoduje, że skupiam uwagę na jej głosie, wypierając dźwięki szmerzących fontann i gwar tłumu.

— Nie wierz nikomu, Eliso, poza Alejandrem, Ximeną i Aneaxi. — Ścisza głos do szeptu, tak że nawet stojący obok ojciec chyba nie może jej słyszeć. Kiwam głową, ogarnia mnie uczucie gorąca, Boski Kamień mocno we mnie pulsuje. Czy to ostrzeżenie? — Wysyłam za tobą gołębie — mówi dalej. — Posłużysz się nimi, gdy będziesz chciała szybko się ze mną

skontaktować. Gdy się tam znajdziesz, nie bój się i okazuj pewność siebie. Nie lękaj się być królową.

Przytula swój policzek do mojego, gładzi mnie po włosach.

— Trzymaj się, Eliso, siostrzyczko.

Stoję w miejscu oszołomiona. Mąż chwyta mnie za rękę i szybko prowadzi do powozu przy okrzykach życzliwego tłumu. Powinnam trzymać wysoko głowę i się uśmiechać. Powinnam upamiętnić się w oczach naszej szlachty jako ich wspaniąta księżniczka wyruszająca w drogę ku szczęściu. Alodii by to przyszło bez trudu. Tymczasem ja niewiele widzę przez łzy i z emocji płonie mi twarz, ponieważ siostra po raz pierwszy od czasów dzieciństwa ucisnęła mnie tak czule.

Stopień powozu okazuje się za wysoki, by udało mi się zgrabnie wejść. Na oczach obcych mi gwardzistów Alejandro wchodzi pierwszy i ciągnie mnie za sobą. Uśmiecham się doń z wdzięcznością i dostrzegam w jego czarnych włosach ziarenka siemienia lnianego i płatki róż. Dotykam ręką swojej głowy i zastanawiam się, ile czasu zabierze Ximenie porządne wyczesanie moich włosów. Moja niania i lady Aneaxi zostały już ulokowane w powozie znajdującym się gdzieś na tyle, tymczasem już nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę i pozwolę się rozpieszczać. Postanawiam odszukać je przy pierwszej sposobności.

Gdy ruszamy, moje poślądki przekonują się, że

pokryte błękitnym aksamitem wytworne siedzenie jest twarde. *Nobleza d'oro* wiwatują z zapałem i przez moment powietrze zasnute jest siemieniem, kwiatami i lasem machających obłąkańczo rąk. Okno powozu jest wysoko, tak że sięgam wzrokiem poza wiwatujący tłum i na dziedzińcu widzę ojca i siostrę. Poranne słońce stoi już wysoko na niebie, rzucając złoty blask na rozległy pałac, na mury pięknego Amaluru. Chłonę widok arkad ozdobionych zielonymi pnączami, brukowanych alejek i wyłożonych mozaiką fontann. Przede wszystkim jednak przykuwa mój wzrok siostra. Ma zamknięte oczy, a jej wargi poruszają się jak w modlitwie. Blask słońca drga na jej wilgotnych od łez policzkach.



Alejandro wydaje się zadowolony, że milczę w jego towarzystwie. Trzymam ręce zaciśnięte na kolanach, by nie drżały, i udaję obojętność, chociaż powóz oddała się od mojego domu. Wymyślam sposoby nawiązania rozmowy. Alodia najczęściej porusza temat budowy statków albo mówi o cenach wełny, ale w moich ustach zabrzmiałoby to dziwnie. Powinnam go zapytać, jak będzie wyglądało nasze małżeństwo i dlaczego siostra doradza mi ostrożność, ale w rezultacie przeraża mnie to bardziej niż milczenie.

Powóz szarpnął i się zatrzymał. Kiedy otworzyły się drzwi, do środka wlało się słońce, oświetlając od tyłu sylwetkę potężnego gwardzisty. Podnoszę ramię do oczu, by zobaczyć jego twarz. Zdezorientowana, spoglądam na męża.

— W porządku, Eliso — mówi Alejandro. — Żołnierz zaprowadzi cię do twojego powozu.

Jak to: do mojego powozu? Próbuję to przetrawić.

— Mojego...

— Byłoby nierozsądne, gdyby moja żona podróżowała w tym samym powozie co ja.

Czuję dreszczyk, słysząc słowa „moja żona”,

a jednocześnie analizuję sens wypowiedzi. Czytałam o takich rzeczach. W czasie wojny ważne osobistości nie powinny tworzyć jednego celu dla wroga. Kiwam głową i podaję rękę gwardziście. Ma dłoń szorstką, silną i nieprzyjazną.

— Sprawdzę, co u ciebie, gdy się zatrzymamy na posiłek — mówi mój mąż.

Niesympatyczny żołnierz pomaga mi zejść ze stopni powozu i prowadzi mnie na koniec naszej karawany. Droga obsadzona jest drzewami plumerii gęsto obsypanymi białymi kwiatami, więc nie widzę już pałacu. Zaprzęgam umysł do analizy sytuacji, jakbym znalazła się nagle w pracowni mistrza Geralda, pochłonięta studiowaniem *Belleza Guerra*.

Nigdy nie tworzyć jednego celu dla wroga.

Staję w miejscu i patrzę w górę na gwardzistę. Ma młodą twarz i w sumie jest przystojny, mimo ostrych linii mimicznych i wymuskanych wąsów. W jego ciemnych oczach pojawia się przeblysł irytacji, ale natychmiast ją opanowuje.

— Pani, mam obowiązek zaprowadzić cię do twojego powozu. — Mówi ostrym tonem, czuję napięcie, widać nie przywykł do gładkiej mowy.

Nie lękaj się być królową, powiedziała Alodia.

— Mów do mnie Wasza Wysokość. — Mój ton jest rzeczowy i stanowczy, imituję Alodię. Czuję się śmiesznie. — Po koronacji będziesz mnie tytułował Wasza Królewska Wysokość.

Podnosi jedną brew.

— Oczywiście, Wasza Wysokość. Proszę mi wybaczyć. — Jednak wyraz jego twarzy jest sceptyczny, lekko drwiący.

— Jak się nazywasz?

— Jestem lord Hector, należę do osobistej gwardii Jego Królewskiej Mości.

— Miło cię poznać. — Posyłam mu uprzejmy uśmiech, jak by to zrobiła Alodia. — Lordzie Hectorze, a jakież to niebezpieczeństwo nam grozi?

Czuję, że się czerwienię, a serce zaczyna mi się tłuc w piersi. Za moment on się zorientuje, że moja rzekoma pewność siebie to blef.

Tymczasem jego brew opada miękko, lord Hector kiwa głową.

— Nie jestem upoważniony do zdradzania szczegółów, Wasza Wysokość. Ale powtórzę twoje pytanie królowi.

Nie czuję się na siłach nalegać. Prowadzi mnie na tył, gdzie moje towarzyski już otworzyły drzwi swojego powozu. Ponieważ jest jednym z ostatnich, pokrywa go kurz, ale czekają na mnie ich wyciągnięte ręce, które pomogą mi wejść na stopień.

Chcą wiedzieć, dlaczego nie podróżuję z mężem. Pocieszają, że zażenowanie jest na początku normalne. Nie przejmuj się, mówią. Przyzwyczajacie się do siebie wkrótce. Zgrzytam zębami, bo denerwują mnie ich naiwne zapewnienia, jednak jestem im wdzięczna.

Spuszczam wzrok, nie stać mnie na wyjaśnienia.

Zakołysało powozem, gdy znowu ruszamy. W środku jest gorąco, mam skórę lepką od potu. Gdybym była tak wysportowana jak Alodia, wysiadłabym i szła pieszo. Przychodzi mi do głowy, że mój mąż po prostu nie chce ze mną podróżować. Być może w ogóle nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Poślubiłam obcego człowieka i nikt nie zawracał sobie głowy, żeby mi wytłumaczyć dlaczego, słyszałam jedynie niejasne aluzje dotyczące traktatu. Z pewnością wiąże się to jakoś z tym, że noszę Boski Kamień. Skoro nikt nie kwapi się, by o tym ze mną porozmawiać, sama będę musiała dotrzeć do prawdy.

Gdy Ximena przeciera moje wilgotne czoło skrajem swojej bawełnianej spódnicy, a Aneaxi nalewa mi z bukłaka zimnego wina, ja modłę się do Boga, by uczynił mnie choć trochę silniejszą i odważniejszą.

*

Droga prowadzi przez dżunglę porastającą zbocza pasma górskiego Hinders, które oddziela nasze kraje. Zgodnie z przyrzeczeniem król regularnie przychodzi do mnie podczas postojów na posiłki. Zadaje konkretne pytania dotyczące mojej wygody. Czy poduszki na siedzeniu są wystarczająco miękkie? Czy wolałabyś,

żeby twój powóz jechał na zmianę to z przodu, to z tyłu karawany? Czy smakuje ci wino? Jest urzekająco troskliwy, trzyma mnie za rękę i zagląda w oczy, jakby naprawdę mu zależało.

Odpowiadając na pytanie, które zadałam lordowi Hectorowi, mój mąż wyjaśnia, że ta dżungla to niebezpieczne miejsce, ponieważ żyją w niej potomkowie skazańców wypędzonych przed stu laty z przepełnionych więzień królestwa Joya. A, niestety, nie możemy ryzykować podróży drogą morską z uwagi na zbliżający się sezon huraganów.

Mistrz Geraldo mówił mi o tych strasznych mieszkańcach dżungli, których nazywano Wyklętymi. Zapewniał jednak, że trzymają się z dala od uczęszczanych traktów, więc nie jestem pewna, czy mogę wierzyć słowom Alejandra.

Miejscami droga wznosi się ostro w górę i wtedy tylna ściana powozu stanowi na tyle dogodne oparcie dla pleców, że udaje mi się zapaść w drzemkę pomimo ciągłych wstrząsów. Po chwili jednak kaktusy i królewskie palmy ustępują miejsca płaczącym żółtymi łzami złotym drzewom tropikalnym. Te potężne strąki z nasionami grzmocą w nieregularnych odstępach w dach powozu, uniemożliwiając zaśnięcie. W nocy śpię niespokojnie z moimi towarzyszkami w dużym namiocie.

Dżungla tętni głośnym życiem. Wrzaskliwe ptaki, przekrzykujące się czepiaki i brzęczące owady walczą ze

sobą o pierwszeństwo w chórze. Wiatr nie może się przedrzeć przez gęstwinę liści, żeby nas ochłodzić, ale słysząc, jak śwista w zielonym baldachimie nad nami. Tak ogłuszającej kakofonii nie słyszałam w żadnym innym miejscu.

Czwartego dnia rano dżungla się ucisza. Tak nagle i kompletnie, że zerkam przez uchylony rąbek zasłonki, czy Bóg nie przeniósł nas w inny czas i w inne miejsce. Ale nadal mam nad głową sklepienie z puchowców, a w dole widzę ich czarne rozrośnięte korzenie pochłaniające skąpo sączące się światło. I wokół te same palmy z pierzastymi liśćmi rozpaczliwie walczące o słońce.

Z dachu powozu przed nami, od którego dzielą nas dwa inne, zeskakuje na ziemię lord Hector z mieczem w ręku.

Nasza karawana jest duża i głośna, skrzypią koła powozów, parskają konie, pobrzękują zbroje. Jednakże dżungla nie uznała jak dotąd za stosowne uhonorować nas bojaźliwą ciszą. Obok mnie lady Aneaxi mamrocze modlitwy.

I wtedy, najpierw gdzieś daleko, rozlega się dudnienie bębnow. Nie potrafię zorientować się, z której strony, ale dobiegające echo tłucze się w mojej w piersi. Hałas wzmaga się i zbliża.

Szarpnięcie i powóz staje.

Nie.

Gwardia Alejandra reaguje instynktownie.

Wyczuwają niebezpieczeństwo i zatrzymują karawanę, żeby uformować wokół niej obronę. Otula nas bujna roślinność — gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym potrząsnąć zwisającymi liśćmi palmowymi. Niewidzialny wróg z równą łatwością mógłby przebić mnie mieczem.

Widzę z przodu niewielką polankę, drzewa nie zachodzą tam na drogę.

— Lordzie Hectorze! — wołam, a serce wali mi jak oszalałe. Odwraca się, patrzy na mnie; jego klatka piersiowa unosi się w głębokim wdechu, kryjącym irytację. Ale ja wiem, co trzeba zrobić. W *Belleza Guerra* wiele miejsca poświęcono taktyce odpierania natarcia. — Ruszajmy szybko na polanę. Musimy ich widzieć, gdy będą się zbliżać! — krzyczę.

Kiwa głową i wydaje rozkaz, a mnie ściska w dołku, gdyż znowu zadudniły bębny. Konie reagują rżeniem i wierzganiem, ale ciągną nas w stronę polany.

— Aneaxi, Ximeno! Musimy się schować na podłodze, nie mogą nas widzieć przez okna. — Obydwie zaczynają się gramolić, choć powozem mocno kołysze. Jesteśmy trójką grubasek, z trudem udaje nam się wcisnąć między dwa siedzenia.

— Gwardia Jego Królewskiej Mości to najlepsi w świecie żołnierze — zapewnia Aneaxi, sapiąc. — Nic nam nie może grozić. — Ale tak mocno ściska moją rękę, że zostawia na niej siniaki.

Wolną ręką przeciągam wzdłuż zapadni

w podłodze i udaje mi się wymacać rygiel. Jednak gdy myślę o opuszczeniu powozu i wyobrażam sobie, jak wypadamy z niego na ziemię, czuję strach. Mam nadzieję, że Aneaxi ma rację i zagrożenie jest niewielkie.

Bicie bębnow staje się szybsze i coraz głośniejsze. Gdy powóz się przechyła, uderzam ramieniem w ławkę. Nie odważam się jednak podnieść, by wyrzeć przez okno, ale liczę na to, że dojechalibyśmy do polany. Słyszę tupot stóp i stłumiony głos lorda Hectora wydającego rozkazy, a potem szcęk stali o stal, gdy wyciągają miecze.

Coś uderza w powóz. I za chwilę znowu. Wkrótce to jakby deszcz kamieni odbijających się od jego drewnianych ścian. Słyszę głuchy odgłos blisko głowy. Błyszczący czubek grota strzały wystaje z drewna — od mojego nosa dzieli go nie więcej niż szerokość dłoni. Piecze mnie skóra. Powietrze jest tak gorące, że aż dusi. Boski Kamień w moim pępku zaczyna pulsować lodowatym chłodem, co mnie zdumiewa. Nigdy przedtem nie był zimny.

Wyczuwam dłońmi, że ściany powozu są gorące od słońca. Nie, zbyt gorące. Boski Kamień, zimny jak lód, nie przestaje nadawać ostrzegających sygnałów, a moje nozdrza atakuje gryząca woń palącego się drewna.

— Pali się! — piszczy Aneaxi. Powóz wypełnia siny dym, z zewnątrz słychać desperackie krzyki.

— Księżniczka! — ktoś woła. — Do księżniczki! —

Ten głos dochodzi, niestety, z dość daleka.

Wyciągam rękę, odnajduję rygiel od zapadni. Klapa otwiera się do dołu, wypadamy na chłodniejsze i bardziej świeże powietrze. Łąduję pod powozem na czymś, co trzaska pod moim ciężarem. Słyszę przeraźliwy krzyk Aneaxi.

Nie pora na zastanawianie się, czy zrobiłam jej dużą krzywdę. Konie, wyczuwszy zapach dymu, rwą się w uprzęży. Grozi nam, że za chwilę przejadą po nas koła. Marzę o nożu, żeby oswobodzić konie, o jakimś narzędziu w rękę. Powozem szarpnęło do przodu. Z tyłu za mną, trochę na lewo, widzę nienaturalnie wykręconą nogę Aneaxi, leżącą na linii koła.

Robi mi się niedobrze.

— Aneaxi, musisz podciągnąć nogę.

— Nie mogę — szlocha.

Chwytam ją pod pachę i ciągnę. Ximena robi to samo z drugiej strony, ale Aneaxi jest ciężka, a ja nigdy nie byłam silna. Jeden z koni staje dęba, powóz podskakuje. W panice Ximena i ja szarpiemy Aneaxi ku sobie, niestety, leżąc plackiem na ziemi, ledwie ruszamy ją z miejsca.

Błysnęła stal, zatrzęsło powozem. Na szczęście ktoś poprzecinał uprzęż. Oddycham z ulgą, łzy napływają mi do oczu.

Nie wiem, co robić dalej. Powóz stanowi osłonę, lecz, niestety, się pali. Dym liże już podłogę nad nami, spomiędzy desek jak białe węże wydobywają się jego

smugi. Na poziomie moich oczu migają stopy. Nasi wrogowie to bosonogie demony, prawie nagie, pomalowane w czarno-białe esy-floresy. Klekoczą łańcuszki z kości na ich nogach, gdy to jeden, to drugi dzikus wypada z dżungli. Atakuje, schodzi z drogi, znika, a w jego miejsce pojawia się następny. W ich ataku nie ma żadnej prawidłowości. Jest chaotyczny, nieustający, nie do odparcia.

Parę metrów od naszego płonącego pojazdu zieje czeluść uformowana przez korzenie puchowca. Ja i Ximena możemy dobiec tam błyskawicznie, ale martwię się o Aneaxi i jej złamaną nogę.

Przekręcam się tak, by widzieć je obydwie.

— Musimy się stąd wydostać, zanim powóz się rozpadnie.

Kiwają głowami. Okrągłe policzki Aneaxi umazane są zmieszonym ze łzami błotem. Serce zamiera mi na moment ze strachu, że mogłabym stracić którąś z nich.

— Ximena i ja wyjdziemy pierwsze spod powozu — mówię do Aneaxi. — Potem wydostaniemy ciebie, ciągnąc za ręce. — Liczę na to, że stojąc, dokonamy tego, co okazało się niemożliwe w pozycji leżącej. — Pamiętaj, Aneaxi, że nie wolno ci krzyczeć, choćby strasznie bolało.

Parę razy wciąga z trudem powietrze. Potem oddziera kawałek materiału z dolnego brzegu podróżnej sukni. Pierś pęcznieje mi z dumy, gdy go zwija i wpycha do ust. Jestem gotowa, mówią jej oczy.

Odczekujemy chwilę. Walka toczy się zbyt blisko. Z miejsca, gdzie leżymy, widzimy zmagające się pary: nagie, pomalowane łydki i sztywne skórzane cholewy. Jakiś człowiek wali się na ziemię tuż przede mną; odruchowo się cofam. Jego wywrócone oczy błyskają białkami na tle pomalowanej na czarno twarzy. Włosy ma czarne, długie jak moje, tylko poskręcane w grube postronki. Nie rusza się. Ostrożnie, z bijącym sercem, wyciągam z jego jeszcze ciepłej ręki kamienny nóż i wsuwam za stanik.

Wreszcie następuje jakaś przerwa w walce, więc gorączkowo macham na Ximenę. Wyczołgujemy się na czworakach spod powozu. Gdy wstaję, noga zaplątuje mi się w halkę — bez namysłu odrywam kawał materiału. Odwracamy się do Aneaxi i chwytamy ją za rękę. Spod knebla wydostają się ciche jęki, gdy ją ciągniemy po ziemi. Ma zaciśnięte oczy i czerwoną twarz. Po chwili traci przytomność. Do jamy w korzeniach puchowca jest niedaleko, ale cały czas umieram ze strachu, że ciało Aneaxi może przeszyć strzała. Pot ścieka mi po plecach i brzuchu. Widzę kątem oka, że siwy kok Ximeny się poluzował i włosy opadają jej na ramiona. Pomalutku docieramy do linii lasu. Grunt się tu lekko obniża. W norze między potężnymi korzeniami panuje przyjemny chłód i półmrok. I jest dość miejsca dla nas trzech. Trzymam Aneaxi w ramionach i odzyskuję oddech, zadowolona, że na razie tyle się udało.

Mam teraz lepszy widok na toczącą się bitwę. Wydaje się, że gwardia mojego męża znalazła sposób na tych dzikusów. Odpierają ich chaotyczne ataki, stając w kręgu plecami do siebie i zasłaniając się tarczami przed nadlatującymi strzałami. Ciało jednych i drugich leżą na ziemi, od smrodu palącego się ludzkiego mięsa wywraca mi się żołądek. Nasz powóz jest już cały w ogniu. Ximena wzdryga się, gdy płonąca konstrukcja wali się na ziemię, rozsiewając wokół morze iskier. Gdybyśmy zwlekały parę chwil dłużej, spłonęłybyśmy żywcem.

Za powalonym powozem dostrzegam dwóch dzikusów, którzy dopadli pod drzewem któregoś z naszych. Zasłaniają mi jego twarz, ale wygląda na sparaliżowanego strachem.

Jeden z dzikusów przyskakuje do niego z wrzaskiem i kamiennym nożem mierzy w jego klatkę piersiową. Biedak się w porę uchylił, jednak nóż dziabnął go w ramię.

Zaczyna się nieporadnie bronić, próbując zadawać ciosy zdrową lewą ręką. Gdy znowu zastyga na moment, zdaję sobie sprawę, iż nie ma szans. A wymalowane dzikusy już czują krew. Zaczynają się dziwnie poruszać, jakby w tańcu. Kucają, wykonują obroty, pełzną. Niczym dzikie koty, pełne gracji i żądne posoki. Nagle miga mi twarz ofiary.

Alejandro.

— Nie! — Wyczołguję się z naszego schronienia.

Ximena coś wykrzykuje, nie rozróżniam słów. Chwyta mnie za ramię, ale się wrywam. Biegając mężowi na ratunek, czuję się powolna i ciężka, obfity brzuch i piersi kolebią się boleśnie przy każdym kroku. Gdy mijam wrak naszego powozu, wyciągam z za stanika nóż. Nie wiem jeszcze, co zrobię, lecz nie mogę pozwolić, by Alejandro zginął. Umalowani napastnicy krążą wokół mojego męża, nieświadomi, że nadbiegam. Widzę, że podchodzą do niego bliżej, Alejandro w zdrowej ręce trzyma w pogotowiu miecz.

Łzy rozpaczy leją mi się z oczu, gdy rzucam się na jednego z napastników. Razem padamy na ziemię, ja krzyczę i dźgam go nożem, i dźgam, aż ręka mi ustaje, a w barku czuję piekący ból, bo ostrze odbija się już twardo od kości.

Ktoś odciąga mnie od ofiary. To Alejandro. Mrugam powiekami. U naszych stóp leżą dwa pomalowane ciała. Czyli tego drugiego załatwił Alejandro. Otwieram usta, chcę mu coś powiedzieć, lecz nagle moją uwagę przyciąga coś jaskrawego. Czerwień. Wszędzie. Kaftan mam cały we krwi, zalaną krwią spódnicę. Na języku czuję metaliczny smak napływającej śliny i nagle zaczynam cała dygotać tak gwałtownie, że nie jestem pewna, czy zęby nie powypadają mi ze szczęki.

Alejandro przyciąga mnie do siebie i gładzi po plecach, mamrocząc coś, czego nie rozumiem. Bitwa się kończy i wkrótce będę się zamartwiała, że spaliły się

moje rzeczy, że Alejandro ma zranione ramię, a Aneaxi złamaną nogę. Na razie jednak czuję jedynie ciepło męskiej piersi. On jeszcze mnie nie pokochał, ale tu, wobec wszechobecnej śmierci, w cudownym momencie przeżywanej razem ulgi, trzyma mnie w ramionach.

*

Strata w walce z Wyklętymi to piętnastu ludzi. Inni, podobnie jak Aneaxi i Alejandro, są ranni, ale się wykurują.

Pogrążonej we śnie Aneaxi lord Hector nastawia i unieruchamia w łubkach nogę. Odchodzę na bok — z ulgą oddycham innym powietrzem i wycieram twarz z krwi szerokimi, woskowatymi liśćmi. Suknię mam brudną i przesiąkniętą krwią, już zbrązowiałą i pozasychaną, niestety, większość mojej lepszej garderoby spłonęła razem z powozem. W brzuchu mi straszliwie burczy, nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam taka głodna. Ośmieszyłabym się jednak, prosząc o jedzenie, podczas gdy inni zajmują się rannymi.

Lord Hector odnajduje mnie później, gdy siedzę na pniaku i zafascynowana przypatruję się bujnej roślinności wokół.

— Wasza Wysokość, mamy więźnia.

Podnoszę głowę i rzuca mi się w oczy, że sterczą

mu bezładnie pozlepiane wąsy.

— O? — bąkam, zdziwiona, że zadał sobie trud, by przyjść do mnie z tą informacją.

— Król Alejandro orzekł, że ty, pani, zadecydujesz, co z nim zrobić.

Ja? Załomotało mi serce.

Być może to test dla dziewczynki, która ma zostać królową. A może Alejandro jest zajęty innymi sprawami.

— Ten człowiek jest mordercą — mówię szybko, ale tylko po to, żeby dać sobie czas na zastanowienie.

— Proszę powiedzieć słowo, a skończę z nim osobiście.

Ściska mnie w gardle na samą myśl. Nie wydaje mi się właściwe, abym miała decydować o czyimś życiu i śmierci. Wolałabym, żeby nikt więcej dzisiaj nie zginął.

— Czy może się porozumiewać?

— Tak.

— Więc zadam mu kilka pytań.

Lord Hector pomaga mi wstać. Spojrzenie ma pełne szacunku, czego wcześniej nie było. Cieszy mnie to, lecz tylko przez moment. Cena, jaką za ten szacunek zapłaciłam, jest zbyt wysoka.

Wymalowany więzień siedzi w kręgu wymierzonych w niego mieczy. Ma związane z przodu ręce i łańcuch na kostkach. Rozumie, że jego życie wisi na włosku. Błyskają białka oczu, gdy przypatruje się

strażnikom ze świadomością, iż każdy z nich może wbić ostrze w jego serce.

Iskierki nadziei zapalają mu się w oczach, gdy się zbliżam. Może to tylko chytryść. Jest coś obrzydliwego w malunkach pokrywających jego ciało. Są upiorne, odrzucające. Z bliska widzę, że w długie, skudłone włosy ma wplecione płaskie kości.

— Pani — odzywa się. Ma głos wyraźny i dźwięczny, zaskakujący w ustach takiego dzikusa.

Jestem bliska zwrócenia mu uwagi, że mnie źle tytułuje, powstrzymuję się jednak, by nie zdradzić, kim jestem.

— Powierzono mi podjęcie decyzji co do twego losu. Czy jest jakiś powód, jakikolwiek powód, żeby ci darować życie? — Widzę taki powód i to bardzo zasadny, ale chcę wiedzieć, czy więzień jest potulny.

Milczy tylko przez chwilę.

— Mogę wam pomóc.

— Jak?

— Znam dżunglę. Znam jej sekrety. — Oczy ma szeroko otwarte jak zwierzę w potrzasku.

— Czy odpowiesz na zadawane ci pytania? Zgodnie z prawdą? Bez ociągania się? — Lord Hector kiwnięciem głowy wyraża aprobatę dla moich pytań. Wydaje mu się, że rozumiem jak strateg, a ja tymczasem po prostu nie mam odwagi patrzeć na jeszcze jedną śmierć.

— Tak — mówi Wyklęty.

— Więc darowuję ci życie.

— Dziękuję, o pani. — Wychyla się do przodu, chwyta za moją suknię w talii, chyli nisko głowę. To tradycyjny ukłon świeżo zaprzysiężonego wasala, lecz teraz wydaje mi się wstrętny. Jest zbyt intymny i zbyt niebezpieczny mimo ostrzy mieczów wymierzonych w szyję pojmanego.

Nagle sztywnieje. Jego palce wyczuły pod zakrwawioną tkaniną Boski Kamień. Wiem, co wymacał. Szlifowaną powierzchnię, twardą jak diament, ale ciepłą, żywą. Wzdryga się i cofa.

— To ty! — mówi szeptem. Oczy rozszerzają mu się jeszcze bardziej i wilgotnieją ze strachu, z trudem łapie oddech.

Ktoś rzuca się na niego, widzę rozwiane siwe włosy i wirującą spódnicę. Potem słyszę charczenie i odgłos padającego na ziemię ciała. Ximena! Cofa się, odsłaniając leżącego plackiem na ziemi więźnia z wbity w szyję szpilką do włosów. Rozpoznaję ozdobę mojej niani.

Gapię się na tę szpilkę — wydaje się malutka — gdy wokół niej zbiera się krew i ścieka po skórze w wilgotną ziemię dżungli.

— Tak mi przykro, słońce moje. Wydawało mi się, że on cię zaatakuje. — Mówi to tak, jakby chodziło o moje spóźnienie na poranną modlitwę.

Patrzę oszołomiona na nianię, dziwiąc się, skąd u niej taka szybkość ruchów i dlaczego odkrycie życia

w moim pępku stało się dla odkrywcy wyrokiem śmierci.



Tej nocy śpiewamy pieśni za zmarłych i zapalamy świece wotywno. Świece to brak rozsądku. Jeżeli Wyklęci zaatakują znowu, to drobne płomyki, migające niczym gwiazdki w ciemnej dżungli, będą podpowiadać im, gdzie jest cel. Mimo wszystko je palimy.

Żadna z piętnastu osób nie była mi znana i gdy król wymienia ich imiona, nie przypominam sobie twarzy. Jednak podczas tej podróży wszyscy byli dla mnie uprzejmi, więc odczuwam żal po stracie, jednocząc się w nim z Alejandrem. Gdy mój mąż ich wspomina, ja modłę się w milczeniu, dziękując Bogu, że pozwolił przeżyć jemu i moim towarzyszkom. Moje modlitwy płyną z głębi serca, toteż Boski Kamień promieniuje delikatnym ciepłem do zakątków ciała. Po jakimś czasie ostry ból w krzyżu od ciągnięcia Aneaxi odpuszcza i prawie nic nie czuję; ogarnia mnie cudowna senność.

W dzieciństwie moim największym zmartwieniem była obawa, że Boski Kamień przestanie żyć we mnie, zrobi się zimny i martwy jak zwykły diament. To byłby znak, że przez swój egoizm, lenistwo albo głupotę przegapiłam moment, kiedy powinnam podjąć wyznaczoną przez Boga misję. Nauczyłam się zatem

cenić delikatne pulsowanie w odpowiedzi na moje modlitwy. To sygnał, że jeszcze nie poniosłam totalnej porażki.

Alejandro kończy ceremonię odśpiewaniem *Selah* i wszyscy rozchodzą się, by przygotować się do jutrzejszej drogi.

— Lucero-Eliso. — Mówi tak cicho, że biorę te słowa za złudzenie, ale nie, bo zbliża się i jego oczy, iskrzące się w świetle świecy, wpatrzone są we mnie. Zranioną rękę ma przyciśniętą do talii, podwiązaną szarą chustą.

— Alejandro.

— Chciałbym ci podziękować, Eliso. Hector mówi mi, że wykazałaś się niezwykłą odwagą podczas nieprzyjacielskiego ataku. — Odwagi nie pamiętam, tylko żar i strach. Słucham go dalej. — Do tego... — Unika mojego wzroku. — Prawdopodobnie uratowałaś mi życie.

Alodia zrewanżowałyby się za tę pochwałę, skądinąd skąpą, mową pochlebną na temat jego niezwykłej waleczności, dzięki której wyszedłby z opresji zwycięsko nawet bez pomocy.

Pamiętam jednak przecież, że zeszywniał ze strachu i gdyby nie moja interwencja, z pewnością by zginął. Więc nie brakuje mi śmiałości.

— Tak, uratowałam. I to mnie cieszy. — Być może moją wielką misją było właśnie uratowanie króla. Jednak klejnot wciąż pulsuje we mnie niewygaszoną

mocą.

Alejandro uśmiecha się do mnie niewinnie i robi mi się ciepło na sercu jak od pulsowania Boskiego Kamienia. Uchodzi ze mnie napięcie i nieśmiało odwzajemniam uśmiech.

— Czy tęsknisz za domem, Eliso?

Już otwieram usta, by powiedzieć „tak”, lecz uprzytamniam sobie nagle, że to nieprawda.

— Tylko troszkę. Nie upłynęło tak wiele czasu od wyjazdu. — Dobrze byłoby znowu czuć się bezpiecznie, przytulić się do papy i uczyć pod okiem mistrza Geralda. Nie tęsknię jednak. Jeszcze nie.

W tym momencie wolnym krokiem idzie ku nam Ximena, zatem go przepraszam i pośpiesznie się oddalam. Nie jestem gotowa, żeby spojrzeć jej w twarz. Nie wiem, jakie pytania miałabym jej zadać.

*

Znosimy drogę przez dżunglę jeszcze przez pięć dni. Zmęczeni wzmocnioną czujnością, z zeszywniałymi członkami od ścisku w powozach, których jest teraz za mało, zostawiamy za sobą duszący klimat zacienionego zbocza i przechodzimy na suchą stronę gór wznoszących się nad płaszczyzną pustyni. Rozciąga się przed nami Joya d’Arena, kraj zwany

Klejnotem Pustyni. W gorącym blasku falują na horyzoncie pomarańczowoczerwone wydmy. Wiem, że Joya to surowa, wypalona ziemia, ale wygładzony wiatrem piasek i zapadający zmierzch czynią ją aksamitną, wabiącą.

Lord Hector prowadzi nas skrajem pustyni na zachód, ku morzu. Widzę linię intensywnej zieleni w odległości pewnie kilku dni jazdy, ale w rozedrganym od upału powietrzu trudno to ocenić. Za tamtymi palmami czeka Brisadulce, stolica kraju Joya d’Arena. Alodia odwiedziła ją kiedyś i po powrocie opowiadała o cudownej oazie, pięknych budowlach z piaskowca i radosnych ludziach, którzy zachwycili się nią od pierwszego wejrzenia.

Chciałam jak najszybciej się tam znaleźć, choćby po to, żeby zmienić suknię, zarządzić kąpiel i zasiąść do obfitego, wielodaniowego posiłku. Głowa bolała mnie z głodu na wspomnienie świeżych owoców i chłodnego wina.

Rozkładamy obozowisko wzdłuż strumienia, który spływa z gór i podąża w stronę miasta oraz morza. W pożyczonym powozie Ximena każe mi zdjąć suknię, bo chce ją wyprać. Pomaga mi rozpiąć guziki, więc znowu mam nianię blisko siebie, co jak zawsze przynosi ulgę, lecz po raz pierwszy wprawia w niepokój. Matkuje mi, odkąd sięgam pamięcią. Ale mam w oczach tę szpilkę — którą widziałam codziennie w jej włosach — wbity w szyję tamtego człowieka. Okazało się, że

w istocie mało wiem o swojej niani. Nigdy nie zadawałam pytań. Skąd pochodzi? Kiedy zaczęła pracować dla mojej rodziny? Dlaczego mnie wybrała i otoczyła miłością? „Rozpuszczona dziewczyna”, mówiła o mnie Alodia, kiedy podrosłyśmy. „Rozpieszczana, bo została wybrana przez Boga”.

A Alodia wie, co mówi.

— Ximeno.

— Tak, słońce moje. — Jej palce pracują za moimi plecami, rozsznurowując gorset.

— Tak mi przykro. Tak przykro.

Palce nieruchomieją.

— O czym ty mówisz, słońce moje?

Łzy napływają mi do oczu.

— Nie wiem, kim naprawdę jesteś, nic o tobie nie wiem. Ani o Aneaxi. To moja wina.

Przynajmniej raz moja niania nie zbywa mnie jakimś komunałem ani pochlebstwem. Silnymi ramionami obraca mnie ku sobie i mocno przytula.

*

Ximena wyjawia, że była sierotą. Jako mała dziewczynka usługiwała zakonnikom w refektarzu i prała ich szaty. Jeden z nich, ojciec Donatzine, docenił jej cierpliwość i pracowitość. Nauczył ją czytać i pisać

tak dobrze, że mogła przepisywać klasztorne księgi historyczne przechowywane w Monastery-at-Amalur, a szczególnym jej zainteresowaniem cieszył się *Przewodnik po służbie Bożej*. Po latach wpajania w serce bezcennych sentencji została uznana przez Donatzonego za godną tego, by ją zarekomendować mojemu ojcu, wtedy młodemu księciu.

— Dalej odwiedzam ojca Donatzonego, kiedy tylko mogę — mówi Ximena, wieszając swoją suknię do wyschnięcia za oknem powozu. — On nie widzi już liter, więc czytam mu na głos. Uwielbia te fragmenty w *Scriptura Sancta*, które opisują wybranych przez Boga. — Patrzę na jej ciepły uśmiech oraz towarzyszące mu wesołe zmarszczki wokół małych oczu i słucham. — Był szczęśliwy, kiedy w dzień chrztu zostałaś wybrana przez Boga. Bardzo mu zależało, żeby dożyć tej chwili i być jej świadkiem.

Nie pamiętam ojca Donatzonego. Powinno mi pochlebiać, że człowiek, którego nie znam, przywiązuje taką wagę do mojego istnienia. Jednak to zbytnia ciekawość.

Narzuca mi się pytanie:

— Będzie ci go teraz brakować?

Ximena kiwa głową.

— Bardzo.

Gramoli się do środka przez otwarte drzwi powozu i siada koło mnie. Patrząc na jej silne i spracowane ręce, próbuję je sobie wyobrazić, jak przeciągają delikatnie

trzcinką po pergaminie. Te stwardniałe palce od zawsze czułam na swoich plecach, widziałam też, że potrafią być wprawne i zręczne. Zdolne do zabicia człowieka szpilką do włosów.

— Dziwnie na mnie patrzysz.

— Tamten dzień. Tamten więzień.

Jej spojrzenie łagodnieje.

— Wiedziałam, że o to zapytasz.

— Tak szybko się poruszałaś, Ximeno! I wiedziałas dokładnie, gdzie wbić tę szpilkę. Wiedziałas też, że on mnie nie zaatakował i ja... — Źle to wygląda, jakbym ją oskarżała, a to jest śmieszne, ponieważ tamtego dnia nie tylko ona zabiła człowieka.

Ximena patrzy jednak na mnie jak zawsze z nieskończoną cierpliwością i bezwzględną miłością.

— Słońce moje, chciałabym powiedzieć ci o tak wielu rzeczach. — Przeciąga kostkami palców po moich policzkach. Po chwili czuję kołysanie powozu, gdy schodzi po stopniach. — Muszę zajrzeć do Aneaxi — rzuca.

Obserwuję ją, jak zwinnie porusza się po naszym małym obozowisku, lawirując między rozłożonymi matami i paleniskami. Na ramionach pojawia mi się gęsia skórka, gdy uświadamiam sobie, że wyglądam z powozu w samym tylko staniku i podartej halce.

Następnego dnia jadę w powozie wydzielonym dla Aneaxi, która potrzebuje więcej miejsca, ponieważ jej unieruchomiona w łubkach noga musi spoczywać na ławce. Za każdym razem, gdy wstrząsa nami na wybojach, Aneaxi krzywi się i pot występuje jej na czoło. Ochładza się wachlarzem i odpowiada na moje pytania, które powinnam jej zadać już dawno temu.

Dowiaduję się, że moja dama dworu jest nieślubnym dzieckiem hrabiego Sirvana, dworzanina mojego ojca. Jej nieprawe urodzenie wykluczało widoki na korzystny z politycznego punktu widzenia mariaż, z drugiej zaś strony była zbyt ważna, żeby ją posłać do klasztoru, gdzie wychowywała się Ximena, tak więc jej status podlegał zmianom w zależności od kaprysów ojca.

— Dzieciństwo w jego pałacu wspominam jak najgorzej — mówi mi. — Szepty, gdy przechodziłam, ponure spojrzenia. Ubrania po siostrze przyrodniej, która złośliwie je darła albo plamiła atramentem, zanim mi je dała.

Jestem pod wrażeniem jej wciąż żywych wspomnień, ponieważ dobrze wiem, jak to jest mieć faworyzowaną siostrę i czuć na sobie osądzące, pogardliwe spojrzenia dworu. Moim dobrym duchem była Aneaxi — tuliła mnie w ramionach i mówiła, jak bardzo jej przykro, iż tak jest. Teraz rozumiem dlaczego.

— Z własnej inicjatywy zaczęłam pracować

w pralni. Żeby zejść z oczu i żeby poczuć się użyteczną. Któregoś dnia ojciec zauważył, że mam szorstkie i spierzchnięte dłonie. Zbił mnie. — Aneaxi wzrusza ramionami, jakby nie było warto przejmować się tym wspomnieniem. I prawdopodobnie teraz już nie. Aneaxi nie należy do osób długo chowających urazę. — Widząc jednak, że tak mnie ciągnie do pracy, postanowił znaleźć dla mnie zajęcie bardziej pasujące do mojego statusu, jakikolwiek by był. Dokładnie tak się wyraził: „jakikolwiek by był”. Więc zostałam służącą jego ostatniej żony, która była niewiele starsza ode mnie. Myślał, że to będzie dla mnie kara, tymczasem się zaprzyjaźniłyśmy. I kiedy twoja mama zaszła w ciążę, moja pani zarekomendowała mnie Ximenie, która w owym czasie była damą dworu królowej.

— Czy kiedykolwiek żałowałaś, że przyszłaś do królewskiego pałacu służyć mojej rodzinie? — pytam.

— Och, moja droga, nigdy, kochałam twoją mamę. Alodię również, chociaż jest irytująco niezależna i uparta, bo ty, Eliso, ty jesteś światłem mojego życia. — Uśmiecha się przewrotnie. — A poza tym kuchnia w pałacu jest o niebo lepsza. Kucharz hrabiego powinien zostać wysłany na arenę do walki z bykiem.

Chichoczę, bo przypomina mi się noc mniej więcej sprzed roku, kiedy to pod nosem Ximeny wymknęłyśmy się do kuchni na pudding kokosowy. Na charakter Aneaxi składają się w równych częściach empatia, pogoda ducha i szelmstwo — co jest dokładnym

przeciwieństwem mojej poważnej i skrupulatnej niani — dlatego są tak dobraną parą.

Przestaje się wachlować. Powieki ma cieniutkie, prawie przezroczyste jak dobry pergamin. Postarzała się ostatnio, czego wcześniej nie dostrzegałam. Nachyliłam się i całuję jej pomarszczone czoło.

Uśmiecha się, oczy ma zamknięte.

— Jesteś dobrą dziewczyną, Eliso. Bóg wiedział, co robi, wybierając ciebie.

Przełykam ślinę. Aneaxi kocha mnie ślepo, nierozsądnie, ale jestem jej wdzięczna za to uczucie. Być może Bóg przysłał ją do mnie nie bez powodu. Może wiedział, że potrzebuję kogoś choćby trochę rozumiejącego, jak będzie wyglądało moje życie. Delikatnie wyjmuję wachlarz z jej dłoni. Gdy wachluję jej twarz, słyszę, że wzdycha z zadowoleniem. Zostaję przy niej długo.

*

Tego wieczoru Alejandro zapowiada, że jesteśmy tylko parę dni od mojego nowego domu.

— Wspaniale! — daję wyraz radości. — Brzydko pachnę. — W jednej chwili na twarz wypełza mi rumieniec gorętszy niż żar pustynny. Przez tę nieszczęsną podróż zapominam o manierach.

Na szczęście on się tylko śmieje.

— Naprawdę paskudnie pachnie lord Hector i, wierz mi, daleko ci do niego. — Zerka na prawo, gdzie jego przyboczny gwardzista poleruje swój miecz i słysząc uwagę króla, podnosi głowę, strzyże wąsami, ale zachowuje stoicką minę. — Jak się czuje lady Aneaxi? — pyta mnie Alejandro.

Wzruszam ramionami.

— Mówi, że z nogą coraz lepiej, ale chyba nadrabia miną. Jest słabsza, niż chce przyznać.

— Bardzo ją kochasz. — Ciepło jego spojrzenia, bo chyba to nie blask z ogniska jest w jego oczach, powoduje, że ledwie mogę oddychać. Patrzy na mnie tak intensywnie, jakbym tylko ja istniała na świecie. — Eliso?

— Ja... Tak, jest mi bardzo droga.

— Ma szczęście, że żyje. To wy, ty i Ximena, wyciągnęłyście ją spod powozu, jak mi powiedział Hector.

Zamiast chłonać jego czuły wzrok, którego wspomnienie może rozgrzewać dziewczynę przez godziny, ogarniam spojrzeniem piaszczysto-skaliste poletko, na którym rozbiliśmy obozowisko. Pozwolę sobie na rozpamiętywanie tej chwili dopiero przed snem, w cichości swego legowiska na macie, ośmielając się mieć nadzieję, że mój mąż zaczyna mnie lubić i cieszy się, że mnie poślubił.

Teraz mam pytania.

— Alejandro. Ci Wyklęci. Oni nie zawsze atakowali podróżnych?

Przeczesał palcami czarne włosy.

— Nie, nie zawsze — odpowiada.

— Więc dlaczego teraz? Dlaczego nas? — Ściskam fałdy spódnicy, żeby ukryć zdenerwowanie. Powie mi oczywiście, jak miał w zwyczaju papa, żebym się nie martwiła, że to nie tematy dla dziewczynek...

— Przypuszczamy, że sprzymierzyli się z Inwiernymi.

Zaskoczył mnie, milczę więc przez chwilę.

— Dlaczego tak myślisz?

— Mają broń ze stali. Strzały zrobione z lekkiego jasnego drewna, a takich przedtem u nich nie widzieliśmy. A w zeszłym roku jakaś ich banda zabiła trzech kupców ostrym narzędziem służącym do rozbijania lodu.

Szpikulec do lodu. Nigdy nie widziałam ani lodu, ani śniegu, chociaż o nich czytałam. Ale dlaczego Inwierni chcieliby sprzymierzyć się z Wyklętymi? Coś mi świta w głowie.

— Ten szlak to jedyna droga lądowa między Joya d’Arena i Orovalle — myślę głośno.

Powoli kiwa głową, przyglądając mi się z takim zainteresowaniem, jakby mnie testował. Uświadamiam sobie, że nie spotkaliśmy innych podróżnych. Podczas sezonu sztormowego na drodze lądowej powinno się roić od kupców.

— To była ryzykowana decyzja. Mówię o wyborze trasy przez góry Hinders. — Słowa wypowiadam rzeczowo, bez cienia wyrzutu.

— Owszem, ryzykowana. Ale naszą podróż utrzymywaliśmy w tajemnicy. Nie wiem, skąd się dowiedzieli.

— A może atak był przypadkowy?

Wzrusza ramionami.

Mój umysł potyka się o słowo „tajemnica”.

— Co to znaczy „w tajemnicy”?

— Obywatele Brisadulce nie spodziewają się powrotu swego króla wcześniej niż za miesiąc.

Swego króla. W tajemnicy.

A królowa? Coś w moim spojrzeniu każe mu sposepnąć. Nabieram oddechu.

— Mnie oni w ogóle nie oczekują, prawda?

Potrząsa głową.

— Nie. Nie wiedzą, że przywiozę ze sobą żonę.

*

Droga prowadzi przez mniej górzysty teren, więc podróż mniej nas męczy. Powietrze jest gorętsze, ale skórę chłodzi utrzymujący się lekki powiew. Linia horyzontu gubi się w skłębionych brązowych obłokach. Lord Hector, który zauważył, że je obserwuję,

powiedział mi, że tak wyglądają burze piaskowe. Podczas sezonu huraganów wiatr od oceanu wdziera się w ląd i wywołuje burzę piaskową, która potrafi człowieka odrzeć ze skóry i mięśni aż do kości. Jestem zadowolona, że kierujemy się na zachód w stronę morza, zachowując bezpieczną odległość od wydm.

Brakuje mi dawnej Ximeny. Być może nie powinnam pytać o człowieka, którego zabiła. Czuję, że ta sprawa zaległa między nami: znacząca, niezrozumiała, z pieczęcią milczenia. Niania zajmuje się mną jak zawsze, pomagając mi każdego ranka się ubrać, zaplatając mi warkocze, otrzepując wieczorem moją spódnice z kurzu. Jej ruchy są jednak niecierpliwe, oczy patrzą z dystansem i smutkiem. A może tylko tak mi się wydaje.

Aneaxi jest coraz słabsza. Chociaż nikt inny nie zachorował, lord Hector obawia się, że złapała jakąś tropikalną chorobę. Jej skóra, zwykle ciemna jak moja, zrobiła się popielatoszara. Drzemki, w które zapada, zakłócone są niespokojnymi snami. Czegoś się boi. Często woła mnie po imieniu, muszę wtedy trzymać ją za wilgotną rękę i szeptać jej do ucha pocieszające słowa, by się uspokoiła. Kiedy się rozbudza, twierdzi, że nie pamięta swoich snów, jednak nie wiem, czy mam jej wierzyć.

Mamy jeszcze dwa dni drogi do Brisadulce, kiedy w naszym powozie zaczyna śmierdzieć psującym się mięsem. Nie jestem lekarzem i mimo że otrzymałam

królewską edukację, w sztukę medyczną mało mnie wprowadzano. Wiem jednak, że żadna gorączka nie może być powodem takiego zapachu.

Kiedy zatrzymujemy się na krótki posiłek, na który składają się orzechy i suszone płaty mango, odciągam na bok Ximenę.

— To nie jest choroba tropikalna, Ximeno. Ani złamana noga. Dlaczego ona tak...

Ximena patrzy na moją rękę. No tak, chwyciłam ją za ramię tak mocno, że palce wcisnęłam głęboko w jej ciało.

Cofam rękę rozgoryczona reakcją niani, lecz chwilę potem widzę, że łzy napływają jej do oczu.

— Co to jest, Ximeno? Ty mi o czymś nie mówisz.

Kiwa głową, przełyka łzy.

— Aneaxi została zraniona bardziej, niż myślałyśmy. Nic nie mówiła. W ogóle nic. — Ximena szepcze załamującym się głosem, a we mnie niczym kamień osiada strach. Nigdy nie widziałam niani płaczącej.

— Mówisz, że to coś więcej niż złamana noga?

— Chodzi o drugą nogę. Ma na niej głębokie rozcięcie. Nad kostką. Kiedy ją ciągnęłyśmy...

Rozcięcie. Po prostu rozcięcie. To przecież nie może być coś poważnego, myślę.

Ximena mówi dalej, ale ja ledwie ją słyszę, krew pulsuje mi w uszach. Coś ważnego jednak do mnie dociera. Wdało się zakażenie i za późno na amputację

nogi.

Biegnę z powrotem do powozu. Aneaxi leży rozciągnięta na ławce. Nawet przez sen jęczy w gorączce. Chcę zobaczyć jej nogę, tę niezłamaną. Płótno owinięte wokół schowanej pod spódnicą łydki jest mokre, brązowawe, jakby poplamione herbatą. Gdy je odwijam, smród staje się nie do zniesienia. Niczym od ryby zbyt długo zostawionej na słońcu albo od gnijących owoców. Aneaxi wzdryga się, gdy do rany dociera powietrze.

Wstrząsa mną, odruchowo zakrywam ręką usta, widząc czerwone i zielone miejsca na ciastowatej skórze. Coś czarnego i kleistego wycieka z rany, a skóra na jej krawędziach wywija się w szyderym uśmiechu.

My to spowodowałyśmy, ja i Ximena, kiedy wyszarpywałyśmy ją spod powozu.

Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy. Padam na ławkę naprzeciwko mojej damy dworu. Boski Kamień pulsuje ciepłem pod moimi palcami, zamykam oczy.

Jestem wybranką Boga. Z pewnością wysłucha mojej modlitwy.

*

Rano gorączka odpuszcza, Aneaxi się budzi. Serce

napełnia mi nadzieja. Przez całą noc klejnot w moim pępku promieniował pokrzepiającym ciepłem, więc nabrałam pewności, że Bóg słyszał moje modlitwy.

Aneaxi przez chwilę zbiera myśli. Uśmiecha się, widząc, że jestem przy niej.

— Eliso — odzywa się szeptem. Z brązowych oczu bije skupienie.

Gładzę ją po czole.

— Powinnaś nam powiedzieć, Aneaxi. Powinnaś...

— Słuchaj uważnie.

Ręka mi nieruchomieje.

— Eliso, jesteś przeznaczona do wielkich zadań. — Jej cichy głos brzmi zdecydowanie. Powozem trzęsie, czuję mrowienie w palcach stóp.

Chwyta mnie za rękę, ściska ją.

— Nie wolno ci tracić wiary, dziecko. Bez względu na wszystko. Nigdy nie zwątp w Boga i w jego wybór. On wie nieskończenie więcej, niż potrafimy sobie wyobrazić.

Potrząsam głową. Nie podoba mi się to, co mówi. Nigdy przedtem tak do mnie nie mówiła. Otwieram usta, żeby zapewnić ją, że będzie zdrowa, że się o to modliłam...

— On cię bardzo kocha. Tak jak ja. Przyrzeknij, że mu zaufasz.

Powinnam obiecać. Zrobić wszystko, żeby ją uspokoić. Nie potrafię jednak znaleźć odpowiednich słów.

Aneaxi wzdycha, jej oczy gdzieś umykają. Odzywa się jeszcze słabiutkim głosem:

— Jesteś słońcem mojego życia, Eliso. Moim specjalnym... — Wypuszcza z ręki swoją dłoń.

— Aneaxi?

Już nie odpowiada. Wygląda jak lalka ze szklanymi oczami, zastygłym wyrazem zadowolenia, z ustami lekko rozchylonymi. Wyciągam rękę, delikatnie zamykam opuszkami palców jej powieki i mam nadzieję, że będzie wyglądała jak pogrążona we śnie. Ale bezruch po śmierci w niczym nie przypomina bezruchu we śnie.



Jak przez gęstą mgłę słyszę lorda Hectora, domyślam się, że wykazuje się taktem. Sądzę to po brzmieniu jego głosu, który stał się głębszy i delikatniejszy. Doceniam jego szlachetność.

— Zabierzemy ją do miasta — mówi Ximena przez łązy. — Zasługuje na godny pogrzeb.

Lord Hector schyla aprobująco głowę.

— Wobec tego przygotuję ciało... ją do dalszej drogi.

Patrzę to na niego, to na Ximenę i dopiero teraz uświadamiam sobie, że ona mu odpowiedziała, gdyż ja nie byłam w stanie.

— Nie. — Zaskakuje mnie to słowo, ale nim przestaje dźwięczeć w moich ustach, nabieram pewności, że podejmuję słuszną decyzję. Oni czekają na jakieś wyjaśnienie, ale ja patrzę na bezmiar pustyni. We wschodzącym słońcu drga to pomarańczową, to czerwoną barwą. Kilka tygodni temu Aneaxi powiedziała mi, że jej marzeniem było zobaczyć pustynię. Mówiła, że nie potrafi wyobrazić sobie ziemi pofałdowanej jak fale i rozciągającej się po horyzont

jak morze.

— Pochowamy ją tutaj. W piasku.

Trzeszczy skórzana odzież gwardzisty, gdy pochyła z uznaniem głowę. Opieram się o Ximenę, a ona gładzi mój warkocz.

*

Wieczorem drugiego dnia po tym, jak Bóg zignorował moje modlitwy, docieramy do Brisadulce. Nie widzę miasta, choć jesteśmy już blisko, gdyż mury z piaskowca zlewają się z żółtą płaszczyzną pustyni. Dopiero gdy zostawiamy za sobą pasmo palm kokosowych, wyłania się nagle na ponadtrzykrotną wysokość człowieka. Lord Hector jedzie obok mojego powozu, z którego wyglądam, wyciągając szyję. Z lekkim rozbawieniem wyjaśnia mi, że mury to ochrona przed burzami piaskowymi.

Brisadulce nie jest podobne do żadnego z miast w Orovalle. Wita mnie smród tak przykry, jakby w wygodkach zabrakło trocin. Uliczki są kręte i wąskie. Kupieckie sklepiki i mieszkania piętrzą się jedno nad drugim niczym niezdarne konstrukcje z dziecięcych klocków. Przyglądam się im podejrzliwie. Wszystko jest za wysokie, za ciasne i zbyt ponure. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie chcą mieszkać w takim

miejscu, wiedząc, że parę kroków dalej jest bezkresne niebo i otwarta przestrzeń pustyni.

Nieliczne osoby obrzucają nas obojętnym wzrokiem — kobieta trzepiąca dywan, dwóch chłopców z brudnymi kolanami, którzy czmychają w najbliższy zaułek, wysoki mężczyzna z brodą sprzedający orzechy kokosowe. Jesteśmy dla nich grupą zmęczonych podróżników w powozach ze śladami bitwy z Wyklętymi. Żadnego królewskiego przepychu i niczego godnego uwagi. Jestem zadowolona, ponieważ nie czuję się gotowa, by mi się przyglądano.

Zanurzając się dalej w miasto, pniemy się lekko w górę. Budynki są tutaj wyższe, mają bardziej regularne kształty, a w oknach jaśniejsze zasłony. Tu i tam zachodzące słońce odbija się w oknach z prawdziwego szkła. Widząc te zmiany, spodziewam się, że mój nowy dom będzie bogaty i architektonicznie imponujący.

Wręcz przeciwnie. Wyrastający na wzgórzu w centrum miasta monstrualnie wielki pałac Alejandra to najbrzydsza budowla, jaką kiedykolwiek widziałam. Patchworkowa elewacja z piaskowca, kamieni rzecznych, gipsu i drewna tworzona była przez tysiąclecie przez nadgorliwych budowniczych. Teren wokół pozbawiony roślinności, szary, w zapadającym zmierzchu zlewa się z kamiennymi murami. Całość rozpaczliwie woła o jaśniejsze akcenty. Może Alejandro pozwoli mi zasadzić bugenwille.

Kierując się do stajni, okrążamy pałac alejami oświetlonymi pochodniami. Zatrzymujemy się przy posterunkach straży, słyszę z przodu głosy, lecz nie rozróżniam słów. Być może Alejandro się zdekonspirował. Wyobrażam sobie, że mówi: „Przywiozłem najcudowniejszą, najpiękniejszą kobietę jako narzeczoną”. A słudzy śpieszą przygotować ucztę i kwiaty, i muzykę na powitanie. Śmieję się głośno. Jakże paradne wizje przewijały mi się przez głowę od czasu ślubu.

Podskakuję, bo Ximena uszczypnęła mnie w kolano. W powozie jest ciemno i zupełnie zapomniałam, że ona siedzi naprzeciwko mnie. Oszczędzone mi jednak zostaje tłumaczenie się z wybuchu śmiechu, gdyż w oknie powozu pojawia się głowa Alejandra, podświetlona od tyłu kagankiem.

— Eliso! — woła radośnie niczym mały chłopiec pokazujący ulubioną zabawkę. — Jesteśmy w domu.

Dom. Udaje mi się odpowiedzieć anemicznym uśmiechem.

— Oznajmiłem seneszałowi, że jesteśmy zmęczeni podróżą i nie przewidujemy żadnych powitań. Powiedziałem także, że jesteś moim gościem specjalnym, któremu należą się szczególne względy. — Uśmiech z radosnego zmienia się na przepraszający. — Więc daj mi znać, jeśli tylko coś ci się nie spodoba.

Gość specjalny. To wszystko?

Podaje mi rękę i pomaga wyjść z powozu. Gdy

podnoszę wzrok, żeby podziękować, przytrzymuje moją dłoń.

— Odprowadzę cię do twoich komnat.

Kiwam głową, przełykając ślinę.

Znajdujemy się na piaszczystym dziedzińcu powozowni, stajnie są na lewo. W ciemności niewiele widzę, ale słyszę rzenie koni i czuję woń obornika zmieszana z zapachem świeżo suszonego siana. Na prawo wznosi się w niebo ciężki monolit pałacu. Towarzysze podróży krzątają się, rozładowując powozy i juczne konie. Nie widzę żadnej nieznanym twarzy, co wydaje mi się dziwne. Kiedy papa i Alodia wracają z podróży, wszyscy mieszkańcy pałacu wychodzą ich powitać.

Noc... żadnej służby... boczne wejście... gość specjalny.

Jakikolwiek był tego powód, Alejandro postanowił trzymać w sekrecie to, że jestem jego żoną.

Źle się czuję z dłonią w jego dłoni, bo już nie jestem pewna jego szacunku. Gdy wchodzimy do pałacu i przemieszczamy się ciągiem korytarzy, a następnie po schodach, tętno mi przyśpiesza i odczuwam dławienie w gardle ze zmęczenia, a może i świadomości despektu, jaki mnie spotyka. Ximena idzie za mną. Czytałam *Belleza Guerra* kilkanaście razy, więc wiem, że powinnam skoncentrować się na zapamiętaniu drogi i zapoznawaniu się z otoczeniem. Niestety, nie mogę się skupić na niczym więcej poza upokorzeniem, od

którego płoną mi policzki.

Zatrzymujemy się przed mahoniowymi drzwiami rzeźbionymi w motywy winorośli i kwiatów. Mój mąż otwiera te drzwi i wchodzimy do przestronnej komnaty oświetlonej woskowymi świecami. Nie mam czasu się rozejrzeć, ponieważ Alejandro przyciąga mnie do siebie, chwyta za drugą rękę, obydwie ściska.

— Chciałbym cię prosić o zachowanie tajemnicy z uwagi na mnie — mówi, nie zwracając uwagi na Ximenę, która wchodząc do środka, prawie się o nas ociera. Jak podczas naszej poślubnej nocy jego oczy w blasku świec urzekają cynamonowym brązem. — Nie jestem gotowy ujawnić, że się ożeniłem. Muszę z tą wiadomością poczekać na bardziej odpowiedni czas.

Intensywnie na mnie patrzy, zgłaszając tę prośbę. Jednak nic nie mówię.

— Sądzę również — ciągnie dalej — że będzie lepiej, jeśli na razie nikomu nie powiesz o Boskim Kamieniu.

Nabieram głęboko powietrza, byle tylko nie rozpłakać się przy nim.

— Eliso?

Chociaż bardzo pragnę wyjść mu naprzeciw, by go pozyskać, czuję nagle, że muszę zawalczyć o własną godność. Więc naśladuję, jak mogę najwierniej, wyniosłe spojrzenie i ton Alodii, wypróbowane przez nią na leniwych kucharkach i młodszej siostrzyczce.

— Wciąż ci ufam, Alejandro. Na razie. Bo tak

nakazała mi moja siostra. To teraz jedyny powód. Mam nadzieję, że postarasz się dostarczyć mi następny.

Milknę z wrażenia, bo mnie obejmuje i mocno przytula.

— Dziękuję ci — szepcze mi do ucha. Potem wypuszcza mnie z objęć, ujmuje moją rękę i powoli podnosi ją do ust.

Drżę, czując jego gorące wargi, a kiedy słyszę „dobranoc”, nie potrafię się zdobyć na odwzajemnienie uśmiechu.

Zamyka za sobą drzwi. Zwracam się w stronę łoża, wysokiego i masywnego, z przezroczystym baldachimem i trójstopniowymi schodkami. Ximena już odwinęła narzutę. Patrzy na mnie ze zrozumieniem. Jej uwagi nie umknęło nic z tego, co zaszło między mną i Alejandrem. Dłużej nie potrafię panować nad sobą. Szloch wyrywa mi się z piersi, trzęsę się cała i kapie mi z nosa, chcę iść spać i już nigdy się nie obudzić.

Boski Kamień wwierca mi się w brzuch jak lodowata pięść, ze zgrzytem ociera się o kręgosłup. Nie mogę oddychać, szok zmroził mi płuca. Nade mną sylwetka Alejandra, który sięga po Kamień. „Daj mi go!”, krzyczy. Czmycham jak robak i kulę się pod wezglowiem. Alejandro znowu się zbliża. Ma oczy drapieżnika, czerwonawe, kocie. Takież ruchy i zapach — jakby siedziało w nim zwierzę, przeżyło się pod jego skórą. Nie pamiętam, kiedy chwyciłam za miecz, ale czuję jego zimną i twardą rękojęść. Wbijam ostrze w Alejandra i dźgam raz po raz, aż krew spływa mi po przedramieniu i ręka boli od uderzeń.

Mrugam powiekami. Uśmiecha się do mnie lady Aneaxi.

„Ufaj”, mówi i też sięga po Kamień. Paznokciami rozpruwa mi skórę na brzuchu, drapie nimi wokół klejnotu. Przeszywa mnie piekący ból, czuję go w dole brzucha i w nogach. A ona grzebie głębiej i ciągnie. Mam wrażenie, że przez pępek wyciąga mi kręgosłup. Nie mogę znieść tego bólu. Udaje mi się złapać oddech. Krótki i płytki, ale pozwala mi krzyknąć. Aneaxi cofa się zaskoczona. Zakażone czubki jej palców, opuchnięte i czarne, ociekają szkarłatem. Uśmiecha się. „Musisz się obudzić, moja Eliso”.

— Eliso! Ktoś tu za drzwiami do ciebie.

Otwieram oczy, nade mną pomarańczowokoralowy baldachim, ozdobiony szklanymi paciorkami, na których igra delikatne poranne światło. Ximena szturcha mnie w ramię, słyszę głucho pukanie do drzwi.

— Miałaś jakiś zły sen, słońce moje.

Pod jedwabistym dotykiem pościeli rozluźniam się. Otwieram zaciśnięte szczęki i łapię powietrze. Łóżko jest miłe i ciepłe. Dziewczyna lubi się w takie wtulić, jeżeli nie ma ochoty zmierzyć się z dniem. Pukanie nie ustaje.

Podciągam kołdrę pod brodę. Ximena uśmiecha się współczująco.

— Proszę wejść! — wołam.

Wchodzi dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Jest drobna i piękna, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, pełna wdzięku i gracji nawet w swojej grubo tkanej wełnianej sukni. Kłania się głęboko i w tanecznej niemal pozie zastyga. Czarne błyszczące włosy wymykają się jej spod czepka. W końcu dociera

do mnie, że ona czeka na pozwolenie, by się odezwać.

— Możesz mówić.

Prostuje się i uśmiecha. Jeden z przednich zębów ma lekko krzywy. Dostrzegam, że jej wzrok najpierw przemyka po moich kształtach rysujących się pod kołdrą, dopiero potem zatrzymuje się na mojej twarzy. W czarnych oczach pojawia się błysk, jakby odkryła coś ważnego. Leciutko unosi brwi, ale po chwili przybiera obojętną minę i pochyla głowę.

— Wysłano mnie, żebym pomogła ci, pani, przygotować się do śniadania.

Burczy mi w brzuchu na myśl o świeżo upieczonym chlebie z miodem, cieście figowym i słodkim mleku kokosowym.

— Jak masz na imię?

— Cosmé. — Mówi z charakterystycznym wznoszącym się akcentem ludzi pustyni.

Odrzucam kołdrę i siadam, spuszczać nogi. Podłoga jest daleko w dole, więc zsuwam się po krawędzi łóżka, aż wreszcie czubkami palców nóg dotykam owczej skóry.

— Słuchaj, Cosmé, moja suknia jest w strasznym stanie po podróży. Czy możesz znaleźć dla mnie jakiś kaftan i spódnicę?

Marszczy w zatroskaniu brwi.

— Być może znajdę jakiś gorset, może i suknię...

— I nagle wykrzykuje: — Jesteś z Orovalle, pani!

Ogarnia mnie przerażenie. W gorsecie będę

wyglądała jak nadziewane prosię; czegoś tak krępującego ciało nigdy w życiu nie nosiłam z wyjątkiem dnia mojego załganego ślubu. Czy kobiety w Joya noszą na co dzień gorsety?

— Tak, przybywam z Orovalle. Jestem lady Elisa.
— Dostrzegam aprobowane spojrzenie mojej niani.

Dziewczyna znowu dyga.

— Zobaczę, co uda mi się znaleźć, pani. — Sunie z gracją do drzwi, jakby to ona była księżniczką, a ja przysadzistą służącą w usmolonej sukience.

Gdy wyszła, robimy z Ximeną przegląd naszych pokoi. Są trzy. W mojej sypialni z wielkim łóżem jest jeszcze toaletka, mały balkon wychodzący na wysuszony ogród, a na podłodze dywaniki z owczych skór i wielkie poduchy z frędzlami. Mniejszy pokój dla dwórki wyposażony jest w piętrowe łóżko i szafę. Te dwa pomieszczenia mają wspólne przestronne atrium z garderobą i kwadratowym basenem wyłożonym drobnymi, ręcznie malowanymi kafelkami w niebiesko-żółty wzór. Światło przesączające się przez świetlik nadaje atrium kolor miodowego złota. Nigdzie nie ma ani jednego krzesła. Przypomina mi się, jak Alodia opowiadała, że mieszkańcy Joya d’Arena używają poduch zamiast krzesel.

W mojej sypialni są jeszcze drugie drzwi, ale zamknięte na klucz.

Całość nie jest większa niż moje komnaty w rodzinnym pałacu, natomiast piękniejsze są tkaniny

i intensywniejsze kolory. Podziwiam jedwab osłaniający moje łoże i otulający ściany. Brakuje mi natomiast szmerzących fontann i zielonych pnączy allamandy, która wkradała się do mnie przez okno.

Gdy czekamy na Cosmé, Ximena szczotkuje mi włosy i zaplata warkocze. To moje ulubione chwile poranka, uwielbiam dotyk jej palców i delikatne pociągnięcia za warkocz. Mam czarne, lśniące włosy opadające falami aż do pasa. Ximena czesze mnie zwykle w dwa warkocze, jeden spleta nad drugim, gdyż mam bardzo gęste włosy. Aneaxi wmawiała mi, że mam również piękne oczy i usta. To oczywiście nieprawda; moje usta wyglądają jak tłuste wałki, a oczy są zbyt małe w twarzy z policzkami jak owoce granatu. W każdym razie przyjemnie jest mieć chociaż jedną rzecz do podziwiania.

Cosmé wraca z naręczem sukien. Rozkłada wszystkie na łóżku, a mnie aż dech zapiera, tak są piękne. Tyle kolorów, tyle różnych tkanin i ozdób. Wstawki z naszywanymi koralikami, ozdobione perłami gorsety, najdelikatniejsze i najdrobniejsze koronki. Przeciagam palcami po jednej ze spódnic. Jest w ciepłym koralowym kolorze jak mój baldachim i wykończona eleganckimi frędzelkami. Niestety, wszystkie są na mnie za małe. Dobrze dla tak szczupłej osoby jak Cosmé.

— ...królowa Rosaura była twojego wzrostu, pani — mówi Cosmé. — Pomyślałam więc, że któraś będzie

pasowała.

Oczywiście żadna nie będzie. Na pierwszy rzut oka widać, że są za wąskie, więc patrzę z niedowierzaniem na drobną służącą. Celowo mnie obraziła, lecz nie wiem dlaczego.

Ximena kładzie rękę na moim ramieniu i to pomaga mi powstrzymać się od płaczu. Wbijam wzrok w podłogowe kafelki, w odwinięty róg owczej skóry. Niania szepcze mi do ucha:

— Wczoraj wieczorem uprałam w atrium twój kaftan i spódnicę. Są prawie suche.

Zaskoczona, poczułam wielką ulgę.

— Dziękuję.

*

Cosmé prowadzi nas do ogromnej jadalni z wysokim sufitem. Przez witrażowe okna wpada do niej niebieskawe światło. Inni już tu są, siedzą na poduszkach, przed nimi rozstawiono dymiące półmiski. Zainteresowania nami nie widać. Mężczyźni są starannie ogoleni, a kobiety wciśnięte w gorsety. Wszyscy jaskrawo ubrani, ale miny mają obojętne. Niestety, nie widzę nigdzie mojego męża.

Jakaś kobieta wstaje, żeby nas przywitać, uśmiecha się, ja z wdzięcznością odpowiadam uśmiechem. Sunie

do mnie, rozkładając złociste ramiona. Miodowobrazowe oczy pod czarnymi rzęsami wybijają się na pierwszy plan w jej opalonej twarzy.

— Zapewne to pani jesteś specjalnym gościem Alejandra! — Ma głos miękki i wysoki jak dziewczynka. Tylko delikatne linie wokół oczu, zapowiedź zmarszczek, ujawniają, że musi być starsza ode mnie, być może zbliża się do trzydziestki.

Kiwam głową, niepewna, co powiedzieć. Wołałabym, żeby król był obecny, bo kierowałabym się jego wskazówkami.

— Chodź, siądziesz koło mnie, pani. — Chwyta mnie za ramię, a ja pozwalam, by pociągnęła mnie za sobą. — Jestem hrabianka Ariña. Przedstawię ci tu obecnych, gdy się trochę posilisz.

Siadamy z Ximeną koło niej. Czuję, że wilgotne jeszcze fałdy mojej spódnicy oblepiają mi nogi. Dziwi mnie, że hrabianka nie zapytała o moje imię i że z taką poufałością mówi o moim mężu.

Gdy wybiera z urozmaiconej oferty kulinarnej potrawy dla mnie i nakłada je na drewniany półmisek, próbuję nie dać się przyłapać na nadmiernym zainteresowaniu jedzeniem. Patrzę na ludzi siedzących wokół. Jedzą elegancko i gdy napotykam ich spojrzenia, umykają ze wzrokiem. Sala jest lodowato zimna, szara i przeogromna, za duża na grono nie tak w końcu liczne. Odzywa się we mnie tęsknota za przytulnymi wnętrzami naszego pałacu.

Ariña kładzie mi półmisek na kolanach.

— Proszę, lady Eliso. — A więc zna moje imię. Nikomu jeszcze nie mówiłam, kim jestem, poza Cosmé. Zerkam w stronę przesłoniętych kotarą drzwi, przez które weszłyśmy, ale młodej dziewczyny już nie ma.

Przypuszczam atak na jedzenie. Jest trochę bez smaku, lecz o niebo lepsze niż racje podczas podróży. Odgryzając kęs puszystego ciasta, wspominam moją ulubioną migdałową polewę, która by cudownie kontrastowała z delikatnym jajecznym smakiem tego wypieku. Być może szef kuchni Alejandra da się namówić na jakieś kulinarne eksperymenty ze specjalnościami kuchni Orovalle.

Przypominam sobie o Ximenie. Ariña nie zatroszczyła się o nią. Więc podaję niani swój półmisek, uśmiechając się przepraszająco. Puszczą do mnie oko i chwyta mały kawałek kisa. Ustawiając półmisek między nami, dostrzegam dziwne spojrzenia innych biesiadników. Zastanawiam się, co złego zrobiłam. Być może tutaj nie ma zwyczaju traktowania służby z szacunkiem. A może według nich nie jem dość wytwornie. Wsuwam kolejny kęs ciasta w usta i patrzę na nich wyzywająco.

W tym momencie ich uwaga skupia się na drzwiach. Kotara się rozsuwa i wchodzi lord Hector, a za nim Alejandro. Czuję ulgę na ich widok. Wszyscy wstają i kłaniają się nisko, a ja siedzę dalej jak tuman, nie wiedząc, co zrobić. Czy tu w Joya d'Arena żona

powinna złożyć ukłon mężowi? Czy księżniczka kłania się królowi? Papie składałam ukłon tylko podczas ceremonii.

Dźwigam się z poduszki i natychmiast oblewam rumieńcem, bo moja wilgotna spódnica przylepiła mi się do ud. Alejandro tego nie widzi, za to Ariña z pewnością ma okazję przyjrzeć się moim obfitym pośladkom. Nie mam odwagi szarpnąć za spódnicę i odkleić ją od nóg.

Alejandro kroczy w moim kierunku, uśmiechnięty, jakby cieszył go mój widok. Lśni czystością, pukle czarnych włosów swobodnie opadają mu z czoła na boki. Zachwycają mnie te loki za jego uszami, mocny zarys szczęki okalający w sumie delikatną twarz. Chwyta mnie za ramiona i pochyla się, by pocałować mnie w rozpalony policzek.

— Czy dobrze spałaś, Wasza Wysokość? — pyta głośno.

Wasza Wysokość. Czuję wbite nagle we mnie zbiorowe spojrzenie obecnych, wyrażające milczące zaskoczenie.

Odwraca się do nich twarzą.

— Czy poznałaś już wszystkich, Eliso?

— Tylko hrabiankę Ariñę, która okazała mi wielką życzliwość.

Dostrzegam, że stojący z lewej strony lord Hector zastrzygł wąsami.

Alejandro patrzy ponad moją głowę na piękną

hrabiankę.

— W to nie wątpię — mówi i znowu obrzuca wzrokiem salę. — Chciałbym przedstawić Lucero-Elisę de Riqueza, księżniczkę Orovalle. Z woli swego ojca, króla Hitzedara, będzie naszym gościem przez długi czas.

Chce mi się śmiać z tych wszystkich ludzi, którzy demonstrowali brak zainteresowania mną, a teraz się kłaniają. A więc dostąpiłam zaszczytu bycia księżniczką Orovalle. Przynajmniej tyle. Skoro jednak zostało ujawnione, kim jestem, z pewnością dowiedzą się o Boskim Kamieniu. W Orovalle ujawnia się, kto jest wybrany przez Boga. Być może w Joya d’Arena jest inaczej. Przed wiekami moi przodkowie opuścili Joya i osiedlili się w naszej dolinie. Tylko nieliczni wierni wyznawcy Boga tu pozostali.

Alejandro daje znak, bym usiadła.

— Nie chciałem przeszkadzać w spożywaniu śniadania — przeprasza. Siadam ochoczo, martwiąc się z góry, czy uda mi się zgrabnie oderwać spódnicę od pośladków, gdy ponownie będę wstawać. Alejandro siada między mną i Ariñą. Lord Hector stoi za nim na straży.

Z trudem znoszę nonsesowny strumień kurtuazyjnych pytań podchodzących do mnie osób. „Czy pani dobrze spała?”. „Jak smakowało śniadanie?”. „Proszę dać mi znać, gdyby cokolwiek było potrzebne!”. No i oczywiście pytania o podróż, a na te odpowiadam

monosylabami, nie chcąc opowiadać o tragicznej śmierci Aneaxi czy o bitwie w dżungli. Alejandro poznaje mnie ze wszystkimi, ale ich twarze natychmiast zacierają się w moim umyśle. Zapamiętuję jedynie hrabiego Eduarda, generała Luz-Manuela, no i oczywiście hrabiankę Ariñę. A przecież mam dobrą pamięć do szczegółów i powinnam utrwalić sobie każde imię, jednak nie zależy mi na tym. Jestem zmęczona i czuję się samotna.

Bezwiednie przysuwam się do Alejandra. Byłoby miło, gdyby mnie objął jak wtedy po ataku Wyklętych albo ostatniego wieczoru, kiedy zapewniłam go, że mu ufam. Tłumię to pragnienie. W tym przytłaczającym miejscu tak naprawdę nie jestem jego żoną ani nawet przyjaciółką mimo deklaracji podczas nocy poślubnej.

Chyba wyczuł mój nagły smutek, gdyż widzę pytanie w jego oczach. Zdobywam się na wąty uśmiech. Obserwuje nas siedząca dalej za nim Ariña. Ma jak dziecko nadąsaną minę, jakby się miała rozpłakać. Przyłapuje moje spojrzenie i opuszcza wzrok na półmisek z jedzeniem. Zaintrygowana, przypatruję się jej z boku. W oczach ma urazę, ciężko przełyka ślinę.

— Posmutniałaś? — pyta mnie Alejandro szeptem.

Czy coś łączy jego i Ariñę? — zastanawiam się, lecz nie pytam.

— Eee... dziękuję za przysłanie Cosmé do pomocy w rannej toalecie.

— Cosmé przyszła do ciebie? Nie wysyłałem tej

dziewczyny. — W jego szepcie pobrzmiwa nuta niepokoju. — Nikogo nie wysyłałem. Zamierzałem polecić, by śniadanie przyniesiono ci do pokoju. — Jeszcze bardziej ścisza głos. — Cosmé to dwórka Ariñi.

— Rozumiem. — I naprawdę zacznam rozumieć. Ariña chciała się dowiedzieć czegoś o specjalnym gościu Alejandra. Co zrobi, kiedy się dowie o naszym małżeństwie?

— Mogę Cosmé zakazać usługiwania tobie.

Kiwam głową, lecz po chwili namysłu zmieniam zdanie.

— Nie, nie trzeba. Ale dziękuję. — Ubieram twarz w uśmiech. Nie lękaj się być królową, powiedziała Alodia. Jeszcze nie jestem królową, ale mam zamiar nią być.

Wychylam się przed nim w stronę Ariñi.

— Pani?

— Wasza Wysokość? — Jakiż miły, niewinny głosik.

— Dziękuję za przysłanie mi służki. W tragicznych okolicznościach podczas podróży straciłam damę dworu i usługi Cosmé wielce były przydatne.

Ariña uśmiecha się nieszczerze.

— Miło mi to słyszeć.

— Zastanawiam się, czy mogłabyś, pani, wypożyczyć mi ją na czas mojego pobytu tutaj. Ona znakomicie się sprawuje.

Mina jej lodowacieje, ale tylko na ułamek sekundy,

tak że nie jestem pewna, czy to nie było moje przywidzenie.

— Oczywiście, Wasza Wysokość.

Pochyliła głowę pełna życzliwości.

Belleza Guerra poświęca kilka długich fragmentów sztuce osławiania wrogów przez trzymanie ich blisko siebie. Wiem, że Alodia by mnie pochwaliła. Kończę śniadanie w dobrym nastroju, ciesząc podniebienie smakiem małych kawałków kiszki i pikantnych kiełbasek.



Po śniadaniu lord Hector odciąga mnie na bok. Patrząc na jego ciemne oczy — ciemniejsze niż oczy Alejandra — na surowe rysy, wąsy, naznaczoną bliznami ogorzałą skórę, na twarz mocno zniszczoną jak na tak młodego mężczyznę, mam już w pamięci, że nie jest człowiekiem pozbawionym uczuć. Być może twardym, ale nie bez uczuć.

— Wasza Wysokość, Alejandro polecił mi przekazać ci ostrzeżenie. — Mówi szybko i cicho. — Możesz, pani, chodzić wszędzie w obrębie pałacu i miasta Brisadulce. Zawsze jednak w towarzystwie Ximeny. Bez niej nie byłoby bezpiecznie.

Kiwam głową, lecz szeroko otwieram oczy, bo zdumiewa mnie zarówno samo ostrzeżenie, jak i założenie, że Ximena jest rzeczywiście zdolna mnie obronić.

— A w gruncie rzeczy, Jego Królewska Mość sugeruje, że jeśli nie masz, pani, planów na dzisiaj, ja mógłbym cię oprowadzić po nowym otoczeniu — kontynuuje.

Oczywiście planów nie mam.

— Dziękuję, lordzie Hectorze, to mi odpowiada.

Gdybym była w Orovalle, wybierałabym się o tej porze do pracowni mistrza Geralda. Co będę robiła tutaj całymi dniami?

— A więc za godzinę. — Kłania się i wraca na swoje miejsce obok Alejandra.

A ja wracam do siebie, żeby napisać list.

Droga Alodio!

Bezpiecznie przybyliśmy z Ximeną do Brisadulce. Ze smutkiem donoszę, że Aneaxi zmarła w dżungli na skutek zakażenia.

Potrzebna mi Twoja rada. Alejandro nie życzy sobie, bym została oficjalnie przedstawiona jako jego małżonka. Mówi mi, że nie jest to właściwy moment. Nie życzy sobie również, by się ujawniło, iż noszę Boski Kamień. Czy wiedziałaś, że tak będzie? Czy nadal powinnam mu ufać?

Obszerniejszy list wyślę pocztą, ale nie spodziewam się, że szybko do Ciebie dotrze. Na ten odpowiedz swoją radą pilnie.

Przekaż Papie wyrazy miłości,

Elisa

Robię trzy kopie listu i mam nadzieję, iż Alodia wyczyta z zamaszystych pociągnięć pióra mój gniew i frustrację. „Aneaxi zmarła w dżungli na skutek zakażenia”. Taka bolesna i przerażająca sprawa zredukowana do krótkiej żalösnej frazy, lecz niewiele da się doczepić do nogi gołębia. Trzy malutkie zwitki pergaminu wkładam do osłonek nie dłuższych niż pierwszy paliczek mojego palca wskazującego. Ximena zabiera je — wszystkie trzy mieszczą się we wnętrzu dłoni — i wychodzi z komnaty do gołębnika.

Odmawiam krótką modlitwę w podzięcie, że gołębice mojej siostry przeżyły naszą przeprawę przez dżunglę.

Ogarnia mnie gorzki śmiech. Jak szybko i nieproszona przychodzi modlitwa. Mamy nawyk przypisywania wszystkich dobrych rzeczy woli Boga. Po raz pierwszy, od kiedy pamiętam, zastanawiam się, czy nie powinnam podziękować komuś innemu. Może żołnierzom Alejandra. To my zwyciężyliśmy tamtego dnia, nie Bóg.

Przykładam palce do brzucha. Nawet przez grubą fakturę lnianej spódnicy wyczuwam gładkość diamentu i emanujące z niego ciepło, a więc mam dowód, że Bóg — a może ktoś inny — jest tam. Ktoś umieścił w moim pępku ten klejnot, który wysyła gorące sygnały aprobaty i lodowate ostrzeżenia. I za jego pośrednictwem ktoś odpowiada na moje modlitwy pokrzepieniem.

Ten ktoś jednak wcześniej zignorował modlitwy i zezwolił na śmierć mojej damy dworu. Nie widzę w tym konsekwencji, a jednak umierająca Aneaxi błagała, bym nigdy nie straciła wiary. Ufam wielu ludziom, bo w nich wierzę. Mojej siostrze, Ximenie, Alejandrowi i Bogu również. Od ciebie, Boże, potrzebuję jednak czegoś więcej. Jeżeli kochasz mnie tak, jak mówiła Aneaxi, proszę, wyślij mi jakiś znak, który mnie podtrzyma. Wyślij pilnie. Delikatne ciepło rozkwita w moim brzuchu, rozchodzi się wyżej do piersi i spływa po ramionach, w których czuję przyjemne mrowienie. Tak samo było, gdy modliłam

się do Boga, by zachował Aneaxi przy życiu. Boję się więc, że te sygnały nic nie znaczą.

*

Cosmé pojawia się przed powrotem Ximeny z gołębnika. Robi głęboki ukłon, ale nie uchodzi mojej uwagi jej ponura mina. Pozwalam dziewczynie trwać w męczącej pozycji, póki nie nabieram pewności, że ma dość.

— Witaj, Cosmé.

Prostuje się.

— Wasza Wysokość, życzyłaś sobie, bym przyszła. — Jej krótkie czarne włosy wymykają się spod czepka i kręcą zalotnie, a z szeroko otwartych czarnych oczu bije niewinność. Mam ochotę ją mocno uszczypnąć.

Przełykam ślinę, czując się winna.

— To prawda. Będę potrzebowała dwórki na czas pobytu tutaj, a ty mi się spodobałaś. — Zastanawiam się, czy dla niej brzmi to równie nieprzekonująco jak dla mnie. — Ariña okazała szlachetność i cię wypożyczyła.

— Co miałabym dla pani robić?

Tego jeszcze nie przemyślałam. A przecież powinna być bardzo zajęta. Żeby nie miała czasu na szpiegowanie i plotki.

— Hm... — Rozglądam się po komnacie, licząc na

jakiś pomysł. Jak wszystkie inne pomieszczenia w tym monstrualnym pałacu wydaje się większa niż jest, gdyż prawie nie ma w niej sprzętów. Pusta, przestronna, nieprzytulna. — Będę potrzebowała krzesła. Dwóch krzeseł. Jeżeli żadnego nie znajdziesz, ufam, że uda ci się je zamówić. Chcę także mieć rośliny. Duże, w donicach. Żywą zielenią. Dwie na balkon, przynajmniej dwie do sypialni i jedną do pokoju Ximeny.

Cosmé gapi się na mnie, jakbym połknęła skorpiona. Staram się nie okazać triumfu. Dostała zadanie, które w tym surowym, pustym miejscu zajmie jej przynajmniej jeden dzień, a do tego będzie miała o czym nieszkodliwie paplać.

Jeszcze składam sobie w duchu gratulacje, gdy wchodzi Ximena.

— Ciesz się, że masz uśmiech na twarzy — mówi.

Nie chcę rozmawiać o sprawach, które mój uśmiech gasiły.

— Wypuściłaś gołębie?

Kiwa głową.

— Treser okazał się ciekawski. Mądrze zrobiłaś, pisząc list w *lingua classica* — chwali mnie. Ximena przepisywała święte teksty w tym języku przez lata i zna go pewnie równie dobrze, a może nawet lepiej niż ja.

— Kiedy przyjdzie lord Hector — mówię jakby nigdy nic — zapytamy, czy zaprowadzi nas do klasztoru.

W oczach niani budzi się tęsknota.

— Bardzo bym chciała — mówi.

Nie czekamy długo. W drzwiach ukazuje się lord Hector w lekkim ryszunku — skóra zamiast stali, brązowa oponce zamiast szkarłatnego płaszcza gwardii królewskiej. Kłania się w pas.

— Gotowa, Wasza Wysokość? — Podaje mi ramię i wychodzimy na korytarz. Ximena idzie za nami.

Lord Hector zaskakuje mnie znajomością zakamarków pałacu oraz jego historii. Oprowadza nas po zbrojowni, sali recepcyjnej i wielkiej sali balowej, po bibliotece. Poznawaj swoje otoczenie — to nauka wyniesiona z *Belleza Guerra*. Skupiam się więc na tym, co lord mówi, powtarzam w pamięci jego słowa i określenia, utrwalam odpowiadające im obrazy, jak uczył mnie mistrz Geraldo. Obiecuję sobie, że jutro przejdę tę samą trasę i postaram się zapamiętać wszystko, czego się dowiedziałam. To nie będzie nużące. Entuzjazm lorda Hectora jest zaraźliwy.

W sali portretowej wskazuje na ojca króla Alejandra. To niemal kopia mojego męża o bardziej krępej sylwetce i siwych włosach. Król Nicolao, jak opowiada nam gwardzista, odparł atak Inviernych, niosąc ocalenie górskim wioskom na wschód od pustyni. Zginął podczas bitwy od przypadkowej strzały.

Wspomnienie o Nicolao, a może o ostatniej wojnie z Inviernymi sprawia, że lord Hector popada w milczenie.

— Czy służyłeś u ojca króla Alejandra?

Kiwa głową ze wzrokiem utkwionym w portrecie.

— Pośrednio. Jako dwunastoletni chłopak zostałem paziem księcia Alejandra. Często towarzyszyliśmy królowi. Był dobrym człowiekiem. — Słyszę ciepłą nutę, ale nie znam go na tyle, żeby mieć pewność, czy świadczy ona o żalu po królu. Coś mnie jednak prowokuje do zadania pytania:

— A jaki jest Alejandro?

Odrywa wreszcie wzrok od twarzy króla Nicolao, żeby spojrzeć na mnie.

— Jego Wysokość... on nie jest podobny do swojego ojca. Ale także jest dobrym człowiekiem.

— W bardzo młodym wieku zostałeś królewskim gwardzistą.

— Wychowywałem się tu w pałacu i Alejandro traktował mnie jak młodszego brata. Kiedy zwolniło się miejsce w gwardii, ucieszył się, że może mnie włączyć w jej poczet.

Trudno mi pozostać chłodną pod jego wzrokiem. Lord Hector mnie onieśmiela, gdy stoi obok mnie poważny i przejęty, i sprawia wrażenie, że mógłby mi powiedzieć znacznie więcej. Wygląda na kogoś o wielkim umyśle, w którym jedna myśl goni drugą, a on skrywa to pod zewnętrznym opanowaniem.

Spodobałby się mistrzowi Geraldowi.

Widzę, że unosi brwi, i uświadamiam sobie, że się uśmiecham.

— Przypominasz mi kogoś — wyjaśniam.

Gdy i jemu uśmiech rozjaśnia twarz, znikają z niej lata żołnierskiego trudu i dociera do mnie, że jest dużo młodszy, niż mi się wydawało. Rzucają mi się w oczy jego zęby, bielutkie pod ciemnymi wąsami, a tak rzadko dają się widzieć.

— Mam nadzieję, że to osoba, której towarzystwo lubisz, pani.

Te słowa jakoś nie pasują do jego powściągliwości.

— Oczywiście — zapewniam.

Od razu odnoszę wrażenie, że powraca mu kontrola i poczuwszy się niezręcznie, narzuca sobie dystans.

Pokazuje na portret wiszący obok Nicolao. Kobieta o jedwabistej cerze i obsydianowych włosach. Ma na sobie kremową suknię i palcami delikatnej, szczupłej dłoni dotyka cielistych pereł naszyjnika. Subtelną gracją i łagodną powagą, które ze ślicznej kobiety czynią prawdziwą piękność, przypomina mi moją siostrę.

— To królowa Rosaura, pierwsza żona Alejandra i matka księcia Rosaria.

Ściska mi się żołądek, a policzki robią się gorące. Do tego momentu nie docierało do mnie, że to praktycznie niemożliwe, żeby Alejandro był w stanie mnie pokochać.

— Wasza Wysokość? — pyta gwardzista. — Czy źle się czujesz, pani?

Przykładam rękę do żołądka.

— Czy słyszałeś burczenie? — Gdy Ximena czujnie łapie mój wzrok, reaguję nerwowym chichotem.

Życzyłabym sobie, żeby nie znała mnie aż tak dobrze.

— Lordzie Hectorze, a może w następnej kolejności zaprowadzisz nas do kuchni?

Wyciągam do niego rękę, by mnie prowadził. To sztuczka Alodii, a stosowała ją, ilekroć chciała wybrnąć z trudnej sytuacji i pokryć zakłopotanie. Obserwowałam ją tysiąc razy.

Bierze mnie pod rękę, ale zanim odwracamy się, żeby wyjść, zauważam szczelinę w jego samokontroli — linie wokół jego oczu i ust układają się w wyraz smutku. Nie trwa to dłużej niż mrugnięcie oka.

*

Mistrz kuchni jest zachwycony, że może mnie uraczyć gorącymi bułeczkami kokosowymi z miodem. Gdy docieramy do klasztoru, czuję fatalne skutki przejedzenia i zmęczenie w nogach.

Klasztor przylega bez wdzięku do północnego skrzydła pałacu Alejandra. W jednym momencie idziemy pod wysokim sklepieniem długimi korytarzami z posadzką z piaskowca i niebiesko-złotą mozaiką na ścianach, taką jak w moim atrium, by za chwilę znaleźć się pod niskim stropem, patrzeć na surowe ściany i stąpać po glinianej podłodze. Jakbyśmy z dworu w Joya d’Arena przenieśli się do pałacowej hacjendy

mojego papy. Czuję ukłucie tęsknoty za domem.

Idzie do nas, kuśtykając, drobny, wiekowy mężczyzna w habicie z niebarwionego sukna, a przez twarz o ostrych rysach przebiega mu drzenie. Zaskakuje mnie Ximena.

— Ojciec Nicandro?

On klaszcze w dłonie i uśmiecha się szeroko.

— Lady Ximena! Dostałem wiadomość od ojca Donatzinego, że przybędziesz tutaj. — Wita ją uściskiem, podczas gdy ja i lord Hector stajemy na uboczu, nie przeszkadzając.

Gdy gawędzą, zamykam oczy i chłonę budzący emocje zapach róż i modlitewnych świec. Już wiem, że będę tu często wracać, żeby się pomodlić albo po prostu posiedzieć w milczeniu i samotności. Boski Kamień promieniuje aprobująco delikatnym ciepłem.

Ojciec Nicandro przerywa nagle w pół zdania. Odwraca głowę, żeby mi się przyjrzeć.

— Donatzine nic mi nie powiedział — szepcze. — Ximeno, jesteś strażniczką tej, co nosi Boski Kamień!

Lord Hector podchodzi bliżej, jakby chciał mnie osłaniać, a w oczach Ximeny zapala się czujność. Moje serce zaczyna bić szybciej. Książd wyczuł żyjący we mnie klejnot. I to nie spodobało się mojej niani.

— Czy jesteś pewna, że przywiezienie jej tutaj było rozsądne? — pyta Nicandro.

Ja jestem tutaj! — chce mi się zawołać. Nie jestem małym dzieckiem, o którym się decyduje, tak jak to

robili papa i Alodia.

Ximena nie od razu odpowiada. Widzę, że zwięziły jej się oczy i zastanawia się przez chwilę.

— Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. — Mówi cicho, żeby głos się nie niósł daleko. — W Orovalle osoba nosząca Boski Kamień jest znana i obserwowana. Tutaj będzie bezpieczniejsza, gdzie nieliczni podążają szlakiem Boga.

Bezpieczniejsza. Czy dlatego wydawali mnie za mąż w takim pośpiechu? Jestem zagrożona z powodu kamienia w pępku? Przemyka mi przez głowę obraz wymalowanego dzikusa, który legł martwy w chaszczach dżungli, ponieważ rozpoznał, co noszę w pępku. Zerkam na Ximenę i z ulgą stwierdzam, że nie ma spinki w długich siwych włosach, bo są splecione w warkocz.

Z pewnością jednak niania zna różne sposoby zabijania.

Wyrywam się do przodu i odgradzam swoim ciałem Ximenę od księdza. Choć raz jestem zadowolona ze swojego obwodu w talii.

— Ojciec. — Rozciągam usta w uśmiechu, ale nie potrafię tchnąć radości w oczy. — Jestem Elisa. Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać.

Nie jestem wysoka, ale przerastam go o pół głowy. Uśmiecha się do mnie, ucieszony.

— Witaj w klasztorze w Brisadulce. Najstarszym ze wszystkich, jak wiesz. Zbudowany zaledwie kilka lat po

tym, jak Bóg prawicą swoją przenosił naszych przodków z umierającego świata do ustanowionego Jego wolą.

Kiwam głową.

— Słyszałam, że masz, ojcze, najstarszy egzemplarz *Belleza Guerra*.

— Tak, to prawda. Ma kilka wieków. Niestety, welin już nie wytrzymuje próby czasu.

Czuję, że stojąca za moimi plecami Ximena obserwuje nas czujnie, ale to ignoruję.

— Bardzo chciałabym porównać ten egzemplarz z moim własnym. Jest kilka miejsc, w których tekst, jak się obawiam, mógł zostać zmieniony.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, a mięśnie twarzy aż mu drgają z przejęcia. Nabieram przekonania, że znalazłam tu przyjaciela.

— Proszę, przychodź, ilekroć zechcesz. Rozumiem, że jesteś wyszkolona w *lingua classica*.

— To najpiękniejszy język świata.

Nie mogłam znaleźć właściwszych słów. Poklepawszy mnie po plecach, Nicandro zabiera mnie na wyprawę do dalszych pomieszczeń klasztoru i przylegającej do niego biblioteki ze zbiorami świętych ksiąg. Ximena i lord Hector towarzyszą nam w milczeniu.

Później lord Hector odprowadza mnie i Ximenę do naszych komnat. Dziękujemy mu, żegnamy się z nim i padam na łóżko. Od lat tak się nie nachodziłam.

Ximena szykuje kąpiel, gdy odpoczywam. Wietrzyk porusza zasłonami balkonowymi i szeleści w pierzastych liściach palmy. Palma! Siadam na łóżku i rozglądam się po pokoju. Obok tajemniczych, stale zamkniętych drzwi stoją dwa krzesła — proste, ale solidne. Pod przeciwległą ścianą rośliny w donicach: jeszcze jedna palma, drzewko szczęścia z liśćmi wielkości monet, mały krzak róży z delikatnymi różowymi pączkami. Kładę się z powrotem na plecy, uśmiecham do siebie, ani trochę nie jest mi niemiła perspektywa podziękowania Cosmé.

Niania przywołuje mnie do atrium. Wciąż nie jestem wolna od lęku o mojego nowego przyjaciela, ojca Nicandra, więc rozbierając się, unikam jej wzroku. Trzyma mnie za ramię, gdy wchodzę do kąpieli po śliskich kafelkach. Rozkosznie jest zanurzyć piekące stopy w wodzie, która na dodatek lekko pachnie goździkami.

Gdy siedzę już w basenie, Ximena zaczyna masować mi plecy, ale ją powstrzymuję.

— Ximeno?

— Tak, słońce moje.

— Czy ty... — Niełatwo o to zapytać i słowa niczym kamienie więzną mi w gardle. — Pytam, czy masz zamiar zabić ojca Nicandra?

Zachłysnęła się, jakby zbierało jej się na szloch.

— Och, Eliso. — Czuję jej wargi we włosach. Pozostają tak przyciśnięte przez jakiś czas. — Nie, nie mam takiego zamiaru.

Wzdycham z ulgą, zamykam oczy, wreszcie mogę się zrelaksować.

— Dziękuję — mówię.



Przez otwarty balkon wlatuje wiaterek, przygasają płomienie świec i słowa na kartach *Scriptura Sancta* stają się zamazane. Zamierzam zgasić świece, gdy ktoś puka do tajemniczych drzwi.

Ximena wpada z atrium do mojego pokoju, ma potargane włosy i zaniepokojoną minę. Wzruszam ramionami na jej nieme pytanie. Pukanie odzywa się powtórnie.

— Wejść! — wołam, a niania podbiega i staje przy moim łóżu.

Drzwi otwierają się i cisza. Stoi w nich Alejandro. Wyprostowany, wysoki, cudowny.

— Witam, Lucero-Eliso. Ximeno.

Z Ximeny opada napięcie, elegancko dyga.

— Wasza Królewska Mość. — Prostuje się i uśmiecha. — Jeśli wolno, wrócę z powrotem do łóżka.

Król i ja nie byliśmy sami ze sobą od czasu nocy poślubnej.

— Jak znajdujesz swój pierwszy dzień w Brisadulce? — Opiera się o ścianę, odległość między nami jest rozczarowująca, choć bezpieczna.

— Był wspaniały. — Szukam pomysłu na

błyskotliwą uwagę. — Twój kucharz piecze wspaniałe bułeczki kokosowe z miodem.

Widząc, że unosi brwi, zastanawiam się, czy nie naciągnąć kołdry na głowę. Przed oczami pojawiają mi się delikatne rysy i długa szyja królowej Rosaury. Wątpię, żeby spędzała wiele czasu w kuchni.

Tymczasem Alejandro uśmiecha się szczerze, bez cienia lekceważenia, komplement przypadł mu do serca.

— Żałuję, iż osobiście nie mogłem oprowadzić cię po pałacu.

Ja też żałuję, bo miałabym pretekst, żeby przez cały dzień wisieć u jego ramienia.

— Lord Hector był miłym towarzyszem.

— Lord Hector to wierny przyjaciel — mówi z namysłem. — Był jeszcze chłopcem, kiedy został moim paziem. W miarę upływu lat ufałem mu coraz bardziej.

Kiwam głową, zastanawiając się, co chce mi przekazać. Nie znam Alejandra długo, ale już wiem, że nie gustuje w czczych rozmowach. Odzywam się, by nie zaległo milczenie.

— Z najwyższym respektem wypowiada się o tobie. — Nie odpowiada to w pełni prawdzie, ale wydaje mi się na miejscu.

— Z respektem mówi także o tobie.

— Tak? — Mam nadzieję, że w przyćmionym blasku świateł nie widać mojego rumieńca.

— Naprawdę. Uważa, że masz w sobie twardość

stali i rozsądek osoby starszej, niż jesteś. Nie powiedział mi wiele więcej, co jest dziwne, gdyż jak wspominałem, jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni. — Jego niepokoi, że Hector może coś przed nim ukrywać, mnie zaś, że Alejandro przywiązuje taką wagę do moich lat.

— Nie mam pojęcia, co miał na myśli — pozwalałam sobie skłamać. Bo lord Hector dobrze widział, w jaki sposób zainterweniowałam, by ojca Nicandra nie spotkało coś złego. Nie wiem, dlaczego królowi nie opisał tego incydentu, ale nie mam nic przeciwko temu, żeby ten nieszkodliwy sekret pozostał między mną a lordem.

Alejandro umyka wzrokiem i wydaje mi się jakiś bezbronny i ujmujący przy tym, że ze wzruszenia zacierają mi się całkiem wydarzenia dnia. Chciałabym, żeby usiadł koło mnie na łóżku. Imaginuję sobie, że jego policzek dotyka mojego i moje palce wsuwają się w jego włosy.

— Potrzebuję twojej pomocy, Eliso — mówi wreszcie.

— Mojej pomocy?

— Proszę o nią. Wyprawiam się jutro do Puerto Verde, żeby odwiedzić matkę i zabrać syna. Był pod jej opieką przez ostatnie trzy lata.

— Ach, tak. — Spuszczam wzrok, żeby ukryć rozczarowanie. — Jak długo cię nie będzie?

— Miesiąc.

Cały miesiąc! Jestem dumna z tego, że potrafię

zapanować nad głosem.

— A w jaki sposób miałabym pomóc?

Chwyta za jedno z moich nowych krzeseł, robi zamaszty ruch nogą i siada na nim okrakiem. Rękami obejmuje oparcie, przekrzywia głowę.

— Jesteś nowym gościem w Brisadulce i pochodzisz z królewskiej rodziny. Pod moją nieobecność niektórzy będą starali się zbliżyć do ciebie, żeby cię wy badać. Powiedzmy, zorientować się, czy z ich punktu widzenia możesz być użyteczna i ważna.

Potakuję głową. Zdaję sobie sprawę z istnienia tych subtelnych podchodów na dworze, dyskretnego wywierania nacisków w walce o znaczenie. Obserwowałam to przez lata, reagowałam demonstracyjnym brakiem zainteresowania. Tam u nas Juana-Alodia jest wirtuozem tej gry i cała *nobleza d'oro* w Orovalle tańczy, jak ona im zagra.

— Niezwykle możesz mi pomóc, Eliso — kontynuuje Alejandro. — Wystarczy, żebyś zwracała na wszystko baczną uwagę. Rób zapiski, jeżeli musisz. Notuj, kto szuka twoich względów, co proponuje, wszystkie ważne w twojej ocenie rzeczy. A kiedy wróćę...

Chce mieć szpiega we własnym pałacu. Być może niepokoi się, że są tu tacy, którzy przygotowują się do wystąpienia przeciwko niemu. A być może, jak Alodia, po prostu używa każdego dostępnego pionka do prowadzenia swojej gry. Oni stanowiliby dobraną parę,

mój mąż i moja siostra.

Moje milczenie bierze za wahanie. Podnosi się z krzesła z determinacją w oczach i podchodzi do łóżka.

— Proszę, Eliso — mówi szeptem.

Serce mi wali i dławi mnie w gardle, gdy bierze moją rękę. Wydaje się sflaczała w uścisku jego mocnych palców. Nachyla się do mnie, wyczuwam korzenny męski zapach.

— Właśnie o tym rozmawialiśmy — szepcze. — Tamtej nocy. Kiedy wspomniałem, że potrzebuję przyjaciela.

To było podczas naszej nocy poślubnej. Dlaczego jej tak nie nazywa? Mimo to kiwam głową. Zgodziłabym się na wszystko, gdy jego usta są tak blisko moich.

Odchyła się nagle do tyłu, opada z niego napięcie, pojawia się beztroski chłopięcy uśmiech. Mój umysł się rozjaśnia, gdy przestaję czuć jego fizyczną bliskość.

— Te drzwi, którymi wszedłeś. Dokąd prowadzą?

Jeżeli zaskoczyłam go nagłą zmianą tematu, nie daje tego po sobie poznać.

— Do moich komnat. Sąsiadują z twoimi, oczywiście.

Oczywiście. Moje pokoje należały przedtem do królowej Rosaury. Przynajmniej na taki gest w stosunku do mnie się zdobył.

— Więc przywieziesz ze sobą księcia, tak?

— O tak! To bystry chłopiec. Jest już świetnym

jeźdźcem. Bardzo chciałbym, żebyś go poznała.

— Też bym chciała — mówię. Lecz to nieprawda. Do roli matki czuję się jeszcze mniej gotowa niż do roli żony.

Odwraca się, by wyjść.

W drzwiach, które łączą nasze komnaty, patrzy przez ramię do tyłu.

— Lord Hector miał rację. Jest w tobie twardość stali.

*

Dni po wyjeździe Alejandra bardzo się dłużą. Chociaż zgodziłam się być jego oczami i uszami, stronię na ile to możliwe od intryganckiego grona dworaków zbierającego się w wielkiej jadalni, preferując samotne posiłki w kuchni pod okiem nadwornego kucharza. Ten dobry człowiek, szczupły, tu i tam obsypany mąką, wydaje się ukontentowany moim towarzystwem.

Popołudniami szukam towarzystwa ojca Nicandra. Razem ślęczymy nad *Belleza Guerra*, wynajdując nieścisłości w kopii będącej w moim posiadaniu. Jego pracownia o surowych ścianach, zarzucona chaotycznym zbiorem zakurzonych zwojów i welinowych manuskryptów, przypomina studio mistrza

Geralda. Pachnie świecami, przeszłością i wyschniętym inkaustem. Wystarczy, bym zamknęła oczy, i już wyobrażam sobie, że jestem w Orovalle, i to w miejscu, gdzie nigdy nie czułam się bezużyteczna.

W mojej głowie kłębią się pytania dotyczące Boskiego Kamienia i jego historii, ciekawi mnie, co Nicandro miał na myśli, nazywając Ximenę moją strażniczką. Boję się pytać, żeby niania, która ciągle kręci się blisko, chroniąc mnie chyba przede mną samą, nie zmieniła zdania w sprawie księdza. Któregoś dnia wstaję rano i wymykam się z naszych pomieszczeń, chcąc się z nim spotkać, lecz, niestety, go nie zastaję. Kiedy wracam, Ximena gani mnie za samotną wyprawę bez ochrony, a strach w jej oczach, niekłamany, prawdziwy, wywołuje lęk także u mnie.

Cosmé jest na każde skinienie. Chociaż nikt nie byłby w stanie zastąpić mi Aneaxi, muszę przyznać, że tak sprawnej służebnej jeszcze nie miałam. Często jej to mówię, odczuwając przewrotną przyjemność, bo cieszą ją moje pochwały, choć mną pogardza. O rażeniu „ogniem dobroci” czytałam w *Scriptura Sancta*.

Któregoś dnia Cosmé czyści kominek u mnie, ręce ma w sadzy po łokcie, a ja namawiam ją, by przeniosła swoje rzeczy do pokoju Ximeny.

— U niej jest dużo miejsca — zapewniam. — Wiem przecież, że pomieszczenia dla służby są zatłoczone — dodaję.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — odpowiada, nie

podnosząc wzroku. — Mam teraz do swojej dyspozycji komnaty mojej pani.

— Tak? — Uświadamiam sobie, że hrabianki nie widziałam od wielu dni, może nawet tygodni.

— Pojechała z królem do Puerto Verde.

Mówiła to lekko, między wygarnianiem jednej szufelki a drugiej, ale każde jej słowo odczułam jak uderzenie pięścią w brzuch.

— Czy hrabianka często towarzyszy Jego Królewskiej Mości? — pytam z napięciem i drżeniem w głosie.

Cosmé prostuje się, ale kubek z popiołem ciąży jej w rękę. Śliczne czołko szpecą szaroczarne smugi.

— Wyjeżdżają razem bardzo często. Towarzyszy mu nie rzadziej niż lord Hector. Czy życzysz sobie, pani, bym rozpałała ogień w oczyszczonym kominku?

— Nie, dziękuję — mówię szeptem. Ma mi zależeć na ciepłe w tej komnacie? Ledwie oddycham, jakby na szyi zaciskała mi się gorąca obręcz.

Tej nocy, gdy Ximena poszła spać, wymykam się do kuchni. Kucharz już rozpoczął przygotowania do wypieku chleba na następny dzień. Widząc, że powstrzymuję łzy, nic nie mówi, wskazuje mi tylko miejsce koło okrągłego pieca i podaje półmisek serów ozdobiony kawałkami papryki. Różnorodne smaki rozkosznie drażnią mi język. Napycham się aż do bólu żołądka, aż przestaję wyczuwać ostrość papryki. Popijam to wszystko dwoma szklankami wina i lekko

chwiejnym krokiem wracam do siebie.

Następnego dnia z zamiarem złożenia mi wizyty przychodzi generał Luz-Manuel, którego widywałam jedynie z daleka, pochylonego nad półmiskami z jedzeniem. Głowa mi pęka, bo się nie wyspałam, więc czuję się usprawiedliwiona, że go nie przyjmuję, tłumacząc się złym samopoczuciem. Wiem, że sprawiam zawód Alejandrowi, odprawiając członka jego dworu. Jestem żoną króla niespełna miesiąc, a już się nie sprawdzam. Jednak trudno mi o wyrzuty sumienia.

Mój mąż ma kochankę. Mam co do tego pewność. „Kochanka” to dla mnie słowo nieprzyzwoite, lecz niezbyt poważne. Jestem wciąż naiwnym dzieckiem, całkowicie zagubionym.

Nie wychodzę z łóżka przez cały dzień. Na baldachimie nade mną pojawia się i znika twarz hrabianki — koral lekko zarumienionych policzków, delikatna cera. Ona ma tę część mojego męża, której nie zaczęłam nawet poznawać i rozumieć. Usiłuję odgonić obraz ich dwojga razem, lecz jest zbyt natrętny. I nagle, bez świadomej intencji, wyobrażam sobie gorące ręce Alejandra na mojej skórze. To mnie podnieca i przeraża zarazem, tak że częściowo czuję zadowolenie, że być może nigdy tego nie zaznam. Nie wiem, czy zniosłabym, gdyby patrzył na mnie naga.

Późnym popołudniem paź przynosi przesyłkę z gołębnika. Ximena wyrywa mu ją z ręki i odprawia go, nim zdążył otworzyć usta. Łamie pieczęć na osłonce

i podaje mi kartkę. Rozpoznaję pośpieszne pismo Alodii.

Najdroższa Eliso!

Kondolencje z powodu śmierci Aneaxi.

Twój status w Joya d’Arena nie był przedmiotem negocjacji. On zgodził się poślubić Cię na oczach możliwych w Orovalle i zabierając do swojego kraju, zapewnić Ci bezpieczeństwo. Papa zobowiązał się do pomocy wojskowej w związku z groźącą wojną z Inviernymi.

Eliso, siostrzyczko, jeżeli chcesz być w kraju Joya prawdziwą królową, a nie tylko tytułarną, potrafisz to sprawić. Musisz jednak sama decydować o sprawach związanych z Twoją tam pozycją. Nie mogę Ci służyć radą.

Mocno wierzę w to, że masz w sobie potencjał, by zostać wielką królową.

Papa Cię ściska,

Alodia

Czytam ten list wielokrotnie i mam przed oczami zirytowaną twarz siostry. Kiedy byłyśmy dziećmi, prychała pogardliwie i wywracała oczami. Lucero-Elisa sprzed miesiąca uznałaby ten list za odpowiednik tamtej dziecięcej pogardy, danie upustu rozdrażnieniu, że oto znowu nie potrafię sprostać oczekiwaniom jej i papy. Teraz jednak wyławiam prawdziwy sens jej słów. Alodia uważa, że potrafię podjąć grę i dobrze ją poprowadzić, jeżeli na to się zdecyduję.

Ona uważa, że mogłabym być wielką królową.

Podniecające wyzwanie. Zaczynam się zastanawiać, nie bez oporów, czy ona nie ma racji. Nigdy nie

pociągała mnie władza. Rządzenie jest nużące i wyczerpujące, ale mimo wszystko lepsze niż poczucie bezużyteczności. I być może to jedyna droga, żeby pozyskać względy Alejandra, stać się dla niego osobą ważną. Bawię się tym pomysłem przez wiele godzin, zadając sobie pytanie, co Alodia zrobiłaby na moim miejscu, i przypominając sobie odpowiednie fragmenty *Belleza Guerra*.

Sporządzam w myśli listę atutów. Alejandro przydzielił mi apartament królowej. Dzień po moim przybyciu jego kochanka wysłała swoją służebną, żeby mnie szpiegowała. Nie znam jej intencji, ale to fakt nie bez znaczenia. Mam przy sobie Ximenę i chociaż nie do końca rozumiem jej postępowanie, wiem, że jest w stosunku do mnie absolutnie lojalna. Zdobyłam przyjaciela w osobie przełożonego klasztoru w Brisadulce. Jestem księżniczką Orovalle, a tym samym przewyższam tutaj rangą wszystkich poza Alejandrem i jego nieletnim synem.

Największym atutem jest jednak to, że noszę Boski Kamień. To, jak mi mówiono, jest największym dla człowieka zaszczytem, a Bóg wyróżnia tak kogoś raz na sto lat. To znak, że przeznaczył mnie do rzeczy wielkich.

Mam jednak kłopot z pewnymi faktami, których znaczenia nie rozumiem. Ostrzeżenie Alodii, żebym nikomu nie ufała. Egzekucja na dzikusie, który odkrył, że mam Boski Kamień. Pełen rewerencji stosunek Nicandra do Ximeny jako mojej strażniczki. A teraz

wzmianka w liście od Alodii o zapewnianiu mi bezpieczeństwa.

Belleza Guerra ostrzega przed władzą, nazywając ją kamieniem, z którego krzesze się iskry strachu. Jakie właściwości ma mój Boski Kamień, że wyzwala tyle lęków?

Przykładam palce do jego gładkiej powierzchni. Nawet przez koszulę wyczuwam, że pulsuje delikatnym ciepłem. Jeżeli zdecyduję się na podjęcie tej przerażającej gry, muszę po pierwsze dowiedzieć się, co tak naprawdę oznacza to, że żyje we mnie ów klejnot? I żeby tę wiedzę zdobyć, muszę jakoś się wymknąć Ximenie.

Zamykam oczy i zaczynam się modlić. Pytam Boga, czy umieścił go we mnie, żeby pomóc mi zostać królową? Nie jestem pewna, jaką odpowiedź chciałabym otrzymać.

Gorąca ręka dotyka mojego czoła, więc unoszę powieki. To Ximena patrzy na mnie, opiekuńczo się uśmiechając.

— Widzę, że czujesz się lepiej — mówi. — Powróciły ci rumieńce.

— Dużo lepiej. — Uśmiecham się do niej.

— Czy chcesz już coś zjeść? Mogę ci przynieść jakieś ciasto, schłodzony sok?

— Nie, dziękuję. — W głowie mam natłok myśli, bo chyba wpadłam na pomysł, jak porozmawiać z ojcem Nicandrem bez świadków. — Nie jestem głodna —

zapewniam.



Scriptura Sancta uczy, że wszyscy ludzie są równi wobec Boga, więc raz na tydzień służba siada ramię w ramię z kupcami i szlachtą. Gdy po raz pierwszy byliśmy z Ximeną na cotygodniowym nabożeństwie odprawianym w klasztorze w Brisadulce, siedziałyśmy na twardych ławach wśród niewielu osób. Każdego następnego tygodnia przybywało uczestników, a dzisiaj nie ma wolnego miejsca siedzącego i powietrze nagrzane jest od ciał.

Podejrzewam, że to ja powoduję wzrost gorliwości religijnej. Każdy chce rzucić okiem na samotną księżniczkę o niejasnym statusie, tęgą dziewczynę odzianą z cudzoziemska, która odwiedza często biblioteki ze świętymi księgami i gorąco się modli. Jestem zadowolona, że jest tłok. W takim tłumie łatwiej mi będzie przekazać karteczkę ojcu Nicandrowi niezauważalnie dla czujnego oka mojej strażniczki Ximeny.

Pochylam głowę, gdy orszak księży prowadzony przez ojca Nicandra intonuje hymn *Glorifica*. W *lingua plebeya* gubi się liryczne piękno oryginału. Mimo to

bogactwo słów rozpala mi serce, a Boski Kamień
odpowiada na nasz śpiew radosnym ciepłem.

*Wielbi dusza moja Boga; niech się raduje w Zbawicielu moim
Bo łaskaw jest dla pokornej służebnicy swojej
I odtąd będą mnie błogosławić pokolenia
Gdyż podniósł mnie z umierającego świata
O tak, sprawiedliwą prawicą swą mnie podniósł
Swój lud ocalił, dając mu nowe bujne życie
Więc wielbi dusza moja Boga, niech się raduje w Zbawicielu moim.*

Na ołtarzu płoną modlitewne świece. W ich blasku ojciec Nicandro wznosi w górę pojedynczą różę. To specjalna odmiana wybrana ze względu na swoją krwistoczerwoną, połyskliwą barwę i niezwykle ostre kolce — jestem w stanie je dostrzec nawet z miejsca, gdzie siedzę. Ksiądz śpiewa na cześć tego doskonałego symbolu wiary: piękna i cierpienia zarazem, a my jak echo odpowiadamy ostatnią frazą.

Po hymnie dziękczynnym ojciec Nicandro zaprasza tych, którzy chcą błogosławieństwa, by wystąpili z ław i w ciszy podeszli do ołtarza. Właśnie dlatego wybrałam miejsce na skraju ławki. Fałdy mojej spódnicy wystają aż na przejście, więc zbieram je ku sobie, żeby nie przeszkadzały.

Z różnych stron wstają ludzie i kierują się w stronę ołtarza. Głowę mam schyloną, ale oczy czujne, więc wiem, że ktoś zbliża się od tyłu. Muszę idealnie wyczuć właściwy moment. Zerkam szybko przez ramię i widzę

wysoką kobietę w średnim wieku w szarej sukni wskazującej na status służebnej. Czekam, aż się zrówna z moją ławką.

Podrywam się na nogi i wyskakuję przed nią. Słyszę jej cichy okrzyk, gdy kolanami uderza lekko w moje uda. Odwracam się i uśmiecham przepraszająco. Odpowiada nieśmiałym, lecz szczerym uśmiechem.

Ximena wstaje w ślad za mną, ale ciut za późno. Przynajmniej jedna osoba będzie nas oddzielać od siebie. Niania nie zdoła zauważyć manewru, jaki wykonam podczas przyjmowania błogosławieństwa.

Jeden po drugim wierni podchodzą do ojca Nicandra. Każdy coś mu szeptem wyznaje, on modli się chwilę, a potem kolcem róży nakłuwa palec delikwenta. Trzymają razem krwawiący palec nad ołtarzem, póki na kamień nie spadnie pojedyncza kropla ofiarnej krwi. Potem Nicandro — w symbolicznym geście — podstawia pod brodę pobłogosławionego prawą sprawiedliwą dłoń, złożoną w miseczkę, i na koniec przekazuje go innemu księdzu, który czeka ze ściereczką i wodą ze świętym oczarem.

Kiedy młody chłopak w kolejce przede mną zaczyna szeptać do ucha księdza, sięgam ręką, bardzo powoli, po przygotowaną notkę, wsuniętą za pasek spódnicy. Sukces mojego planu zależy od księdza — czy zechce przyjąć wiadomość podczas udzielania sakramentu i czy zachowa niewzruszoną twarz.

Być może popełniam błąd i ojciec Nicandro

rozgniewa się na mnie. A jeżeli przerwie ceremonię? A co będzie, jeśli Ximena coś dostrzeże? Życie księdza znowu będzie zagrożone.

Rezygnuję z zamysłu. Zamierzam schować z powrotem zwitek za pasek, lecz nie starcza mi czasu. Chłopak przesuwa się na bok i wzrok ojca Nicandra zatrzymuje się na moment na małym pergaminowym ruloniku, który trzymam między kciukiem i palcem wskazującym.

Robię krok do przodu, żeby zająć miejsce chłopca, a rulonik przyciskam do piersi. Ojciec Nicandro lewą ręką obejmuje mnie z tyłu za szyję i przygina mi głowę w dół, tak że prawie stykamy się czołami.

— Czego dzisiaj szukasz u Boga, Wasza Wysokość? — Jednocześnie wyciąga rękę, w której trzyma różę, i chwytą pergaminowy zwitek między palce wskazujący i środkowy. W mgnieniu oka moja notka znika w przepastnym rękawie księdza, jakby ten nie od dziś praktykował konspirację.

Czeka potem spokojnie na moją odpowiedź. Mówię szczerze.

— Mądrości — szepczę. — Potrzebuję jej więcej, niż mam.

Wyczuwam aprobatę w jego głosie, gdy intonuje błogosławieństwo. Książd wydaje się jednak wytrącony z równowagi, gdyż nakłuwa mi palec raptownie i głęboko, boleśniej niż zwykle. Piecze mnie, gdy trzymamy go nad ołtarzem i wypływa z niego gruba

kropla krwi, która skwierczy i brązowieje w zetknięciu z gorącym kamieniem. Za nią ukazuje się natychmiast mniejsza kropla.

Nicandro odsuwa moją rękę i uśmiecha się przepaszająco. Odwzajemniam uśmiech, jestem szczęśliwa, że mogę spokojnie odejść i nie zdarzyło się nic gorszego od zbyt dotkliwego ukłucia.

Moje miejsce zajmuje wysoka służąca. Wycofuję się na bok, gdzie przemywają mi i bandażują palec. Serce łomocze mi po tym, czego dokonałam. Modłę się, wierząc, że pozostało to niezauważone przez Ximenę i wkrótce ojciec Nicandro przeczyta wiadomość. *Spotkajmy się dzisiaj w nocy* — napisałam. — *O pierwszej po północy koło archiwum.*

*

Po nabożeństwie usprawiedliwiam się zmęczeniem i układam do drzemki. Potrzebuję dodatkowej porcji snu, żeby nie zasnąć, gdy Ximena wycofa się już do swojego pokoju. Ona, podobnie jak ja, czyta każdego wieczoru *Scriptura Sancta* i mogą upłynąć godziny, zanim zdmuchnie świece, by zasnąć.

Z drzemki budzi mnie pukanie do drzwi. Ximena odkłada szycie — z dostępnych materiałów stara się wykombinować luźniejsze spódnice i bluzki dla mnie —

i podchodzi do drzwi.

Uchyła je, ale i tak męski głos z drugiej strony jest stłumiony. Dobrze słyszę za to Ximenę.

— Ona odpoczywa — mówi.

— Kto to? — pytam z łóżka szeptem.

— Chwileczkę — mówi niania do gościa i odwraca się do mnie. — To generał Luz-Manuel. Ponownie.

Poruszając bezgłośnie ustami, przekazuję jej: „Nie mogę odprawić go po raz drugi”. Jestem zadowolona że Cosmé ma dzień wolny i wizyta generała nie da jej okazji do szpiegowania. Gramolę się z łóżka, niania podaje mi pelerynę. Zarzucam ją na ramiona i zawiązuję tasiemki pod szyją.

Ximena przewraca konspiracyjnie oczami, po czym otwiera szeroko drzwi.

— Proszę wejść, generale.

Wkracza szybko, jakby się obawiał, że zmienię zdanie. Jest szczupły, przygarbiony, łysieje na czubku głowy, a wąsy ma wymodelowane starannie, tak jak lord Hector i inni członkowie królewskiej gwardii.

Uśmiecham się na wspomnienie lorda Hectora. Ucieszę się, gdy go znowu zobaczę. To jedna z nielicznych osób, które od mego przybycia tutaj okazywały mi życzliwość.

— Wasza Wysokość. — Generał kłania się nisko.

— Generale, przepraszam, że nie jestem w pełni przygotowana na przyjmowanie gości.

Zbývá przeprosiny machnięciem ręki.

— Czy często źle się czujesz, Wasza Wysokość? —
W oczach ma troskę.

— Po nabożeństwie zwykle jestem zmęczona —
odpowiadam z namysłem. — Czy nie sądzisz, panie, że
sakrament ofiarowania bólu jest wyczerpujący
emocjonalnie?

Wzrusza ramionami.

— Powód, dla którego przyszedłem... — Opuszcza
wzrok. — Zostałem wybrany, by cię, pani, zaprosić
oficjalnie na najbliższe obrady Kworum.

Wiem, o czym mówi. Kworum Pięciorga. Rada
przy Alejandrze, składająca się ze stojących najwyżej
w hierarchii arystokratów i oficerów. Muszę więc być
ostrożna, by nie wciągnęli mnie w jakieś manipulacje
podczas jego nieobecności.

— Będę oczywiście rada uczestniczyć w spotkaniu.
Chociaż nie jestem pewna, jaki mogę wnieść wkład.

Słyszę, jak odchrząkuje. Być może nie odpowiada
mu narzucona rola posłańca albo nie zgadza się z resztą
Kworum, które zadecydowało o zaproszeniu dziecka na
obradę.

— Zaczynamy sposobić się do wojny z Inwiernymi.
— Czyli podobnie jak moja siostra uważa wojnę za
przesądzoną. — Chcielibyśmy, żeby w kolejnej naszej
naradzie uczestniczyła osoba reprezentująca Orovalle.

To ma sens. Jeżeli obywatele Joya d’Arena nie
wiedzą o moim małżeństwie z Alejandrem, to
prawdopodobnie nie wiedzą również o tym, że mój

ojciec zobowiązał się już do przysłania własnych oddziałów. Dokładnie o takich sytuacjach mówił Alejandro przed wyjazdem, a więc muszę podjąć to wyzwanie.

— Kiedy jest najbliższe spotkanie?

— Od wczoraj licząc, za tydzień, bezpośrednio po południowym posiłku.

Uśmiecham się z pewną siebie miną.

— Będę tam.

Po jego wyjściu Ximena podnosi wzrok znad szycia. Zdumiewa mnie niezmiennie, jak niewidoczna potrafi być dla gości. Są głupcami, że jej nie zauważają, gdyż jej oczom i uszom nic nie umyka.

— Bądź ostrożna z Pięciorgiem, słońce moje. Cieszą się tu szacunkiem i prawdopodobnie mają tęgie umysły, którym i Juanie-Alodii niełatwo byłoby sprostać.

Patrzę jej prosto w oczy. Nawet ona nie ma litości i porównuje mnie z siostrą.

— Dam sobie z nimi radę — odszczekuję.

— Nie powiedziałam, że sobie nie poradzisz. Mówię o ostrożności. Musisz być sprytniejsza od Alodii.

Spuszczam wzrok, czując się winna, że w nią zwątpiłam.

— Spróbuję.

Ximena siedzi długo w noc, chcąc skończyć swoją spódnicę. Ja czytam teksty ze *Scriptura Sancta*, ale nawet ulubione fragmenty dziś do mnie nie przemawiają. Niemal nie odrywam oczu od niani. Irytacja miesza się we mnie z czułością, gdy patrzę, jak pochyłona nad tkaniną walczy z guzikami i jedwabnymi falbankami. Ciężko pracuje dla mnie, a ja właśnie dzisiaj ją zdradzę.

Nareszcie składa materiał i wstaje, ziewając.

— Przykro mi, słońce moje, ale już ledwo widzę ściegi. Będę musiała skończyć szycie jutro.

Staram się wyryć w pamięci jej rysy: okrągłe policzki, zmarszczki na skroniach. Żałuję, że nie miałam więcej czasu, żeby utrwalić sobie na zawsze twarz Aneaxi. Już zapominam jej śmiejące się oczy i nie mogę sobie przypomnieć, czy gdy stała koło mnie, była równa mi wzrostem czy trochę wyższa.

— Dziękuję ci, Ximeno, spódnica będzie śliczna.

Na szczęście blask dochodzący przez atrium z jej komnaty gaśnie natychmiast. Leżę w ciemności z szeroko otwartymi oczami.

Czekam.

Powieki zaczynają mi ciążyć, lecz jestem zdenerwowana i zaśnięcie mi nie grozi. Nie czytam, bo nie ośmielam się zapalić świecy. Po jakimś czasie wstaję z łóżka i wsuwam na nogi miękkie domowe pantofle.

Przez otwarty balkon dochodzą dźwięki klasztornych dzwonów, odległe, ale wyraźne. Wybija północ. Mimo to czekam jeszcze przy wejściu do

atrium, nasłuchując, czy z komnaty Ximeny nie dochodzą jakieś dźwięki. W końcu narzucam na siebie długą suknię wierzchnią i ukradkiem wychodzę.

Cisza panuje na korytarzach oświetlonych nielicznymi kagankami, których płomienie rzucają osobliwe cienie na lśniące kamienne ściany. Zabawne, że monstrualny pałac Alejandra w nocy wydaje się niemal piękny. Boję się, że ktoś mnie zauważy. Moja tęga sylwetka jest łatwa do rozpoznania i wystarczyłoby, żebym komuś z daleka mignęła, a byłabym zdekonspirowana.

Ganię się w duchu za tchórzostwo. Mam takie samo prawo chodzić w nocy pałacowymi korytarzami jak ktokolwiek inny. Sprytne wytłumaczenie bez trudu przyjdzie mi do głowy. A jednak mięśnie nóg mam do bólu napięte od stąpania jak najlżej i jak najciszej, a gdy w końcu docieram do klasztornych drewnianych drzwi, boli mnie żuchwa, bo cały czas zaciskałam zęby.

Wślizguję się szybko do środka i na palcach idę do biblioteki, gdzie mam czekać na ojca Nicandra. Przez wysokie okna przesącza się dość księżycowego światła, bym mogła odnaleźć drogę do archiwum, gdzie przechowywane są najstarsze dokumenty. Siadam na stołku skryby.

Nie czekam długo. Obecność Nicandra sygnalizuje plama światła. Podnoszę głowę zaskoczona, że wszedł bezszelestnie.

— Wasza Wysokość, wykorzystałaś świętą

ceremonię, żeby mnie tu ściągnąć — mówi szeptem. — Czy mogę wierzyć, że miałaś wystarczający powód?

Opadły mi ramiona.

— Przepraszam, ojczy. Myślałam, że tak będzie najlepiej, ale... — Wzruszam ramionami, nie potrafię spojrzeć mu w twarz.

Siada i stawia świecę na stole między nami. Widząc w jej migającym świetle stare zwoje na półkach, stopy pergaminu przygotowanego dla kopistów, drewniane szafy zawierające najstarsze, najbardziej wrażliwe na działanie światła dokumenty, uświadamiam sobie, że wymuszam na nim złamanie jeszcze jednej reguły, której przestrzega z racji swoich powinności.

— Bardzo przepraszam — mówię, wskazując speszona na świecę. — Nie pomyślałam, wiem przecież, że w archiwum nie ma miejsca dla świec. — W Orovalle obowiązywał taki zakaz, kopiści pracowali wyłącznie za dnia, ponieważ po kilku godzinach pracy łatwo było o potrącenie kaganka czy świecy. Zażenowana oblewam się rumieńcem po szyję.

— Eliso, o co chodzi? Po co to tajne spotkanie?

Podnoszę wzrok i widząc jego pełne współczucia oczy, mówię wprost:

— Potrzebna mi pomoc. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o Boskim Kamieniu.

Uśmiech zmienia mu twarz.

— Przypuszczałem, że taki jest powód. Pomogę w każdy możliwy sposób.

Czuję tak ogromną ulgę, że niełatwo mi powstrzymać drżenie dolnej wargi.

— Naprawdę? — Ogarnia mnie fala wdzięczności, że jednak ktoś mi pomoże.

— Naprawdę. Gdybyś urodziła się tutaj, w Brisadulce, moim obowiązkiem byłoby przekazać ci całą wiedzę dotyczącą Boskiego Kamienia. Omówimy więc teraz te sprawy, ale nie zapominajmy pilnować świecy. — Mówi tonem lekko pobłażliwym. — Zatem, powiedz mi najpierw, co wiesz. — W świetle świecy jego oczy nad haczykowatym nosem wydają się przenikać mnie do głębi.

Wciągam głęboko powietrze.

— Znam na pamięć wszystkie te fragmenty *Scriptura Sancta*, które dotyczą Boskiego Kamienia i noszącego wybrańca. Wiem więc, że raz na sto lat Bóg wybiera jakieś dziecko do spełnienia misji. — Uświadamiam sobie, że moje palce odruchowo powędrowały do klejnotu. — Wiem też, że Bóg umieścił go we mnie podczas ceremonii nadawania mi imienia. Czuję, że on tam żyje, pulsując jak drugie serce. Reaguje czasami na jakieś zdarzenia, nie potrafię jednak przewidzieć i zrozumieć, kiedy i dlaczego. Być może reaguje na moje modlitwy.

Kiwa potakująco głową.

— A historia Boskiego Kamienia? Co wiesz na ten temat?

— Że poza mną był w Orovalle jeszcze jeden

wybraniec noszący Boski Kamień. Cztery stulecia temu, wkrótce po tym, jak zasiedlono naszą dolinę. Wszyscy inni byli z Joya d’Arena.

— Czy masz jakieś wyobrażenie o naturze misji noszącego?

Wzruszam ramionami.

— Tylko tyle, że jest to coś doniosłego i cudownego... — Rozkładałam szeroko ręce, żeby podkreślić gestem ogrom posłannictwa, które w moim umyśle wciąż pozostaje niejasne. — Sądzę, że tak naprawdę niewiele wiem. Od dziecka słyszałam o swoim przeznaczeniu. Ludzie wyobrażają sobie, jak mi się zdaje, że będę... bohaterem. — Czuję, że rumieniec wypełza mi na policzki. Obawiam się, że się ośmieszyłam, i w półmroku wypatruję w przenikliwych oczach zakonnika oznak drwiny.

Jest jednak za ciemno, by cokolwiek z nich wyczytać.

— A ten pierwszy noszący z Orovalle? Czy wiesz, jaką on misję wykonał?

— Oczywiście. To był łucznik Hitzedar i mój ojciec nosi po nim imię. Podczas pierwszej potyczki mojego kraju z Inwiernymi zabił trzydziestu czterech wrogów, w tym animaga stojącego na ich czele. Miał... — Spuszczam wzrok i patrzę na swoje ręce. — On miał szesnaście lat.

Ksiądz popada w zadumę, milczy jakiś czas.

— Czytałaś dzieło Homera *Afflatus*?

Moja skonfundowana mina wystarcza za odpowiedź.

Ojciec Nicandro wzdycha głęboko.

— Tego się obawiałem.

— Obawiałeś się, ojcze? Czego? Tak ważne jest owo dzieło Homera?

— Otóż Homer był pierwszym wybrańcem Boga. Wedle tradycji należy do pierwszego pokolenia urodzonego w nowym świecie.

Nigdy nie słyszałam o Homerze. Jak można było trzymać mnie w nieświadomości, kim był pierwszy noszący?

— A ten... *Afflatus*? — pytam. Mój Boski Kamień promieniuje ciepłem, gdy wymawiam to słowo.

— To wypełnienie misji Homera. Wstąpił w niego duch boski i natchniony przez niego poeta napisał *Afflatusa*. To zbiór prorocत्व, także tych związanych z Boskim Kamieniem.

Ręce zrobiły mi się lodowate, oddech mam krótki i ciężki. Kamień pulsuje z taką siłą i tak rozgrzewa, że zaczyna mnie mdlić.

— Proroctwa — mówię szeptem. — Święta księga. Nic nie wiedziałam. Nigdy... — Podrywam się ze stołka. — Ludzie w Orovalle. Oni o tym nie wiedzą. — Idę do regału, wracam, krążę w tę i we w tę.

— Wasza Wysokość...

— Powinni wiedzieć. Czy masz tę księgę tutaj? Poproszę Ximenę, żeby sporządziła kopię dla naszego

klasztoru, dla Monastery-at-Amalur. Mistrz Geraldo z radością zapozna się...

— Eliso!

Wlepiam w niego oczy, zaskoczona jego ostrym głosem.

— Wasza Wysokość — zmienia ton na łagodny. — Oni to wszystko wiedzą.

Przez chwilę próbuję zrozumieć, co właśnie powiedział. Kiedy sens dociera do mnie, ból niczym obręcz ściska mi klatkę piersiową.

— Kto, powiedz dokładnie, kto o tym wie? — Wydaje mi się, że, niestety, znam odpowiedź, ale chcę, by padła z jego ust.

— Wszyscy. — Zaciska usta w cienką linię. — Przykro mi to rzec, Wasza Wysokość. Wszyscy... oprócz ciebie.



Patrzę wstecz na swoje życie i nagle wszystko staje się jasne. Zapadająca cisza, gdy wchodzę do pokoju. Wymiana spojrzeń między moim nauczycielem a moją siostrą. Zakrywanie ust ręką i szepty. Fałszywe komplementy i zatroskane twarze. Tłumaczyłam to pogardą świata dla mnie, ponieważ w niczym nie przypominam siostry. Ponieważ jestem gruba.

Narasta obrzydliwe poczucie upokorzenia. Pojętna uczennica, dostrzegająca szczegóły, rozwiązująca logiczne zagadki, z łatwością utrwalająca w pamięci informacje. To były moje powody do dumy.

I oto bez trudu mnie oszukano. Jakimż potwornie głupim dzieckiem byłam.

— Wasza Wysokość? — Głos ma niespokojny, zatroskany.

— Dlaczego? — pytam szeptem. — Dlaczego zatajano to przede mną?

— Proszę usiąść. — Wskazuje mi stołek. — Staremu człowiekowi kręci się w głowie, gdy tak chodzisz, pani. — Siadam posłusznie, a on patrzy na świecę i mówi żartobliwie: — Chyba będzie nam potrzebna jeszcze jedna.

Nie podoba mi się jego lekki ton.

— Opowiadaj, ojczy.

Pochyla się nad stołem.

— Kiedy Reformatorzy wynosili się z Joya d' Arena, żeby założyć kolonię w Orovalle, przyświecał im bardzo ważny cel.

Wiem, jaki to był cel.

— Chcieli pozostać wierni Bogu.

Kiwa głową.

— Wierzyli i nadal wierzą, że najwyższą aspiracją człowieka powinno być studiowanie świętych tekstów, że coraz bardziej oddalający się od Boga świat zatarł święte prawdy i czekają one na ponowne odkrycie. Drugą aspiracją człowieka ma być...

— Służba Bogu.

Przytakuje znowu.

— Tak, właśnie służenie Bogu. Dlatego się przenieśli i kiedy kilka lat później Bóg wybrał dziecko z Orovalle i obdarował je Boskim Kamieniem, uznali to za aprobatę swoich decyzji.

— A co to ma wspólnego z dziełem Homera?

— Cierpliwości. Mogę przyjąć, że królewska rodzina pozostaje wierna ideom Reformatorów?

— Oczywiście. — Zawsze byliśmy dumni z tego, że nasi przodkowie nie bali się szukać prawdy.

— Jak wszystkie pozytywne ruchy, także ten zaczął się dobrze. Potrzeba powrotu na ścieżkę wyznaczoną przez Boga była autentyczna. Ale ruch się rozwijał.

Nabrał takiego impetu, że stał się... czymś innym.

Chociaż jestem w tym momencie wściekła na siostrę, na mistrza Geralda, a najbardziej na Ximenę za to, że ukrywali przede mną pewne sprawy, to jednak nie jestem już taka pewna, czy potrafię zaakceptować stwierdzenie, że błędzę w wierze.

— Wyjaśnij mi to, proszę — mówię ostro.

— Więc studiowali. Jak studiowali! Byli dumni ze swoich studiów — rozumieli święte teksty lepiej niż inni i byli tego świadomi. Te badania stały się ich kulturową obsesją. Odkrywali prawdy, które były... niedostępne oczom maluczkich.

Bronię tej postawy.

— To całkowicie zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Im dłużej się studiuje *Scriptura Sancta* czy *Przewodnik po służbie Bogu*, tym lepiej się te teksty rozumie. Czytamy w *Sancta*: „Więcej nauki, to więcej zrozumienia”.

— To prawda — zgadza się z pobłażliwym uśmiechem. — Ale czytamy tam również: „Umysł Boga jest tajemnicą i nikt nie potrafi ogarnąć go rozumem”. Widzisz, dziecko, oni poszli za daleko. Odrzucili oczywisty i naturalny przekaz tekstu w poszukiwaniu ukrytego, nienaturalnego znaczenia. Snobizm i elitaryzm przesłoniły bezcenny autentyzm.

— Podaj przykład.

Wstaje od stołu i znika w mroku między regałami. Słyszę, jak przerzuca zwoje, mruczając coś pod nosem,

i wreszcie zbliżają się jego kroki. Jeszcze go nie widzę, a już czuję ten skrywający głębokie sekrety zatęchły zapach zwierzęcej skóry.

— Oto jest — oznajmia, rozwijając na stole pergaminowy zwój. — *Afflatus* Homera. — Widzę, że brzegi próbują się z powrotem zwijać w rulon, a Nicandro przytrzymuje je ramieniem. — Tutaj. Czytaj to.

Światło świecy jest zbyt nikłe, tekst faluje na pomarszczonym cieniutkim welinie, a ja odczuwam potworne zmęczenie. Przecieram oczy i pochylam się nad stołem.

I Bóg powołuje swojego bojownika. Tak czyni raz na cztery generacje. Powołuje go, żeby nosił jego stygmat.

(Bojownikowi nie wolno się lękać).

Jednak świat go nie zna, a jego dar jest ukryty niczym na pustyni oaza Barea. Wielu szuka tego bojownika, a złe mają intencje ci, co go szukają.

(Bojownik nie może okazać słabości).

Nie wie, co go czeka u bram wroga i jest prowadzony jak świnia na rzeź do królestwa sztuki czarnoksięskiej. Ale sprawiedliwa jest mocarna prawica Boga.

(Jego łaska sływa na lud Jego).

Prostuję się na stołku i myślę o przeczytanym fragmencie. Wywołuje szczery odzew w moim sercu, Boski Kamień zgodnie z tym pulsuje. Lecz wyławiam także rzeczy nowe, które mój umysł musi przyswoić. Królestwo sztuki czarnoksięskiej. Bramy wroga.

— Dlaczego moja reformatorska rodzina ukrywała to przede mną?

Ojciec Nicandro pochyła się w moją stronę z uśmiechem na twarzy. Jak wszyscy dobrzy nauczyciele cieszy się chwilą objawienia, kiedy światło wiedzy wnika do umysłu ucznia.

— Wszystko sprowadza się do tego słowa tutaj. — Wskazuje na następujący fragment: „Nie mógł wiedzieć, co czekało go u bram wroga”. Małe słówko „móc” z zaprzeczeniem. Proste odczytanie tekstu sugeruje, że bojownik z takiego bądź innego powodu nie wiedział, jakie niebezpieczeństwo mu zagrażało.

Kiwam głową, bo dokładnie tak interpretuję to zdanie.

— Ale! — wymierza we mnie palec. — Mamy też inny fragment: „Ten, który jest w służbie Boga, nie może zagubić czystości intencji”.

Znam te słowa. Pochodzą z *Przewodnika po służbie Bogu*. To ulubiony cytat Ximeny.

— Są możliwe dwie różne interpretacje słowa „móc” w formie przeczącej. W tekście oryginalnym jest ta sama dwuznaczność. Nasi przodkowie tłumaczyli to różnie. Reformatorzy wierzyli, że ten pierwszy fragment nie jest precyzyjny. Frazę „nie mógł wiedzieć” rozumieli jako „nie wolno mu było wiedzieć”.

— A więc uznali, że noszący Boski Kamień nie ma prawa wiedzieć o niebezpieczeństwie, jakie mu zagraża. Przyjęto to za pewnik.

— Dokładnie.

— I dlatego utrzymywano mnie w niewiedzy.

— Tak.

— Z powodu jednego słowa.

Wzrusza ramionami.

— Powołują się także na inne fragmenty na poparcie swojej interpretacji, ale ten jest najważniejszy.

— A ci inni wybrańcy. Ci z Joya. Oni też nic nie mogli wiedzieć?

— Nie. To dotyczyło tylko Hitzedara i teraz ciebie.

Chowam twarz w dłonie, próbując tę całą rzecz zrozumieć. Ojciec Nicandro nie odpowiedział na wszystkie moje wątpliwości, lecz jestem zbyt zmęczona, żeby je sobie teraz przypominać. Niepokoi mnie, co zrobi Ximena, gdy się dowie, że usłyszałam o księdze prorocत्व Homera. A może lepiej o niczym jej nie mówić? Na wszelki wypadek, bo a nuż Reformatorzy mają rację i nie powinnam wiedzieć o tych sprawach.

— Ojczy. — Wstydzę się, że głos mi drży, lecz nie jestem w stanie tego opanować. — Co mnie czeka u bram wroga?

— Dziecko drogie, tego nie mogę ci powiedzieć. Bo tego nikt nie wie. Wiadomo tylko tyle, że każdy wybraniec narażony jest na poważne niebezpieczeństwo.

— Ale w końcu je przewycięzę, czy tak? Przeczytałam przecież: „Ale sprawiedliwa jest mocarna prawica Boga”.

— Ponownie mówię, że nie wiem. Nie chciałbym

cię straszyć, ale jestem bardziej zmartwiony tym, czego w tekście nie ma. Nie mówi się o zwycięstwie bojownika. — Sięga przez stół i przekłada zwój odwrotną stroną na wierzch. — Spójrz na to.

To lista nazwisk z odpowiadającymi im datami. Co sto lat jedno nazwisko, ale są zdumiewające luki. Na końcu widzę moje własne imię i nazwisko: Lucero-Elisa de Riqueza. Niedawno dodane, gdyż atrament jest ciemniejszy i kontury liter się nie rozmazują. Patrząc na listę z otwartymi ustami. Otwiera ją Homer. Łucznik Hitzedar jest zaledwie o kilka pozycji wyżej ode mnie.

Ci, co nosili Boski Kamień. Prawdziwe nazwiska, prawdziwi ludzie.

— Widzę wyraźne braki. — Posyłam mu pytające spojrzenie.

— Istotnie. Nasz zestaw nie jest kompletny. Albo zagabiliśmy jakąś historię, albo wybraniec nigdy nie został rozpoznany.

To mnie zaskakuje.

— Jak to możliwe? — pytam.

Wzrusza ramionami.

— Być może żyli daleko od klasztoru, wychowywano ich w zabobonach, do końca pozostali nieświadomi celu swego życia. Być może zmarli lub zostali zabici, zanim zdążyli wypełnić swoją misję. Któż to może wiedzieć?

— A więc takie rzeczy są możliwe. — Potwierdza się moja największa obawa. Przeznaczenie to zbyt

mglista sprawa, by mógł o nim przesądzić jeden klejnot.
— Można umrzeć przed wypełnieniem misji.

— O tak. Spośród tych ludzi — zatoczył ręką krąg nad listą — mniej niż połowa dokonała takich czynów, które można zaliczyć jako wypełnianie posłannictwa. Większość zmarła młodo. I tragicznie. Jak łucznik Hitzedar, któremu strzała przebiła serce.

Niezbyt ciekawe perspektywy.

Ostry ból narasta mi w oczodołach od niepokoju i powstrzymywanych łez. Uciskam grzbiet nosa.

— Dlaczego mówisz mi to wszystko, ojczy? Moja niania... ona jest... to znaczy...

— Jest twoją strażniczką. Lady Ximena oddałaby za ciebie życie.

— Jest moją nianią, i tyle. — Wiem oczywiście, że jest kimś więcej, ale jestem zmęczona i nie staram się być grzeczna.

— Strażnika, który ma strzec noszącego Boski Kamień, wybiera najbliższy klasztor. Jej powinnością w Orovalle było dopilnowanie, żebyś pozostała nieświadoma treści prorocत्व. Tak naprawdę... — Patrzy w bok, w ciemność. — Wolałbym, żeby ona nie dowiedziała się o naszej rozmowie. Jako przełożony klasztoru w Brisadulce jestem zobowiązany do wprowadzenia cię w sprawę i na miarę swoich możliwości przygotowania cię do misji. Jednakże Reformatorzy widzieliby to inaczej.

Wiem, bo Ximena jako moja strażniczka posunęła

się za daleko.

— Ona zabiła człowieka, ponieważ odkrył, że mam w pępku klejnot. — Obserwuję pilnie ojca Nicandra, jak zareaguje, ale jego twarz o ostrych rysach się nie zmienia. — Szpilką do włosów — wyjaśniam, czerpiąc satysfakcję z dodania drastycznego szczegółu.

— Lady Ximena to niezwykła kobieta. — W jego głosie odczytuję i szacunek, i lęk.

Postąpił szlachetnie, spotykając się ze mną o tej nieludzkiej godzinie i udzielając mi wskazówek, mimo związanego z tym ryzyka. Chwytam jego rękę.

— Moja niania nie dowie się o tym spotkaniu.

Ścisła moją dłoń, co przypieczętowanie obopólne zaufanie. Mimo zgębienia nocnymi rewelacjami ciepło mi się robi na sercu, bo wiem, że mam w nim przyjaciela.

— Bóg zawsze dobrze wybiera, drogie dziecko. Będę się starał pomagać ci na miarę swoich możliwości.

Głęboko wciągam powietrze, żeby uciszyć niepokój niemal wprawiający mnie w dygot.

— Jeżeli tak dobrze wybiera, dlaczego tylu wybrańców sprawiło mu zawód? I dlaczego czasami lekceważy moje modlitwy?

— Nie wiem, Eliso. Jeśli chodzi o Boski Kamień i wybieranych przez Boga tych, co go noszą, nie wszystko rozumiemy. Tylko Bóg wie wszystko. On wie nieskończenie więcej, niż potrafimy sobie wyobrazić.

To słowa Aneaxi, zanim wydała ostatnie tchnienie.

Potrafię się na tyle kontrolować, żeby nie przewracać oczami, ale nie potrafię zmusić ust do wygłaszania banałów. Czy Nicandro nadal wierzyłby, że sprostam roli wybrańca, gdyby wiedział, ile wątpliwości wciąż wkłada się do mojego umysłu?

Stołek trzeszczy, gdy wstaję.

— Dziękuję, ojczu. Mam więcej pytań, lecz jestem zmęczona i... muszę to wszystko jeszcze przemyśleć.

Nicandro też wstaje, ale przytrzymuje mnie za ramię.

— Jeszcze nie odchodź, mam coś dla ciebie.

Znika w ciemności, a ja przeciągam się i ziewam. Mam nadzieję, że wróci z kopią Homerowego *Afflatusa*. Marzyłoby mi się studiowanie tego dzieła w samotności. Ximena nie mogłaby oczywiście wiedzieć, że je posiadam, więc gdy czekam, w mojej głowie konkurują o pierwszeństwo pomysły na schowek.

Nie wraca przez długi czas. Słyszę z oddali przerzucanie pergaminowych zwojów, brzdęk kluczy i kliknięcie zamka, jakiś zgrzyt. Kiedy wchodzi w nasz wąty krąg światła świecy, widzę, że trzyma w ręku skórzaną sakiewkę wielkości pięści, zaciąganą na rzemyki, które dyndają między jego palcami.

To nie *Afflatus*. Próbuję ukryć rozczarowanie.

— A cóż to jest?

Potrząsa sakiewką. Na stół wypadają ze stukotem trzy małe lśniące obiekty. Pochylam się. To gładkie klejnoty wielkości paznokcia mojego kciuka,

w ciemności matowe, ale z ognistym refleksem tam, gdzie pada na nie blask świecy. Ciemnoszafirowe. Znajome. Podnoszę jeden. Jest zimny i ciężki.

— To Boskie Kamienie — mówi ojciec Nicandro.

Wstrzymuję oddech. Ten na mojej dłoni jest tak bardzo różny od tego w moim ciele — ciężki i pozbawiony życia.

— Nasz klasztor miał zaszczyt czuwać nad trzema wybrańcami Boga. Po śmierci każdego z nich usuwano z ciała Boski Kamień. Ten oto — pokazuje na jeden z leżących na stole — ma tysiąc dwieście lat.

Dziwne uczucie trzymać w ręku jakby własną historię. A gdy kamień w moim pępku pulsuje gorącym powitaniem w kontraście do tego zimnego obiektu w mojej dłoni, zdaję sobie sprawę, jaka jest moja przyszłość. To moja śmierć.

Upuszczam klejnot na stół obok pozostałych dwóch i wycieram dłoń o suknię.

Nicandro zbiera kamienie do skórzanej sakiewki i mocno zaciąga rzemyki.

— Nikt poza noszącym nie jest w stanie wykorzystać mocy Boskiego Kamienia. Nie mam pojęcia, czy jakakolwiek moc pozostała w tych starych, ale być może okażą ci się przydatne. — Wręcza mi sakiewkę ze wzruszeniem ramion.

Jeszcze nie jestem gotowa do ich przyjęcia.

— A jeżeli umrę? Zanim w ogóle czegokolwiek dokonam?

— Wtedy zabiorę je z powrotem razem z tym, który nosisz.

Mówi wprost, nie owija w bawełnę i to mnie przekonuje. Biorę od niego małą sakiewkę. Przestraszył mnie, co prawda, zimną rzeczowością, jednak mam dzięki temu poczucie, że mogę mu ufać. Wsuwam woreczek do kieszeni sukni.

— Czy mogę jeszcze w czymś pomóc dzisiejszej nocy, Wasza Wysokość?

Akurat głośno burczy mi w żołądku. Jestem speszona.

Zachichotał z dobrotliwym uśmiechem.

— My, zakonnicy, czuwamy w różnych porach, więc nasza kuchnia nigdy nie jest zamknięta.

Wracam do siebie obdarowana ciastem z granatem — jeden kawałek wsunęłam do kieszeni, drugi trzymam w ręku. Idę cichymi, lekko oświetlonymi korytarzami, pogryzając ciasto, a w głowie mi huczy od natłoku nowych informacji. *Afflatus* Homera, wybrańcy, którym się nie powiodło, strażniczka zamaskowana jako niania.

U bram wroga.

Szłam na spotkanie z księdzem z nadzieją, że podpowie mi, w jaki sposób rozegrać w Joya d’Arena batalię o zdobycie szacunku na dworze oraz uznania w oczach Alejandra, a tymczasem droga przede mną wydaje się ciemniejsza niż dotąd.

„Jak świnia na rzeź”.

Wygląda na to, że teraz najważniejszą sprawą staje

się przetrwanie.

Skręciwszy w korytarz prowadzący do naszych komnat, muszę się raptownie zatrzymać, by nie wpaść z ciastem w dłoni na kogoś w bawełnianej sukni, kto nagle wyrósł przede mną.

— Elisa! — Ximena chwyta mnie w objęcia i, niestety, ciasto rozgniała się malowniczo na jej sukni. Odsuwa mnie od siebie.

— Gdzie byłaś? — Pyta głosem nabrzmiałym gniewem i strachem.

Podnoszę w górę resztkę ciasta.

— Byłam głodna.

— Och, Eliso. Słońce moje. Obudziłam się i pomyślałam, że jednak skończę twoją spódnicę... idę do atrium po szycie i nie słyszę twojego oddechu i... — Na moment zabrakło jej tchu. — Powinnaś mnie obudzić. Poszłabym z tobą.

Moja strażniczka.

Wiem, że strzec mnie to jej powinność, a oddaje się temu z pasją, bo pali się w niej płomień religijnej żarliwości, jaka wykształcała się w nas przez wieki, a którą ja ledwie zaczynam rozumieć. Jednakże tkliwość w jej oczach, gdy na mnie patrzy, i to, że z histeryczną ulgą gładzi moje ramiona, świadczą o czymś więcej.

Moja niania.

— Przepraszam. — Sięgam do kieszeni po drugi kawałek ciasta i moje palce przesuwiają się po skórzanej sakiewce. Tam w kieszeni wydaje mi się duża, pękata

i lękam się, czy Ximena nie zauważy uwypuklenia na sukni. — Ja... właśnie... mam coś dla ciebie.

Na widok ciasta jej cienkie usta układają się w uśmiech.

— Dziękuję — mówi. Bierze mnie pod rękę i eskortuje do naszych komnat.

Ximena jest wysoka i mocnej budowy, to silna kobieta. Gdy idziemy pod rękę, kładę głowę na jej ramieniu, które oferuje serdeczne wsparcie i pokrzepia.

Jeszcze później tej nocy, kiedy mam pewność, że Ximena znowu zasnęła, skradam się na balkon i zagrzebuję martwe Boskie Kamienie między korzeniami rosnącej w donicy palmy.



Parę dni później jesteśmy z Ximeną w kuchni — wciąż unikamy wspólnej jadalni — i raczymy się w porze południowej soczystą sarniną z pikantnym sosem porzeczkowym. Szef kuchni jest rozmemłany bardziej niż zwykle, mnie widzi raczej niechętnie, bo tak jest zaabsorbowany przygotowaniem wielkich ilości *pollo pibil*. Jem swoją dziczyznę z rozkoszą, obserwując go, jak przyprawia piersi kurczaka czosnkiem i kminkiem, skrapia sokiem pomarańczowym i zawija w liście bananowca.

— Czy oczekujemy gości? — pytam z pełnymi ustami.

Niemal podskoczył.

— To ulubiona potrawa króla. Poprosił o nią na dzisiejszy wieczór.

Z wrażenia połknęłam niepogryziony kawałek mięsa, krzywię się, bo utkwiał mi w przełyku.

— To król wrócił?

Niesie pakiety z mięsem na ruszt nad rozżarzone węglem.

— Przyjechał wczoraj wieczorem.

Czuję się tak, jakbym miała w żołądku nie sarninę, lecz kamień. Alejandro wrócił i nawet mnie o tym nie poinformował.

*

Popędzam nianię, bo chcę jak najszybciej znaleźć się u siebie, żeby się odświeżyć i przebrać w nową spódnicę. Ximena uszyła ją chytrze, żeby falowała swobodnie wokół nóg i nawet wilgotna się do nich nie przylepiała. Chcę także wyszczotkować włosy i być może wetrzeć w wargi trochę szminki.

Zastajemy Cosmé na balkonie. Przewiesiła przez balustradę mój dywan z owczych skór i trzepie go drewnianym kijem. Nie odwracając głowy, woła:

— Jego Królewska Mość był tutaj chwilę temu.

— Hm? — Nie chcę dać jej satysfakcji okazywaniem zbytnej ciekawości.

— Chce, pani, żebyś uczestniczyła w wieczornym przyjęciu na cześć księcia.

Nic nie wiem o żadnym oficjalnym przyjęciu.

Mam mieszane uczucia. Nigdy nie bawiły mnie ucztę czy bale ani nawet doroczna gala w Dzień Zbawienia. A jednak zabolalo mnie, że planuje się bankiet, a ja nic o tym nie wiem. Czuję się dezorientowana i pozbawiona swoich praw. Gdybym

spożywała obiady z resztą dworu i okazywała choć trochę zainteresowania pałacowym życiem, być może sprawy wyglądałyby inaczej.

Cosmé odsuwa na bok donicę z palmą, żeby mieć więcej swobody przy trzepaniu. Nie podoba mi się to z uwagi na Boskie Kamienie zagrzebane w ziemi.

— Gdzie odbędzie się przyjęcie? — Pytam także dlatego, żeby odwrócić jej uwagę od palmy.

— Król zapowiedział, że oficjalne powitanie odbędzie się w sali recepcyjnej. Wasza Wysokość stanie na podium wraz z Kworum Pięciorga. Ja cię tam zaprowadzę, pani.

Na podium, czyli pod ostrzałem wszystkich oczu, co mnie przeraża.

— Dziękuję, Cosmé.

— Ehm. — Dyga uniżenie z obojętną miną.

*

Sala recepcyjna pałacu Alejandra błyszczy krzykliwym przepychem. Ma kształt długiego prostokąta, wysokie łukowate sklepienie, na którym wymalowano girlandy róż z wyeksponowanymi ostrymi kolcami. Kryształowe żyrandole zwisają w równej linii od podium po dwuskrzydłowe drzwi. Szczególnie okazałe są trony — z połączanego drewna, z miękkimi,

pokrytymi aksamitem siedziskami i oparciami na dwie wysokości człowieka.

Król nie wstaje ze swego tronu, żeby mnie przywitać, ale uśmiecha się i całuje mnie w rękę — a ja oblewam się rumieńcem. Zajmuję miejsce wyżej na podium obok członków Kworum, tuż za tronem Alejandra, i ponad jego czarną głową patrzę na tłum tutejszych możnych. Myślę sobie, że mam uprzywilejowane miejsce, lecz muszę zmienić zdanie, gdy hrabianka Ariña wyciąga rękę i nonszalanckim gestem opiera ją na oparciu pustego tronu. Jakby słusznie uzurpowała sobie do niego prawo. Być może wystarcza to, że jest jedynym pięknym elementem w tym odpychającym miejscu — ubrana w suknię bez gorsetu, z białego tiulu, który od przymarszczenia pod biustem opada miękko do jej stóp jak pajęczynka babiego lata. Błyszczące oczy patrzą ciepło na króla. To takie spojrzenie kogoś rozkosznie sennego po zjedzeniu wielkiej porcji tortu z mango.

Alejandro nie zwraca na nią uwagi, obserwuje gwarny tłum swoich podwładnych.

Koło mnie niczym kolumna stoi lord Hector. Czuję nagle jego ciepły oddech przy uchu.

— Jako księżniczka Orovalle nie musisz, pani, klękać, gdy przez drzwi będzie wchodził Jego Wysokość Książę.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością.

Głośnie rojowisko ucisza się i odnoszę wrażenie, że

przez tłum przetacza się fala, gdy wszyscy odwracają się w stronę wysokich dwuskrzydłowych drzwi. Słyszę przytłumione pierwsze akordy *Wjazdu triumfalnego* Vieiry, a gdy vihuele grają *crescendo*, otwierają się drzwi.

Wchodzi grupa osób, którą słabo widzę z dużej odległości. Zgromadzeni w sali jednocześnie przyklękają na jedno kolano. Muzyka robi się coraz głośniejsza w miarę zbliżania się do nas tej grupy. Na przedzie ze spuszczoną głową idzie mały chłopiec. Jest na granicy płaczu i z wielkim zainteresowaniem wpatruje się w chwosty swoich jaskrawoczerwonych pantofli, figlarnie dyndających przy każdym jego kroku. Mam ochotę parsknąć śmiechem.

Posuwa się do przodu, trzymając się mniej więcej środka przejścia. Chuda kobieta z trójkątną twarzą szturcha go co chwila od tyłu, jakby dodając mu odwagi. W końcu jest na tyle blisko, że mogę mu się dokładnie przyjrzeć. Mały Rosario to miniatura ojca: takie same cynamonowe oczy i takie same czarne kręcone włosy. Jednak delikatna linia brody i kości policzkowych świadczy o tym, że o jego rysach decydowała też inna krew. Ciekawi mnie, co widzi Alejandro, patrząc na syna: czy cień siebie samego, czy też mały bardziej przypomina mu ukochaną i straconą na zawsze kobietę.

Kątem oka dostrzegam jakieś poruszenie. To za pustym tronem królowej podnosi się z klęczek Ariña. Przykłada ręce do piersi i niczym stęskniona matka robi

do chłopca maślane oczy, za co miałabym ochotę ją trzepnąć.

Rosario dochodzi do podium i Alejandro rozkłada szeroko ręce. W mgnieniu oka chłopiec wbiega po stopniach tronu i sadowi się na kolanach króla. Sala reaguje cichym rozbawieniem, gdy się obejmują. Po chwili Alejandro wstaje i trzymając na rękach chłopca, który go ściska za szyję, oznajmia śpiewnie:

— Oto mój syn, księżę Rosario de Vega, następca tronu naszego wielkiego narodu.

Tłum głośno wiwatuje, a ja próbuję sobie przypomnieć, czy nasz papa kiedykolwiek robił tyle szumu wokół mnie czy nawet Alodii. Jeżeli tak, to musiałam być wtedy za mała, żeby zapamiętać. A może taka pompa jest zarezerwowana jedynie dla synów.

Alejandro przedstawia chłopca członkom Kworum: generałowi Luz-Manuelowi, hrabiance Ariñi, lordowi Hectorowi, hrabiemu Eduardowi. Przychodzi kolej na mnie. Chłopiec odwraca się, żeby mnie zobaczyć, Alejandro przytrzymuje go na jednym kolanie.

— A to jest księżniczka Elisa. Reprezentuje tutaj swojego ojca Hitzedara, króla Orovalle.

Zrozumiałe dla dziecka wyjaśnienie. Księżę Rosario patrzy na mnie z kolan ojca. Ma słodką twarz z delikatnymi rysami, szeroko otwarte oczy, gęste, grube rzęsy. Obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów, oczy robią mu się okrągłe.

— Jesteś gruba — mówi wyraźnie głosem

dźwięcznym niczym klasztorne dzwony.

Zbiorowe „och”, potem ciężka, pełna napięcia cisza. Twarz Alejandra tężeje, a palce ręki zaciśniętej na drobnym ramieniu chłopca robią się białe. Wszyscy zebrani z pewnością słyszą walenie mojego serca i mój głośny oddech. Przez moment myślę o ucieczce, ale mimo szoku zdaję sobie sprawę, że to pogorszyłoby sprawę.

Zdobywam się więc na jedyną możliwą rzecz.

Wybucham śmiechem. Śmieję się tak, jakbym w życiu nie słyszała czegoś zabawniejszego. Może za głośno, może śmiech jest wymuszony, ale za chwilę okazuje się, że to nie ma żadnego znaczenia, ponieważ zapora ciszy pęka i tłum z ulgą przyłącza się do mojej wesołości.

*

Na ten wieczór z sali jadalnej usunięto poduszki do siedzenia, wszyscy stoją, bo inaczej by zabrakło miejsca. W ścisku każdy pogryza specjał szefa kuchni, *pollo pibil* w pakieciku z poczerńiałych na ruszcie liści bananowca, popijając słodkim winem wyłaczanym z winogron z opóźnionego zbioru.

Parę osób podchodzi do mnie z uśmiechem i na luzie, gawędzą chwilę, wypytując o moje samopoczucie.

Nigdy przedtem ich to nie interesowało, więc domyślałam się, że bariera między nami zniknęła dzięki paru słowom dziecka. Nie jestem wszakże pewna, czy mnie to cieszy, czy wręcz odwrotnie.

Z rozkoszą przeżuwam kawałeczki kurczaka, delektując się mile drażniącym język smakiem kminku i czosnku, ale podchodzi do mnie Ariña z kielichem wina w ręku.

— Wasza Wysokość. — Głos ma dźwięczny i wyraźny jak Rosario.

— Witam.

— Czy dobrze się bawisz, pani?

Wokół nas zbierają się goście Alejandra. Mam ochotę uciekać do swojej komnaty i zakopać się w pościeli.

— O tak — mówię. — Cudowny wieczór. Księżę Rosario jest czarujący.

— To prawda. — Hrabianka podnosi kieliszek do różowych warg, ale tylko udaje, że pije. Czy ona w ogóle cokolwiek jada?

— No i wspinała jest *pollo pibil* — chwałę danie wieczoru. — Alejandro świetnie wybrał. Powinnaś, pani, spróbować. — Mam satysfakcję, widząc jej brew unoszącą się w niemym pytaniu. Być może ona nie zna kulinarnych preferencji króla. Być może nie spodobało jej się, że mówię o nim z taką swobodą.

— Już próbowałam. Jest pyszne. — Oczywiście jej nie wierzę. Pod intensywnym spojrzeniem jej pięknych

miodowych oczu czuję się jak mysz w pułapce. — Proszę się nie martwić tym, co przy wszystkich powiedział Rosario — kontynuuje. — Nikt o pani w ten sposób nie myśli.

Patrzę jej w oczy i jestem mimo wszystko zaskoczona takim brakiem delikatności. Rozumiem, że uważa mnie za dziecko, jednak oczekiwałam więcej taktu. Wzruszam ramionami.

— Z ust niewinnych prawda płynie... — mówię.

Patrzy skonsternowana.

— Och! To cytat z jakiejś książki. Wszyscy podziwiają twoją pobożność, pani. Zamierzałam studiować święte pisma. Tyle zawarto w nich mądrości. Gdybym tylko miała więcej czasu.

Być może te słowa to niedopowiedziana pokojowa propozycja. Jednakże życzliwość hrabianki wydaje mi się kontrolowana, zwłaszcza że jej kielich z winem jest pełny.

— Bardzo polecam takie studia nawet tym, którzy nie są predestynowani do zgłębienia złożoności świętych tekstów.

Wychwytyję dokładnie ten moment, kiedy dociera do niej moja słabo zamaskowana impertynencja. Wykonuje wdzięczny jak zwykle dyg.

— Cóż, proszę się dalej dobrze bawić, Wasza Wysokość. — Oddala się z gracją w swojej zwiewnej sukni.

— Radzę jej nie lekceważyć, pani — słyszę przy

uchu głęboki bas. — Odwracam się i widzę przystojną twarz lorda Hectora. Ma jak zawsze powściągliwą minę, ale kryje ona nieustającą czujność umysłu. — Hrabianka Ariña jest bardziej wpływowa i inteligentna, niż na to wygląda — ostrzega.

Kiwam głową, a gdy lord odchodzi, nieoczekiwanie coś ściska mnie w gardle.

Nie przestaję pojadać, udając zaangażowanie w grzecznościową konwersację. Moje oczy nigdy nie odrywają się na długo od Alejandra, który z ujmującą swobodą krąży wśród gości. Po jakimś czasie nie jestem w stanie wmusić w siebie nic więcej. Smugi światła wpadające przez wysokie okna robią się coraz węższe i wreszcie znikają. Służba wnosi pochodnie i zatyka je w regularnych odstępach wzdłuż kamiennych ścian. Uprzątają z bankietowych stołów pod ścianami pakiety *pollo pibil* i wnoszą półmiski z melonem na lodzie i winogronami bez skórek.

Zerkam na Ximenę. Stoi, opierając się o ścianę; na jej twarz nie pada światło. Od wejścia księcia Rosaria trzyma się blisko mnie; moja milcząca towarzyszka. Zazdroszczę jej, że potrafi być niewidoczna, i jestem ciekawa, co zaobserwowały jej oczy dzisiajszego wieczoru.

Podążając za jej wzrokiem ponad głowami strojnie ubranych gości, widzę Alejandra z Ariñą i dostrzegam, że wsunęła mu rękę pod ramię. Rozmawiają z generałem Luz-Manuelem, który czymś rozbawił

króla, bo ten wybucha gromkim śmiechem, który dociera przez ogólną wrzawę aż do mnie, przejmując mnie dreszczem. A Ariña wspina się na palce i całuje go w policzek, który chętnie nadstawił.

Mój żołądek przeciążony pikantnym daniem sygnalizuje, że będę miała kłopoty ze snem. Mimo to nie potrafię się oprzeć deserowi z melona w złocistej miodowej polewie. Czuję na języku rozkoszną słodycz zimnego owocu, zjadam jedną i zaraz następną porcję.

Nie jestem pewna, jak długo stoję przyklejona do bankietowego stołu z deserami. Wreszcie czuję na ramieniu delikatny dotyk ręki Ximeny.

— Chodźmy już, słońce moje.

Nie stawiam oporu, gdy mnie wyprowadza, ale potykam się i ledwie za nią nadążam, tak strasznie jestem przejeżdżona.

*

Długo leżę, nie mogąc usnąć, gdyż nie opada ze mnie napięcie. Ostry ból przeszywa mnie co rusz, promieniując od brzucha do nóg. Dokucza mi pieczenie za mostkiem. Najgorsze, że nie mogę przestać myśleć o tym, iż ileś osób widziało, jak sobie folguję z jedzeniem. Wyobrażam sobie, jak Alejandro kręci głową na taki brak godności, a Ariña, uwieszona u jego

ramienia, uśmiecha się z wyższością. I wyobrażam sobie, że lord Hector odwraca z rozczarowaniem głowę.

Wstyd mi. Gorące łzy ciekną mi po policzkach i wsiąkają w poduszkę. Bardziej niż kiedykolwiek brakuje mi Aneaxi. Miałaby w nosie to, że się nie nadaję do roli królowej i że Alodia myli się, wierząc we mnie. Przytuliłaby mnie i zapewniła, że Bóg miał rację, wybierając właśnie mnie.

Sięgam ręką do Boskiego Kamienia i naciskam palcami jego zimną powierzchnię. Przez cały dzień, o dziwo, nie dawał znać o sobie. Nie rozumiem, Boże, dlaczego się tu znalazłam. Chyba popełniłeś błąd.

Kamień reaguje na moją modlitwę lekkim wibrowaniem i promieniuje ciepłem. Te dodatkowe sensacje w brzuchu dopełniają miary. Zrywam się z łóżka i biegnę do atrium. Nie mam szans, by zdążyć do ubikacji znajdującej się w odległym kącie. Opieram się rękami o krawędź basenu i zwracam zawartość żołądka. Wymiotuję, aż mnie piecze nos i gardło, a żołądek wywraca się na nice.

Osuwam się bez tchu na podłogę i przytulam policzek do cudownie chłodzących kafelków. Czuję obrzydliwy smak w ustach, lecz jestem za słaba, żeby się podnieść. Po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że bóle minęły.

Wyczuwam znowu Boski Kamień. Pomóż mi, proszę. Odpowiada zdecydowanym ciepłem i ożywieniem — na szczęście tym razem nie pobudza

mnie do mdłości. Zaczynam się modlić z taką żarliwością, jakiej nie czułam od tygodni. Opowiadam Bogu o ojcu Nicandrze i martwych kamieniach, które zagrzebałam w donicy z palmą. Opowiadam o hrabiance Ariñi, o Cosmé i lordzie Hectorze. Pytam, czy nie błędzą Reformatorzy, którzy trzymali mnie w niewiedzy, i błagam o ochronę, jeżeli będę musiała stanąć u bram wroga.

Proszę o wybaczenie, że w Niego zwątpiłam. I zwieram się, że pragnę, by Alejandro mnie pokochał.

Budzi mnie Ximena. Otwieram oczy, boli mnie wciśnięty w fugę policzek, a kłujący ból karku uniemożliwia poruszenie głową. Przez świetlik wpada poranne słońce i opływa mnie pomarańczową smugą. Ximena cofa się o krok w cień i na moment zostaję sama, skąpana w boskiej poświacie. Wznoszę ręce do góry i przyglądam się grze światła na moich palcach. Fala ciepła zalewa moje ciało, dociera do najdalszych jego zakamarków, a rozchodzi się od delikatnego drgania w moim pępku. Zachwycona, poruszam palcami nóg.

— Słońce moje. — Jej głos jest łagodny i słyszę w nim zadziwienie. — Powinnaś teraz zażyć zdrowego snu w swoim łóżku. Dzisiaj po południu masz pierwsze obrady Kworum.

Zapomniałam o tym. Gramolę się z podłogi, niechętnie rozstając się ze smugą pomarańczowego światła, ale ono już blednie i się rozprasza, a po chwili

atrium rozjaśnia zwykły blask dnia.

Kiedy już tonę w pościeli, nadal jeszcze czuję to przyjemne ciepło pulsujące w moim ciele jak krew. Zapadam w beztroski sen.



Przygotowuję się starannie do swojego pierwszego występu na spotkaniu Pięciorga. Wciąż mi niedobrze po wczorajszym przejeździe, więc wysłałam Ximenę po prosty posiłek: chleb i owoce, i czekając na nią, zanurzam się w oczyszczonym basenie. Oddycham głęboko.

Przemyka mi przez głowę, czy przypadkiem Kworum nie jest tym wrogiem, o którym wspomina Homerowy *Afflatus*. Jednakże mam poczucie wewnętrznego spokoju po nocy spędzonej na modlitwie na zimnych kafelkach atrium. Jestem wybrana przez Boga, powtarzam sobie. Noszę Boski Kamień.

Ximena wraca i pomaga mi się ubrać po kąpieli. Skończyła szyć kaftan z połyskliwej czerwonej tkaniny, pasujący do nowej spódnicy. Jest dość luźny, ozdobiony czarnym aksamitnym paskiem. Narzucam go na białą spódnicę i mam wrażenie, że jestem w tym wszystkim wyższa, a nawet szczuplejsza.

— Dziękuję, Ximeno. Wygląda pięknie. — Jej uśmiech w reakcji na pochwałę chwyta mnie za serce. Tak mało potrzeba, żeby jej sprawić radość.

— Włóżysz czarne trzewiki. — Kiwam głową,

choć ich nienawidzę, bo mają podwyższone obcasy i obciskają mi łydki, ale za to jestem w nich wyższa o całą szerokość dłoni. Nie jestem pewna, jak należy się ubrać na posiedzenie Kworum, wydaje mi się jednak, że tradycyjny strój kobiet z Orovalle powinien być na miejscu. Generał Luz-Manuel powiedział, że mam reprezentować swój kraj, więc to zrobię.

Ximena zaplata mi część włosów z przodu głowy, robiąc z tego warkocza diadem, a reszcie pozwala spływać miękkimi falami na plecy. Delikatnie nakłada mi na rzęsy proszek antymonowy i wciera w wargi trochę karminowej szminki.

— Mam jaśminowe perfumy — zachęca.

Zapach jaśminu kojarzy mi się z domem, przywołuje przed oczy trejaże w ogrodzie mamy z owiniętymi na nich pnączami. Przypomina także moją siostrę. Gdy tamtego dnia na dziedzińcu obejmowała mnie na pożegnanie, otaczał nas zapach jej perfum.

„Musisz być sprytniejsza od Alodii”, ostrzegła mnie niania.

— Dziękuję ci, Ximeno. Wolę frezje.

*

Komnata obrad ma niski sufit i żadnych okien. Wchodząc, odruchowo schylam głowę. Widzę

podświetlone pochodniami kamienne ściany i ryglowane podwójne drzwi. Jest jak skarbiec ukryty pod ziemią w centrum pałacu. I czuję, że osacza mnie tu historia, całe wieki walki o władzę. Tu odbywały się tajne posiedzenia, sekretne spotkania i narady wojenne.

Siadamy na poduchach pokrytych czerwonym aksamitem ułożonych wokół ogromnego dębowego stołu, niskiego i wygładzonego dotykiem niezliczonych palców i łokci. Alejandro zasiada, krzyżując nogi, na honorowym miejscu u szczytu. Jestem pewna, że nie przypadkiem jego głowa znajduje się na tle pieczęci ze złotą koroną, zdobiącej wiszący za nim gobelin. Ja siedzę po jego prawej ręce jako gość honorowy. Po lewej, naprzeciwko mnie, generał Luz-Manuel, a za nim lord Hector, który puszcza do mnie oko, by dodać mi odwagi.

Hrabianka Ariña, uśmiechając się przepraszająco, wślizguje się, gdy wszyscy już siedzimy. Ubrana w obcisły gorset wygląda oszałamiająco. Jej włosy lśnią, a jedwabna spódnica faluje przy każdym kroku. Trudno oderwać wzrok od jej smukłej talii.

Zgromadzonych przywołuje do porządku hrabia Eduardo, mocnej budowy mężczyzna z czarnymi, przyprószonymi siwizną włosami. Ku mojemu zadowoleniu przytacza cytat ze *Scriptura Sancta*.

— Kiedy tylko zgromadzi się pięcioro, ja jestem pośród nich. — Pięć to święta cyfra oznaczająca perfekcję.

Hrabia, dopełniając formalności, przedstawia mnie zebrany — gest w istocie zbędny, ale czuję się uhonorowana. Rozpoczynają się obrady Pięciorga.

Pierwszy punkt dotyczy budowy portu w Puerto Verde. Zmuszam się do uważnego słuchania nużącej dyskusji o pozyskiwaniu drewna oraz ludzi do pracy i konieczności stworzenia systemu opłat za cumowanie.

Alodia popisałaby się elokwentnymi uwagami i dyplomatycznym pochlebstwem, ja jednak nie jestem Alodią. Milczę więc i tylko wyławiam wznoszące się i opadające fale ożywienia, zapamiętując, które sprawy budzą emocje, a które obojętność. Hrabia Eduardo jest żywo zainteresowany handlem drewnem, ale nie wspomina, gdzie ma swoje posiadłości, za to generał Luz-Manuel, jak się wydaje, chętnie opuściłby Brisadulce i osiadł gdzie indziej.

W końcu przechodzimy do problemów związanych z wojną. Hrabia Eduardo wymachuje nam przed oczami pergaminem ze złamaną czerwoną pieczęcią.

— Mamy kolejną prośbę od hrabiego Treviña o przysłanie oddziałów do obrony jego terytorium. Píše, że sytuacja jest niepewna, a tysiące wrogów ciągną z Sierra Sangre w dół na pogórze.

Twarz Ariñi się zmienia; hrabianka unosi jedną brew.

Nagle budzi się moja czujność i pełne zainteresowanie.

Alejandro pochyla się do przodu, niemal trącając

mnie łokciem.

— Czy zginęli jacyś ludzie?

Eduardo potrząsa głową.

— Jak dotąd nikt. Ale ginęły owce, najbliższy obóz wroga zaś znajduje się w odległości jednego dnia marszu od naszych najdalej wysuniętych wsi.

Generał Luz-Manuel uderza pięścią w stół.

— Wasza Królewska Mość! Nie możemy czekać, aż wróg uderzy. W każdej minucie naszej bierności Invierni rosną w siłę.

Rozlegają się pomruki. Alejandro patrzy niewidzącymi oczami przed siebie, Ariña porusza się na poduszce, spuszcza głowę. Uczestnicy Kworum, jak widać, nawykli do toczenia takiej dyskusji, ale rezultaty są boleśnie przewidywalne.

Hrabia Eduardo stara się kontrolować sytuację.

— Nie wolno nam się angażować, póki nie znamy ich intencji — mówi dobitnie. — Sugerujecie, żebyśmy zaatakowali na ślepo?

— Wygodnie ci planować moją wojnę ze swoich nadmorskich pieleszy po drugiej stronie pustyni — ostro kontruje Ariña.

— Twoją wojnę? — szydzi Eduardo.

— Dotyka moich ludzi. Mojego kraju. Mnie. — Zaskakuje mnie stalowe brzmienie jej głosu. Jeszcze bardziej jestem zdumiona tym, że pochodzi z podgórskiego rejonu po drugiej stronie pustyni. Myślałam, że urodziła się tu nad morzem, zważywszy na

jej jasną karnacją i miodowe oczy.

Zza stołu obserwuje mnie generał.

— Być może przedstawicielka Orovalle ma coś do powiedzenia na ten temat. — Uśmiecha się do mnie pobłaźliwie jak do małego dziecka.

Nagle w komnacie robi się gorąco i ściany zdają się zbliżać do siebie. Wciągam głęboko powietrze przez nos, czując na sobie ciężkie spojrzenie Alejandra. Lord Hector niemal niepostrzeżenie kiwa dla zachęty głową.

Zaczynam powoli:

— My w Orovalle za największy problem uważamy kompletny brak rozeznania co do dalekosiężnego celu Inwiernych. — Zauważam, że wszyscy kiwają głowami. — Przez trzy lata ich poseł prowadził kampanię na dworze mojego ojca na rzecz dostępu do portów, ale nigdy nie przedstawił konkretów, jak chcą z nich korzystać, były tylko mętne wzmianki o handlu. W zeszłym roku bez słowa zwinął się ciemną nocą. Zważywszy na dotychczasową historię naszych dwustronnych stosunków, od tamtego dnia przewidujemy, że zacznie się wojna.

— Tak samo było tutaj — odzywa się cicho Alejandro. Z zażenowaniem patrzę na strach w jego oczach. Nie dziwi mnie teraz, że wtedy w dżungli ogarnięty paniką nie walczył z dzikusami.

Mówię dalej, nie spuszczać z niego wzroku:

— Ale dlaczego? Dlaczego tak straszliwie zależy im na dostępie do morza? I dlaczego nie ujawniają

szczegółowych planów z tym związanych? W *Belleza Guerra* w wielu miejscach podkreśla się wagę rozeznania wroga. Uważam, że to powinno być naszym priorytetem.

— Nikt nie ma zamiaru tego kwestionować — mówi Ariña. — Moi rodacy nie mają jednak czasu na edukację w tym zakresie. Potrzebują natychmiastowej pomocy.

Ma oczywiście rację.

Jej oczy błyszczą od łez.

— Jestem zmęczona czekaniem, czekaniem i czekaniem na atak Inviernych. Dlaczego nie zaatakować ich na ich ziemi? Przepędzić raz na zawsze.

Co do tego Ariña straszliwie się myli.

Lord Hector konsekwentnie mnie obserwuje i ocenia swoim niezgłębionym umysłem.

— Nie zgadzasz się z tym, Wasza Wysokość — mówi i nie jest to pytanie, ale stwierdzenie.

Mam świadomość, że kolejne słowa zrobią z niej mojego śmiertelnego wroga, lecz, tak czy owak, muszę je wypowiedzieć.

— Nie. Nie zgadzam się.

— No proszę! — wykrzykuje lord Eduardo. — Nawet księżniczka Orovalle doradza powściągliwość.

Zwężają mi się oczy, zanim zdążyłam zapanować nad mimiką.

— Przepraszam, lordzie Eduardo, lecz jestem absolutnie pewna, że niczego nie doradzałam. — Widzę,

jak lord Hector kiwa głową, zachęcając mnie, bym kontynuowała. — Uważam, że należy pozwolić Inwiernym przyjść do nas.

— Ale dlaczego? — pada z ust Alejandra. Jego skupiona twarz sugeruje, że pyta z ciekawości, a nie zaczepnie.

To mnie uskrzydla. Mój mąż ceni sobie moją opinię.

— Nasza armia — wywodzę dalej — nie sprawdzi się w górach. Trzy wieki temu mój kraj rozgromił Inwiernych w bitwie pod Baraxil głównie dzięki temu, że tropikalna dżungla była dla nich obcym środowiskiem. Dlaczego stwarzać sytuację dającą im przewagę? Powinniśmy ich zmusić, żeby walczyli w piaskach i upale, a nie w porośniętych lasem górach, do których są przyzwyczajeni. — Rozgrzewa mnie temat, z każdym słowem nabieram większej pewności siebie. — Jeżeli Inwierni zaatakują nas tutaj, będą oddaleni od źródeł zaopatrzenia. Będą zmuszeni pilnować swoich tyłów. A ich szlak zaopatrzeniowy nie będzie bezpieczny. To ich osłabi. Chcą portu morskiego. Niech się wysilą i przyjdą go zdobyć. Nomadowie na pustyni będą wiedzieli, jak ich unikać. A my poczekamy na nich tutaj, w Brisadulce. Wykorzystamy czas na przygotowania. Zbudujemy fortyfikacje sięgające na pustynię. Zastawimy na nich pułapki...

— A co z moimi rodakami? — Pozornie opanowany głos Ariñi brzmi groźnie.

Patrzę na nią bacznie, ale jestem pewna logiki swojego wyводу.

— Muszą dostać rozkaz, żeby się ewakuowali.

Jej ciało napina się bardziej niż struna vihueli. Nie wykluczam, że hrabianka rzuci się na mnie przez stół.

— Żądasz, pani, by opuścili swoje domy? Miejsce, które ich żywi?

Kiwam głową.

— Tak, dopóki ich terytorium nie stanie się bezpieczne. — Zwracam się do Alejandra: — Jeżeli przystaniesz na to, żeby pogórze było terenem działań wojennych, narazisz na zagrożenie całe terytorium Joya d’Arena.

Przypomina mi się ostrzeżenie lorda Hectora, że Ariña jest bardziej wpływowa, niż się wydaje, tymczasem wbrew temu Alejandro patrzy na mnie z wdzięcznością, nadzieją nawet. Uświadamiam sobie, że powiedziałam dokładnie to, co życzył sobie usłyszeć.

— Czy myślisz, Wasza Wysokość — pyta generał Luz-Manuel — że ojciec pani, król Hitzedar, zechce użyć swoich oddziałów?

Alejandro sztywnieje, ale się nie odzywa.

Nie jestem pewna, co odpowiedzieć. Z listu Alodii wiem, że papa już zobowiązał się do pomocy wojskowej, bo to było warunkiem małżeństwa, lecz okazuje się, że Alejandro nie powiadomił o tym układzie nawet swego najwyższego rangą generała. Szukam podpowiedzi na twarzy Alejandra, jednak jej nie

znajduję.

— Wydaje mi się to prawdopodobne — mówię w końcu. — Invierni są również naszymi wrogami. Będę rada wstawić się u niego w waszej sprawie.

Twarz Alejandra się rozluźnia. Leciutko kiwa głową, lecz nie wiem, co to oznacza. Dobra robota? A może: Porozmawiamy później?

Z drugiej strony ogromnego stołu gniewne spojrzenia miota Ariña. Patrzy to na mnie, to na Alejandra, próbując rozszyfrować nasze milczące porozumienie. Wreszcie poprawia się na poduszce, oczy ma zwężone ze złości. Z jakiegoś powodu przychodzi mi do głowy, że nie rodacy zaprzatają głównie jej myśli.

Król każe przynieść mapę miasta i po krótkim czasie w niedużej komnacie robi się gorąco, gdy omawiamy fortyfikacje i sprawy zaopatrzenia miasta. Ze sposobu, w jaki mówi Alejandro, widać, że nie potrafi podjąć decyzji, a to wywołuje irytację Eduarda i generała. Król najpierw chce wiedzieć, jak daleko będą sięgać umocnienia wokół miasta, jeżeli pozwolimy Inviernym podejść do stolicy. Jak będziemy magazynować żywność, jeżeli dojdzie do oblężenia. A ja chciałabym, żeby nakreślił wreszcie strategię działania.

Tymczasem lord Eduardo wstaje i się przeciąga.

— Wybacz, Wasza Królewska Mość, lecz musisz mnie zwolnić. Nasza narada się przedłuża, a mnie oczekują gdzie indziej.

Alejandro podnosi głowę znad mapy.

— Oczywiście, Eduardo. Dziękuję za twoją opinię.
Gdy hrabia wychodzi, lord Hector nachyla się do ucha króla.

— Miłościwy Królu, księżę już czeka.

Alejandro robi wielkie oczy.

— Och! — Patrzymy na niego pytająco, uśmiecha się skonsternowany. — Obiecałem chłopcu, że pójdę z nim dziś do miasta. — Pociera nerwowo podbródek. — Hectorze, mógłbyś mnie wyręczyć i go zabrać? Powiedz mu, że musiałem zostać na naradzie.

Gwardzista z kamienną miną kiwa głową i wstaje z poduszki.

— Lordzie Hectorze — odzywam się, nie dając szans Ariñi. — Tak się składa, że planowałam dzisiaj wyjście do miasta. — To oczywiście nie jest prawda, ale takiej okazji nie mogę przepuścić. Markuję beztroski śmiech, kryjąc napięcie. — Jestem tu ponad miesiąc i jeszcze nie zaliczyłam prawdziwego zwiedzania. Chętnie zabiorę Rosaria ze sobą.

Król się rozjaśnia.

— Dziękuję, Eliso. Doceniam to. Lord Hector będzie wam towarzyszył. — Mruga do mnie, a mnie robi się gorąco. — Dajemy lady Ximenie wolne popołudnie, czy tak?

Kiwam głową, ponieważ nie jestem zdolna wykrztusić słowa. Lord Hector zmierza do drzwi, a gdy ja dźwigam się na nogi, widzę, że Ariña patrzy na Alejandra z miną zdezorientowanego i skrzywdzonego

dziecka, jakby podejrzewała zмовę między nim a mną.

Król ją ignoruje, pochyla się nad mapą i pyta generała Luz-Manuela, gdzie chciałby rozmieścić łuczników, jeżeli Invierni rzeczywiście podejda pod mury miasta. Jestem pewna jak swego imienia, że Alejandro nie powiedział swojej kochance o ślubie i żonie.

*

Ximena jest uradowana, że ma wolny czas. Uspokojona moimi zapewnieniami, że będę ostrożna, rzuca jeszcze groźne spojrzenie lordowi Hectorowi i wychodzi pośpiesznie do klasztoru, by wsadzić nos w niszczące dokumenty.

Gwardzista prowadzi mnie do komnaty Rosaria piętro wyżej. To nie jest daleko, a już zaczynam żałować, że zaoferowałam pomoc, gdyż z wysiłkiem pokonuję schody na sztywnych nogach.

Drzwi otwiera kobieta o trójkątnej twarzy, minę ma zgoła nieprzyjazną.

— Gdzie jest król? — pyta. Wygląda na korytarz, patrzy w jedną i drugą stronę.

— Jego Królewska Mość nie może towarzyszyć Jego Wysokości podczas dzisiejszej wyprawy — wyjaśnia lord Hector. Jego głos ma jeszcze niższe

brzmienie niż zwykle, lord cedzi słowa. — Jej Wysokość księżniczka Elisa go wyręczy.

Kobieta obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem odwraca głowę i woła:

— Rosario, kochanie. Pora na wycieczkę do miasta.

Po kilku sekundach pomiędzy jej wąskimi biodrami a futryną wysuwa się czarna głowa. Brązowe oczy Rosaria są pełne radosnego oczekiwania, ale gdy mnie widzi, pojawia się w nich rozczarowanie.

— Gdzie papa?

— Twój papa pracuje teraz nad czymś bardzo ważnym dla królestwa — tłumaczę mu. Zupełnie nie znam się na dzieciach, ale dzielnie walczę. — Ja wybieram się do miasta i możesz iść ze mną.

Zwęża oczy i wysuwa dolną wargę.

— Przyrowadź papę.

Czekam na reakcję tej kobiety — niewątpliwie jego niańki — bo powinna dać mu reprimendę. Mnie nie było wolno w wieku sześciu lat odzywać się tak bezpośrednio do dorosłych. Ona jednak głaszcze go po głowie i czeka, co ja na to.

Zwracam mu więc uwagę, jakbym pouczała służbę, bo to potrafię.

— Masz mówić do mnie „Wasza Wysokość”. Nie będziesz wydawał mi poleceń. Raczej zapytasz o wszystko grzecznie i z szacunkiem. Czy to zrozumiałeś?

Niańka przyciąga go do siebie i patrzy na mnie

konfrontacyjnie.

— On ma zaledwie sześć lat i nie można oczekiwać...

— Proszę odejść.

Drgają jej wargi. Otwiera usta, żeby zaprotestować, ale pod ostrym spojrzeniem lorda Hectora zmienia zdanie. Wykonuje szybki dyg i znika.

Rosario stoi samotnie jak karzełek w wielkich dębowych drzwiach, oczy ma okrągłe.

Trudno się nie roześmiać.

— Czy lubisz ciasto kokosowe?

— Tak — odpowiada szeptem. — I kokosowe mleko.

— O czym zapomniałeś?

— Dodać... Wasza Wysokość.

— Ja też je lubię. Jem to ciasto, kiedy tylko mogę. I słyszałam, że najlepsze ciasto kokosowe robią tu w Brisadulce. Koniecznie chcę znaleźć takie miejsce.

Kiwa z powagą głową.

— Dlatego jesteś taka gruba?

Nie wiem, z jakiego powodu, ale tym razem jego uwaga nie sprawia mi przykrości. Wydaje się niewinnym stwierdzeniem. A może uświadamiam sobie wreszcie, że nie jestem jedyną osobą zaniedbywaną przez króla.

Uśmiecham się do małego z prawdziwą wesołością.

— Tak, dlatego. A w każdym razie to się do tego

przyczynia. — Wyciągam do niego rękę. — Idziemy na ciasto?

Chwyta moją dłoń nieśmiało, a dotyk jego ciepłych paluszków jest zaskakująco słodki.



Po odbytej niegdyś podróży do Brisadulce Alodia opowiadała o olśniewających budynkach i egzotycznych ludziach. Gdy przechadzamy się po kupieckiej dzielnicy na południe od pałacu Alejandra, wydaje mi się, że jej relacja była mocno przesadzona. Domy i sklepy rzeczywiście lśnią w słońcu, ponieważ w większości zbudowane są z białego piaskowca, nieliczne z suszonej na słońcu cegły. Niestety, na ulicy ciężko się oddycha w cieniu wysokich ścian. Miasto jest zbudowane wokół nadmorskiej oazy, ale nie widzimy wody, ponieważ nie oddalamy się od pałacu i wciąż znajdujemy się kilka ulic od oceanu. A jednak mieszkańcy Brisadulce w tym suchym upale i ulicznym kurzu emanują niezwykłą energią. Sprzedawca orzechów kokosowych dla żartu rzuca nimi w stronę czmychających dzieciaków, praczka przyjmuje pięć dziennych porcji prania od pięciu różnych klientów i każdemu obiecuje, że jego pranie, uprasowane, będzie gotowe następnego dnia. To miasto, w którym nikt nie boi się obcych i każdy śmieje się przy lada okazji.

Popołudnie nie mogło być miłsze. Towarzystwo lorda Hectora jest jak zawsze kształtące, podziwiam

jego rozumienie historii i znajomość szczegółów. Mogłabym wędrować z nim przez miasto całymi godzinami, nawet na sztywnych, bolących nogach.

Natomiast mały Rosario to prawdziwy szatan. Biega to tu, to tam, wszystko go ciekawi, choć niczemu nie poświęca uwagi dłużej niż sekundę. Znajdujemy ciasto kokosowe w rozklekotanej budce ze słodyczami, ale nawet ten smakołyk nie zajmuje go długo. Po kilku kęsach wyrywa się, żeby biec za wychudłym stworzeniem ledwie przypominającym psa, a niedojedzony kawałek ciasta bieli się na brudnym piasku.

Jego zachowanie może nie tylko doprowadzić do szału, lecz jest wręcz niebezpieczne. Chociaż nasze ubrania nie zdradzają, kim jesteśmy, nie możemy ryzykować, że następcą tronu zniknie nam z oczu i zgubi się w mieście. Dreszcz mnie przechodzi na myśl o reakcji Alejandra, gdyby cokolwiek stało się chłopcu.

Więc kiedy Hector ciągnie go za rękę z bocznej uliczki, a mały mu się wyrywa, ostentacyjnie wyrażam dezaprobatę i skracam wycieczkę. Rosario patrzy na mnie spode łba, ale nie ustępuje.

Gdy byłam młodsza, żałowałam, że nie mam braciszka czy siostrzyczki. Chciałam opiekować się kimś, jak Alodia mną. Obiecywałam sobie, że będę dobrą siostrą, nie taką jak ona. Teraz zastanawiam się, czy przypadkiem nie dawałam jej w kość, jak ten mały dzisiaj mnie.

— Chce mi się pić — mówi Rosario, gdy chwytam go za rączkę, zdeterminowana, że już jej nie puszczę.

— Na pewno znajdziemy gdzieś wodę.

— Chcę kokosowego mleka.

— Nie wiem, do kogo mówisz.

Prycha ze złością, ale pamięta.

— Czy mógłbym się napić mleka kokosowego?
Wasza Wysokość?

Przypominam sobie, co Ximena mówiła mi, gdy będąc dzieckiem, domagałam się kawałka ciasta.

— Jak będziesz grzeczny, chętnie ci przyniosę. Będziesz rozrabiał, nie będzie mleka. — A przecież sama mam ochotę na filiżankę tego specjału. Tutejszy szef kuchni dodaje trochę miodu oraz odrobinę cynamonu i podaje napój po schłodzeniu go w piwnicy.

Rosario jednak nie ma zamiaru być grzeczny. Dwa razy udało mu się wyslizgnąć rączkę z mojej dłoni, ale na szczęście za każdym razem dogania go lord Hector.

Wracamy w końcu do pałacu i wchodzimy bocznym wejściem, ja idę z lewej strony Rosaria jako żywa zaporą między nim a mlekiem. Jak przewidywałam, gdy tylko zbliżamy się do łukowatego wejścia do kuchni, Rosario zwalnia kroku. Zostaje troszeczkę z tyłu.

Próbuje mi się wyrwać, ale trzymam go mocno.

— Chcę się napić mleka!

— Nie.

— Chcę się napić kokosowego mleka!

Kucam i patrzę mu w oczy. Jest kopią Alejandra, ma takie same czarne włosy opadające miękko na kark i brązowe oczy z lekkim czerwonawym odcieniem — jak mahoń. Jednak w przeciwieństwie do Alejandra, któremu robią się dołeczki na twarzy, a usta układają się do uśmiechu, Rosario jest wciąż rozdrażniony i nieprzewidywalny niczym kobra. To mnie martwi. Jest za mały, żeby tak bezwzględnie narzucać swą wolę.

— Uprzedzałam, że nie dostaniesz mleka, jeśli będziesz się źle zachowywał. Zawsze dotrzymuję słowa.

Patrzy na mnie. Ja na niego. Czuję milczącą, lecz zdecydowaną aprobatę stojącego obok mnie lorda Hectora.

— Papa nie dotrzymuje słowa.

— A ja tak.

Nagle gniewne książątko zmienia się w cherubinka i jego rączka w mojej dłoni się rozluźnia. Dostrzegam jednak iskierki przekory w jego bystrych oczach, więc nie puszczam go, gdy idziemy dalej korytarzem do jego komnat.

Zastajemy niańkę zmieniającą mu pościel. Rzuca mi czujne spojrzenie.

Książę Rosario patrzy w górę na mnie.

— Czy przyjdiesz znowu do mnie? Wasza Wysokość?

Unoszę brwi.

— A będziesz się starał być grzeczny?

Energicznie kiwa głową.

— Więc dobrze. Wkrótce wybierzemy się znowu do miasta.

Uśmiecha się.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. — Cały dzień walczyliśmy ze sobą. Trudno mi uwierzyć, że mały chce znowu tego samego. Nie jestem natomiast pewna, czy ja chcę.

Zostaję jednak obdarowana uśmiechem tak pięknym jak wschód słońca nad Sierra Sangre. I nagle księżę rzuca się do przodu i rączkami obejmuje moje nogi. Głaszczę go po głowie trochę skrępowana, a z ukosa widzę, że lordowi drgają wąsy. Kiedy mały wreszcie mnie puszcza, czuję chłód, jakby czegoś mi zabrakło.

Wydaję niańce wyraźne polecenie, by nie uległa prośbie o mleko kokosowe, ale nie sądzę, żebym mogła jej ufać. Gdy jesteśmy już za drzwiami, zwracam się do lorda Hectora:

— Lordzie, drogi, czy wyświadczyłbyś mi przysługę?

— Proś, pani.

— Zechciałbyś wstąpić do kuchni? Służba kuchenna powinna wiedzieć, że księżę miał dzisiaj nudności. Gdy będzie prośba o mleko kokosowe, powinien dostać wodę i cienką herbatę. — Boję się, czy nie jestem za surowa dla chłopca. Chyba to niezupełnie fair zakazywać mu czegoś, co dla mnie stanowiło pociechę, gdy byłam w jego wieku.

— Oczywiście, Wasza Wysokość. Zdobyłaś, pani, dzisiaj wielkiego przyjaciela.

Nie jestem pewna, czy ma na myśli siebie czy Rosaria.

— Jestem Elisa — mówię zniecierpliwiona. — Mów do mnie po imieniu. „Wasza Wysokość” jest dobre dla służby i niegrzecznych dzieci.

Wreszcie widzę u lorda prawdziwy, szeroki uśmiech i znika wyraz zatroskania, a więc mam dowód, że ten mężczyzna potrafi się czasami śmiać. Podaje mi silne, muskularne ramię i prowadzi do moich komnat.

Gdy wchodzę, widzę, że Cosmé zrobiła z mojego łóżka tymczasowy skład czystego prania. Zatrzymuję się w drzwiach, choć nogi mnie pieką, i obserwuję ją. Sprawne palce przesuwiają się po tkaninie, która układa się w fałdy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rozpoznaję jedną z moich zasłon — złocisty woal przerzucony przez wezgłowie lśni czystością. Ręczniki kąpielowe, o różnych wzorach, ale wszystkie w odcieniach błękitu, ułożone są starannie w stosiki. Tyle pracy, żebym mieszkała pięknie. A ja nawet nie wiedziałam, że zasłony wymagają prania.

Nuci sobie pod nosem radosną pieśń, którą śpiewaliśmy podczas ostatniego nabożeństwa. Dziwne jest widzieć ją tak na luzie. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że sztywna mina, którą codziennie oglądam, nie odzwierciedla prawdziwego usposobienia tej dziewczyny. Obserwuję ją długo, próbując zrozumieć tę

inną Cosmé i dziwić się, że zdaje się darzyć większym ciepłem ręczniki niż księżniczkę, której usługuje.

Nie jest jednak moją ambicją zdobywanie sympatii wypożyczonej od Ariñi służebnej.

— Ximena jeszcze nie wróciła?

Cosmé podskoczyła, ręcznik spłynął na posadzkę.

— Przepraszam, Wasza Wysokość. Przestraszyłaś mnie, pani.

— Mam nadzieję, że ręcznik się nie zabrudził. Pytam o nianię.

— Weszła tu po coś na chwilę i udała się do klasztoru do ojca Nicandra.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

— Była niegdyś skrybą.

Czarne oczy Cosmé robią się okrągłe.

— Lady Ximena?

Mam niekłamana satysfakcję, widząc jej zdziwioną minę, i miałabym ochotę pochwalić się swoją nianią. Powiedzieć tej bezczelnej dziewczynie, że Ximena jest jedną z najinteligentniejszych i najlepiej wykształconych osób, jakie znam, a do zabicia człowieka wystarcza jej szpilka do włosów. Ale oczywiście nic nie mówię.

— Wydaje mi się, że lady Ximena nie spodziewała się Waszej Wysokości tak wcześnie — mówi Cosmé, chcąc chyba przerwać krępujące milczenie.

Opieram się o kolumnę łóżka, wzdycham.

— Książę Uparciuch okazał się bardzo trudnym dzieckiem. Wracamy na długo przed obiadem, a mimo

to padam z nóg.

Cosmé podchodzi bliżej swoim tanecznym krokiem.

— Skoro nie ma Ximeny, pomogę ci, pani, się przebrać. I mogę też przygotować kąpiel.

Jestem zmęczona, w głowie mam zamęt, nic dziwnego, że mija sekunda, zanim dociera do mnie, że Cosmé dotyka szarfy, jaką jestem przepasana. Cofam się w panice do tyłu, lecz za późno. Poczułam już, jak jej zręczne paluszki prześlizgnęły się po pulchnym ciele i natrafiły na opór twardego kamienia.

Chociaż cofnęłam się o parę kroków, jej ręce zawisły w powietrzu i widzę, że przygląda się swoim palcom, jak obcemu, niemiłemu ciału przez przypadek doczepionemu do jej ręki. Kiedy wreszcie podnosi na mnie wzrok, po policzkach płyną jej łzy.

— To ty! — szepcze. Grymas niechęci wykrzywia jej usta. — Czy możliwe, że to ty?

Czuję, że kamień robi się gorący. Zbiera mi się na mdłości.

Cosmé kręci głową.

— To nie ma sensu — mamrocze do siebie. — To w ogóle nie ma sensu. To chyba jakaś pomyłka. — Wyciera łzy grzbietem dłoni.

— Cosmé.

— To nie możesz być ty. To niemożliwe. Ten, kto nosi Boski Kamień, powinien być...

— Cosmé! — Milknie i przypatruje mi się: mojej

twarży, rękóm, a zwłaszcza mojemu brzuchowi. I widzę dokładnie moment, kiedy przychodzi opamiętanie. Błysk przerażenia w oczach i natychmiast narzuca sobie zwykły spokój.

— Czy mogę odejść, Wasza Wysokość? — Twarz ma bez wyrazu, lecz głos spięty.

— Nie. — Robię krok w jej kierunku. — Nie wolno ci nikomu o tym mówić.

— Oczywiście, że nie powiem, Wasza Wysokość. Dobrą służebną musi cechować dyskrecja.

— Tak, to oczywiste. — Śmieję się bez rozbawienia. Mam nadzieję, że wiernie odwzorowuję sardoniczny śmiech Alodii, która go stosowała z dobrym skutkiem. — Postaram się postawić sprawę jasno. Zupełnie niedawno pewien żołnierz odkrył, że noszę ten kamień. Po chwili nie żył, bo Ximena zabiła go szpilką do włosów. — Czuję, że mój uśmiech staje się groźny. I nie muszę naśladować Alodii, to moment, kiedy z pełnym przekonaniem mogę pochwalić się swoją nianią.

Nie pozwalam odejść dziewczynie, póki nie mam pewności, że w jej oczach widzę zrozumienie.

*

Nie zwierzam się Ximenie z incydentu z Cosmé.

Nie czuję sympatii do dziewczyny, ale przecież nie pragnę jej śmierci. Z drugiej strony chciałabym opowiedzieć o tym komuś, gdyż zdziwiło mnie niezwykle wzburzenie Cosmé, gdy wyczuła kamień. Przychodzi mi na myśl ojciec Nicandro. Postanawiam więc odszukać go jutro.

Zaczynamy wieczorny obrządek. Ximena przynosi mi szklanekę schłodzonego wina, a na toaletce stawia zapaloną świecę. Siedzę, czytając *Scriptura Sancta*, gdy ona rozplata mi warkocze. Liryczne piękno języka i pokrzepiająca prawda zawarta w słowach zwykle usposabiają mnie do snu. Jednak nie dzisiaj. Litery rozmazują mi się i zamieniają w ciemne oczy Alejandra. Nie mogę zapomnieć jego spojrzenia, gdy patrzył na mnie podczas narady sondującym wzrokiem. Jego rysy wtedy tak bardzo zmiękły. I umknęło to również uwagi Ariñi.

Zamykam księgę.

— Ximeno.

— Tak, słońce moje?

— Chcę wyglądać ładnie... dziś wieczorem.

W lustrze dostrzegam jej lekki uśmiech.

— Sądzisz, że cię odwiedzi?

— Być może — mówię, ale w gruncie rzeczy jestem tego pewna. Boję się jednak o tym wspominać, jakbym mogła zapeszyć, a wtedy Ximena zorientowałaby się, że przeżywam straszne rozczarowanie.

— Zatem na wszelki wypadek się postaramy. —
Kciukiem przesuwam pieśczośliwie po moim podbródku.

Moje włosy, uwolnione z warkoczy, opadają burzą poniżej pasa. Ximena zbiera je z przodu i podcina luźno perłowym grzebieniem. Dzięki temu twarz mi się wydłuża, wyszczupla i nagle uwagę przykuwają oczy. Niania wciera mi w wargi odrobinę karminu. Bierze do ręki proszek antymonowy, ale rezygnuje z malowania oczu.

— Nie ma potrzeby — mruczy pod nosem, a ja nie jestem pewna, czy ma rację.

Pomaga mi się przebrać w koszulę nocną. Wybrała jedwabną w kolorze beżowym, przy której moje brązowe oczy nabierają ciepła, a cera blasku. Stoję przez moment przed lustrem i patrzę na siebie na pół z aprobatą, na pół z rozpaczą. Nigdy nie będę wiotka, delikatna ani piękna jak Alodia. Nawet teraz, choć wyciągam się w górę, na ile mogę, pod koszulą widać zarys dużego brzucha i pełnych piersi. Za to moja ciemna skóra jest absolutnie wyjątkowa, a moje włosy mają cudowny połysk.

Oto Lucero-Elisa, mówię w duchu. Ona nosi Boski Kamień.

Ximena poluzowuje nieco tasiemkę pod szyją. Tylko tyle, żeby przyciągnąć uwagę do dekoltu. Gramolę się wreszcie na swoje ogromne łóżce, a ona starannie układa wokół mnie kołdrę i zakrywa mi ramiona puklami włosów, a na koniec podaje mi

Scriptura Sancta. Czekając na jego przyjście, mogę udawać, że czytam.

Leżę tak bardzo długo, serce mi wali i podchodzi do gardła, czuję się jak kretynka. Jestem zadowolona, że Cosmé nie usługuje mi wieczorami i tylko Ximena będzie wiedziała, ile mnie to kosztuje. Po jakimś czasie nawet nie próbuję czytać, tylko zaczynam się modlić. Od Boskiego Kamienia promieniście rozchodzi się ciepło. Zapadam w drzemkę.

Pukanie.

Podrywam się i przez moment jestem dezorientowana. Świeca wypaliła się do połowy, a na stoliku przy łóżku zastygła plama wosku. On puka po raz drugi, wołam więc, by wszedł. Gdy przekręca się gałka, panikuję, że przygniotłam podczas snu policzek i pewnie koszula za dużo odsłania, ale zapominam o tym, jak tylko widzę jego twarz.

— Mam nadzieję, że nie przyszedłem za późno — usprawiedliwia się szeptem. — Generał Luz-Manuel przetrzymał mnie prawie cały dzień.

— Nie, oczywiście, że nie. Właśnie... — *Scriptura Sancta* leży jednak gdzieś z boku, jeden róg książki wystaje poza krawędź łóżka. Ratuję się śmiechem. — Zdaje się, że zasnęłam podczas lektury.

Alejandro siada na łóżku naprzeciwko mnie. Jest wysoki i nie potrzebuje wchodzić po stopniach.

— Zawsze byłaś taka pobożna?

Wzruszam ramionami.

— Już w dzieciństwie czytałam święte teksty. — Rzeczywiście wszystkie poza *Afflatusem* Homera. — Wydawało się to niezbędną, skoro noszę Boski Kamień — dodaję. Ale okazało się niewystarczające, myślę w duchu. Bóg pozostaje dla mnie nieprzenikniony i nie czuję, żebym się bardziej nadawała do heroicznej misji niż tamtego dnia szesnaście lat temu, kiedy umieścił święty klejnot w moim pępku.

Alejandro pochyła się i chwyta moją rękę. Delikatnie przesuwa kciukiem po kostkach moich palców, a mnie przesywa dreszcz aż po bark. Nie mogę swobodnie oddychać, gdy jest blisko mnie.

— Eliso. — Głos ma o ton niższy niż zwykle. — Dziękuję za Rosaria. Dzięki twojej pomocy mogłem zająć się bardzo ważnymi sprawami. — Uśmiecha się, ale ociężałe powieki świadczą o zmęczeniu. — Mój syn cię uwielbia.

Wspomnienie małego łobuziaka pozwoliło mi odzyskać mowę.

— Nie jestem tego taka pewna.

— O niczym innym nie mówił dzisiaj, tylko o tobie.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Cieszę się, bo też go polubiłam. — Dziwne, ale to szczere słowa.

— Będziesz wielką królową.

Rozdziawiam usta i gapię się na niego jak martwy

wątlusz.

Kiwa głową, nie zauważając mojego zdumienia.

— Wkrótce ogłoszę nasze zaręczyny. — Znowu się pochyła i całuje mnie w policzek, nieśpiesznie, delikatnie. Jego wargi są gorące, lekko wilgotne. Chciałabym, żeby przesunął je niżej do moich ust.

Gdy odchodzi, mamrocze jakąś grzecznościową formułkę, patrząc na oddalającą się wysoką sylwetkę. Lekko trzaskają drzwi do jego komnaty i słyszę szcęk zamka, zanim jeszcze dotarło do mnie, co powiedział.

Zaręczyny.

Nie zamierza powiadomić obywateli Joya d’Arena, że jesteśmy małżeństwem.

Trzykrotnie w dniu dzisiejszym okazałam się silna: narzuciłam swoją wolę na Kworum, a także małemu Rosario i Cosmé. Niestety, w kontaktach z Alejandrem daję pokaz kompletnej bezradności. Jest dobrym człowiekiem, w to wierzę. I tak pięknym, że wprost oszałamia. Jednakże ja staję się przy nim osobą, jakiej nie akceptuję.

Mam dość tego, że jestem traktowana jak dziecko. I mam dość sekretów. Czuję obrzydzenie do samej siebie, bo przecież na to wszystko pozwalałam. Złość zaczyna się we mnie gotować i dodaje mi odwagi. Zdobywam się na śmiałość.

— Ximeno!

Biegnie do mnie przez atrium, kok jej się rozlatuje.

— Co jest? Czy dobrze się czujesz?

— Ximeno, co mi zagraża? Dlaczego jestem bardziej bezpieczna tutaj niż w Orovalle?

Stoi pochylona przy wejściu, ze zwieszonymi ramionami. Widzę na jej twarzy odbicie wewnętrznej walki: ma zmarszczone brwi i zaciśnięte usta. Wyznawczynie dogmatu Reformy nie może pozwolić sobie na rozmowę ze mną o Boskim Kamieniu. Ale chce rozmawiać. Wyczuwam to.

— Czy nie uważasz, że byłabym bezpieczniejsza, gdybym wiedziała, co mi grozi? — pytam zachęcająco.

Sądząc po minie, Ximena daje za wygraną. Bierze głęboki oddech.

— Zdarzały się... incydenty. Ostatnio... twoja testerka. Zmarła. To było zatrucie.

— Moja testerka? Kiedy?

— Kilka miesięcy przed twoim ślubem.

— Miałam testerkę?

Ximena milczy.

Serce tłucze mi się w piersi jak szalone. Ktoś próbował mnie zabić.

— Czy dlatego, że jestem księżniczką? Czy też dlatego, że noszę Boski Kamień?

— Nikt nie odniósłby korzyści z powodu śmierci drugiej księżniczki. Chyba że ktoś chciałby, żeby sprawa przejęcia tronu stała się otwarta. Ale nie było zamachów na życie twojej siostry.

— Miałam testerkę — szepczę. Ktoś codziennie ryzykował dla mnie życie. Wreszcie za mnie zginął.

Ktoś, kogo w ogóle nie znałam. — Nic dziwnego, że byłaś wściekła, gdy wymykałyśmy się z Aneaxi do kuchni.

— Oczywiście. A czy nie zauważyłaś, że to ona zawsze szykowała i podawała ci jedzenie? A to dlatego, że podczas tych nocnych wypadów ona stawała się twoją testerką.

Czuję taki ciężar w piersi, że nie mogę oddychać. Ximena śpieszy do mnie, otula ramionami.

— Tak mi przykro, słońce moje. Chcieliśmy wszyscy zaoszczędzić ci tej wiedzy, żebyś wychowywała się jak normalne dziecko. Tutaj jesteś bezpieczniejsza, ponieważ nieliczni wybierają bożą ścieżkę i większość nigdy nie poznaje imienia boskiego wybrańca.

— Ale dlaczego? Dlaczego ktoś chciałby mnie zabić z powodu Boskiego Kamienia?

Pociera dłońmi moje ramiona.

— Z wielu powodów. Jesteś politycznym symbolem nawet w oczach tych, którzy w Boga nie wierzą. A z drugiej strony religijny fanatyzm popycha ludzi do dziwnych rzeczy.

Kto jak kto, ale ona powinna to dobrze wiedzieć.

— I żeby być szczerą do bólu, powiem ci, że nieskazitelny klejnot, wyrwany z twego martwego ciała, osiągnęłyby zawrotną cenę na czarnym rynku.

Jestem wstrząśnięta zarówno jej otwartością, jak i brutalnym pomysłem, że Boski Kamień może stać się przedmiotem handlu.

— Słońce moje, nie chciałam cię aż tak przestraszyć, ale widzisz teraz, że musisz być niezwykle ostrożna, prawda? Powiedz, że zrozumiałaś.

— Rozumiem — udaje mi się wykrztusić.

Dużo czasu upływa, zanim jestem gotowa zdmuchnąć świece i zamknąć oczy.

*

Nie jestem pewna, co mnie obudziło. Ponieważ na moją prośbę Ximena zostawiła otwarte drzwi na balkon, lekki zefirek porusza zasłony. Jednak ten delikatny szmerek nie zakłócał mi dotąd snu. Jest prawie całkiem ciemno, ponieważ dzisiejszej nocy nie świeci księżyc. Widzę jedynie niewyraźne zarysy toaletki i kolumn łóżka — dzięki miedzianej poświacie, która przesącza się do komnaty z miasta, niezapadającego nigdy w głęboki sen.

Czuję zapach cynamonu, ostry i słodki. Tak silny, że swędzi mnie nos. W mroku wyczuwam czyjąś obecność i myślę, że to Ximena, póki jakąś szorstką tkaniną nie zakrywają mi ust. Próbuje przekręcić głowę w bok, lecz ktoś przyciska mi do twarzy tę grubą szmatę. A więc dzieje się to, przed czym ostrzegła mnie Ximena, czego wszyscy się obawiali. Wiem, że muszę krzyknąć, żeby zaalarmować nianię.

— Mhmm! — Przez nos wydobywam zaledwie chrapliwy dźwięk, chociaż całkiem opróżniłam płuca z powietrza i coraz głośniejszy wali mi serce. Łzy cieką mi z kącików oczu, brakuje tchu, jestem półprzytomna. Wciągam trochę powietrza przez tę szmatę, mimo że czyjaś ręka mocno ją przytrzymuje. Przez moment mam poczucie zwycięstwa, ponieważ próba uduszenia mnie zawodzi. Jeżeli odbiję się nogami od kolumn łoża albo zdołam się przekręcić... Niestety, drażniący zapach cynamonu atakuje już gardło i płuca. Kręci mi się w głowie i mam wrażenie, że coraz głębiej zapadam się w materac. Coś mnie otula, coś ciemniejszego niż mrok, coś gorętszego niż pustynny żar. Miedziana poświata z balkonu znika.

*

Kołyszę się delikatnie z boku na bok. Mam mocno związane ręce, czuję się jak dziecko w beciku. A może jestem w trumnie? Drgają mi powieki, ale nie mogę ich otworzyć, są zlepione i pieką. Po chwili przestaję nawet próbować, ponieważ wyczuwam, że mógłby mnie oślepić dziwnie ostry blask. Wyobrażałam sobie zawsze, że ten drugi świat musi być skąpany w jasności, lecz zaskakuje mnie, że jest tu gorąco jak na pustyni. I chyba nie powinnam czuć w ustach smaku zepsutego mięsa.

Słyszę rozmowę. Swobodną, naturalną, banalną. Na temat postoju na odpoczynek i zapasów wody, padają jakieś dowcipy o wielbłądach, jednak nie chwytam puenty, choć dobiegają śmiechy. Jeden z głosów, kobiecy, brzmi znajomo. Nie potrafię go zidentyfikować, lecz jakieś mętne skojarzenie powoduje, że zaciskam zęby.

— Księżniczka niedługo się obudzi — mówi ktoś.

— Oddaliliśmy się na tyle, że nie ma znaczenia, kiedy otworzy oczy — odpowiada znajomy głos.

Usiłuję się oswobodzić, kopnąć w coś, lecz ciało nie jest posłuszne. Ogarnia mnie rozpacz, dusząca i mroczna. Nie możecie mnie nigdzie wywieźć, buntuję się. Szloch narasta gdzieś głęboko w bezwładnym zewłoku, jakim jestem. Nie możecie tego robić! Alejandro wreszcie ma mnie oficjalnie poślubić.

Ktoś mówi coś o oazie i wszyscy reagują radosnym śmiechem. Jest w nim nuta triumfu.

CZĘŚĆ II





Nie wiem, ile czasu upłynęło. Stan mojej świadomości był dziwny, nie byłam pewna, czy czuwam, czy śnię. Być może unoszę się w osobliwie rozedrganej od gorąca i jasności przestrzeni na granicy jawy i sennych majaków.

Nagle niczym zasłona otuliła mnie ciemność, niosąc chłodne ukojenie piekącym powiekom. Jednocześnie delikatne kołysanie ustało. Słyszę jakieś mamrotania, wkrótce rozróżniam głosy jednej kobiety i dwóch mężczyzn:

— Niedługo trzeba dać jej jeść. Nie, nie wiem, kiedy ostatnio jadła. Tak, masz rację, najpierw musi napić się wody.

Pusty żołądek boli mnie z głodu, jednak myśl o jakimkolwiek jedzeniu raczej pobudza do mdłości, dokucza mi też suchość w gardle.

Jakaś ręka, duża i ciepła, gładzi mój policzek. Delikatnie.

— Jesteś głodna, księżniczko? — To głos młodego mężczyzny. Przy moim uchu. Zatrzymuje zgłoski w gardle i wyrzuca je z charakterystycznym dla ludzi pustyni zaśpiewem.

Usiłuję otworzyć powieki, lecz wciąż mam zlepione.

— Och, biedactwo. Pozwól, że... — Chłodną, ociekającą wodą szmatką przeciera mi powieki. Uświadamiam sobie, że potwornie chce mi się pić. Ale nareszcie otwieram oczy.

Zaskakuje mnie jego twarz tuż nad moją. Najpierw dostrzegam ogromne brązowe oczy, które błyszczą niczym wypolerowane orzechy chlebowe. Potem gęstwą włosów, jakiej nigdy nie widziałam u chłopaka. Rozdzielone pośrodku przedziałkiem opadają miękko poniżej jego ramion. Delikatny zarost nie może zmylić. To jeszcze chłopiec. Ma sympatyczną twarz.

Ale to twarz mojego porywacza, staram się to pamiętać.

— Czego chcecie? — Mój obrzmiały język jest jak poduszka, spod której wydobywają się stłumione słowa.

— Ciebie chcemy, księżniczko. — Prostuje się i znika mi z pola widzenia, odsłaniając sufit z nieznanej tkaniny, którą podtrzymują drewniane paliki. Jest gęsta jak wełna, ale pstra i chropawa niczym niewyprawiony pergamin.

Chłopak wraca z drewnianym kubkiem. Podkłada mi rękę pod plecy i szeroką dłońią unosi mnie do pozycji półsiedzącej. Drugą podtyka mi do ust kubek.

— Pij. Jeżeli to zatrzymasz, damy ci coś do zjedzenia. — Woda jest ciepła i gorzka, ale piję ją łapczywie. Szybciutko opróżniam kubek, on kładzie

mnie z powrotem. — Teraz chwilę poczekamy. — Siada w kucki i jak zabłąkany pies przygląda mi się z zainteresowaniem.

— Kim jesteś? — pytam, już odzyskawszy głos, choć słyszę, jak drży mi z lęku. Mam nadzieję, że Ximene nic się nie stało. I mam nadzieję, że Alejandro zorganizował poszukiwania.

Porywacz uśmiecha się nieśmiało, ukazując zęby olśniewające bielą na tle ciemnej skóry.

— Jestem Humberto — odpowiada. — Eskortuję karawany, to mój zawód.

Próbuję przekręcić się na bok, żeby go lepiej widzieć, ale wciąż jestem sztywna w biodrach.

— Humberto, powiedz, dlaczego nie mogę się poruszyć?

— To przez liście *duermy* o działaniu nasennym. Wciągnęłaś tego do płuc dość dużo. Odrętwienie przejdzie za dzień, dwa.

Dzień albo dwa?

— A jak długo... to znaczy, ile czasu upłynęło od porwania mnie? — Ku mojej satysfakcji wzdrygnął się na to słowo. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

— Trochę czasu, księżniczko. Tyle, ile było trzeba.

— Król mnie odnajdzie.

— Będzie szukał — mówi posepnie i zmienia temat. — Masz ładne oczy. Piękne.

Zaciskam mocno powieki. Mimo to łzy wyciekają mi z kącików oczu i skapują na policzki.

— Och, księżniczko, przykro mi, chyba nie powiedziałem niczego... I będziesz dobrze traktowana, przysięgam.

Otwieram oczy. Minę ma wyraźnie zafrasowaną, co dostrzegam mimo nieostrego widzenia.

— Czego wy chcecie? Dlaczego mnie porwaliście? Poruszył się z zażenowaniem.

— O tym porozmawiamy później. Czy już jesteś głodna?

— Trochę.

— Cudownie! — Podrywa się na nogi. — Zaraz wracam.

Zostaję sama z tym dziwnym sufitem nad głową i nareszcie domyślam się, że jestem w namiocie. Owinięta tak szczelnie w grube koce, że ręce mam przyciśnięte do tułowia. Zapach podpowiada mi, że koce są z koziej wełny. Nieosłonięta twarz i szyja marzną, wysychające łyzy są lodowate.

Z zewnątrz dochodzą przytłumione głosy. Co najmniej trzech osób. Mój wróg musi być potężny, a przynajmniej bardzo sprytny, skoro zdołał się zakraść do królewskiego skrzydła pałacu Alejandra i potem uciec z tak ciężkim ładunkiem jak ja.

Mój wróg. Przypomina mi się tekst z *Afflatusa* Homera, mówiący o znalezieniu się u bram wroga i o królestwie sztuki czarnoksięskiej.

Słyszę kłapanięcie ciężkiej tkaniny, szuranie nóg i nade mną znowu pochyla się Humberto. Przytyka mi

do ust kubek z rosółem mięsnym. Wącham podejrzliwie.

— Zupa nie jest zatruta — uspokaja mnie. —
Gdybyśmy chcieli cię otruć, zrobilibyśmy to, gdy byłaś
odurzona narkotycznymi liśćmi.

— Jednak ty spróbuj.

Wzrusza ramionami, podnosi kubek do ust i go
przechyla. Patrzą pilnie, czy wypił odpowiednią porcję.

Kiedy przystawia mi kubek z powrotem do ust,
zaczynam pić łapczywie. Rosół jest gorący i pyszny,
przyrządzony z dziczyzny o nieznanym mi smaku,
przyprawiony czosnkiem i zieloną cebulką. Humberto
odejmuje mi na chwilę kubek od ust, żebym mogła
przełknąć i odetchnąć.

— Dziękuję. Co to jest?

— Zupa z jerboa, moja siostra robi najlepszą
w całym królestwie Joya.

— Jerboa?

— To takie pustynne myszki. — Mocno zaciska
pięść. — O, tej wielkości.

Wzdrygam się mimowolnie.

— Piję rosół z myszy?

Śmieje się.

— No dobrze, jerboa to całkiem inne stworzenia.
Czyściutkie, to po pierwsze. I dużo od zwykłych myszy
ładniejsze. Mają płowe futerko i długi ogonek
zakończony kitką.

Nie czuję się pokrzepiona.

— Chcesz dokończyć?

Chociaż powiedział, że będę dobrze traktowana, niczego nie mogę być pewna i nie mogę wiedzieć, kiedy następnym razem dostanę coś do jedzenia. Zmuszam się więc do wysiorbania reszty rosółu.

Humberto się przeciąga.

— Spróbuj zasnąć, księżniczko. Wyruszamy rano.

Wyruszamy? Dokąd? Ale nie zdążam zadać pytania, bo on już wychodzi i zabiera ze sobą kaganek. Zostawia mnie samą w lodowatej ciemności.

Jeszcze nigdy nie przeżywałam takiego lęku i bezradności. Zamknięcie oczu przynosi trochę ulgi. I mimo wszystko osuwam się w sen.

*

Budzi mnie nagłą potrzeba opróżnienia pęcherza. Złote światło i sympatyczne ciepło przenikają do namiotu, ale parcie w dole brzucha jest nieznośne. Poruszam palcami stóp i zginam kolana, żeby sprawdzić, czy nogi mam już sprawne. Są sztywne i słabe, ale poddają się mojej woli. Po cichu oswobadzam ciasno owinięte kocem ręce.

Lekkie podmuchy wiatru uderzają w ściany namiotu, natomiast nie słyszę na zewnątrz ani głosów, ani ruchu. Nie jestem skrupowana żadnymi więzami. Chyba nie przypuszczali, że liście *duermy* tak szybko

przestaną działać. Zatem być może uda mi się uciec.

Wysuwam się spod koców z koziej wełny i staję na nogi, ale nieruchomieję na moment, nasłuchując. Nic. Idę na palcach po brezentowej podłodze w kierunku wyjścia. Trzymam już rękę na brzegu kłapy, ale jeszcze się waham, zdając sobie sprawę, że jestem w samej koszuli i kapciach. Nie pora jednak na rozważanie, że to nieskromne. Serce mi łomocze w piersi, gdy odchylam ciężką tkaninę.

Oślepia mnie światło. Odwracam głowę w bok, odczekując chwilę, by oczy przyzwyczyły się do jasności i pozwalając, by gorący wiatr rozwiewał mi włosy — nie wszystkie dostały się w niewolę perłowego grzebienia Ximeny. Wreszcie stawiam nogi na cudownym piasku, który grzeje mnie w stopy nawet przez kaptcie.

Wystarcza jeszcze jeden krok, bym zdała sobie sprawę, że nie ma mowy o ucieczce. Otulam się ramionami, bo przytłacza mnie beznadzieja, i czuję się kruszyną, gdyż wszędzie naokoło, we wszystkich kierunkach aż po kres świata, rozciągają się wysokie wydmy pustyni Joya, ciemnoczerwone po ocienionej stronie i jak roztopione złoto po drugiej, gdzie rozjaśnia je wschód słońca. Wiatr przesypuje piasek przez szczyty i ten krajobraz jawi mi się jako zmienny, nieprzewidywalny i groźny. Słońce mam za plecami i ono już bezlitośnie piecze. Stoję na wzniesieniu, a mój cień rozciąga się daleko, wspina się i opada na

pofalowanym piasku.

— Wybierasz się gdzieś, Wasza Wysokość?

Uderza we mnie jej szyderczy ton. To ten znany głos, którego nie potrafiłam zidentyfikować, gdy budziłam się z narkotycznej śpiączki. Zamykam oczy i głęboko wciągam powietrze, starając się uspokoić, nim spojrzę jej w twarz.

— Witaj, Cosmé.

Stoi wyprostowana ze skrzyżowanymi ramionami, pustynny zefirek igra z jej krótkimi włosami. Czarne oczy i delikatne rysy są te same, ale bez fartuszka i czepka służebnej wygląda inaczej. Być może to tylko takie wrażenie, gdyż jej chłodny dystans do mnie zmienił się w jawną wrogość.

— Cieszę się, że cię widzę — kłamię jak z nut. — Mam nadzieję, że nic złego się nie dzieje.

— Widzę, że liście *duermy* szybko przestały działać.

— Co zrobiliście Ximenie? Czy zabiliście ją, żeby mnie wykraść?

Przestępuje w piasku z nogi na nogę, co odbieram jako drobny wyłom w jej bezwzględności.

— Nic jej nie jest. Wrzuciłam jej do herbaty szczyptę liści *duermy*, więc się dobrze wyśpi, to wszystko.

Czuję wszechogarniającą ulgę, ale trzymam się, żeby nie zacząć płakać przy Cosmé. Jedyna broń, jaką teraz dysponuję, to zmylenie przeciwnika, więc

demonstruję grzeczność i szacunek.

— Dziękuję. I dziękuję za wczorajszą zupę.

Marszczy ze zniecierpliwieniem brwi.

— Mnie nie dziękuj. Mój brat poczuł do ciebie sympatię i nalega, żeby cię dobrze traktować. Jemu podziękuj.

— Humberto to twój brat? — Trudno mi zrozumieć, że tak różne osoby to ta sama krew. Chociaż gdy przyglądam się jej baczniej, widzę, że mają takie same kręcone czarne włosy i podobny kształt brwi oraz nosa.

Nie raczy odpowiedzieć na pytanie o brata.

— Mam dla ciebie strój podróżny. Musimy natychmiast wyruszać. Humberto nauczy cię, jak składać namiot. Odtąd to będzie wyłącznie na twojej głowie. I jeszcze jedno — patrzy na mnie z niesmakiem — jeżeli przyłapię cię na tym, że wykradasz z naszych zapasów jedzenie lub wodę, zabiję. Czy rozumiałaś?

Spokojnie kiwam głową, chociaż puls wali mi w skroniach jak bęben.

— Nie martw się. Nie jestem osobą, która grasuje po nocach i zabiera rzeczy, które do niej nie należą.

Zadrgały jej nozdrza.

— Ubierz się. — Okręca się na pięcie i odchodzi tak szybko, że nie udaje mi się zapytać, dokąd wyruszamy.

Nierozważnie jest rozdrażnić osobę, która grozi, że cię zabije. Muszę okazywać więcej rozsądku, żeby

przetrwać, cokolwiek jeszcze się zdarzy.

Odczuwam coraz silniejsze parcie. Głęboko oddycham, żeby uciszyć spanikowane serce, i brnę przez piasek, na koniec wypatrując Humberta.

*

Obozowisko zwijamy błyskawicznie. Oprócz Cosmé i Humberta jest jeszcze trzech innych chłopaków w moim wieku, którzy patrzą na mnie z minami winowajców, ilekroć się mijamy. Moja służąca — była służąca — wciska mi naręczce ubrań i poleca bratu, żeby mi wyjaśnił, jak mam to wszystko nosić. Tkaniny są jasne i gęsto tkane. Szal na głowę, który ma mnie chronić od słońca, drażni mnie w lewy policzek, ale zwalczam chęć podrapania się. Humberto tłumaczy mi, że gdy poderwie się wiatr, powinnam zawiązać szal wokół twarzy, by osłaniał mnie od piasku.

Najważniejsze są buty. Para sztywnych butów.

— Piasek i skały poprzecierałyby zwykłe buty na wylot w ciągu kilku dni — wyjaśnia Humberto. Te, jak widzę, mają twarde podeszwy i są wysokie do kolan, a do tego wyposażone są w ochraniacze z wielbłądziej wełny, które owija się kilka razy wokół nóg. Humberto pokazuje mi, jak mocno zawiązać je poniżej kolan. — Jest sezon burz piaskowych — mówi. — A piasek

najostrzej zacina blisko ziemi. Wiem, że będzie ci w nich gorąco, ale dobrze chronią nogi.

Burze piaskowe. Pamiętam, że opowiadał mi o nich Hector, gdy z bezpiecznego miejsca patrzyliśmy na odległe wydmy. Powiedział wtedy, że takie burze potrafią zedrzeć z człowieka skórę.

Jakaż to desperacja skłania tę grupę do ryzykownej podróży przez pustynię w sezonie burz piaskowych?

Zostawiamy juczne konie pod opieką jednego z chłopców i ruszamy na piechotę, a dwa wielbłądy niosą nasze namioty oraz zapasy żywności i wody. Oglądam się za chłopakiem, który rusza w przeciwnym kierunku. Czyli można wydostać się z pustyni, tylko trzeba znać drogę.

— On trafi — mówi Humberto. — Jest przewodnikiem karawan jak ja.

— Dlaczego nie możemy jechać na koniach? — Co prawda koni zawsze się bałam, lecz łatwiej byłoby jechać na koniach, niż wlec się pieszo.

Niemal się zakrztusił.

— Och, księżniczko. Konie potrzebują pić dużo wody w pustynnym upale. Jechaliśmy na nich do tego miejsca, żeby ujechać z tobą jak najdalej. Ale teraz zdajemy się na wielbłądy. Przed nami wiele dni do następnego źródła wody.

Żołądek podjeżdża mi do gardła. Wprawdzie nadzieja na ucieczkę zgasła dziś rano, to jednak nie opuszczają mnie myśli, że Alejandro mnie uratuje.

Z pewnością przetrząsa pałac, szukając zaginionej żony. Być może wysłał pogoń aż na pustynię. Jednak im bardziej się oddalimy, tym trudniej będzie mnie znaleźć.

— Dokąd mnie zabieracie?

— Daleko, księżniczko. — Podnosi rękę, by ubiec dalsze pytania. — Nie zwracaj sobie głowy dalszym pytaniem. Nic nie powiem. W każdym razie nie teraz.

— Ja nie jestem... to znaczy, ja nigdy nie byłam sprawna fizycznie. Będę szła, póki będę mogła, ale...

— Och, już zdążyłem się zorientować. — Ma na stałe przylepiony do twarzy półuśmiech, jakby w każdej chwili miał się rozchichotać. — Ciągnęliśmy cię do tego miejsca na włókach. Nie myślisz chyba, że nieśliśmy cię taki szmat drogi.

Nie myślę, że mnie nieśli, oczywiście, że nie. Najsilniejszy człowiek na świecie nie dałby rady przenieść mnie nawet na niewielką odległość.

— Chcę powiedzieć, że w razie czego będziesz mogła jechać na włókach, jednak spróbuj iść sama przez jakiś czas, dobrze? — mówi Humberto. — Włóki to spore obciążenie dla wielbłądów. Potrzebują wtedy więcej karmy i wody, a moja siostra... — nie kończy.

Co chciał powiedzieć? Że jego siostra czeka na pretekst, żeby mnie zabić?

— Zrobię, co będę mogła.

Kiwa głową.

— Jestem tego pewien.

*

Pokonywanie pustyni pieszo to najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu robiłam. Już po paru chwilach od wysiłku bolą mnie kostki nóg i łydki, łapczywie łapię suche powietrze, wewnętrzna warstwa odzieży przesiąka mi potem. Ale prę do przodu, wydając okrzyk ulgi za każdym razem, gdy nasza mała grupa pokonuje kolejną wydnię. Nieuchronnie jednak pozostaję w tyle.

Pocieszam się tym, że bardzo zadbano o mój ekwipunek na drogę. Porywacze mają wobec tego w zamyśle dostarczyć mnie bezpiecznie w określone miejsce. Gdyby zostawili mnie samą na pustyni, oznaczałoby to dla mnie pewną śmierć. Od czasu do czasu Cosmé zerka do tyłu przez ramię, jakby spodziewała się znaleźć potwierdzenie, że dałam za wygraną albo zasłabłam, i za każdym razem, gdy to robi, gotują mi się wnętrzności i wysuwam nogę do przodu w ponurym sprzeciwie.

Brnąc tak przez piasek, mam mnóstwo czasu, żeby zastanawiać się, dlaczego mnie porwano. Wykradając mnie, wykradli Boski Kamień, i przeraża mnie myśl o tej chwili, kiedy uświadomią sobie, że ja sama jestem bezużyteczna. Co wtedy zrobią?

Jedyną nadzieję wiązę z poszukiwaniami, jakie na pewno czyni Alejandro. Że mimo nikłej nadziei na znalezienie mnie na tej bezkresnej pustyni zależy mu na

mnie na tyle, iż się nie podda.

W końcu zatrzymujemy się na odpoczynek i żeby napić się wody. Cosmé posyła w obieg bukłak z koziej skóry. Patrzą pilnie, ile każdy wypija, i pilnuję się, żeby nie przekroczyć tej ilości. Gdy bukłak zrobił dwa okrążenia, Cosmé wstaje, żeby przywiązać go na powrót do ładunku wielbłąda.

— Cosmé... — Humberto wskazuje na mnie brodą. — Trochę więcej dla księżniczki. — Uśmiecha się do siostry, a ta się waha. — Ona jest nieprzyzwyczajona i bardzo się poci. Proszę.

Z niechętnym burknięciem Cosmé rzuca mu bukłak, który Humberto zręcznie chwytą i wkłada mi w ręce.

— Pij, mała księżniczko.

Nie jestem pewna, co zrobić. Jeden z dwóch chłopaków milczy i patrzy na mnie ponuro. Ten drugi, smukły jak drzewo nawet w luźnej abai, mruga do mnie sponad garbatego nosa. Podnoszę bukłak w ich stronę.

— Dziękuję — mówię. A potem biorę jeden głęboki łyk. To absolutnie za mało, ale oddaję wodę Humbertowi.

Znowu ruszamy, niestety, nogi trzęsą się pode mną jak daktylowy pudding. Tym razem zdecydowanie wcześniej zostaję w tyle, lecz wlokę się za nimi, zaciskając zęby. Upał jest nie do zniesienia, w płucach czuję ogień i źle widzę w rozedrganym powietrzu. Po jakimś czasie nawet się nie staram, by nie stracić z oczu

towarzyszy, gdyż łatwiej mi iść ze spuszczoną głową po śladach zostawionych przez ich stopy.

A właściwie już nie idę, lecz się ślizgam i zataczam, a wreszcie wpadam na zad wielbłąda.

— Aua. — Podnoszę głowę, mrużąc oczy. Zatrzymali się jednak i na mnie czekają. Gapię się, ale przez załzawione i piekące oczy nie rozróżniam ich twarzy.

— Humberto. — To głos Cosmé i jest niezwykle łagodny. — Zaprzęgnij włóki.

Mam ochotę ją uściskać.

Humberto się uwija, a ja słaniam się na nogach. W końcu bierze mnie za rękę i prowadzi do prowizorycznych włók na płozach. Kładę się na nich, nakrywam twarz szalem i ruszamy. Chód wielbłąda jest dziwny, podrygujący, ale szybko przyzwyczajam się do tego obcego rytmu. Jestem tak wykończona, że oczy same mi się zamykają, jednakże nie mogę zasnąć po tym, co wyłowiałam ze strzępów rozmów przerywanych beztroskim śmiechem. Moi porywacze najwyraźniej uważają, że nie grozi nam żaden pościg.



Wieczorem Humberto pokazuje mi, jak się stawia namiot. Paliki nie są ciężkie, lecz manipulowanie nimi wymaga siły i zręczności. Zapewnia mnie, że opanuję tę sztukę, ja jednak wątpię.

Gdy namioty są już rozstawione i wielbłądy zadbane, Cosmé rozpala ognisko i zaczyna gotować zupę z jerboa. Odchodzę parę kroków od gorących płomieni, żeby podziwiać zachodzące nad pustynią słońce. Bezkresna i rozedrgana przestrzeń wygląda przepięknie w czerwonym jak krew, gasnącym świetle dnia. Wydmy mnie fascynują. Pomarszczone od nawietrznej strony, po zawietrznej są gładkie jak krem i nieprzyzwoicie przytulne jak ulubiony dywan. To zdumiewające i porażające potęgą miejsce, więc dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że oczarowana dotykam palcami Boskiego Kamienia.

— Czy on mówi do ciebie? — To Humberto stanął nagle koło mnie. Nie zauważyłam, kiedy się zbliżał. Przesłupuje niepewnie z nogi na nogę. Jego oczy o zmroku są czarne, tak jak oczy jego siostry.

— Dlaczego pytasz? Jakże właściwie nadzieje wiążecie z Boskim Kamieniem?

Spuszcza wzrok i odpowiada z poważną miną.

— Może nas uratować.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, na szczęście powstrzymuję się w ostatniej chwili. Moje przetrwanie może przecież zależeć od ich wiary w to, że potrafię sprawić, by ich nadzieje się ziściły.

Po chwili Humberto intonuje:

— I Bóg powołuje swojego bojownika. Tak czyni raz na cztery generacje. Powołuje go, żeby nosił jego stygmat.

— To *Afflatus* Homera. — Łapię go za ramię. — Znasz to!

Robi zdziwioną minę.

— Oczywiście.

Cosmé woła nas na obiad akurat w tak niefortunnym momencie.

— Zupa czeka! — mówi Humberto i już go nie ma. Ciągnę się za nim z postanowieniem demonstrowania pewności siebie, jaką ma mieć osoba, która potrafi ratować innych.

Siadam przy ognisku naprzeciwko Cosmé, wdzięczna za płonący ogień, gdyż ku mojemu zdumieniu nastąpił gwałtowny spadek temperatury. Razem ze mną jest nas pięcioro. Święta cyfra oznaczająca perfekcję. Z nauk pobieranych u mistrza Geralda wiem, że nomadowie zawsze wędrują w grupach, w których liczba osób jest wielokrotnością pięciu, co ma im przynosić szczęście i boże

błogosławieństwo.

Cosmé podsuwa każdemu z nas miskę. Popatrując na innych, domyślam się, że sztucców nie dostaniemy, trzeba więc przytknąć brzeg miski do ust i wyławiać skrawki mięsa brudnymi palcami. Gdy wylizuję ostatnie krople, nadal burczy mi w brzuchu. Nie jestem najedzona. Rozczarowana odstawiam miskę. Cosmé patrzy na mnie z przeciwnej strony ogniska. Słońce już dawno zaszło i tańczące płomienie rzucają na jej twarz upiorne cienie.

— Wasza Wysokość — mówi łagodnie i cicho. — Będziesz dostawała te same racje co pozostali.

Twardo patrzę jej w oczy.

— Nie proszę o więcej.

Cosmé wstaje i otrzepuje nogi z piasku, a potem pełnym wiadrem piachu zasypuje ogień. Nasze obozowisko oświetlają teraz jedynie dwie pochodnie i słaba poświata gwiazd. Wokół rozciąga się nieprzenikniona czerń bezkresnej pustyni.

Rozchodzimy się do namiotów. Otulam się ciasno szorstkimi kocami, wdzięczna, że stanowią skuteczną ochronę przed zimnem. Moje ostatnie myśli krążą wokół *Afflatusa* i bram wroga.

Wczesnym rankiem następnego dnia po skąpym śniadaniu z suszonego mięsa i daktyli samodzielnie zwijam swój namiot. Zajmuje mi to więcej czasu niż reszcie, ręce trzęsą mi się z wysiłku, ale odnoszę sukces. Wkrótce orientuję się, że znowu czeka mnie piesza wędrówka. Nogi, a zwłaszcza łydki, bolą mnie tak strasznie, że gdy ruszamy, łzy napływają mi do oczu. Potężna sylwetka Humberta majaczy daleko przede mną. Jest naszym przewodnikiem w tej wyprawie przez pustynię, więc póki nie zatrzymamy się na odpoczynek, nie ma mowy o rozmowie na temat przepowiedni Homera i o zadawaniu pytań.

Ledwie żywa brnę w piasku tak wolno, że wkrótce moi porywacze są zaledwie ciemnymi punktami na żółtopomarańczowym widnokręgu. Zastanawiam się, czy nie postawili na mnie krzyżyka, porzucając na pastwę okrutnej pustyni. A ja nie chcę tu umierać, nie wyobrażam sobie swojego ciała wyschniętego na wiór. Żołądek czuję pod żebrami jak pustą jamę, szarpaną palącym bólem głodowym. Jeszcze gorszy jest pulsujący ból w głębi oczodołów oraz mdłości i zawroty głowy. Powinam zjeść coś słodkiego, żeby ból głowy ustąpił, lecz wiem, że niczego takiego nie dostanę.

Zrywa się wiatr, zacinając piaskiem w twarz. Nie zatrzymując się, naciągam szal na nos i wiążę go tak, jak pokazywał Humberto. I wlokę się do przodu.

Nie wiem, ile czasu upłynęło do momentu, gdy

nagle ktoś mnie chwyta za ramię. Podnoszę głowę i mrużąc z bólu oczy, rozpoznaję twarz Humberta.

Boski Kamień promieniuje lodowatym zimnem wzdłuż kręgosłupa i do klatki piersiowej.

— Musisz się pośpieszyć — słyszę głos chłopaka, przebijający się przez wiatr. — Idzie burza piaskowa.

O Boże, nie.

— Tamci już rozstawiają namioty. Czy możesz biec?

Kiwam głową, choć wątpię, żeby moje nogi były do tego zdolne.

Owija sobie moją rękę wokół karku i z takim wsparciem przyśpieszam kroku. Humberto jest bardzo silny, holuje mnie, nadając tempo nieosiągalne bez jego pomocy, a gdy się potykam, podtrzymuje mnie, żebym nie upadła. Kłęby piasku biją nas po nogach. Widzę, że Humberto jest w panice. Ciągnie mnie za sobą konsekwentnie.

— Szybciej, księżniczko. Musimy iść szybciej.

Ruszam więc nogami najszybciej jak mogę, zasysając powietrze przez szal i nie zważając, że serce wali mi w gardle.

Wreszcie pokonujemy szczyt wydmy. Przed nami leżą obok siebie wielbłądy, dwie wielkie bryły na piasku. Porykują i podrzucają łbami, a Cosmé zwija się, żeby osłonić je czymś w rodzaju namiotu.

Tuż obok stoi solidny namiot, a u wejścia gorączkowo macha do nas chłopak z garbatym nosem.

Niestety, nogi wrastają mi w piasek, ciężkie i sztywne jak słupy, a tymczasem zbliża się ku nam ściana ciemności. Czarne wiry suną blisko ziemi, wyrzucając tumany piasku tak wysoko w górę, że niebo przybiera odcień brązu.

— Księżniczko! — Humberto szarpie mnie do przodu, ale nie mogę ruszyć nogami, tak że praktycznie chłopak wlecze mnie do namiotu. Ryk burzy jest ogłuszający. Nie potrafię uwierzyć, że jesteśmy w stanie przetrwać coś takiego. Nasze namioty wyglądają nieadekwatnie do potęgi żywiołu, więc uważam, że tu umrę, moje ciało zostanie oderwane od kości, a Boski Kamień zasypany górą piasku.

Wpadamy do namiotu, za nami Cosmé. Zaciąga klapę i mocno ją przywiązuje. Gdy odzyskuję oddech, spoglądam na czwórkę moich porywaczy i przerażają mnie ich szeroko otwarte oczy. Na zewnątrz pojękują wielbłądy.

— A wielbłądy? — pytam. Są to dziwne stworzenia, ale mniejszy lęk budzą we mnie niż konie, bo mają długie rzęsy i niezmiennie uśmiechnięte pyski. Nie mogę znieść myśli o tym, że piasek zerwie z nich skórę. — Czy one...

— Są lepiej przystosowane do warunków pustyni niż my — mówi Cosmé. — Wiedzą, że mają leżeć podczas burzy. Nic im nie będzie. — Wzrusza ramionami. — Chyba że będą pogrzebane pod piaskiem zbyt długo.

— Pogrzebane? — szepczę jak echo, gdy Humberto obwiązuje mnie liną w pasie.

— Księżniczko, jeżeli namiot się rozpadnie, znajdź jakiś jego kawałek i się nim owiń — mówi. Siebie też obwiązuje kolejnym kawałkiem tej samej liny i potem rzuca ją Cosmé, by zrobiła to samo. — Zostaw miejsce dla przepływu powietrza, o tak. — Dla zademonstrowania owija luźno koc wokół głowy i przedramienia.

Nie widzi, że kiwam ze zrozumieniem głową, gdyż w namiocie robi się nagle bardziej czarno niż w nocy, a nad nami przetacza się ryk burzy. Nie słyszę już wielbłądów ani uderzeń zewnętrznej powłoki namiotu, ani oddechów współtowarzyszy. Gdyby nie wspólna lina, opasująca każdego z nas, miałabym wrażenie, że jestem zupełnie sama. Tumany wirującego piasku wytwarzają huk tak straszliwy, nieprzerwany i tak jednostajny, że można go przyrównać do spokoju. Siedzę bez ruchu i czuję, że serce bije mi wolniej i normuje się oddech.

Nagle zapada cisza. Absolutna cisza, jakby cały świat zamarł.

— Już po wszystkim? — pytam i aż podskakuję, tak dziwne wydaje mi się brzmienie własnego głosu.

— Tss! — ucisza mnie Cosmé. — Nie marnuj powietrza paplaniem.

Marnowanie powietrza? Zaczyna mi świtać w głowie: jesteśmy zasypani piaskiem.

Po chwili przeraźliwe odgłosy burzy powracają i znowu tłumi je kolejna niepokojąca cisza. W ten sposób ciągnie się to popołudnie: siedząc w ciemności, jesteśmy zagrzebywani i odgrzebywani kilkakrotnie. Bardziej jednak mnie przeraża pewność, że burza zatrze wszelkie ślady i Alejandro już nigdy mnie nie odnajdzie.

Wreszcie cisza utrzymuje się długo. Ze środka ciemności odzywa się Cosmé:

— Spróbuj teraz, Belén.

Słyszę głośny szelest, a potem odgłos rozdieranej tkaniny. Z dziury w górze wlewa się do namiotu światło i sypie się piasek. Mrużę oczy, gdy chłopak z garbatym nosem prostuje długi maszt. Tam w górze widzę piękne niebieskie niebo. Dotykam czubkami palców Boskiego Kamienia i wznoszę modlitwę dziękczynną.

Cosmé i Belén odkopują namiot. Zewnętrzna powłoka jest poszarpana w kilku miejscach, ale Humberto zapewnia, że po naprawie będzie nadal dobrze służyć. Wielbłądy są zasypane jedynie do połowy. Cała nasza piątka rzuca się na kolana i odgarnia z nich piasek, żeby można było je uwolnić spod ciężkiej płachty. Prychając i pojękując, zwierzęta wstają, kołyszą się na boki i potrzęsają głowami. Ten większy, ciemnobrązowy, prawie czarny, przeżuwa, a płowy grzebie kopytem w piasku. To normalne zachowanie tych zwierząt, już im się przypatrzyłam, ale dziwi mnie ich pogodna akceptacja takiego dnia.

Słońce jest już nisko na niebie, zasnuwając

miedzianą barwą nowo ukształtowane wydmy, gdy wreszcie jesteśmy gotowi z odkopaniem i porządnym ustawieniem namiotów.

Wieczorem możemy sobie pozwolić na dłuższe podtrzymanie ogniska dzięki świeżemu zaopatrzeniu w wielbłądzie łajno. Przy spożywaniu skąpej racji zupy z jerboa zadaję pytanie:

— Czy burze piaskowe zawsze tak wyglądają?

Humberto ma pełne usta, więc odpowiada mi Belén.

— Każdego roku zdarza się jedna lub dwie tak ciężkie jak ta. Zwykle są łagodne i krótkie.

Popijam wolno zupę, delektując się smakiem i z przerażeniem myśląc, że za chwilę miska będzie pusta. Oczy moich współtowarzyszy są utkwione we mnie, taksują mnie wzrokiem. Jedna para patrzy krytycznie — to oczy Cosmé, a na jej ustach widzę w blasku ognia pogardliwy grymas. A inni? Ich oczy pytają, a może wyrażają mieszaną niechęć i szacunek. Nawet ten milczący chłopak przypatruje mi się uważnie. Wiem, co zrobiłaby Alodia.

— Każdy z was dokładnie wie, co ma robić. Żeby przetrwać.

Humberto wzrusza ramionami.

— Jesteśmy przewodnikami. To nasze zajęcie.

Cosmé jest dwórką, a nie przewodnikiem, lecz nie pora dzielić włos na czworo. Kiwam głową, sugerując głęboki namysł.

— Pustynia kształtuje silnych ludzi. — Mam

nadzieję, że moje słowa nie zostaną odebrane jako wkupowanie się pochlebstwem.

Belén wysuwa z dumą brodę.

— Przeżywaliśmy gorsze rzeczy niż burze piaskowe.

— Nie wątpię. — Wyskrobuję reszkę zupy z miski i oblizuję palce. — Nadchodzi jednak coś nowego. Albo już nadeszło. Nie możecie być pewni, czy to przetrwacie. Tak?

Unikają mojego wzroku. Wszyscy. Cosmé krzyżuje nogi i przypatruje się kostkom u rąk.

Zdobywam się na odwagę.

— O co chodzi? Po co trud holowania przez pustynię grubej, nikomu nieprzydatnej dziewczyny? Dlaczego jestem aż tak ważna, że wobec zagrożenia burzą piaskową wysłaliście mi Humberta na ratunek?

— Nie po ciebie kazaliśmy Humbertowi wracać — rzuca Cosmé. — Wysłaliśmy go po Boski Kamień.

Ach, tak.

— Dlaczego więc nie wyrwać go spod mojego pępka? — Jak tylko te słowa wychodzą z moich ust, zdaję sobie sprawę, że popełniam błąd.

Cosmé ma minę drapieżnika.

— Wciąż rozważam takie rozwiązanie.

— Cosmé! — Po raz pierwszy odzywa się milczący zawsze chłopak. — Nie wolno nam ryzykować. Przepowiednia nie jest jednoznaczna. Zabijemy ją później, gdy okaże się nieprzydatna.

Humberto mruży groźnie oczy.

— Nikt jej nie zabije, Jacián. Nikt nigdy.

Tej nocy Humberto wpełza do mojego namiotu i bez słowa rozkłada obok mnie swoje pośłanie. To mnie uspokaja, bo wiem, dlaczego przyszedł. Obawia się, że inni mogą zrobić mi krzywdę.

*

Kolejne dni wloką się bez końca w dokuczliwym upale, ale wykorzystuję czas na przemyślenia. Postanawiam zachowywać się jak osoba chętna do współpracy i niestwarzająca zagrożenia — jedyna szansa na przeżycie tutaj to trzymać się porywaczy, więc nie mogę dać im powodu do zabicia mnie.

Schodzimy z wydm na płaskowyż. Piasek nie wysysa już ze mnie potu przy każdym kroku, toteż jakoś nadażam, wkładając w to znacznie mniej wysiłku. Humberto prowadzi i nigdy się nie waha, w jakim iść kierunku, chociaż wciąż nie mogę pojąć, jak to robi. Wyczerpują się nam zapasy wody i jest racjonowana. Moje ciało tęskni do chłodnej kąpieli w moim basenie w atrium. Nie, to nie tak. Woda w moim basenie zawsze była gorąca, ale ja wyobrażam sobie teraz, że jest chłodna, i równie realistycznie czuję silne palce Ximeny masujące mi plecy.

Pieką mnie popękane usta. Patrzę na wielbłądy, którym zwiotczały garby, i chociaż Humberto zapewnia mnie, że to było do przewidzenia i że zwierzęta dojdą do siebie, gdy napiją się wody i poskubią trawy, bardzo mi ich żal. To sekundowa refleksja, gdyż moją głowę zaprzatają jedynie obsesyjne myśli o wodzie.

Po dniach wędrówki przez płaskowyż Humberto doprowadza nas do głębokiego żlebu. Wielbłądy porykują i prychną, wyrzucają w górę kolana i kręcą łbami, gdy idziemy wzdłuż koryta między urwistymi zboczami. Za zakrętem otwiera się przed nami oaza z kępami palm, żółtolistnymi akacjami, zieloną trawą i lśniącym w słońcu jeziorkiem o błękitnej barwie. Nigdy nie widziałam piękniejszego widoku.

Zrywamy się do biegu, nas pięcioro i dwa wielbłądy, i wpadamy niemal po pas do wody.

— Nie pij za dużo naraz! — wrzeszczy do mnie Humberto. — Zaszkozi ci. — Wypijam więc tylko parę haustów, za to chowam się pod wodę wraz z głową, rozkoszując się chłodem i wilgocią na skórze. Kiedy wynurzam się na powierzchnię, widzę, że pozostali ochlapują się wzajemnie, popiskując jak dzieci. Gdy Humberto wielką dłonią wybija drobną falę w moją stronę, bez zastanowienia przyłączam się do zabawy, śmiejąc się i rozchlapując wodę naokoło jak oni. Jakbym ich dobrze znała. I czuła się z nimi bezpiecznie.

Dużo później wierzchnie warstwy naszej odzieży wiszą na gałęziach dużej akacji rosnącej nad jeziorkiem.

Namioty są rozstawione, wielbłądy pasą się na soczystej trawie na przeciwległym brzegu. Siedzę z gołymi nogami w wodzie, podziwiając świeże odciski na stopach. Jestem z nich dziwnie dumna.

Humberto przysiadła się do mnie, rozkłada między nami swój szal, do którego z przysadzistych palm nazbierał świeżych daktyli. Wyrzywa mi się pisk radości i wrzucam jeden owoc do ust. Jest słodszy od miodu, słodszy nawet niż ciasto kokosowe na ulicznym straganie. A może tylko tak mi się wydaje po jedzeniu codziennie wyłącznie suszonego mięsa i zupy z jerboa. Wypluwam pestkę i sięgam po następnego daktyla.

— Bardzo, bardzo dziękuję! — mówię z pełnymi ustami.

Przygląda mi się, gdy żuję, i w jego wzroku odczytuję ciekawość, a może nawet szacunek. Nie czuję się ani trochę zakłopotana, jak to bywało pod przenikliwym spojrzeniem Alejandra.

Nie zwijamy obozowiska przez dwa kolejne cudowne dni, ciesząc się odpoczynkiem, wodą i chłodem. Potem przez kilka dni maszeruję z mniejszym trudem i chociaż nie jest mi lekko, jednak stać mnie na włączanie się do rozmów. Jacián pozostaje małomówny, natomiast Humberto i Belén raczą mnie opowieściami o nierozgarniętych podróżnikach i wyścigach wielbłądów. Dowiaduję się, że każdy z moich współtowarzyszy przemierzał już pustynię kilkakrotnie, choć mają tylko po naście lat. Jacián jest

najstarszy, ma dziewiętnaście lat, a Humberto najmłodszy, bo zaledwie szesnaście jak ja.

Czasami do naszych rozmów włącza się nawet Cosmé, ale stara się kontrolować. Jest tak wiele rzeczy, które chciałabym wiedzieć o Boskim Kamieniu, o przepowiedni, o której wspomniała, o jej służbie u hrabianki Ariñi. Nie ośmielam się jednak pytać. Jej słowa o wyrywaniu kamienia z mojego pępka zapadły mi w pamięć, więc pilnuję się i rozmawiam tylko o sprawach błahych, żeby jej nie sprowokować.

Ponieważ słońce przypieka mi plecy, orientuję się, że wędrujemy na wschód w kierunku ziem Inwiernych i ich gromadzącej się na granicy armii. Okazuje się jednak, że zamykam wszystkim usta, jak tylko pytam o cel naszej podróży. Przy trzeciej takiej próbie pacyfikuje mnie Humberto.

— To miejsce jest tajemnicą, księżniczko, i nic poza tym nie usłyszysz.

Zostawiamy za sobą płaskowyż i wkraczamy na skalną pustynię porośniętą niskimi krzewami i kaktusami. Wielbłądy podskubują suchą trawę i kolczaste rośliny z nie mniejszym entuzjazmem niż zieloną trawę. Z zadowoleniem słucham powrzaskiwania sępów. I wszędzie widzę jaszczurki tak odważne czy też tak leniwe, że uciekają nam spod nóg dopiero w ostatnim momencie.

Nasz szlak staje się coraz bardziej stromy, ze zdradzieckimi rozpadlinami i wyskakującymi nagle

formami skalnymi wysokości, która przyprawia o zawrót głowy. Mogłabym krążyć po labiryncie tej pustyni do końca życia i nigdy nie znalazłabym drogi powrotnej. Jediną nadzieję pokładam w tym, że w tajemniczym miejscu docelowym znajdę jakiś sposób na przesłanie wiadomości mężowi.

Wreszcie po blisko miesiącu podróży w słonecznym żarze docieramy do płaskiego na wierzchołku monolitu, którego warstwy mają różne odcienie barwy żółtej i pomarańczowej. Na zawietrznym zboczu pnie się w górę po stromych skalnych stopniach wioska, niemal niewidoczna, bo domy zbudowano z ceglatego piaskowca. Na nasz widok mieszkańcy biegną i machają jak szaleni.

Serce mi łomocze i podchodzi do gardła. Już niedługo dla wszystkich stanie się jasne, że niepotrzebnie mnie tu sprowadzono, ponieważ w niczym nie mogę im pomóc.

Cosmé biegnie przodem przywitać się ze starszym mężczyzną, który zmierza w naszym kierunku. Ma na sobie taką samą szeroką szatę jak moi współtowarzysze, więc nie od razu zauważam, że jeden rękaw zwisa pusty u jego boku. Zbliżają się też inni wieśniacy. W łachmanach; poranieni. Na kilku twarzach widzę blizny po oparzeniach przypominające pomarszczone zbocza wydm. Inni, jak ten mężczyzna obejmujący teraz Cosmé, nie mają rąk lub nóg. Mały chłopiec, niewiele starszy od Rosaria, ma w oczodole tampon, przewiązany

kawałkiem brudnego materiału.

A w ogóle większość to jeszcze dzieci.

Przypomina mi się narada Kworum Pięciorga, która wydaje się odległa w czasie o całe wieki. Mieliśmy najnowszą wiadomość od hrabiego Treviña: prosił o pomoc i zapewniał, że na razie nie ma żadnych ofiar. Prawdopodobnie wieści idą powoli.

— Och, Humberto — mówię gorączkowym szeptem. — Nie wiedzieliśmy... ja nie wiedziałam, że wojna się już zaczęła. — Przykładam palce do Boskiego Kamienia i przesyłam szybką modlitwę o pokrzepiający ciepły sygnał.

Humberto nachyla się i palcem wskazującym delikatnie podnosi w górę mój podbródek. Bezradność w jego oczach mnie przeraża.

— Księżniczko, wojna z Inwiernymi nigdy się nie zakończyła.



Nie rozumiem tego. Ostatnia wojna to były praktycznie tylko potyczki. Skończyła się po dwóch latach, kiedy ojciec Alejandra przepędził Inviernych wysoko w góry Sierra Sangre.

Starszy mężczyzna uwalnia Cosmé z jednorękiego uścisku i kuśtyka w moją stronę z szeroko otwartymi oczami.

— Cosmé — mówi szeptem. — Przywiozłaś bojownika.

Dziewczyna reaguje prychnięciem.

— W każdym razie nosi w sobie Boski Kamień.

On nie zwraca na nią uwagi, tylko wpatruje się w mój brzuch.

— Śpiewa do mnie — mruczy pod nosem. — Mówili, że tak będzie, jeżeli kiedykolwiek się na niego natknę, ale ja nie wierzyłem.

— Kto? — pytam. — Kto tak mówił? — Również ojciec Nicandro wyczuwał bliskość kamienia, ale nie starczyło mi czasu, by go o to wypytać.

— Księża, oczywiście. W seminarium. — Usta mu drgają nad krótką siwą brodą.

Podchodzi do nas Humberto.

— Książniczko, to mój wujek, ojciec Alentína, niegdyś w służbie u hrabiego Treviña.

— Jesteście księdzem, panie? — Nigdy przedtem nie widziałam księdza w takich łachmanach, do tego brudnego i okaleczonego.

Mruży oczy.

— Przepraszam, drogie dziecko. Książniczko raczej, czy tak? Nie wyglądam zachęcająco, nieprawdaż? Nie spodziewałem się... to znaczy... tak, jestem księdzem. Zostałem wyświęcony w klasztorze w Brisadulce. — Drżące palce przyciska do ust, przymyka oczy. — Nie mogę uwierzyć, że wreszcie odnaleźliśmy osobę wybraną przez Boga.

Boski Kamień nie daje mi żadnych sygnałów, ani ostrzegających, ani aprobujących, a pełne nadziei rozgorączkowanie mojego rozmówcy wywołuje we mnie niepokój. Za jego plecami widzę zbliżające się obszarpane dzieci, a w ich oczach mieszaninę lęku i podejrzliwości. Mam ochotę schować się za Humbertem.

Na szczęście on sam obejmuje mnie opiekuńczym ramieniem.

— Mamy za sobą daleką podróż, wujku. Marzymy o kąpieli i jedzeniu. Jakaś pieczeń byłaby w sam raz. I świeże owoce. Byleby nic suszonego.

Do ust napływa mi ślina, jestem Humbertowi wdzięczna.

Dzieci otaczają nas stadkiem i odprowadzają do

przycupniętych na zboczu ceglanych domów. Niestety, nawet zmęczenie i głód nie są w stanie wyciszyć mojego niepokoju, ponieważ są w tym tłumie osoby, które jak Cosmé patrzą na mnie niczym drapieżniki — jakbym była soczystym prosięciem z rusztu polanym pieprzonym sosem.

*

Te domy to właściwie tylko fasada zakrywająca cały system mieszkalny wydrążony w brzuchu wielkiego monolitu. Czyste źródelka dostarczają pitną wodę, jest nawet szerokie, płytkie jeziorko wykorzystywane do kąpieli i prania. Cosmé pokazuje mi miejsce, gdzie mogę się swobodnie rozebrać i wykąpać — małą niszę na uboczu ze skalną półką na ubranie. Rzuca we mnie jakąś brudną kulą — warstwami i kruchością przypomina ona cebulę — zapewniając, że potarta o skórę będzie się mydliła. Woda jest zimna, sięga mi do połowy uda, ale ma kryształową przejrzystość i moje palce u nóg wkręcające się w piasek wydają się być tuż pod powierzchnią, tak jakbym mogła ich dotknąć bez schylania się.

Staram się przypomnieć sobie, jak lady Aneaxi, a potem Ximena prały moją odzież. Od tego była służba, więc moje opiekunki robiły to rzadko.

Pamiętam, że najpierw moczyły moje rzeczy, potem je tarły z dodatkiem mydła. Nie jestem pewna, ile mam czasu, więc wyskakuję szybko z ubrania i zanurzam je w wodzie. Opłukuję energicznie, a potem nacieram podobną do cebuli kulą i uzyskuję lekką pianę. Pachnie cierpko suchymi liśćmi, lecz wydaje się skuteczna, ponieważ na powierzchni przepływającej wody widzę brud i tłuste plamy potu oraz zabłąkane włosy. Piorę także koszulę nocną, którą miałam na sobie, gdy Cosmé i jej pomocnicy wygarnęli mnie z łóżka. Uszyta z kremowego jedwabiu, ma delikatną koronkę i drobne szklane guziczki z przodu. Myślę, że jest wiele warta, może nawet udałoby się nią opłacić eskortę do Brisadulce.

Delikatnie ją wyżymam. Potem, chwyciwszy za szwy na ramionach, wstrząsam nią lekko w celu wygładzenia, jak to robiła Ximena. I nieruchomieję z wrażenia, wciąż trzymając ją w rękach. Patrzę na nią jak na coś już obcego mojemu oku, coś z innego życia. Jest wytworna i piękna. I... strasznie obszerna.

Zapiera mi dech. Drżąc cała, przykładam ociekającą wodą koszulę do ciała. Trzymam ją na poziomie ramion, a dolny brzeg nurza się w wodzie. Że jest zbyt obszerna, to mało powiedziane. To namiot, nie koszula. Pachy sięgają mi do połowy żeber, a udrapowanie z przodu przewidziano na gigantyczny biust.

Wypuszczam ją z rąk do wody.

Przez miesiąc nie zdejmowałam z siebie luźnej szaty i nosiłam ochraniacze na nogi z wielbłądziej wełny. Oddychając nerwowo, zerkam z wahaniem na mój pępek. Jestem wstrząśnięta, że widzę Boski Kamień, który mruga do mnie błękitem. Podnoszę do góry rękę i podziwiam, jak kształtne ramię zwęża się i przechodzi w przedramię, jakby były dla siebie stworzone. Przesuwam rękami po piersiach, w dół po bokach, po pośladkach, wreszcie badam obwód ud. Łzy zaczynają płynąć mi z oczu, gdy powtarzam tę czynność raz jeszcze.

Z pewnością nie jestem szczupłą. Ani tak piękna jak Alodia czy Cosmé. Ale nie muszę już rozsuwać piersi i wciskać fałdy na brzuchu, żeby zobaczyć Boski Kamień. Wciąż miałabym ochotę na ciasto z miodem, ale nie jest to myśl stale kołacząca się w mojej głowie. Jestem w stanie być na nogach przez cały dzień i nie dostaję wysypki.

Na nogach przez cały dzień.

Kładę się na wodzie, pozwalając, by mnie unosiła. Uśmiecham się do lśniących stalaktytów, do wlewających się przez szczeliny w skałach smug światła o barwie akwamaryny. Kiedy przychodzi po mnie Cosmé, oświadczam, że jeszcze nie jestem gotowa.

Muszę się nacieszyć własną nagością.

Tego wieczoru wszyscy gromadzimy się pod skalnym nawisem. To miejsce wygląda tak, jakby powstało dzięki temu, że Bóg przeciągnął stuloną dłońią wzdłuż podnóża monolitu, formując rozległą otwartą jaskinię pod baldachimem częściowo ze skał, częściowo z rozgwieżdżonego nieba. Na środku żarzy się czerwono ogromne palenisko, wokół którego zgromadziło się bardzo niewiele osób. I nikt nie ma więcej niż czterdzieści lat, blisko dwie trzecie to dzieci młodsze ode mnie.

Gospodarzem uczty z jagnięcia duszonego z brukwią, pietruszką i majerankiem jest ojciec Alentín. Zapraszająco poklepuje dłońią miejsce obok siebie, więc siadam tam na piasku, krzyżując nogi. Pozostali usadzają się w pewnej odległości i obserwują nas znad swoich misek. Zerkam na nich nieufnie.

Jem powoli, przetrzymując każdy kęs w ustach, by rozkoszować się soczystością mięsa i ostrym smakiem brukwi. Alentín wyjaśnia mi, że w pobliskiej dolinie ukryte są liczne stada owiec oraz uprawy ziemniaków, brukwi i marchwi. Zachęca mnie, bym jadła do syta, zapewniając, że choć podczas tej wojny ludzie codziennie tracą życie, to przynajmniej jedzenia jest w bród.

— Ojcie — odzywam się z ustami pełnymi mięsa.
— A król Alejandro. On nie wie, że jesteście w stanie wojny.

Gdy wymieniam imię męża, ściska mnie w gardle

ze smutku. Mam nadzieję, że jest zdrow. Mam nadzieję, że mnie szuka.

Alentín kiwa głową.

— Oczywiście, drogie dziecko, on nic nie wie. Nikt mu nie powiedział.

Przełykam, co miałam w ustach.

— Nie rozumiem.

— Nie ośmielamy się poinformować go, że już toczymy walki, że przegraliśmy więcej potyczek, niż jesteśmy w stanie policzyć. Jego Królewska Mość, niech nam długo i szczęśliwie żyje, nie żywi gorących uczuć do pogórza. Prędzej spisałby nas na straty, niż przysłał pomoc. Od czasu ostatniej wojny ma za mało wojska, a my wciąż sprawiamy kłopoty. Dzieli nas pustynia, trudno jest rządzić na odległość krainą, która ma niewiele do zaoferowania. Nasze owce i bydło są najdorodniejsze w całym królestwie, lecz po forsownym przejściu przez pustynną ziemię są całkiem wynędzniałe. Lepiej opłacają się królowi dziesięciny ściągane z posiadłości nadmorskich.

Kiwam głową, przypominając sobie nauki pobierane u mistrza Geralda. Największą słabością królestwa Joya d’Arena, mawiał on, jest jego rozległość.

Podchodzi do nas nieśmiało najwyżej ośmioletnia dziewczynka z tacą kul daktylowych. Ja, już syta, odmawiam, natomiast Alentín bierze jedną i wpycha do ust. Mówi z pełnymi ustami.

— Posiadamy też złoto. Te góry co rok wypływają podczas powodzi trochę tego kruszcu, ale Jego Królewską Mość, niech jego łądzwie pobłogosławione będą licznymi synami, złoto nie roznamiętnia. A przecież jest warte jego zainteresowania. Parę lat temu dowiedzieliśmy się od kogoś wysoko postawionego na jego dworze, że jeżeli tu, w górach, rozpocznie się regularna wojna, król mógłby pogodzić się ze stratą i poddać tę ziemię.

O tak, zrobiłby to. Mocniej bije mi serce, gdy przypominam sobie, jaki był zadowolony, kiedy doradzałam ewakuację tutejszych wiosek. Z głupoty przypisywałam jego zadowolenie dumie ze mnie i moich mądrych rad. Teraz rozumiem, że szukał pretekstu, żeby odwrócić się od tych ludzi.

— Więc nie macie odwagi mu powiedzieć, jak blisko zagłady jesteście.

— Nie mamy. Jest pod każdym względem szlachetnym człowiekiem, lecz słabym władcą. Zawsze wybiera najbezpieczniejszą, najłatwiejszą drogę, jeżeli w ogóle dokonuje wyborów.

W jego słowach brzmi sama prawda, chociaż gorzka, ale wątpię, że mówiłby mi takie rzeczy, gdyby wiedział, że jestem królewską małżonką.

— Czyli należy go przekonać, że wciąż jest nadzieja, bo inaczej odmówi jakiegokolwiek pomocy.

— Dokładnie.

Król, niestety, nigdy nie wysła posiłków. Nie

śmiem spojrzeć księdzu w oczy, wiedząc, jaką odegrałam rolę. Przymykam na moment powieki i wyobrażam sobie, że jeszcze raz uczestniczę w Kworum Pięciorga. Czy gdybym wtedy wiedziała tyle, ile wiem teraz, moja rada dla króla byłaby inna? Czy gdybym widziała te obszarpane dzieci i patrzyła na ich cierpienie, potrafiłabym znaleźć usprawiedliwienie dla decyzji o rozprawianiu się z wrogiem na odległym stąd froncie? Trudno mi powiedzieć.

— Ojczy Alentynie, co konkretnie mogłabym dla was zrobić?

Wyciera usta brzegiem szaty, towarzyszy temu radosne beknięcie.

— Mamy oczywiście nadzieję, że nas uratujesz. Przez blisko dwadzieścia lat poszukiwaliśmy noszącego Kamień. W ciągu tych kilku ostatnich, kiedy walki się nasiliły, wysłaliśmy ludzi w każdy zakątek Joya d’Arena, żeby tego kogoś odnaleźć.

Gniew wzbiera we mnie lawinowo. Nawet tutaj, tak daleko od domu, są oczekiwania związane z moją misją i zaciskają się niczym pętla na mojej szyi.

— W jaki sposób mogę was uratować? — pytam przez zaciśnięte zęby. — Jestem zwykłą dziewczyną. Lubię sobie pojeść. Odpycha mnie myśl o sprawowaniu władzy. Niczego nie mogę... No dobrze, potrafię haftować. Czy mam wam wyhaftować wspaniały gobelin ze sceną zwycięstwa? — Z wściekłości chciałabym w coś walnąć. Patrzę na siedzącą dalej Cosmé, która

rozmawia z Belénem.

— Drogie dziecko, posiadasz coś, czego nikt z nas nie ma.

Wzdycham.

— Wiem, Boski Kamień.

— Dar czarowania.

— Co? — Czary to dla mnie archaiczny termin, pojawiający się jedynie w klasycznych tekstach. — Nie znam tego. *Scriptura Sancta* zakazuje uprawiania czarnoksięstwa.

Alentín się uśmiecha.

— Ach, mała księżniczko, wiedz, że to miejsce nie było przeznaczone dla ludzi. Jednak gdy Pierwszy Świat zginął, Bóg przeniósł nas tutaj swoim mocarnym ramieniem. — Pochyliła się ku mnie, oczy mu błyszczą. — *Afflatus* Homera mówi nam, że magia czai się pod naskórką tego świata i próbuje się uwolnić na powierzchnię. Żeby ją zwalczyć, Bóg co sto lat wybiera kogoś, kto jest w stanie zwyciężyć magię magią.

Siada wygodniej i krzyżuje nogi, a ja powracam myślą do nocnego spotkania z ojcem Nicandrem w klasztornej bibliotece... *Prowadzony jak świnia na rzeź do królestwa sztuki czarnoksięskiej.*

— Inwierni! — olśniewa mnie. — Oni władają królestwem magii.

Alentín kiwa głową.

— Moja bratanica powiedziała mi, że przybyłaś z Orovalle i jesteś Reformatorką trzymaną w niewiedzy

o misji wybrańców.

Spuszczam głowę i nie wiem, czy powinnam się wstydzić, czy nie.

— Bezrozumna sekta — wypluwa z siebie. — Jego Królewska Mość, niech mu ptaszki wyśpiewują w ucho najśłodsze melodie, postąpił mądrze, wykradając ciebie.

Wykradając? Gdy Alentín wstaje, przychodzi mi do głowy, że Alejandro zgodził się na nasze, pożal się Boże, małżeństwo nie tylko dlatego, że papa obiecał w zamian posiłki wojskowe. Być może liczył także na własne ocalenie.

— Czy chciałabyś pożyczyć mój egzemplarz *Afflatusa*? — pyta Alentín.

— O tak! — Aż zapiera mi dech. — Bardzo.

*

Dostaję dwie świece z wosku pszczelego — cenne tutaj, jak mówi ojciec Alentín — oraz chatkę z suszonej cegły tylko dla siebie. Odwieszam moją wytworną koszulę nocną na haku, rozwijam swoje posłanie i kładę się na brzuchu, by zagłębić się w *Afflatusa*. Drzę z emocji, czytając wstępny paragraf, bo oto poznaję historię Boga z nadzieją, że dowiem się czegoś o własnym przeznaczeniu.

To mówię ja, Homer, wybrany przez Boga, bym nosił jego

Kamień. Mówię do rodzin, które przeżyły dzięki mocarnej prawicy Boga i są teraz rozproszone na krańcach pustyni. Pozdrawiam was.

*

Homer opowiada najpierw własną historię. Podobnie jak ja otrzymał Boski Kamień w dzień chrztu, kiedy to silna smuga światła padła na jego pępek. Jako chłopiec budził lęk. Bywał też wyśmiewany. Zainteresowali się nim mnisi, którzy wyczuwali coś specyficznego w tym kamieniu, gdyż pobudzał ich do śpiewania hymnów i do modlitwy, a czasami do głośnego śmiechu. Wzięli więc chłopca do klasztoru i nauczyli czytać i pisać w *lingua classica*. A kiedy miał szesnaście lat, zapewnili mu terminowanie u murarza.

Któregoś dnia, kiedy pilnował wypalania cegieł, objawił mu się Bóg i nakazał spisać każde swoje słowo. Homer stracił przytomność, osunął się na drzwi pieca i jego ręka przypiekała się, podczas gdy Bóg do niego mówił. Gdy wróciła mu świadomość, pobiegł do klasztoru. Na osmalonej lewej ręce miał sączącą się ranę, lecz nie pozwolił jej opatrywać, tylko usiadł na stołku skryby, mając przed sobą atrament, piórko i pergamin.

Blizny po oparzeniu nosił z dumą przez całe życie, lecz ja nie wiem, co myśleć o Bogu, skoro dopuścił do

takiej rzeczy. Z pewnością miał Homer specjalne miejsce w sercu Boga, dlaczego jednak musiał tak cierpieć.

Nie był zresztą jedyny. Ojciec Nicandro mówił, że wśród noszących kamień byli tacy, którzy ginęli podczas wypełniania swej misji. A niektórzy nawet jej nie podjęli. Zastanawiam się, co gorsze.

Ledwo zaczynam czytać relację z objawienia, jakie miał Homer, kiedy wyczuwam czyjąś obecność u wejścia. Odwracam się.

W drzwiach stoi Humberto, ma szeroko otwarte oczy, pod pachą trzyma swoje posłanie. Szczuplejszy, niż gdy go widziałam po raz pierwszy — pustynia zrobiła swoje, wysysając z niego wodę, tak jak ze mnie. Światło świec podkreśla zapadnięte policzki. Cieszę się, że go widzę.

— Witaj, Humberto.

— Księżniczko — mówi, ale nie wchodzi do środka.

— Czy myślisz, że wciąż jestem w niebezpieczeństwie? Że ktoś może mnie zamordować dla klejnotu, który noszę?

Przestępuje z nogi na nogę.

— Nie potrafię powiedzieć. Moi ziomkowie nie są mordercami. Ale są zrozpaczeni. Serca im stwardniały.

— Więc lepiej będzie mi się dzisiaj spało, wiedząc, że tutaj jesteś.

Uśmiecha się i wchodzi, a potem rozkłada posłanie

przy drzwiach. Zauważam, że rozsznurowując buty, zerka na wiszącą koszulę nocną.

Niczego tak pięknego w wiosce nie ma, ten delikatny i połyskliwy materiał z pewnością jest tu nie na miejscu.

— Już na mnie nie pasuje — mówię od niechcienia. — Ale to jedyna rzecz, jaka mi została z... z przeszłości. Nie potrafię się z nią rozstać. — To oczywiście nieprawda. Mam nadzieję, że dzięki niej wydostanę się z tej odległej wioski.

Humberto układa się na boku, podpira głowę ręką.

— Nie martw się, księżniczko. — Wskazuje głową na koszulę. — Kilka tygodni regularnego jedzenia oraz picia i powrócisz do normy.

Zamyka oczy i wzdycha, nie zdążył zauważyć mojej skonsternowanej miny. Czy on naprawdę myśli, że pragnę, by ta koszula znowu na mnie pasowała?

Kapiąca świeca przypomina mi, że mam niewiele czasu na czytanie, więc powracam do Homerowego proroctwa.

Tak czyni, raz na cztery generacje. Powołuje go, żeby nosił jego stygmat... Nie wie, co go czeka u bram wroga i jest prowadzony jak świnia na rzeź do królestwa sztuki czarnoksiężskiej.

Czy wszyscy wybrani przez Boga muszą się znaleźć w królestwie magii? Czy tylko niektórzy? A może tylko jedna osoba? Może tym kimś jestem ja?

Za każdym razem, gdy natykam się na fragment,

w którym Boski Kamień wymieniony jest jednocześnie z magią, ściska mi się żołądek. Bardzo szybko staje się dla mnie jasne, że ojciec Alentín miał rację. Homer wierzył, że kolejne Boskie Kamienie będą musiały przewyciężyć zagrożenie, jakie dla ludzkości stwarza magia.

Manuskrypt nie jest długi. Czytam go trzy razy, nim się z nim rozstaję. Sen długo nie przychodzi.

*

Budzą mnie krzyki i tupot nóg. Podrywamy się z Humbertem z posłań i wypadamy na dwór. Wszyscy biegną w tym samym kierunku, w dół naszego monolitu, potem łukiem wokół niego. Na twarzach widzę rozgorączkowanie i chyba niepokój. Biegniemy za nimi, zasłaniając oczy rękami od porannego brzasku. Ludzie już stoją wzdłuż grani, Humberto pomaga mi wdrapywać się po skałach.

Z grzbietu wzniesienia widać rozpościerające się daleko pagórki, które wznoszą się i opadają, by schować się w cieniu potężnego pasma Sierra Sangre. Wierzchołki gór, nad którymi wstaje olbrzymia kula słońca, lśnią ciemnym błękitem i bielą. Wieczorem o zachodzie będą oblane purpurą jak krwią.

Humberto wskazuje postrzępiony wąwóz w dole,

porośnięty jadłoszynem i karłowatym jałowcem. Widzę tam między krzakami poruszające się ludzkie głowy. Przynajmniej dwanaście. I parę koni z dużymi ładunkami na grzbietach. Gdy się zbliżają, wstrzymuję oddech. Te ładunki to ludzie, zakrwawieni i okaleczeni. Szczęśliwcy, którzy idą na własnych nogach, potykają się z wyczerpania, twarze mają w smugach potu, brudu, może krwi.

— Tam jest mój kuzyn — mówi Humberto załamującym się głosem. — Reynaldo, ten chłopak na przedzie. Mieszka w dużej wiosce. Liczącej setki ludzi. Jeżeli napadli ich Invierni, jeżeli tylko ta garstka uciekła... — Nie jest w stanie powiedzieć nic więcej, szukam jego dłoni.

Ściska mi rękę aż do bólu. Drży mu dolna warga, gdy dzieci wbiegają do wąwozu, żeby pomóc uchodźcom. Z nadzieją na twarzach, rozgorączkowane, zagadują przybyszów. Mija chwila, zanim zdaję sobie sprawę, że wypytują o krewnych — o rodziców, rodzeństwo, kuzynów, których tu nie widzą.

Ojciec Alentín zajął się młodą kobietą, podtrzymuje ją swoją jedną ręką i pomaga podejść w górę. Przechodzą blisko nas, tak że widzę ogromnego guza na jej czole, łyse miejsca i blizny po wyrwanych przy skórze włosach, jej pokiereszowane ucho. Gdy nas mijają, ksiądz szepcze coś do niej, a ona podnosi na mnie wzrok, zaskoczona, ale i ze łzami nadziei w oczach.

— Jestem Mara — mówi. — Dziękuję, że przybyłaś.

Gdy schodzą w dół z grani, na jej sukni na plecach dostrzegam plamy z trawy.



Cosmé opatruje rannych i skutecznie dyryguje osobami, które pomagają. Ja siedzę skulona pod ścianą wielkiej jaskini, nie mogąc oderwać oczu od tego, co się dzieje. Widzę spalone ubrania przylgnięte do poparzonych ciał. Jeden z mężczyzn, który był przytroczony do końskiego grzbietu, okazuje się martwy, gdy go odwiązują i zdejmują z konia. Trzej inni są powaleni zakażeniem i gorączką. Przypomina mi się noga Aneaxi, woń gnijącego mięsa, wywinięte krawędzie czarnej rany i nie potrafię zgłosić się do pomocy ani nawet bliżej podejść. Nie odchodzę jednak, ponieważ dziwnie mnie pokrzepia obserwowanie mojej byłej służebnej. Budzą się skojarzenia, gdy patrzę, jak odcina ubrania i czyści rany, potem zszywa ich brzegi i pierze bandażę. Otóż twarz ma równie beznamietną, ręce zręczne i ekonomiczne ruchy, jakby znajdowała się w mojej komnacie, wygładzając i składając uprane zasłony.

Zazdroszczę Cosmé, że umie pomóc.

W Brisadulce byłam zakonspirowaną żoną króla, pozostając dziewicą, byłam przybyszem z obcego kraju, gościem, który zajął komnaty poprzedniej królowej. Nie

wiedziałam, po co tam jestem. Teraz z powodu Boskiego Kamienia wleczono mnie przez pustynię, bym wyszła naprzeciw swemu przeznaczeniu. I nic się nie zmieniło. Kulę się w kącie ze strachu, niezdolna do czynu.

Zupełnie jak Alejandro. Dostrzegam to z przerażeniem. Ja także pozwalałam sobie na paraliż woli, niemożność podjęcia decyzji, słabość.

Włosy opadają Cosmé na twarz, gdy się schyla, żeby wytrzeć z krwi szyję rannego. Urosły jej za ramiona. Wrzeszczy, że potrzebuje opaski. Drobnny chłopiec, bosy, podpierając się jedną kulą, kuśtyka do niej z kawałkiem bandaża. Cosmé ściąga nim włosy w koński ogon. Gapię się na jej gęste loki, na czarne, wilgotne od potu pasmo zwisające zza ucha i zdaję sobie sprawę, że ta młodzianka dziewczyna gdziekolwiek pójdzie, w jakiegokolwiek się znajdzie sytuacji, zawsze będzie na miejscu.

Wstaję, serce mi łomocze. Idę między rannymi, nie patrząc na nich, i podchodzę do niej. Zaciskam z determinacją zęby, starając się przezwyciężyć odrazę i lęk.

— Cosmé.

Nie podnosi głowy.

— Jestem bardzo zajęta. Jeżeli czegoś potrzebujesz, poproś kogoś innego.

Biorę głęboki oddech.

— Chcę pomóc.

Wyżyma brudną szmatę wprost na ziemię, a potem zanurza ją w wiadrze stojącym obok.

— Nie ma tu dla ciebie nic do roboty. Idź coś zjeść.

W pierwszym odruchu chcę odejść, ale zostaję.

— Wiem, że mnie nienawidzisz. Lecz nie zachowuj się głupio z tego powodu.

Podrywa głowę w górę.

— Pozwól, że przyniosę ci czystej wody — mówię szybko, zanim zdąży odrzucić ofertę pomocy.

Powoli zwraca wzrok na wiadro. Kiwa głową.

— Rzeczywiście to by się przydało. — Podnosi je i mi podaje. — Nie wylewaj tego blisko źródła naszej wody pitnej.

Wiadro jest ciężkie i rączka wpija mi się w palce, ale idę z nim szybko, zadowolona, że mogę coś zrobić, nie narażając się na kontakt z ranami.

Noszę wodę przez całe przedpołudnie. Gdy dostrzeżono, co robię, więcej wiader pojawiło się znikąd. Wynoszę śmierdzącą, brunatną, czasem wręcz kleistą ciecz na słoneczną stronę monolitu, wylewam i wracam do jaskini po świeżą wodę. Ledwie nadążam z zapotrzebowaniem, chociaż chodzę najszybciej jak mogę. Gdy już wszystkie rany są oczyszczone, zszyte i zabandażowane, uda i ramiona pieką mnie boleśnie, a palców rąk wręcz nie czuję.

Padam, opierając się o ścianę, i zamykam oczy, próbując dać odpoczynek bolącym ramionom.

— Wasza Wysokość.

Podnoszę wzrok. Nade mną stoi Cosmé z wodą oraz półmiskiem z parującym pstrągiem w warzywach. Ślina napływa mi do ust.

— Nie jadłaś przez cały dzień — mówi.

Biorę półmisek.

— Dziękuję, Cosmé.

Chce odejść, waha się chwilę, po czym odwraca się do mnie.

— Nieprawda, że cię nienawidzę.

Nie jestem pewna, co powiedzieć, więc tylko kiwam głową, że wierzę.

*

Wieczorem siedzę ze skrzyżowanymi nogami w swojej chatce z pożyczoną od Alentína kopią *Afflatusa* na kolanach. Tym razem zagłębiam się w tekst wnikliwiej, przetrawiając zdanie po zdaniu, jakbym była w pracowni mistrza Geralda i ślęczała nad *Scriptura Sancta*.

Świeca jest w połowie wypalona, gdy wchodzi Humberto. Uśmiecha się do mnie i rozkłada przy drzwiach swoje poślanie.

— Zastanawiałam się, czy nie spędzisz tej nocy ze swoim kuzynem — mówię, zadowolona, że przyszedł.

— Będzie jeszcze dość czasu, żeby się nim

nacieszyć. On potrzebuje teraz odpoczynku. — Humberto siada i postępując, ściąga z nóg buty. — Znowu studiujesz *Afflatusa*?

— Tak. — Wykonuję krążenia ramionami dla złagodzenia bólu. — Mam nadzieję, że znajdę jakąś wskazówkę.

Podbiega do mojego posłania, siada obok. Patrzy na mnie.

— Zdaje się... to jest... chodzi mi...

Nie rozumiem, co go tak zdenerwowało.

— Humberto?

Potrząsa głową.

— Twoje oczy. Robią coś ze mną.

Oblewam się rumieńcem na te słowa, ale ratują mnie następne, na które muszę zareagować:

— Chodzi mi o to, że wyglądasz na zaniepokojoną. Przestraszona — mówi Humberto.

Patrzę na niego zaskoczona.

— Oczywiście, że jestem przestraszona. Zostałam porwana, zapomniałeś? Ciągnięto mnie przez pustynię z powodu mętnej nadziei, że mogę was uratować. Chcę wam pomóc. Mimo wszystko chcę. Lecz nie wiem, w jaki sposób. Słyszałam o takim jednym też z Orovalle, który nosił kamień. To był łucznik Hitzedar. Zabił trzydziestu czterech mężczyzn, w tym animaga. Mój kraj dzięki temu został uratowany. Ja jak dotąd zabiłam jednego człowieka i nie bardzo wiem, jak to się stało...

— Co? Zabiłaś kogoś?

— Tak. I nie mam ochoty o tym mówić. Chcę tylko powiedzieć, że nie jestem wojownikiem. Nie mam pojęcia, jak mogłabym was uratować. — Chowam twarz w dłoniach. — Hitzedar miał szczęście. On wypełnił swoją misję. Wielu nigdy nie wypełniło. Wielu zginęło. — Na koniec patrzę mu w oczy, lecz trudno mi powstrzymać płynące łzy. — Humberto, ja nie chcę umierać.

Obejmuje mnie jedną ręką i przyciąga do siebie.

— Ja też tego nie chcę. — Głodzi mnie po plecach, a ja chlipię. — Jesteś bardziej odważna, niż myślisz, księżniczko. I mądra. Uważam, że nam pomożesz. Naprawdę w to wierzę.

— Skąd to wiesz? — Pochlipuję w jego kaftan.

— Czy słyszałaś o owczarzu Damiánie?

Mówię, że nie, ale imię brzmi znajomo.

— To mój pradziadek. Nosił Boski Kamień.

Patrzę na Humberta ze zdumieniem, ale od razu przypomina mi się, skąd znam to imię — widziałam owczarza na liście wybrańców z Boskim Kamieniem, przechowywanej w klasztorze w Brisadulce.

Uśmiecha się z dumą.

— Damián ciężko w życiu pracował. Mieszkał w wiosce oddalonej stąd o parę dni podróży, blisko granicy z Inviernymi. Nie rozstawał się ze swoimi owcami nawet w nocy. Nie czuł się dobrze z ludźmi. Któregoś dnia odkrył małe źródło, a właściwie dostrzegł w jednym miejscu mokrą ziemię. To było

w małej dolinie, gdzie na ogół panował cień i rosła trawa zapewniająca dobry wypas. Źródło wody uczyniłoby to miejsce idealną lokalizacją dla wioski. Damián więc postawił przed sobą zadanie wykopania studni w miejscu, gdzie sączyło się owo źródółko. Sam bez pomocy. Rozentuzjasmowany powiedział o tym żonie. Prawdopodobnie chciał usprawiedliwić dłuższą nieobecność w domu. A trzeba wiedzieć, że jego żona była jędzą. Nigdy tej studni nie skończył.

— Co się stało?

— Wykopał dół głęboki prawie na wysokość człowieka, niestety, na razie wyciekała zaledwie strużka wody. Tymczasem zdarzyło się tak, że jedna z owiec osunęła się po zboczu i zaplątała w jeżynach. Damián poszedł ją ratować, ale stoczył się w przepaść i zginął.

Patrzę na niego, nie rozumiejąc.

— Myślałam, że to będzie pokrzepiająca opowieść. Uśmiecha się.

— To nie koniec. Zapomniano o studni, wyrósł nad nią jadłoszyn. Niemal dwadzieścia lat później duży oddział zwiadowczy Inwiernych przechodził tą doliną prowadzony przez animaga. Ludzie z wioski Damiána, liczebnie niewiele słabsi, rozstawili się wzdłuż grani z włóczniami i łukami. Niestety, animag wysłał na nich ogień i zaczęli się palić. Już szykowali się do odwrotu, by się ratować ucieczką, kiedy animag nagle zniknął. Najpierw pomyśleli, że to jakaś nowa sztuczka czarnoksiężka, jakiej nigdy dotąd nie widzieli, lecz

okazało się, że wrogi oddział pierzcha. Wieśniacy, korzystając z tej paniki, zabijali ich z grani. — Humberto przysuwa się bliżej, a w oczach ma wesołe iskierki. — Później odkryli, że animag wpadł do studni Damiána i skręcił kark.

Marszczę czoło.

— Chcesz powiedzieć, że misją Damiána było kopanie niedokończonych studni? Czy to możliwe? Czy misja może polegać na czymś tak niejasnym? Tak dalekim od bohaterstwa?

Humberto wzrusza ramionami.

— Kiedy wieśniacy wrócili do siebie, powiedzieli wdowie po Damianie o roli, jaką odegrał jej dawno zmarły mąż. Wtedy pokazała im Boski Kamień, który przechowywała od jego śmierci. Wedle jej słów w dzień bitwy pękł przez sam środek i dlatego wiedziała, że dzieje się coś ważnego.

— Pękł Boski Kamień?

— Tak.

— To nie ma sensu.

— Co masz na myśli?

— Oglądałam Boskie Kamienie. Takie bardzo stare. Ci, co je nosili, nie żyją od stuleci. Żaden z tych klejnotów nie był pęknięty. — W tym momencie żałuję, że nie spytałam ojca Nicandra, czy te kamienie pochodzą od tych, którzy wypełnili misje potwierdzone świadectwami.

— Cóż, ja niewiele wiem o Boskich Kamieniach,

natomiast mam pewność, że mój pradziadek uratował tamtego dnia wioskę. To był duży nieprzyjacielski oddział i musiał mieć ważne zadanie, skoro prowadził go animag. Aż do tamtego zdarzenia magowie zmieniający się w zwierzęta byli tylko legendą, nigdy ich nie widziano. Być może studnia Damiána opóźniła o całe lata inwazję Inwiernych.

— To możliwe. Ale i on nie dowiedział się nigdy, że wypełnił swoją misję.

— Nie, tego nie wiedział.

Składam głowę na ramieniu Humberta. Dziwne, że przy tym chłopcu czuję się o wiele bezpieczniejsza niż kiedykolwiek przy mężu. Alejandro mnie magnetyzował, nie byłam w jego obecności swobodna.

— Czy sądzisz, że wypełnię swoją misję, nawet jej nie rozumiejąc?

— Tak.

Jednak z tym wszystkim mogę umrzeć tak nedorzecznie jak Damián lub zostać poważnie zraniona jak Homer. *Jak świnia prowadzona na rzeź...*

— Czy wiesz, księżniczko — Humberto przeciąga kciukiem po moim podbródku — że mój dziadek, syn Damiána, był jednym z ludzi stojących wtedy na grani? Gdyby zginął, nie byłoby dziś tutaj ani Cosmé, ani mnie, ani mojego kuzyna Reynalda, ani nawet wujka Alentína... nikogo z nas.

I nagle zaczynam rozumieć, dlaczego Homer zaakceptował swoje cierpienie. Zaczynam rozumieć, że

lepiej jest umrzeć, pełniąc misję, aniżeli nigdy jej nie podjąć. O wiele lepiej. Homer i Damián nie odnieśli żadnych korzyści ze swoich czynów, za to następne pokolenia tak. Podobnie i ja być może nie zbiorę owoców mojego przeznaczenia, nawet jeśli się ono dokona. Nie ma to jednak znaczenia, ponieważ w akcie umieszczenia przez Boga klejnotu w moim pępku nie o mnie chodziło.

*

Następnego dnia odkładam na bok *Afflatusa* i zabieram się do ulubionej lektury, czyli *Belleza Guerra*. Każdy fragment inspirowało mnie do pytań. Cały dzień dzielę między czytanie pożyczonej książki i rozmowy z ludźmi, którzy tę wojnę przeżyli.

Ojciec Alentín twierdzi, że Inwierni są marnymi wojownikami, ale jest ich tylu, ile gwiazd na niebie. Wylewają się zza ośnieżonych szczytów Sierra Sangre, prowadzeni przez animagów dzierżących zionące ogniem amulety. Choćby pięciu Inwiernych ginęło na jednego naszego, mówi Alentín, to wszystko za mało. A jeśli animag włączy się w bitwę, nasi muszą uciekać, bo inaczej zginą.

— Ilu ich jest dokładnie? — pytam. — Czy ich armia jest blisko? Czy są gotowi do długiego marszu?

— Mówimy o dwóch armiach. Jedna w odległości paru dni jazdy konnej. Druga, znacznie bardziej wysunięta na północ, jest zaledwie o rzut kamieniem od posiadłości hrabiego Treviña.

— Czyli dwie armie. I spory dystans między nimi.

Kiwa głową, pocierając kikut ramienia.

— Jak liczne?

— Moje dziecko, są ich tysiące. Przynajmniej dziesięć tysięcy i każdego dnia te liczby rosną.

Dwie ogromne armie. Nawet połączone siły Joya d' Arena i Orovalle nie wytrzymują porównania.

— Jedna przeciągnie zapewne skrajem pustyni na południe — zastanawiam się na głos. — Druga wzdłuż dżungli na północ. Obydwie zdążają do Brisadulce z dwóch przeciwległych kierunków. Wezmą miasto jak w kleszcze.

Alentín nachyla się bliżej.

— Widzę to tak samo. Wątpię jednak, że Jego Królewska Mość, niech orchidee zakwitną w dzień jego odejścia, jest przygotowany do walki na dwóch frontach.

— Obawiam się, że masz rację, ojcze. — W duchu jestem pewna, że Alejandro, który nie potrafi podejmować decyzji i zaangażować się z pasją w cokolwiek, na nic się nie przygotował. Patrząc na okaleczone ramię księdza, staram się zapytać go o to delikatnie. — Czy nie sprawi ci przykrości, ojcze, wyjaśnienie, w jaki sposób straciłeś rękę? — Mam poczucie, że nie wypada wypytywać, ale chcę wiedzieć

jak najwięcej.

— Strzała trafiła mnie w ramię tuż ponad łokciem. Potem wędrowałem kilka dni, zanim się tutaj schroniłem i przez ten czas rozwinęło się zakażenie. Jak się tu znalazłem, straciłem przytomność. Obudziłem się już bez ręki. — Wzrusza ramionami. — Ręka w zamian za życie. Nie taki zły interes.

— Więc używają strzał. — Jak Wykłęci z dżungli czynię w duchu uwagę. — Jaką jeszcze broń mają?

— Z pytaniami na temat broni zwracaj się do Beléna.

Dziękuję mu i śpieszę odszukać wysokiego chłopaka. Znajduję go przed wejściem do chaty przy skrobaniu świeżej owczej skóry nożem z zaokrąglonym ostrzem i trzonkiem idealnie dopasowanym do dłoni. Prawie nie rozmawialiśmy od podróży przez pustynię i trochę się denerwuję, podchodząc do niego. Ale wita mnie cieplej, niż oczekiwałam, a na moje pytanie wyraźnie się ożywia.

— Używają głównie łuków i strzał — mówi. — Ich łuki są znacznie większe od naszych. O rozpiętości równej wysokości mężczyzny lub większej. Nie strzelają równie celnie jak nasi łucznicy, za to ich strzały lecą dalej.

— Czy moglibyśmy robić podobne?

— Nie. — Podnosi głowę znad skóry. — Potrzebne są drzewa. Dużo wysokich drzew, których drewno w odpowiedni sposób twardnieje podczas suszenia.

— A inna broń?

— Włócznie. Większość nosi krótkie. Mamy nad nimi przewagę z naszymi długimi ostrzami. Czasami nie udaje się jednak użyć ich w walce. — Odkłada nóż na skórę i podwija rękaw. Widzę na jego ramieniu cztery równoległe wyniosłe białe blizny.

Wzdrygam się.

— Wyglądają jak ślady po pazurach. Po jakichś ogromnych pazurach.

Z powrotem bierze do ręki nóż.

— Takich pazurów to oni nie mają. Raczej jakieś rękawiczki z czymś ostrym w czubkach palców. A walczą jak zwierzęta. Jak pumy, ale brak im chytryści tych kotów.

Znowu przychodzą mi na myśl Wyklęci. Przebiega mnie lekki deszcz, gdy przypominam sobie ich chaotyczne ataki, lecz także grację, z jaką się poruszali.

— Jednak ich broń, której należy się bać najbardziej, to amulet animaga — mówi, akcentując każdą sylabę skrobnięciem noża. — Animagowie noszą je na szyi na ciężkich łańcuchach lub mocnych rzemykach. Nigdy nie używają ich w pierwszej fazie bitwy, co mnie zawsze dziwiło, amulet zaczyna świecić dopiero po jakimś czasie. To skupione światło, białe i gorące, zaczyna pędzić w przestrzeń z szybkością strzały. I pali wszystko, czego dotknie. — Belén ze smutkiem kiwa głową. — Wygraliśmy parę potyczek z Inwiernymi, chociaż zawsze mają przewagę liczebną.

Jednak gdy przewodzi im animag, zawsze przegrywamy. Szybko i boleśnie. Nauczyliśmy się dawać hasło do odwrotu, jak tylko zauważymy, że amulet zaczyna błyskać.

Rozumiem, że muszę się dowiedzieć więcej o animagach. Wydają się kluczem do potęgi Inviernych. Ich udział w walce udokumentował po raz pierwszy w swej relacji łucznik Hitzedar. Potem pojawiali się rzadko, jednak Alentín i Belén opowiadają, że spotkania z którymś z czarnoksiężników służącym Inviernym są na porządku dziennym.

— Belénie, muszę zdobyć wiedzę o animagach. Co oni jedzą? Jak się ubierają? No i czego oni chcą? Może ktoś szpiegował wśród nich? Może hrabia Treviño...

— Powinnaś porozmawiać z Cosmé.

— Co?

— Tak, z Cosmé. Jeżeli chcesz informacji poufnych — unosi brwi, patrząc na mnie — rozmawiaj z Cosmé. Ona jest szpiegiem.

Głowa sama opada mi w dłonie. Wszystko staje się jasne. Cosmé prawdopodobnie szpieguje równie skutecznie, jak radzi sobie z praniem. Dziękuję chłopakowi i ruszam na poszukiwanie mojej eskorty i służebnej oraz medyka i szpiega, wszystkich w jednej osobie.

Jest w jaskini pod skalnym nawisem i zajmuje się rannymi. Nie daje mi szansy na otwarcie ust, tylko informuje, że w nocy zmarł kolejny mężczyzna.

Pozostali jednak raczej wydobreją, mówi. Jednak czy na pewno, okaże się za parę dni.

— Czy mogę zadać ci kilka pytań?

Przewiduję, że zbędzie mnie byle czym, ale spróbować muszę.

— Na jaki temat?

— Ehm... to sprawy poufne.

Unosi brwi.

— Próbuję rozgryźć Inviernych. Zwłaszcza animagów. Gdyby mój ojciec i Alodia rządili posiadłościami hrabiego Treviña, zaczęlibyśmy od infiltracji wroga. Wiedzielibyśmy już, kto im przewodzi, jakie są ich plany, co jedzą na śniadanie, co oni...

— Treviño nic nie wie.

Zaskoczyła mnie, rozczarowanie ścisnęło mi gardło.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie. — Wstaje sztywno, patrzy mi w oczy. — Podpowiadałam mu to, gdy byłam na jego dworze. Uważałam, że powinniśmy byli wysłać szpiegów wraz z dostarczonym zaopatrzeniem. Hrabia jednak i jego córka uważali, że to zbyt ryzykowne.

Czegoś nie chwytam.

— Zaopatrzenie?

Cosmé wykrzywia się z pogardą.

— Dobry hrabia zawarł układ z Inviernymi, jeśli chcesz wiedzieć. Nie atakują jego posiadłości, bo wysyła im owce i żywność.

Mam wrażenie, że rozsadzi mi czaszkę.

— To żart?

— Niestety, nie.

— Więc hrabia jest zdrajcą.

— Niestety, tak.

— Czy król wie o tym?

Cosmé potrząsa głową.

— Ariña nigdy by mu tego nie powiedziała.

Ariña? Co kochanka mojego męża ma wspólnego z... i nagle rozumiem, wywracam oczami zdumiona własną ciemnotą.

— Ariña to córka hrabiego Treviña?

— Tak. Reprezentuje swojego ojca w Kworum Pięciorga.

— Zostałaś więc wysłana na przeszpiegi. Jako służebna Ariñi. Czego miałaś szukać?

Wzrusza ramionami.

— Oficjalnie miałam zbierać pałacowe plotki. Pomagać Ariñi, która czyhała na tron królowej. Ale wcześniej ja i Humberto nawiązaliśmy kontakt z grupą wujka Alentína. — Parska szyderczym śmiechem. — Wygląda na to, że stajemy się rewolucjonistami, buntując się przeciwko hrabiemu za zdradę i przeciwko królowi za bierność. Znalazłam się w Brisadulce z nadzieją, że znajdę tego, który nosi kamień. No i natknęłam się na ciebie. — Rozgląda się wokół, obejmując spojrzeniem garstkę rannych mieszkańców wioski. Chichocze jeszcze, ale w jej oczach nie ma

cienia wesołości. — Jesteśmy chyba przerażającą armią, nie myślisz, Wasza Wysokość? Grono dzieci bawiących się w rewolucję.

— Mów do mnie po imieniu. — Też się rozglądam, ale nie widzę bezradności, tylko tych, którzy przeżyli, choć są ranni. Jestem w cudownej, ukrytej w monolicie wiosce, która prosperuje mimo wojny.

— Powiedz, Cosmé, czy na serio jesteście zdeterminowani kontynuować walkę? Dlaczego się nie wycofacie? Gdybyście uciekli, powiedzmy, na północ od Orovalle, moglibyście żyć spokojnie.

Zaciska usta i rozszerzają jej się oczy. Nawet z grymasem gniewu, smutna i ze smugami brudu na twarzy jest piękną dziewczyną.

— Nigdy się nie poddam — wyrzuca z siebie, robiąc krok do przodu, tak że jej czoło niemal dotyka mojego. — Zabili moich rodziców. Zabili większość moich przyjaciół. Mam zamiar zabijać ich, póki nie dosięgnie mnie ich strzała lub nie spalą mnie na popiół.

Nie cofam się, mimo takiego odruchu.

— A inni? Czy czują tak samo? Czy chcą dalej walczyć?

— Większość tak.

Patrzemy na siebie przez dłuższy czas.

— To dobrze — mówię.

Widzę iskierki zdumienia w jej oczach, odwracam się i odchodzę. Elementy strategii wojennej układają się w moim umyśle. Plan jest szalony, takiego wojownicy

Joya d'Arena nigdy jeszcze nie próbowali.
Nie może się udać.



Sufit naszej chatki ma od światła świec kolor nasyconej ochry. Gapię się w niego, nie mogąc zasnąć od furczących w głowie myśli. Słyszę równomierny, regularny oddech Humberta. Prawdopodobnie chłopak już śpi.

— Chcę zwołać zebranie. Całej wioski! — wykrzykuję.

Humberto podrywa się, a potem układa się na boku.

— Koniecznie? — Ziewa.

— Koniecznie. — Patrzę badawczo na jego twarz, czy zobaczę dezaprobatę lub wątpliwości. I uświadamiam sobie nagle, że jest całkiem przystojny z wydatnymi kośćmi policzkowymi ludzi pustyni i wspaniałymi włosami.

Mruży oczy, powieki ma ciężkie od senności, pociera szczecinkę na brodzie.

— A zebranie po co?

— Żeby porozmawiać o wojnie. Mam pomysły.

— Powinnaś poprosić wujka Alentína, żeby zwołał zgromadzenie. Zresztą akurat myśli o uroczystościach modlitewnych dla nas wszystkich. Dzieci darzą go szacunkiem.

— To dobry pomysł.

Humberto ziewa znowu, po czym przekręca się na plecy i zasłania oczy przedramieniem.

— Jak myślisz, zechcą mnie słuchać? — pytam.

Podnosi brodę i wygina do tyłu głowę, by mnie widzieć.

— Zechcą, księżniczko. Nosisz Boski Kamień. Będą cię słuchać. — Układa się znowu i zamyka oczy.

— Już nie podejrzewasz, że ktoś spróbuje wyrwać klejnot z mojego ciała?

— Ja mógłbym to zrobić.

— Co?!

— Jeżeli nie dasz mi spać, wyrwę go własnymi rękami.

Mimo wszystko z ulgą witam uśmiech na jego twarzy.

— Dobranoc, księżniczko.

— Mów do mnie po imieniu.

Słyszę groźne mruknięcie.

— Przepraszam. Dobranoc.

*

Alentín zgadza się zwołać zebranie, ale sugeruje, by chwilę się z tym wstrzymać.

— Wysłaliśmy zwiady po tych, którzy mogli się

jeszcze uratować — wyjaśnia. — Poczekamy, aż wróca.

Nie polemizuję, chociaż nie cieszy mnie perspektywa czekania w nerwowym napięciu przez kilka kolejnych dni. Publiczne występy były domeną Alodii. Pominąwszy parę drobnych toastów, ja trzymałam się w cieniu. Teraz będzie inaczej. Około pięćdziesięciorga osieroconych dzieciaków nie powinno jednak mnie skonfundować. To przecież nic w porównaniu ze stanem przed zgromadzeniem szlachty w Orovalle, gdzie wszyscy gapili się na moją opiętą suknię i trajkotali, że za dużo jem.

Noszę Boski Kamień, przypominam samej sobie. Dla ludzi tutaj jestem uosobieniem nadziei.

Nie mogę usiedzieć spokojnie w jednym miejscu, więc proszę Cosmé, żeby wyjaśniła mi sekret działania liści *duermy*. Zwęża nieufnie oczy, rozważa moją prośbę. Przez moment staje mi przed oczami lord Hector ze swoją powściągliwą miną, kryjącą natłok myśli. Robi mi się smutno, gdy myślę, że on i Alejandro, i Ximena szukają mnie i drżą z niepokoju, co się ze mną stało. Chciałabym, żeby znalazł się jakiś sposób na przesłanie wiadomości do Brisadulce.

— Dobrze, wyjaśnię ci.

Zaskoczyła mnie tym.

— Dziękuję.

Prowadzi mnie przez północną grań do krętej dolinki. Dzień jest wyjątkowo upalny i przy każdym ostrzejszym podmuchu wpadają mi do buzi ziarenka

piasku.

— To roślina, która lubi cień — mówi Cosmé. — Zwykle rośnie na miękkiej ziemi, ale nie zawsze. Szukaj jej pod głazami od wschodniej strony. — Pokazuje mi niski krzak z szerokimi aksamitnymi liśćmi w kolorze morskiej zieleni. — Owocuje dwa razy do roku, ma małe żółte jagody. One są trujące, natomiast liście bardzo użyteczne. Daję rannym łagodną herbatkę, żeby lepiej spali. — Zręcznym płynnym ruchem odrywa kilka liści. — Nie ciągnij rośliny do góry wraz z korzeniem. Jeżeli oderwiesz same liście, odrosną w przyszłym roku.

Naśladuję jej ruchy i po chwili mam kilka liści, wilgotnych w miejscu odłamania ich od łodygi. Pachną lekko cynamonem.

— Czym mnie potraktowałaś? — pytam. — To nie była herbata. I bardzo szybko zadziałało.

Cosmé kiwa głową.

— Liście *duermy* zatrzymują wodę. Jeżeli wybierzesz najgrubsze i wyciśniesz z nich sok, a potem wysuszysz je na proszek, będziesz miała środek, który zainhalowany uśpi człowieka na kilka dni. — Zrywa większy liść i wymachuje mi nim przed nosem.

— Jak mnie.

— Jak ciebie.

— A czy można od tego umrzeć?

Wzrusza ramionami.

— Może się zdarzyć. Bardzo stężona dawka

mogłaby to chyba spowodować. Gdyby zebrać jagody, z pewnością potrafiłabym sporządzić z nich skuteczną truciznę. Ale ludzie mogą też reagować specyficznie na proszek z liści.

— Więc było ryzyko, że umrę.

Uśmiecha się, przeraża mnie autentyczne rozbawienie w jej czarnych oczach.

— Bardzo małe. Byłaś wówczas dość... powiedzmy, duża. Potrzebna byłaby potężna dawka.

Mimo woli patrzę na nią z gniewem.

— A herbata, którą podałaś Ximenie? Była mocna?

— Prawdopodobnie lady obudziła się późnym rankiem i głowa pękała jej z bólu.

— Interesujące. Bardzo interesujące. — Rozglądam się po malutkiej dolinie. Ziemia jest raczej sucha, porośnięta kaktusami, ale w zacienionych miejscach *duerma* i jadłoszyn rosną zgodnie. — Czy dużo tu tego jest?

Podnosi brodę.

— Co ty właściwie planujesz... Eliso?

— Jeszcze nie jestem pewna. Ale myślę, że będziemy potrzebowali liści *duermy* w dużych ilościach. Oraz — znacząco unoszę brwi — ludzi do kreciej roboty.

Grota pod nawisem skalnym zapełnia się szybko. Normalnie nie palimy pochodni z obawy przed wykryciem wioski, ale dzisiejszego wieczoru robimy wyjątek. Przyszli wszyscy, nawet ci ledwie kuśtykający. Jeden ze zwiadowców, może siedemnastolatek, przyprowadził pięć osób, którym udało się ująć z życiem. Znalazł je na pół zagłodzone, ale bez ran, więc radosna nuta pobrzmiwa w ogólnym gwarze, gdy czekamy na rozpoczęcie nabożeństwa przez ojca Alentína. Rozglądam się po licznych zgromadzeniu i z tremy zaczynają mi się pocić dłonie; teraz żałuję, że pozwoliłam sobie zjeść za dużo gulaszu z zająca na obiad. Jest nas teraz blisko sześćdziesiąt osób. Staram się o tym nie myśleć.

Pomagałam dzisiaj przy przygotowaniu posiłku, nawet obdzierałam ze skóry zająca, oczywiście pod czujnym nadzorem. Dowiedziałam się, że zajęce rozstają się ze swą skórą z nieprzyzwoitą beztróską. Jednak spod mojego topornego noża wyszła skóra porozdzierana i nie do użytku. Mimo to jestem przekonana, że będę potrafiła to zrobić, gdy zajdzie taka potrzeba.

Alentín wchodzi na głaz, wyciąga przed siebie jedyną rękę i trzyma ją na wysokości ramienia, póki wszyscy nie umilkną. Widzę w tej ręce różę. Mam nadzieję, że albo ma drugą gdzieś w zanadrzu, albo nie spodziewa się licznych petentów. Gdyby bowiem chciał celebrować sakrament bólu, kolce jednej róży nie

zachowałyby ostrości po wielu ukłuciach.

Recytujemy razem *Glorificę*, a potem on intonuje pieśń. Słowa są mi znane, natomiast melodia jest troszkę inna, w tonacji molowej i bardziej przejmująca niż ta, do jakiej jestem przyzwyczajona. Jednak włączają się głosy dzieci, wysokie i czyste jak dzwonki, i ja także dołączam do śpiewu, pokładając w Bogu nadzieję.

Kończymy hymn i ustawiamy się w kolejce do sakramentu. W Brisadulce, kiedy ojciec Nicandro celebrował nabożeństwo, niezbyt wielu chętnych szło potwierdzać swe oddanie Bogu przez ból. Ale tutaj, w miejscu, gdzie nadzieja jest rozpaczliwa, a rzeczywistość brutalna, każdy — czy dorosły, czy dziecko — ustawia się jeden za drugim do ukłucia różą i po błogosławieństwo.

Ojciec Alentín modli się, prosząc Boga o pobłogosławienie ceremonii, a potem cytuje *Scriptura Sancta*:

— Czyż nie jest tak, że Bóg wybiera tych, którzy na tym świecie ból znoszą i dla nich przeznacza miejsce w raju? W cierpieniu dopiero rozumiemy, jak potrzebna nam jest sprawiedliwa prawica Boga. I nasze potrzeby duchowe stają się ważniejsze od fizycznych.

Wszyscy są kolejno nakłuwani kolcem, błogosławieni i opatrywani. Księdzu asystuje Belén, który smaruje maścią ranki po ukłuciu, owija palce bandażem i od czasu do czasu przytula płaczącego.

Gdy przychodzi kolej na mnie, ojciec Alentín

uśmiecha się ze smutkiem, obejmuje mnie za kark i przyciska moje czoło do swojego.

— Czego szukasz, dziecko?

Ostatnim razem modliłam się o mądrość. Bóg wysłuchał mojej modlitwy, ponieważ czuję się dużo rozumniejsza. Doroślejsza. Inna. Wciąż jednak nie wiem, czego Bóg chce ode mnie. Wzdycham.

— Ojczy, potrzebna mi wiara. Mam tak wiele wątpliwości co do Boga i jego woli.

Jego wargi, wilgotne i gorące, wyciskają pocałunek na moim czole.

— Każdy ma chwile zwątpienia — szepcze. — Módl się pomimo wątpliwości. Bóg da ci znać, co masz robić, jak przyjdzie na to czas.

Nakłuwa mi palec i czuję lekkie pulsowanie. Przytrzymuje mi rękę nad paleniskiem — tu nie ma bogatego ołtarza — póki pojedyncza kropla krwi nie zaskwierczy na żarzących się węglach. Potem popycha mnie lekko w stronę Beléna, a ten ociera i bandażuje mój palec z należytą starannością. Siadam wreszcie pod ścianą, zamykam oczy i głęboko oddycham, żeby się uspokoić, bo żołądek podjeżdża mi do gardła.

Obrządek kończy się zbyt szybko. Czuję na ramieniu czyjąś rękę. Podnoszę wzrok na przyjazną twarz Alentína.

— Już czas, Eliso.

Nie mogę się ruszyć.

— Jeżeli chcesz, żeby wysłuchali cię wszyscy,

musisz już zacząć.

— A jeżeli nie zechcą mnie słuchać?

Nie odpowiada. Przykładam palce do Boskiego Kamienia i nerwowo wciągam powietrze.

— Boże — szepczę. Nie kończę modlitwy, ponieważ nagła fala mocy rodząca się w pępku przebiega niczym błyskawica wzdłuż kręgosłupa i potem do ramion. Otwieram szeroko oczy, otwieram usta, drżą mi palce.

— Eliso?

Rozglądam się dookoła. Wszyscy siedzą ze skrzyżowanymi nogami, na ich w większości młodziutkich twarzach widzę blask pochodni i nadziei. Wpatrzeni są we mnie, czekają.

— Mam to zrobić — mruczę w szoku. Panika wciąż mnie trzyma. Nogi mam jak z drewna, gdy Alentín pomaga mi się podnieść, ale czuję w sobie siłę słuszności, choć wymieszaną z lękiem. Ksiądz podprowadza mnie do głazu. Nie wchodzę nań, wiedząc, że nie będę w stanie zachować na nim równowagi.

Alentín siada przede mną i pozostaję jedyną osobą stojącą.

— Hm, witajcie — odzywam się głośno.

Kilka osób coś mruczy, kiwają głowami.

— Jestem Lucero-Elisa de Riqueza, księżniczka Orovalle. I ja... noszę Boski Kamień. — Niektórzy unoszą brwi, słyszę kilka okrzyków zdziwienia, prawdopodobnie z ust niedawnych przybyszów. —

Byłam przez pewien czas gościem Jego Królewskiej Mości Alejandra de Vegi w mieście Brisadulce. — To mówiąc, uzmysławiam sobie, że dłużej podróżowałam przez pustynię, niż byłam w królewskim pałacu. — Tamże zostałam dopuszczona do narady wojennej Kworum Pięciorga. Wiem, co nadchodzi i co zamierza zrobić król, niestety, muszę powiedzieć, że to nie wystarczy. Alejandro nie ma zamiaru wysłać tu posiłków. W obronie pogórza jesteśmy skazani na samych siebie. — Nie mam odwagi mówić o tym, że przyczyniłam się do takiej właśnie decyzji Alejandra, ale moja rozplomieniona twarz poświadcza szczerłość moich intencji.

— Czy jesteś pewna?! — ktoś woła.

Zwracam wzrok w tamtym kierunku.

— Jestem pewna. Być może wysła nawet mały kontyngent, żeby zmusić was do ewakuacji.

Wybuchła panika. Żółć napływa mi do gardła, gdy widzę po ich twarzach, że czują się skrzywdzeni i zdradzeni. Jednak teraz potrzebny jest mi ich gniew. Zaciskam ręce za plecami i czekam, by wreszcie się uciszyli, bo początkowy szok wywołał ogólną wrzawę.

— Nie możemy liczyć na pomoc króla — mówię, gdy milkną. — I nie możemy liczyć na to, że ochroni nas hrabia Treviño. Z tego, co rozumiem, dwie wielkie armie wroga są gotowe do marszu na Joya d’Arena. Król Alejandro mógłby pewnie pokonać jedną z nich, ale dwie? Nie znam też sposobu obrony przed ogniem

miotanym przez animagów. — Potrząsam głową. — Inwiernych jest wielu, nas tylko garstka. Są wśród nas ranni, jesteśmy zmęczeni. Oni są dorosłymi kobietami i mężczyznami. My w większości jesteśmy jeszcze dziećmi. Nie spodziewajmy się czyjejś pomocy. Krótko mówiąc, nie możemy toczyć wojny z Inwiernymi i zostać przy życiu. — Te słowa powtarzałam w myśli wielokrotnie, a jednak odczuwam lęk, że wypłynęły za wcześnie.

— Więc zginiemy śmiercią honorową! — ktoś krzyczy. Rozlegają się głośne potakiwania, chociaż niektórzy milczą ze wzrokiem wlepionym w szarobiałe podłoże jaskini.

— Honorowa śmierć to mit — protestuję. — Wymyślony przez nękaną wojną, którzy usiłują nadać sens temu, co ich przeraża. Jeżeli umrzemy my, inni będą mogli żyć. Naprawdę honorowa śmierć i jedyna honorowa to taka, która umożliwia trwanie życia.

— Sugerujesz, żebyśmy się wycofali? — To cichy głos Humberta. Nawet w słabym świetle pochodni widzę rozczarowanie na jego twarzy.

— Niedokładnie — uśmiecham się do niego, jak zawsze pokrzepiona jego obecnością. To jakby mój osobisty gwardzista, niczym lord Hector u boku Alejanda. Humberto nie potrafi nie odwzajemnić uśmiechu.

Czuję niepokój zgromadzonych. Muszę szybko przedstawić swoje racje, bo inaczej stracę ich zaufanie.

— W ciągu ostatnich kilku dni rozmyślałam dużo i intensywnie, w jaki sposób moglibyśmy pokonać Inwiernych. Pokonanie ich tutaj na pogórzcu jest oczywiście niemożliwe. A skoro nie da się ich tu pokonać, lepiej nie próbować. To nie znaczy — podnoszę rękę, żeby uprzedzić pomruki protestu — że nie będziemy walczyć. Wierzę, że jesteśmy w stanie i powinniśmy.

Wiem, że to, co mówię, jest słuszne i prawdziwe, więc naładowana energią chodzę przed siedzącymi w tę i z powrotem.

— Nigdy jednak nie wdamy się w otwartą bitwę. Naszym celem będzie nękanie wroga. Osłabianie go. Terroryzowanie. Będziemy posłańcami śmierci nawiedzającymi ich w nocy, zmijami czyhającymi na drodze. Będziemy *Malficio*, złym duchem, przekleństwem ich egzystencji. Mimo to przetrą sobie w końcu drogę przez nasze wzgórza i dotrą do króla Alejandra i jego nadmorskich terenów. Ale dotrą wymęczeni wystawianiem potrójnych wart, wygłodzeni z powodu ataków na wozy zaopatrzeniowe i paraliżowani strachem o życie, gdyż nigdy nie będą mogli być pewni, czy za chwilę nie zaatakuje ich *Malficio*. — Uśmiecham się szelmowsko. — Jeżeli okażemy się wystarczająco sprytni i ostrożni, to wierzę, iż król zyska dzięki nam przewagę. Wierzę, że pomożemy mu wygrać tę wojnę. Lecz nie będzie bohaterów ani bezsensownych śmierci. Nasz cel to kąsać

wroga i żyć, by go ukąsić znowu.

Kiwają do siebie głowami, rozlegają się pomruki aprobaty. Chyba ich przekonałam.

— Jest nas zaledwie pięćdziesięcioro! — woła młody chłopak. To Jacián, milczący uczestnik przeprawy przez pustynię. — I wielu z nas jest rannych. Są nawet kaleki. Większość nie dorosła do tego, by nosić broń.

— Zgadza się, lecz ci, którzy są niezdolni do walki, będą mieli jeszcze ważniejsze zadania. — Kilka głów się przekrzywia, widzę szeroko otwarte oczy. Zdaję sobie nagle sprawę, że ci najmłodszy, najbardziej poszkodowani, mogą stać się moimi największymi sprzymierzeńcami. Wystarczy, żebym przekonała ich, że są potrzebni. — Jestem pewna, że są wśród was niezli spryciarze. Poszukacie schronienia w większych wioskach i zaczniecie rozpuszczać plotki o *Malficio*, demonie zemsty, który objawił się na pogórzcu, by prześladować Inviernych. Oczywiście nie będziecie mieli wiadomości z pierwszej ręki, ale rozbudziecie spekulacje. Plotki powinny szybko znaleźć drogę do obozowisk nieprzyjaciela. Wtedy wróćcie. W tym czasie inni zaczną zrywać liście *duermy*. Ile tylko da się uezierać. Jeszcze inni będą szyli ubrania, takie jakie noszą Invierni. Jest tak wiele pracy przed nami, że każda para rąk, każde usta, każdy umysł będą potrzebne.

Przebiegam wzrokiem po gronie słuchaczy, oceniając ich reakcję. Większość ma wyciągnięte szyje,

uważnie słucha. Część siedzi z oczami jak szparki, rozważając moje słowa. Nawet Jacián kiwa głową, choć bez większego przekonania.

— Ponieważ mają dwie armie, muszą się ze sobą porozumiewać — odzywa się Belén ze swego miejsca koło Cosmé. — Gdybyśmy znaleźli sposób na zakłócenie ich komunikacji...

— O właśnie! — Rozsadza mnie radość. Coś, na co ja jeszcze nie wpadłam. — Belén, dokładnie takiego twórczego myślenia nam trzeba.

— Chyba mówiłaś coś o żmijach? — słyszę nieśmiały głos kobiety. To Mara, młoda kobieta z pokiereszowanym uchem, która przed kilkoma dniami dziękowała mi za przybycie do wioski. — Wiem, że pewnie niedokładnie o to chodziło, ale w razie czego mój kuzyn z Altavilla hoduje żmije.

Kiwam głową, myśląc, jak to wykorzystać.

— Świetnie. Dobrze to wiedzieć.

I nagle sypią się pomysły ze wszystkich stron. Niektóre są nedorzeczne, lecz nie wszystkie. Zachęcam, by je zgłaszali. I trwa to jakiś czas, aż do czyjegoś protestu.

— Dlaczego mamy pomagać królowi wygrać tę wojnę?! — ktoś krzyczy. — On nam nigdy nie pomagał.

Potrząsam głową.

— My nie pomagamy królowi. Wykorzystujemy go do wygrania naszej wojny.

— Ale to przecież są jego ziemie. — Znowu

odzywa się Jacián. — Założmy, że wojna się skończyła. Założmy, że wygrała ją Joya d’Arena. Ponownie zaczynamy płacić podatki człowiekowi, który nie chce, byśmy mu zaprzęтали głowę naszymi kłopotami. Skoro mamy mu pomóc, powinniśmy być jakoś uhonorowani. Wynagrodzeni.

I tu przechodzimy do sedna sprawy. Nie kontroluję szerokiego uśmiechu, który rozlewa mi się po twarzy.

— Czy chcecie się wyswobodzić spod władzy Joya d’Arena? Chcielibyście rządzić się sami? — To radykalna myśl. Ocieram się o zdradę. Widzę szok na ich twarzach. I zainteresowanie. — Bo jeśli tak — kontynuuję — to chyba potrafię to sprawić. Sądzę, że jestem w stanie przekonać króla, by przekazał wam tę ziemię. Dokona się to bez rebelii. Bez rozruchów. Jeżeli pomożecie królowi wygrać wojnę, zostaniecie wolnym narodem.

Ucichli, znieruchomieli. Ta niesłychana obietnica może wydawać się groteskowa. Przede mną jeszcze jedna sztuczka.

— Jakim cudem? — To Cosmé. Wychodzi z półmroku, oczy jej błyszczą od łez. — W jaki sposób to sprawisz?

Biorę głęboki oddech. Za chwilę nadużyję czyjegoś zaufania, po prostu zdradzę Alejandra, lecz wciąż mam poczucie, że gram w słusznej sprawie.

— Jestem nie tylko przybyłym z daleka gościem Alejandra. Jestem jego żoną, co pozostaje sekretem. On

wciąż jest mi winien ślubne wiano.

Słyszę szmer zdumienia. Mojej byłej służebnej dosłownie opada szczęka. Kątem oka dostrzegam jakieś poruszenie, odwracam się i w ostatniej chwili dostrzegam plecy Humberta, który wybiega z grotu w ciemną noc.

— Jesteś jego żoną — mamrocze Cosmé. — A przecież on nie wie, co się z tobą stało! Jeżeli poślubi... kogoś innego?

Przez ułamek sekundy pozwalam sobie na zapytanie się w duchu: A co jeśli rzeczywiście poślubił inną po moim zniknięciu? Czy to w ogóle takie straszne?

Odpycham te myśli od siebie.

— Mój ojciec — mówię — zgodził się przysłać oddziały wojska, co zostało ujęte w ugodzie ślubnej. Armia królestwa Joya nigdy nie odrodziła się po ostatniej wojnie i Alejandro rozpaczliwie potrzebuje jej wzmocnienia. Nie zaryzykuje zerwania ugody. Nie może czekać w nieskończoność, ale na razie czekać będzie.

— Czy twój ojciec nie wstrzyma się z dostarczeniem posiłków, gdy dowie się, że zaginęłaś? — pyta Alentín.

— Być może — przyznaję. — Gdyby tak się miało stać, nasz plan legnie w gruzach. — Staram się pohamować podniecenie i tylko sugeruję: — Być może warto byłoby wysłać do Alejandra wiadomość? Żeby wiedział, że jestem bezpieczna i zdrowa?

Jacián potrząsa głową.

— Skończymy na szubienicy.

— Zatem nie do Alejandra — mówię. — Napiszę do swojej niani, nie ujawniając waszej tożsamości ani lokalizacji. Po prostu prześlę krótką wiadomość, że żyję. Ximena powie mojemu mężowi tylko tyle, ile powinien wiedzieć, a mojemu ojcu zaręczy w razie potrzeby, że jestem bezpieczna. Ximena służyła w mojej rodzinie przez wiele lat i jej słowo więcej ważyć będzie u mojego ojca niż zapewnienia samego Alejandra.

Wszyscy się na to zgadzają, choć niechętnie. Mam napisać wiadomość rano i ktoś zanieś ją do poczty gołębiej w Basajuan. Mimo że miną tygodnie, zanim dotrze do Brisadulce, czuję ogromną ulgę. Mam nadzieję, że Ximena mi odpisze.

— Zapewnij nas, proszę, że będziesz w stanie przeprowadzić, co obiecujesz — odzywa się Cosmé. — Że kiedy wojna się skończy, przekonasz króla, by przekazał nam część swojego terytorium.

Zgromadzenie spowija zasłona milczenia. Patrzą na mnie pełni wyczekiwania i nadziei.

— Dokonam tego — mówię z wiarą.

Podeksytowanie objawia się głośnym gwarem. Siedzimy w grocie do późnej nocy, snując plany. Są teraz ze mną myślą i sercem. A ja wciąż nie wiem, co jest celem żyjącego we mnie Boskiego Kamienia. Nie mam pojęcia, w jaki sposób walczyć z animagami. Ale dałam tym ludziom szansę. Pokazałam, że mają o co

walczyć. Na razie to musi wystarczyć.

Kiedy wreszcie kompletnie wyczerpana docieram, kuśtykając, do swojej chatki, nie ma w niej Humberta. Dziwnie się czuję, zamykając oczy bez powiedzenia mu dobranoc. Długo leżę, nie zasypiając, boleśnie mnie uwiera puste miejsce przy drzwiach.



Rano wykorzystuję jedyny kawałek pergaminu w wiosce na krótką notkę w *lingua classica* do Ximeny. Podpisuję się: „Tuciela — słońce twoje”, i oddaję ją w ręce młodego chłopaka wyznaczonego na kuriera.

Przez resztę przedpołudnia wspinamy się z ojcem Alentínem po stromym zboczu, na którym na wielu poziomach znajdują się zabudowania wioskowe, i rozmawiamy z każdym mieszkańcem. Na grubej owczej skórze zapisuję atramentem ich nazwiska. Boli mnie od tego nadgarstek i wściekam się, z trudem uzyskując równe i czytelne litery. Przepytyujemy wszystkich bardzo dokładnie, a ja notuję, skąd kto pochodzi i jakie posiada umiejętności. Nawet najmłodszy są zadziwiająco samodzielni, potrafią przygotować posiłek, pilnować owiec, rzeźbić w drewnie.

Przyglądają mi się, mają oczy szeroko otwarte, jest w nich i podziw, i zdenerwowanie. Alentín jest dla mnie ogromną pomocą, zadaje pytania, jakich bym nigdy nie wymyśliła, każdemu, zwłaszcza dzieciom, w sposób naturalny i ciepły okazuje współczucie. Wkrótce mam listę pięćdziesięciu sześciu nazwisk i z każdą z tych osób rozmawiam z wyjątkiem Humberta. Cosmé mówi mi, że

znudziło mu się jedzenie wciąż baraniny i poszedł zapolować.

Późnym popołudniem do mojej chaty przychodzą Cosmé i Belén. Siedzimy na podłodze i jedząc udziac barani nadziewany białą fasolą i grzybami, omawiamy listę.

— Tylko piętnaście osób potrafi posługiwać się łukiem — zwraca uwagę Belén.

— Jak szybko udałoby się nauczyć innych? — pytam. — Wiem, nie wyszkolimy strzelców wyborowych, ale czy będą chociaż potrafili wypuścić strzałę do celu?

— Szybko. Ale nie w tym problem. Nie mamy dość broni.

— Możemy mieć więcej?

Wzrusza ramionami.

— Moglibyśmy sami wykonać sporo, jednak zajęłoby to trochę czasu. No i nie mamy w okolicy odpowiednich drzew.

— Dziewięć osób potrafi posługiwać się procą — mówi Cosmé. — Do robienia proc potrzebna jest jedynie skóra. I kamienie. Chłopcy uwielbiają strzelać kamieniami.

— Świetnie! — Belén podnosi pięść w geście zwycięstwa. — Uwolnimy świat od Inwiernych dzięki procom!

Cosmé wzrusza ramionami.

— Każdy, kto potrafi zabić zająca z odległości

dwudziestu kroków, zabije Inwiernego z odległości dziesięciu.

— Dobrze. — Głęboko wciągam powietrze. To zaczyna być groteska, jakby małe dzieci bawiły się w wojnę, bo i faktycznie większość z nas to dzieci. — Wszyscy więc będziemy trenować strzelanie z procy, a jednocześnie zastanowimy się, w jaki sposób zaopatrzyć się w więcej łuków i strzał.

Jak wynika z listy, jest wśród nas kowal, niestety, nie mamy żelaza. Są szwaczki, lecz nie wiemy, jak ubierają się wrogowie. Jest akuszerka, która pomagała Cosmé zszywać rany, i dwóch traperów, którzy, zanim przyszli Inwierni, zastawiali pułapki na całym pogórzu. Mara jest znakomitą kucharką. Reszta to dzieci posiadające sporo wiedzy i sprytu, ale niemające konkretnych umiejętności. Wiele osób, wiele talentów, które nie wiem, jak wykorzystać.

Czuję pulsujący ból za oczodołami. Ściskam grzbiet nosa.

— Potrzebuję więcej informacji — mówię cicho.

— O ludziach tutaj? — pyta Cosmé. — Zgłaszaj pytania.

— Nie. O Inwiernych. O ich armii. Jak blisko można do nich podejść, nie będąc zauważonym?

Cosmé chichocze.

— Gdyby wysłać mnie, Beléna czy nawet mojego brata, to bardzo blisko.

— Aż tak blisko, że dałoby się obserwować ich

przez kilka dni?

Cosmé i Belén wymieniają znaczące spojrzenia. Tak porozumiewają się ludzie, którzy od dawna i dobrze się znają.

— To byłoby możliwe — mówi Belén. — Jest tam blisko pieczara. Wysoko na stoku. To była... — Patrzy przez moment w ziemię. — To była nasza ulubiona kryjówka, kiedy byliśmy dziećmi.

Jeżeli to prawda, właśnie takie miejsce jest nam potrzebne.

— Muszę mieć mapę ich obozowiska — mówię. — Chcę wiedzieć, co jedzą, gdzie śpią, jak wygląda ich obóz. Czy animagowie mieszkają razem z nimi, czy trzymają się osobno? Jak się ubierają? W jaki sposób organizują zaopatrzenie z gór? Jak...

— Eliso — przerywa mi Cosmé. — Zrobimy to. Wyruszymy jutro w piątkę.

— Co... w piątkę?

Kiwa głową.

— Ty, ja, Belén, Jacián, Humberto. Udało nam się przejść przez pustynię podczas sezonu burz piaskowych. Z pewnością nie pójdiesz na ryzyko dzielenia błogosławionej piątki.

„I jest prowadzony jak świnia na rzeź do królestwa sztuki czarnoksięskiej”, słyszę we własnej głowie. Uśmiecham się blade.

— Prawdę powiedziawszy, widziałam siebie bardziej w roli... organizatorki.

— Wieczorem podjedz sobie do syta, księżniczko — kłapie Cosmé. — Bo na jutrzejszej wyprawie będziesz wspominała z rozczuleniem zupę z jerboa.

Belén chwyta mnie za ramię.

— Eliso, masz tęgą głowę. Jeżeli ktokolwiek powinien obserwować ich armię, to właśnie ty. — Uśmiecha się, ale w oczach ma powagę. — Jak się postarasz, nie będziesz zwalniać tempa marszu.

Wychodzą poczynić przygotowania. Odprowadzam ich wzrokiem, z żołądkiem w gardle i dłońmi lepkiemi od potu. Oni mają oczywiście rację — muszę zobaczyć obóz wroga na własne oczy. To, że prawdopodobnie przeznaczone mi jest spełnić swoją misję, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, jest niewielką pociechą. Wiem, że ta wyprawa to konieczność. Wola Boga. Być może to właśnie ja jestem osobą, o której mówi prorocтво, to właśnie ja mam stanąć u bram wroga.

Ale ja chcę żyć. Chcę znowu zobaczyć Ximenę. I Alejandra. Chcę mieć czas, żeby sobie wyjaśnić, co czuję do swojego męża.

*

Każdy wie, co ma robić podczas naszej nieobecności. Kilkoro dzieciaków uda się do hrabiowskich posiadłości, żeby rozpuszczać płotki

o tajemniczym *Malficio*. Inni otrzymali zadanie powiększenia naszego arsenału broni oraz szkolenia innych w strzelaniu z procy i z łuku. Jeszcze inni będą na najważniejszych szlakach kopać doły, które potem zostaną przykryte brezentem i zamaskowane darnią. Najmłodszy mają zrywać liście *duermy*.

Nasza wyprawa mnie przeraża. Znowu upał, bolące stopy, skąpe i bez smaku posiłki. Tym razem, ponieważ idziemy na zwiady, nie zabieramy wielbłądów i będziemy nieźle objuczeni.

Żegna nas cała wioska. Uśmiechy nadziei na ich twarzach wydają się absurdalne w zestawieniu z poszarpanym odzieniem i bandażami na rękach i nogach. Wymachują rękami, gdy wspinamy się na grań. Prowadzi nas Humberto, milczący i bez uśmiechu, z ramionami do przodu, jakby przecierał nam ścieżkę w gęstym powietrzu. Nie odzywa się do mnie od dwóch dni.

W ramiona wpijają mi się rzemienie worka załadowanego moim pościelaniem oraz suszoną żywnością, bukłakiem z wodą, atramentem i kawałkiem jagnięcej skóry, na której mam sporządzić mapę obozu wroga.

Humberto nadaje szybkie tempo. Jak przedtem walczę, żeby nadążyć. Nie jestem tą samą tłąstą księżniczką, którą porwano z łoża w Brisadulce, ale nie dorównuję sprawnym towarzyszom, maszeruję wolniej, ociężale. Podróż przez pustynię była pośpieszna, jednak

szło się jednostajnym tempem prosto przed siebie. Tutaj w górskim terenie moje kolana i kostki u nóg z trudem wytrzymują manewrowanie między głazami i krzakami jadłoszynu, wspinanie się na grań, by za chwilę ześlizgiwać się w dół zbrocza po drugiej stronie. Robię oczywiście najwięcej ze wszystkich hałasu i nie wyobrażam sobie, że uda mi się niepostrzeżenie podkraść blisko Inwiernych.

Gdy zatrzymujemy się na posiłek, by przełknąć szybko suszone mięso i daktyle, moja odzież przyklepiona jest już do ciała, a skóra pod rzemieniami pali mnie tak, jakbym miała tam rany od oparzeń. Zrzucam worek na ziemię i wybieram miejsce na głazie koło Humberta. Patrzy przed siebie, pogryzając mięso.

— Humberto?

— Hm? — mruczy.

— Dlaczego jesteś zły na mnie? — pytam szeptem.

Rzuca mi szybkie spojrzenie.

— Nie jestem zły.

— Starasz się mnie nie zauważać.

— Tak.

Wzdycham z irytacją.

— Nigdy przedtem nie miałam przyjaciela. Byli nauczycieli, nianie, służące i... siostra. Więc pewnie nie potrafię się przyjaźnić. Nie wiem, czym cię uraziłam, i nie wiem, co robić dalej.

— Jego Królewska Mość nie jest twoim przyjacielem? — Ton ma drwiący, zaczepny.

Czy Alejandro jest moim przyjacielem? — pytam się w duchu i potrząsam głową.

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Powiedział, że chciałby widzieć we mnie przyjaciela, lecz teraz nie jestem pewna, czy to nie były puste słowa, żeby ugłaskać dziecko. Nigdy nie spędzaliśmy razem czasu i nie poznaliśmy się dobrze. Ma osobistego gwardzistę, lorda Hectora, i do tej przyjaźni bardziej się skłaniałam.

— Nie powiedziałaś mi, że wzięliście ślub.

— Nie mam zwyczaju zdradzać sekretów stanu porywaczom — rzucam ostro. — Oczywiście, że nie powiedziałam. No i co? Jednak jesteś zły.

— Nie. Raczej czuję się... jak idiota.

Widzę go z profilu.

— Dlaczego? Nie myślę, że jesteś idiotą.

W końcu odwraca do mnie głowę.

— Tak mi chodziło po głowie, że kiedy to wszystko się skończy, to może ty i ja moglibyśmy... ale to głupie, bo jesteś księżniczką, a ja przewodnikiem karawan. Widzisz? Jestem idiotą. — Podrywa się z naszego głazu, wrzucając resztę suszonego mięsa do woreczka przytroczonego do pasa.

Czuję się oszołomiona, nie wstaję i nie idę za nim. Oblewa mnie gorąco od ramion po szyję. To ja jestem idiotką, bo nie zastanawiałam się, co motywuje go, żeby mnie chronić, dlaczego jest taki rozmowny i jego oczy tak często wędrują po mojej twarzy. To objawienie uderza mi do głowy, jest cudowne i budzące lęk.

Pierwsza myśl: Szkoda, że Alejandro nie czuje czegoś takiego. Druga: Cieszę się, że to Humberto. I budzi się pragnienie, żeby ten moment zachować w pamięci jako niezwykły i myśleć o Humbercie niezależnie od Alejandra.

Przez resztę dnia nie zauważam bólu ramion. Poruszam się jak w transie pod wrażeniem cudownego uczucia, że komuś bardzo na mnie zależy. Tego wieczoru, gdy zakładamy obozowisko na skalnej półce nad wyschniętym potokiem, Humberto znowu mnie unika. Ale podchodzę do niego cichaczem, gdy zbiera drewno na ognisko.

— Mimo wszystko nie myślę, że jesteś idiotą — szepczę do niego.

*

Zapach ziemi zmienia się wraz z obniżającą się temperaturą. Drażni mnie w nozdrza wilgotna i kwaśna woń. Kaktusy i szarłat ustępują miejsca pinii i jałowcom. Od czasu do czasu przechodzimy przez płytkie strumienie, a Humberto uzupełnia naszą dietę z suszonego mięsa i zupy z jerboa złowioną trocią cętkowaną. Po kilku dniach wzrasta ryzyko, że zostaniemy zauważeni, więc schodzimy z grani i posuwamy się dalej wąwozami i dolinkami. Co

wieczór wpełzam na posłanie kompletnie wykończona, lecz tym razem jest inaczej niż podczas wędrówki przez pustynię. Tym razem bołą mnie kości, bo jestem cała poobtłukiwana.

Współtowarzysze obrzucają mnie zirytowanymi spojrzeniami. Wchodzę w większą ilość kolizji z gałęziami i potracam więcej kamieni, niżby to robiła kawalkada powozów. Jestem w rozpacz, bo mam świadomość, że trzeba zachować ostrożność, ale im gorliwiej się staram być cicho, tym bardziej niezdarnie się poruszam. Belén zostaje w tyle za innymi, żeby poinstruować mnie, jak i gdzie stawiać kroki, ale po chwili traci cierpliwość. Zawsze brakowało mi gracji, stawiam nogi niezdarnie i ciężko jak słoń. Tutaj jednak chodzi o coś więcej, niż tylko uniknięcie skręcenia kostki.

Jestem bliska łez, gdy zirytowany Belén woła Humberta.

— Pomóż jej przez chwilę. — Widzę, że tam z przodu Humberto kiwa głową. Cosmé i Jacián notują zmianę warty, ale swoim zwyczajem milczą.

Humberto okazuje dużo więcej cierpliwości. Uczy mnie, jak stawiać stopy, i wyjaśnia, w jaki sposób napinać mięśnie ud i łydek. Pilnuje się, żeby mnie nie dotknąć, chociaż sprawiłoby mi to przyjemność.

To wygląda trochę jak nauka tańca — w czym nigdy nie byłam dobra — ważna jest precyzja i kontrola nad zasobem sił. Pod koniec dnia moje mięśnie dają

znać o sobie, zdrętwiałe z wysiłku, ale mam na koncie mniej połamanych gałęzi i cieszy mnie, że spędziłam z Humbertem tyle godzin.

Tego wieczoru ognisko rozpalamy niewielkie, żeby nie było dymu, podgrzewamy zupę i zdeptujemy ogień przed zmrokiem. Moi towarzysze są mniej rozmowni niż zwykle. Każdy odgłos i cień wprawiają ich w stan alarmu. Wyznaczają warty na całą noc. Zgłaszam się na zmiennika, ale Cosmé kręci głową i życzy mi dobrego snu.

— Już i tak opóźniasz nas w marszu — mówi.

Oczywiście ma rację. Wymagam wyjątkowej troski i nawet mi to odpowiada. Mam nadzieję, że gdy zaczniemy obserwować armię Inwiernych, udowodnię, że warto było o mnie dbać.

Następnego ranka w milczeniu i pośpiechu zwijamy obozowisko. Humberto prowadzi nas z bezbłędną pewnością siebie sobie tylko znanym szlakiem, który dla mojego oka nie jest dostrzegalny. Wędrujemy zwirowym dnem jaru, którego zbocza pokryte są niebieskawymi kępami karłowatego jałowca i wyschniętej gryki. Słońce stoi wysoko i potwornie przypieka. Naciągam szal na rozpaloną głowę, bo czuję, że Boski Kamień zamienia się w kawałek lodu. Jest tak zimny i tak mnie kłuje, że ogarnia mnie strach.

— Belén! — Mój głos brzmi jak pisk myszy. Wysoki chłopak jest najbliżej, inni są za daleko, by mnie słyszeć.

Odwraca się i patrzy na mnie z góry znad haczykowatego nosa, na szczęście twarz mu łagodnieje, gdy spotyka mój wzrok.

— O co chodzi?

Zdrętwiałe z zimna palce wciąż przyciskam do pępka.

— Kamień. Dzieje się coś złego — mówię i jestem bliska łez. Tylko dwa razy Kamień zmroził mi krew w żyłach: za pierwszym sygnalizował atak Wyklętych, za drugim nadejście burzy piaskowej. — Tak się dzieje jedynie wtedy, kiedy niebezpieczeństwo jest blisko. Bardzo blisko — dodaję.

Belén nie waha się ani chwili. Dobiega do Jaciána i Cosmé, szarpie ich za rękawy. Idący daleko z przodu Humberto odwraca się, zaniepokojony zamieszaniem. Belén przywołuje go, gorączkowo wymachując rękami. I natychmiast obydwaj biegną ku mnie, bacznie obrzucając wzrokiem otoczenie.

Humberto ściska mnie za ramię.

— O co chodzi, Eliso? Coś złego?

— Nie wiem, ja sama nigdy nie wiem, tylko Boski Kamień... myślę, że powinniśmy się gdzieś schować.

Jacián już pełźnie po zboczu w stronę gęstej kępy jałowców.

— Tu do mnie na górę! — macha do nas. — Właźcie, kryjąc się za krzakami jeżyn. Ja zamaskuję nasz szlak.

Cosmé i Belén wspinają się zwinnie, Humberto i ja

za nimi, ale trochę wolniej. Podejście jest strome, grunt śliski, muszę chwycić się wystających korzeni. Niełatwo się przedzierać przez gąszcz jałowców, a drzewa rosną gęsto koło siebie i zawłaszczają ziemię wokół. Humberto rozsuwa gałęzie przede mną, ale i tak plecy oraz ramiona mam podrapane. Zapieram się na koniec o skręcony pień, żeby nie zsunąć się ze stromego zbocza. Reszta, jak widzę, zastygła w podobnych pozycjach. Cierpkie krople ściekają z liści i niebieskawych jagód jałowca, powietrze jest tu kwaśne i chłodne. Policzki drażni mi pajęczyna. Nie wiem, jak długo będziemy się tu ukrywać, przycupnięci w niewygodnych pozach, z głowami pod zielonym baldachimem.

Po chwili dołącza do nas Jacián, ciężko dyszy.

— Wiesz, na co tu czekamy, księżniczko? — pyta szeptem.

Potrząsam głową.

— Nie, ale wtedy Boski Kamień ostrzegł mnie przed nadejściem piaskowej burzy.

— Więc teraz też coś jest nie tak?

Kiwam głową, a Cosmé zatyka mu ręką usta. W milczeniu pokazuje w dół na dno jaru, skąd właśnie uciekliśmy. Drzewa rosną tak gęsto, że widzę przez nie jedynie przebłyśki kamienistego rdzawego gruntu i skały naprzeciw. Nie jestem pewna, co ona dostrzega.

Najpierw ich słyszę. Kłaskanie stóp na żwirze. Dźwięki podobne do bambusowych dzwonek. Albo

stukających o siebie wyschniętych kości.

I nagle czuję, że brakuje mi powietrza. Przytłacza mnie duszący zapach ziemi, osnuwa ciemność. Za chwilę groty strzał wbiją się w ciało, płomienie ogarną nasz powóz, a ja nie zdołam wydostać z niego moich opiekunek...

Otrzeźwia mnie dotknięcie ciężkiej ręki na moim ramieniu. Podnoszę wzrok na pochylającego się nade mną Humberta, jego błyszczące oczy są tuż przy moich. Przełykam ślinę. Atak Wyklętych był dawno temu, wiem, mimo to przez gałęzie wypatruję mężczyzn pomalowanych w czarno-białe esy-floresy, pełzających jak zwierzęta, z ozdobami z kości wokół kostek u nóg i we włosach.

Miga mi przed oczami futro. Długi kołczan ze strzałami. Włosy do pasa, wyrastające zmierzwionymi kępami. Wstrzymuję oddech, patrząc na poruszające się boso postacie. Grupa myśliwych? Zwiadowcy? Mają blade ciała. Miejscami zaczerwienione — w plamach od słońca. Czekam na znak, że nas dostrzegli, ale trudno mi orzec, bo patrzę przez zasłaniające widok gałęzie. Oni suną w jakiejś magicznej ciszy, ale są tak blisko, że słyszę tupot nóg i grzechotanie ozdób z kości. Gdyby nie Boski Kamień, wpadlibyśmy prosto na nich. Nie widzę zygzakowatych malunków, jednak podobieństwo do Wyklętych jest niezwykle.

To Inwierni. Oglądam wreszcie swoich wrogów, chociaż spoza gęstych gałęzi nie widzę ich wyraźnie.

Wyobrażałam sobie, że są wyżsi i mają ciemniejszą skórę, za to zaskakują mnie dzikim wyglądem. Podobnie jak Wykłęci poruszają się ze zwierzęcą gracją.

Czekamy w napiętej ciszy. Mimo skurczów w stopach i straszliwego swędzenia szyi boję się poruszyć. Boski Kamień pompuje chłód w moje żyły. Na ramieniu czuję ciężką, gorącą rękę Humberta, za co jestem wdzięczna. Tylu ich jest tam w dole, suną długą tyralierą przynajmniej po trzech w rzędzie. Co zrobią, jeżeli nas zauważą? Czy zabiją nas na miejscu? Nie słyszałam nigdy o żadnych jeńcach. Czy jest z nimi jakiś animag? Mógłby spalić naszą kępę drzew, gdyby zechciał.

Wreszcie droga tam w dole jest pusta. Nie ruszamy się jednak, póki kurz nie osiadzie na dobre po ich przejściu. Cosmé przykłada palec do ust i gestem nakazuje nam pozostać na miejscu, sama zaś ze zdumiewającą zwinnością wyczołguje się spomiędzy kryjących nas drzew. Ja z trudem utrzymuję się na stromiźnie, nogi drżą mi z wysiłku i pot skapuje po skroniach, gdy czekamy na jej sygnał, że można się ruszyć.

Wraca po krótkiej chwili.

— Wędrują na zachód — szepcze bez tchu. — Wygląda na to, że nas nie zauważyli, ale musimy się stąd wynosić, bo a nuż dostrzegą nasze ślady albo natkną się na nasze obozowisko. Droga na wschód jest czysta. Na razie.

Wygrzebujemy się z gąszczy, w schodzeniu ze zbocza pomaga mi Humberto. Ściskam jego ręce mocniej i trochę dłużej, niż to jest konieczne. Już na dole zatrzymujemy się na chwilkę dla nabrania oddechu.

— Eliso, odtąd ty i Humberto idziecie razem z przodu — oświadcza Cosmé. — Choćbyś nawet spowolniła nasze tempo. Jak tylko to coś w tobie zacznie cię ostrzegać — Cosmé wykonuje ręką niejasny gest — daj jakiś sygnał, a zaczniemy szukać schronienia.

Kiwam głową, chociaż perspektywa prowadzenia naszej grupy na terytorium wroga mnie przeraża. A jeżeli następnym razem nie zdążymy się schować? Jeżeli zareaguję za późno? Mimo tych wątpliwości uśmiecham się, maszerując obok Humberta. Bo być może nareszcie okażą się potrzebna.



Wędrujemy w milczeniu przez kolejne dwa dni, dla bezpieczeństwa rezygnując z łatwych dolinek i łagodnych wzniesień na rzecz ledwie widocznych stromych sarnich ścieżek, dobrze zakamuflowanych wśród ciernistych krzewów i krzaków karłowatego jałowca. Humberto prowadzi nas pewnie, ja trzymam się tuż za nim.

Boski Kamień się wyciszył i rozgrzał, jak tylko znaleźliśmy się poza zasięgiem zwiadowczej grupy nieprzyjaciela. Jednak trwało to krótko i znowu czuję, że robi się coraz chłodniejszy, ostrzegając. Nie jestem więc w ogóle zdziwiona, gdy patrząc o zachodzie słońca ze szczytu wzniesienia w stronę Sierra Sangre, widzimy w zapadającym zmroku pomarańczowoczerwoną poświatę, otulającą podnóże gór niczym szeroko rozciągnięta kołdra.

— Armia Inwiernych — szepcze stojący obok mnie Humberto. — Ciągle jeszcze o dzień drogi od nas. Ich paleniska wyglądają jak światła małego miasta.

Przełykam ślinę i ściskam jego rękę.

— U bram wroga — szepczę w odpowiedzi.

— Być może — mówi i gładzi kciukiem kostki

moich palców. — Eliso, nie pozwolę, żeby cokolwiek złego ci się stało.

To słodkie zapewnienie i jestem za nie wdzięczna, ale nawet Humberto nie jest w stanie obronić mnie przed całą armią wroga.

— Dziękuję — mówię jednak, patrząc z boku na jego profil.

Puszcza moją rękę, gdy pozostali docierają do nas.

— Musimy założyć obozowisko, zanim zrobi się całkiem ciemno — orzeka i pomyka w dół na drugą stronę wzniesienia, a ja usiłuję dotrzymać mu kroku.

Nie ośmielamy się rozpalać ogniska tej nocy. Siedzimy w kręgu na naszych posłaniach schowani w małej pieczarze i przeżuujemy suszoną sarninę oraz pomarszczone daktyle. Znowu będę głodna, ale przynajmniej nie dokuczają mi bóle głowy. Rozglądam się i stwierdzam, że nie tylko ja jestem nieszczęśliwa. Parskam śmiechem.

Cosmé pochyla się w moją stronę, reszta unosi pytająco brwi.

— Coś zabawnego, księżniczko?

Wyszczerzam do niej zęby.

— Wydaje mi się, że nie tylko ja tęsknię do twojej zupy z jerboa.

Belén i Humberto chichoczą, a Cosmé udaje obrażoną. Jacián z dystansem patrzy w stronę gór. Zawsze jest dziwnie cichy, jakby nieobecny. Mimo trwającej miesiąc wspólnej wędrówki przez pustynię

pozostaje mi obcy. Czasami zapominam, że jest z nami.

— Wszyscy spać — nakazuje Cosmé. — Ja trzymam pierwszą wartę.

*

Tym razem Cosmé pozwala nam pospać dłużej.

— Zwykle przemieszczają się we wczesnych godzinach rannych. Nie lubią upału — wyjaśnia. — Ponieważ znajdujemy się blisko nich, zostaniemy na miejscu do południa.

Bezczynność dokucza mi bardziej niż wędrówka. Gdy jesteśmy w drodze, głowę mam zaprzątniętą przyziemnymi sprawami: myślę, gdzie postawić stopę i jak bardzo boli mnie ramię. We względnie wygodnej kryjówce pamiętam, że są powody do strachu. Gdy wreszcie zarzucamy na ramiona worki i za Humbertem wychodzimy z ukrycia w stronę masywu Sierra Sangre, nie potrafię powiedzieć, czy odczuwam ulgę, czy nie.

A Boski Kamień jest coraz chłodniejszy. Choć zwracam na niego baczną uwagę, nie jestem pewna, czy teraz wyczuję lodowaty sygnał ostrzegawczy. Ścisza mnie w żołądku i mięśnie mam napięte do bólu. Gdy Cosmé zarządza postój, jest mi tak zimno, że cała drzę.

Chowamy się w sosnowym zagajniku. Dwukrotnie wypada mi z rąk moja mata, gdy próbuję rozłożyć ją na

dywanie z sosnowych igieł.

— Elisa? — To głos zatroskanego o mnie Humberta. — Ty dygoczesz.

Kiwam głową, wciągając powietrze drżącymi wargami.

— Jest mi strasznie zimno.

Przykłada mi rękę do policzka, czuję jej ciepło.

— Mój Boże! Eliso, twoja skóra jest lodowata. — Rzuca się do swojego worka i wyciąga pudełeczko z hubką i krzesiwem.

— Co robisz?! — woła Cosmé, widząc go kucającego z krzesiwem i krzemieniem w rękach.

— Potrzebne nam ognisko. Zanim zajdzie słońce.

— Żadnego ognia!

— Chodzi o Elisę. Musi się rozgrzać.

Cosmé odwraca się do mnie.

— Czy to twój klejnot?

Kiwam głową.

— Czy ktoś się zbliża? — pyta Belén.

— Ja... ja nie wiem. Nie sądzę. Robi się zimniejszy. Bo jesteśmy coraz bliżej celu.

Cosmé zamyka oczy i ścisną grzbiet nosa.

— Czyżbyśmy nie mogli podprowadzić jej blisko ich armii?

Pozostali patrzą na mnie z niepokojem. Choć jestem półprzytomna z zimna, odczytuję jednak w ich oczach pytanie: „To na próżno ciągnęliśmy ją ze sobą taki szmat drogi?”.

— Już roznieciłem ogień — mówi Humberto. — Jeszcze chwilka.

Zaszliśmy już tak daleko. Myśl o powrocie do wioski bez sukcesu mnie przeraża, a teraz na dodatek moi towarzysze, chcąc mnie rozgrzać, ryzykują, że wrogowie nas wywęszą.

Przykładam czubki palców do Boskiego Kamienia. Chłód przenika nawet przez kilka warstw odzieży. „Boże”, modłę się w duchu, „co mam robić?”. Jak zawsze Boski Kamień odpowiada pozytywną wibracją. W brzuchu czuję lekkie ciepło.

— Humberto! Zgaś ogień! — mówię przenikliwym szeptem. Zamykam oczy i się uśmiecham. „Dzięki Ci, Boże. Choćbym miała się modlić nieprzerwanie całą noc i cały jutrzejszy dzień, zrobię to”. Strumyczki ciepła wędrują mi w górę po plecach i w dół wzdłuż nóg, docierają po same czubki palców rąk i stóp. Słyszę trzaski gałęzi, gdy Humberto dusi ogień.

Podnoszę wzrok z uczuciem odprężenia i ulgi.

— Mam się modlić. Nieustannie — wyjaśniam im. — Niech każdy, kto trzyma wartę, budzi mnie, żebym się rozgrzewała modlitwą.

Humberto znowu przykładą rękę do mojego policzka, trochę pod pozorem sprawdzenia, czy jest ciepły.

— Ten twój klejnot to dziwna rzecz — mówi, ale widzę ulgę na jego twarzy. Pozostali patrzą na mnie z mieszaniną podziwu i niepokoju.

Gdy już siedzimy na rozłożonych posłaniach, zadziwia nas Belén, wyciągając ze swojego worka bochenek chleba.

— Zachowałem go. Na naszą ostatnią noc przed dotarciem do wroga. Pewnie jest całkiem suchy.

Humberto klepie go po plecach.

— Porządny chłop z ciebie, Belén.

Przed posiłkiem głośno się modłę, a gdy już jemy, modłę się w duchu. Chleb jest rzeczywiście czerstwy i zgnieciony, ale obficie nadziany rodzynkami i orzechami. Zasypiam, błagając Boga o odwagę i spryt, dziękuję Mu też za sytość, jaką czuję po dobrej kolacji.

*

Znowu długo śpimy. Gdy już zwinęliśmy posłania, odciągamy na bok Cosmé.

— Czy jeśli ja nie wrócę, a tobie się uda, przyrzekasz kontynuować nasz plan? — pytam.

Przygląda mi się przez moment, potem kiwa głową.

— *Malficio* będzie żył, przyrzekam.

— Dziękuję.

— Uważasz, że stracisz życie?

Wzruszam ramionami z demonstracyjną nonszalancją.

— W *Afflatusie* nie ma jasności w tej sprawie.

Jednak wszyscy, którzy nosili Boski Kamień, wcześniej czy później ginęli.

— Dlaczego więc zgodziłaś się na wyprawę?

Zdaję sobie sprawę, że wiele było powodów. Zgodziłam się, ponieważ miałam dość bycia bezużyteczną. Ponieważ uznałam, że muszę wypełnić swoje posłannictwo, choćbym miała ponieść śmierć. Ponieważ Alodia czy Ximena, czy lord Hector nie wahaliby się na moim miejscu. Także dlatego, ponieważ nadszedł czas, bym stała się dorosła.

— To wola Boga — mówię tylko. Marna odpowiedź i pełna hipokryzji, albowiem gdy chodzi o wolę Boga, czuję się zagubiona niczym owieczka zaplątana w jeżynach. Jednak podanie prawdziwych powodów byłoby zbyt trudne.

Zbliża się do nas Humberto z workiem zarzuconym już na ramię.

— Powinniśmy dotrzeć do naszej jaskini jeszcze dzisiaj — mówi. — Jacián pójdzie przodem i sprawdzi, czy jej nie wykryli. Gdyby się okazało, że tak, myślę też o innym miejscu, ale jaskinia byłaby idealna.

Rusza na wschód, my za nim, niestety, czuję przenikliwe zimno usztywniające mi mięśnie nóg. Modłę się gorączkowo i po chwili napięcie ustępuje i zaczynam poruszać się z naturalną swobodą. Ojciec Alentín radził, bym się modliła, gdy ogarniają mnie wątpliwości, i dokładnie to robię. Rozmawiam z Bogiem bez przerwy, zwierając się Mu ze swoich

obaw, żaląc na ból stóp, nawet na jaszczurki, które przebiegają przez ścieżkę, i na jastrzębie skrzeczące nad głową. Zastanawiam się, czy Bóg śmieje się z mojej paplaniny, czy w ogóle jej słucha. Z Boskiego Kamienia promieniuje jednak ciepło, więc jej nie przerywam.

Nie jest mi łatwo podtrzymywać niekończącą się jednostronną rozmowę i jednocześnie sprawnie się poruszać. Umysł musi skupiać się na zadaniu do wykonania, zwłaszcza że popołudnie szybko mija. Gdy wreszcie podnoszę wzrok, zaskakuje mnie widok stojącego na naszej drodze Jaciána z niezwykłym na jego twarzy uśmiechem.

— Jaskinia jest w porządku — oznajmia nam. — Wejście jest ładnie zarośnięte.

Dostrzegam, że z Humberta opada napięcie. Nie zdawałam sobie sprawy, że był do tego stopnia niespokojny. Wprowadza nas do wąskiego porośniętego głogiem jaru, koryta wyschniętego potoku. Widząc, że się krzywię, Humberto się śmieje.

— Na dodatek tu trzeba uważać na żmije.

Gapię się na niego przez chwilę, potem opieram się o ścianę jaru i zamykam oczy. Mówię Bogu, że marzy mi się kąpiel w jeziorku w naszej grocie w wiosce, a po niej uczta z soczystej jagnięciny i duszonej marchwi.

Nie czekamy długo na zmrok, gdyż w górach słońce zachodzi wcześniej niż na pustyni. Teraz należy poruszać się zręczniejszym niż dotychczas, tymczasem w czerwonej poświacie zachodu niezbyt dobrze widzę,

gdzie postawić stopę. Każdy trzask pod moimi butami, każde potrącenie kamienia przeżywam jak wysyłany w dal sygnał naszej obecności. Rozpaczliwa modlitwa spływa z umysłu na wargi, zdaję sobie sprawę, że mruczę do siebie pod nosem, gdy wdrapujemy się w górę. Dziwne, ale towarzysze mnie nie uciszają.

Zapada noc, a my lawirujemy między jezynami i głazami, wspinając się coraz wyżej. Wreszcie szeroko otwiera się przed nami czarny zarys jałowcowego gąszczu, odsłaniając usiane gwiazdami granatowe niebo, a w dole pomarańczowoczerwoną poświatę nad armią Inwiernych. Jacián gestem wskazuje drogę na krawędź potężnego klifu i stamtąd patrzymy w dół na rozległą dolinę, która wydaje się być zbyt blisko. Ogniska znaczące jasnymi kropkami falistą płaszczyznę wyglądają jak płomienie świec rozsiane na aksamicie i ta sceneria ciągnie się na północ i południe, jak okiem sięgnąć, aż na wschodnie zbocze Sierra Sangre.

— O mój Boże — wyrywa mi się szept.

Jacián prowadzi nas na drugą stronę grani i dalej w dół sarnią ścieżynką. Posuwamy się bokiem, pomalutku, z plecami przywartymi do zbocza klifu. I tak w ciemności pokonujemy najbardziej niebezpieczny odcinek drogi. Przeraza mnie myśl o ogromie armii Inwiernych i zdumiewa opętańcza wiara moich towarzyszy, którzy przywlekli mnie z daleka aż tutaj z nadzieją, że ich uratuję przed taką potęgą. Słyszę szelest gałęzi. To Jacián odsłania wejście groty, małej

i ziejącej czernią. Wpełzamy do niej kolejno. Natychmiast czuję na skórze zimne i wilgotne powietrze. A potem rozpoznaję dotyk ręki Humberta, który sięga po moją dłoń.

— Stąpaj ostrożnie, Eliso — szepcze i holuje mnie w głąb. Nic nie widzę, ale idę za nim bez pytania, całkowicie oszołomiona, a z mojego brzucha rozchodzą się lodowate wężyki. Zapomniałam bowiem o modlitwie.

Dźwięczny trzask krzesiwa uderzającego o stal jest niemal jednoczesny z ostrym błyskiem, a ten zalega mi w oczach jeszcze długo, choć zamienia się w łagodny płomień świecy. Cosmé trzyma ją w górze, oświetlając zwisające z wysokiego sklepienia stalaktyty.

— Nie byłam tu od lat — mówi cicho.

— Przychodziliśmy tutaj się bawić — szepcze mi Humberto do ucha. — Kiedy byliśmy mali. Na wiosnę przez tę komorę przepływa płytki strumień, idealny do płuskania się.

— Światło świecy? — pytam. — Czy to bezpieczne?

— Bezpieczne. W następnej komorze będziemy mogli nawet rozpalić małe ognisko.

Pomieszczenie, o którym mówi, jest mniejsze i okrągłe, dno ma zasłane drobnym piaskiem. A co ważniejsze, wejście do niego jest zamaskowane szerokim wapiennym słupem. Korytarze i komnaty grotu zarzucone są mnóstwem wyschniętych gałęzi,

porwanych podczas wiosennej powodzi i wygładzonych przez rwącą wodę, więc ku mej radości nie ma problemu z drewnem na ognisko.

Wartę przy wejściu od strony klifu jako pierwszy obejmuje Belén. Rozgrzewam modlitwą ciało i zapadam w niespokojny sen.

*

Rankiem wsącza się tu nikłe światło, podobnie jak było w kąpielowych grotach naszej ukrytej w skalnym monolicie wioski. Promienie słońca znajdują drogę nawet do brzucha ziemi. W wapiennej komorze nie ma już nikogo poza mną. Po modlitwie, dzięki której rozgrzewam zdrętwiałe członki, wstaję i wyciągam z worka atrament, kawałek jagnięcej skóry i gęsie pióro. Szykuję się do wykonania swojego zadania.

Cosmé wchodzi, gdy jestem gotowa do wyjścia. W rękę trzyma za łapy zająca, jego długie pożyczkowane uszy ciągną się po piasku.

— Już zaczęłaś? — pyta, wskazując brodą na wyjętą przeze mnie skórę.

— Nie chcę się plątać tutaj za długo, to oczywiste.

Oczy Cosmé błyszczą, widzę wyraźnie, że jest odprężona i w dobrym humorze. Ta sama idealna cera, a zupełnie inna dziewczyna, tryskająca radością i z

ciepłym spojrzeniem. Być może sprawił to powrót do ulubionego miejsca z okresu dzieciństwa, a może jest po prostu zadowolona, że bezpiecznie tu dotarliśmy. Tak czy owak, uświadamiam sobie, że i tak już urodziwa Cosmé potrafi być oszałamiająco piękna, jeżeli zechce.

Marszczy brwi.

— W co się tak wpatrujesz?

— Uhm... w zajęcia. Jakim cudem...?

— Humberto ustrzelił go z procy. Zawsze coś przyniesie, gdy tylko postraszę, że zrobię na śniadanie zupę.

Nie mogę powstrzymać chichotu.

— Sprytny chłopak, jak widać, co?

— Mój brat ceni sobie posiłek tylko wtedy, kiedy jest obfity. Dokładnie jak ty.

Chcę wierzyć, że Cosmé dokucza mi z przymrużeniem oka, i odpowiadam przyjaznym uśmiechem.

— Twój brat jest mądrym chłopakiem.

— Stoi na warcie przy wejściu, możesz do niego dołączyć. Przyniosę wam śniadanie, jak będzie gotowe.

— Dziękuję.

Odtwarzam w pamięci wczorajszą krętą drogę przez grotę. Nie jest trudno trafić, wystarczy iść najbardziej nasłonecznionymi korytarzami. Wkrótce widzę jego sylwetkę, stoi oparty plecami o głaz u wejścia. Widok za nim przesłania mi platanina gałęzi jadłoszynu. Gdy robię krok do przodu, Humberto

powstrzymuje mnie, dotykając ręką mojego kolana.

— Nie idź dalej, Eliso — mówi szeptem. — Schowaj się przed słońcem. Oświetla klif jak mocna latarka. Pozwolisz sobie na obserwację po południu, kiedy będziemy mieli słońce za sobą.

Przełykam ślinę na przypomnienie niebezpieczeństwa, w jakie wdepnęliśmy.

Dotykamy się udami, gdy siadam obok niego. Nie odsuwam się, bo cieszy mnie bliskość jego ciała i miło mi słyszeć jego cichy oddech.

Przez prześwity w płataninie krzewów widzę naszego wroga wyraźnie. Ta grotta to wspaniały punkt obserwacyjny. Chociaż nie ogarniam wzrokiem całego ich obozowiska, dostrzegam krzątające się przy jakichś zajęciach postacie. Ubrane są w skóry i futra, mają bose stopy i bladą skórę, poruszają się żwawo. Najdziwniejsze są ich włosy. U niektórych całkiem czarne jak moje, u innych z czerwonym połyskiem jak u Alejandra, a u jeszcze innych brązowe jak łupina orzecha kokosowego, a nawet jaśniejsze — złociste jak miód lub słoma.

— Wyglądają dziwnie — mówię szeptem. — Prawdziwe dzikusy. I paleta barw.

— Poczekaj, aż zobaczysz animaga — mruczy Humberto.

Zaczynam się modlić, żeby odeprzeć nagły chłód w piersiach. Zmieniam temat.

— Gdzie są Belén i Jacián?

— Belén poluje. Założyliśmy się, kto upoluje większego zająca. Jacián rozgląda się po otoczeniu, żeby sprawdzić, czy ostatnio ktoś się tutaj nie zapuszczał. Wrócą dopiero po południu. Gdyby schodzili po tej stronie klifu, póki słońce stoi wysoko, łatwo byłoby ich zauważyć.

Kręcę głową z podziwu dla moich towarzyszy. Ja nie wyobrażam sobie opuszczenia schronienia, jakie daje grot. Podróżuję jednak z osobami, które przemieszczają się po ładzie z taką naturalnością jak szybujące nad wodą mewy. I czują się w tym miejscu jak w domu, mimo że nieprzyjaciel jest o rzut kamieniem.

Profil Humberta złoci się w blasku poranka. Miękki meszek przyszej brody obrasta linię szczęki, przechodząc gładko w gęstwą włosów opadających falami na plecy. Siedząc koło niego, jakoś mniej się boję.

— Cieszę się, że jesteś przy mnie — mówię.

Gwałtownie odwraca ku mnie głowę, a ja prawie drżę, gdy jego skupione oczy wędrują w dół mojej twarzy do ust i robi mi się gorąco, chociaż modlitwa nie wypełnia akurat mojego serca. Rozchyłam wargi. Nachylam się.

Nagle zwraca moją uwagę jakiś ruch i jednocześnie Boski Kamień zimnym ogniem wstrzela się w moje żyły.

— Humberto — szepczę zaalarmowana. — To Invierni! Idą tu do nas?

Zerka na zbierającą się na dole grupę. Zaniepokojony marszczy brwi, ale kręci głową.

— Niemożliwe, żeby nas widzieli — bąka pod nosem. Jednak Invierni najwyraźniej gromadzą się u podnóża klifu. Kilku patrzy w naszą stronę. Z ust Humberta wyrywa się przekleństwo.

— Biegnij z powrotem, Eliso — mówi, patrząc na mnie stanowczo. — Powiedz Cosmé, żeby zagrzebała palenisko w piachu. Ja zatrę nasze ślady.

W jego pięknych oczach pojawia się niekłamany głęboki smutek i to paraliżuje mnie bardziej niż dotkliwy chłód, który mnie przenika. Nagle zamyka na moment oczy i oddycha głęboko przez nos. Potem błyskawicznym ruchem ręki obejmuje mnie mocno za szyję, przyciąga do siebie i przyciska usta do moich, choć tracimy cenne chwile na ten pocałunek. Przesuwa językiem po moich wargach, potem dotyka nim moich zębów, więc rozchylam usta i całuję go równie namiętnie.

To trwa moment, bo Humberto drugą ręką oplata mnie w talii i przyciskając mnie do siebie, podnosi się wraz ze mną. Po chwili mnie odpycha, ale oczy ma wilgotne.

— Biegnij, Eliso! Biegnij, już!

Wycofuję się do groty i oddalam od niego z drżącymi kolanami i ze stęsknionymi ustami. Ogarnięta przerażeniem biegnę do Cosmé.



Na moje krzyki, zduszone z braku tchu, Cosmé reaguje błyskawicznie, kilkoma kopnięciami grzebiąc ogień pod piachem. Rozgląda się po komnacie.

— Worek Jaciána jest na widoku — mówi krótko. — Masz to zagrzebać, to samo zrobię ze śniadaniem.

Padam na kolana i z furją kopię dół w piachu. Więc stało się, myślę, odgarniając piasek na boki. Tego się bałam. Mamrocząc jakieś niezborne modlitwy, pracuję zaciekle, póki nie dokopuję się do wilgotnego gruntu.

Wraca Cosmé i wrzuca worek do dołu. Razem go zasypujemy, a potem Cosmé starannie zdeptuje to miejsce. Ktoś staje u wejścia, przesłaniając światło.

— Wspinają się na klif — mówi Humberto głosem pełnym niedowierzania. — Wiedzą, że tu jesteśmy.

Twarz Cosmé kamienieje, a Humberto jakby zawstydzony wbija wzrok w ziemię. A przecież zawsze byli tacy odważni, odkąd ich znam. Pewni siebie. Czuję się nagle zagubiona i krucha.

— Na szczęście Belén jest bezpieczny. I Jacián — cicho mówi Cosmé.

Bezpieczni. Mój umysł otrząsa się z oparów

strachu.

— Czy nie ma innego wyjścia z grotty? — pytam.

— Nie — odpowiada Humberto.

Zdaję sobie sprawę, że nie byłabym zdolna wdrapać się szybko na szczyt klifu, a nawet gdyby mi się to udało, nie uszłabym pościgowi w górzystym terenie.

— Czy wy dwoje macie szanse się wymknąć? Jeżeli będziecie uciekać beze mnie?

Milczą. To dla mnie wystarczająca odpowiedź.

— Pokażcie mi tu najlepszą kryjówkę. Zostawcie mi jedzenie oraz wodę i zmykajcie.

Oczy Humberta wyrażają niezgodę, jej zaś akceptację.

— Przyjdźcie po mnie za kilka dni — dodaję. — A być może wydostanę się stąd i wtedy będę szła na zachód. — Oczywiście wiem, że nic takiego się nie zdarzy, ale chcę przekonać Humberta do ucieczki. — Mam Boski Kamień. Jeżeli ktokolwiek ma szanse na uratowanie się, to właśnie ja. Ruszajcie! Pogonią za wami, ja się tu schowam.

Chociaż Humberto wciąż się waha, Cosmé szarpie mnie i ponagla.

— Jest takie miejsce na końcu drugiego korytarza — wyjaśnia, gdy biegnę za nią. — Coś w rodzaju schowka. Wygodnie nie będzie, ale cię nie wypatrzą.

Szybko tam docieramy. Żałuję, że jaskinia nie jest większa, byłoby łatwiej zniknąć w jej wnętrzu. Cosmé pokazuje mi rozpadlinę w ścianie, która biegnie w górę

skrzącego się biłą piaskowca ciągiem nisz i korytarzyków.

— Wspinaj się — rozkazuje Cosmé. — Gdy znajdziesz się już w miejscu, gdzie jest mrok, zauważysz z lewej strony szczelinę. Wsuń się tam najdalej, jak się da.

Posłusznie czynię, co mówi, wdrapując się na czworakach po skale zbyt gładkiej, by dawała oparcie dla nóg. Czuję ręce Cosmé na tyłku, popycha mnie w górę. Mam szczelinę na lewo; jest w niej ciemno, nie wiem, jak głęboko sięga. Niezdarnie wkręcam się do środka, drapiąc sobie kolana. To jakby grota w grotcie, gdzie jestem zabezpieczona przed stoczeniem się przez skalną listwę. Wsuwam się jak najdalej głęboko w ciemność.

— To powinno wystarczyć — mówi Cosmé. — Trzymaj się, przyniosę ci jedzenie i wodę.

Jest tu dużo chłodniej, praktycznie zimno. A może mrozi mnie Boski Kamień. Pozwól mi bezpiecznie przetrwać, błagam w duchu. Dno jest piaszczyste i miłe, ale muszę trzymać zgięty kark i podkurczone nogi, żeby pozostawać niewidoczna w cieniu.

W otworze pokazuje się głowa Humberta. Wrzuca do środka mój worek, który ląduje koło mnie na piasku.

— Włożyłem do niego cały nasz zapas żywności i wody. Również twój atrament. Posmaruj nim twarz i jasne elementy ubrania. Jeżeli będzie ulewa, przez tę komorę przepłynie woda. Nie opieraj się, znieś cię do

groty. Poziom wody w komorze nie będzie wysoki.

Zaleje mnie woda?

— Humberto! — To głos Cosmé, dochodzi z odległości. — Słyszę ich.

Widzę wielkie i smutne oczy Humberta. Przepraszające.

— Idź już, Humberto — mówię ciepło. — Nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

— Wróć po ciebie. Bez względu na wszystko.

— Wiem.

Wyciąga rękę i szczypie mnie w kostkę. I odchodzi, zostawiając mnie samą w gęstej i zimnej ciemności. Za moment słyszę krzyki. A więc zostali zauważeni, gdy wychodzili z groty, i zaczął się pościg. Serce mam rozdarte, bo z jednej strony mam nadzieję, że grupa Inwiernych puściła się za nimi w pogoń, a z drugiej chciałabym, żeby zamiast tego przyszli po mnie, dając Cosmé i Humbertowi szansę na ucieczkę.

Nasłuchuję pilnie, skulona, zdrętwiała i obolała. Nawoływania cichną. Wydaje się, że wrogowie się oddalają. Nie wiem, czy odczuwam ulgę, czy nie.

I nagle słyszę ciche stąpanie po piachu.

Krew wali mi w skroniach. Boję się oddychać. Z pewnością zauważą szczelinę. Zajrzą do niej i odkryją moją norę. Przypomina mi się atrament i żałuję, że nie miałam czasu, żeby posmarować twarz i rozmazać go na ubraniu. Z drugiej strony mógłby mnie zdradzić jego zapach.

Zapach... jaskinia niewątpliwie śmierdzi jeszcze pieczonym na palenisku zającem. Napływają mi łzy do oczu. Teraz właśnie Humberto, Cosmé i ja raczylibyśmy się tym smacznym posiłkiem. I zaraz się dziwię, że taka myśl przychodzi mi do głowy w momencie, gdy jestem bezpośrednio zagrożona porwaniem, a może nawet śmiercią.

Kroki się zbliżają. Ściszone męskie głosy i język, którego nie rozumiem.

Po chwili rozumiem. Jest podobny do *lengua classica*, chociaż sylaby wymawiane są krócej i bardziej gardłowo. Odkrycie zaskakuje mnie do tego stopnia, że zapominam na moment o strachu. Czyżby językiem Inwiernych była *lengua classica*?

— Né hay ninguno iqui — mówi ktoś. Nikogo tu nie ma.

— Lo Chato né sería feliz si alquino nos escaparía. Kot będzie niezadowolony, jeżeli ktokolwiek nam się wymknie.

Gardłowe głosy są coraz wyraźniejsze. Coraz bliższe. Przede mną na wyciągnięcie ręki pokazuje się na białym piaskowcu dłoń, oświetlona słońcem przenikającym przez szczeliny w sklepieniu. Gruba biała ręka. Poprzecinana bliznami wygląda jak kula ponacinanego ciasta chlebowego.

Boże, błagam. Niech sobie pójdzie.

Boję się, że pokaże się całe ramię. Może nawet blada twarz. Zamykam oczy, wolę nie widzieć.

— Né viero nado. Niczego tu nie widzę. — Odgłos miękkich kroków coraz cichszy, oddalają się. Ulga, ale wraca poczucie samotności, oznacza pustkę i smutek.

Nie mam odwagi się ruszyć, bo może to trik i czekają na mnie przy wejściu pewni, że się ujawnię. Gdybym miała przy sobie liście *duermy*, przespałabym ten koszmar. Obudziłabym się po iluś dniach w niewoli lub na swobodzie. Albo byłabym martwa i nie obudziła się wcale. W każdym razie oszczędzone by mi było przeżywanie piekła niepewności, co się ze mną stanie, i lęku, że wszędzie za rogiem czai się wróg.

Z głodu boli mnie żołądek. Muszę się wypróżnić. Lecz boję się ruszyć palcem, a nawet głębiej odetchnąć. Łupie mnie w krzyżu od siedzenia z podkurczonymi nogami. Mimo wszystko zapadam w drzemkę, przesyconą ciepłem najzarliwszych w moim życiu modlitw. Boże, czuwaj, proszę, nad Humbertem i Cosmé, i nad Jaciánem i Belénem. Pozwól im uciec. Niech cieszą się życiem.

*

Budzę się zeszywniała na kamień, mój brzuch to pulsująca głodem dziura. Otacza mnie nieprzenikniona ciemność, więc domyślam się, że spałam do późnego popołudnia, a może i dłużej. Sięgam ostrożnie po swój

worek i manipuluję przy wiązaniu, dziwiąc się, że palce z taką łatwością radzą sobie z węzłami. Wyciągam paczuszkę z suszonym mięsem. Suszone w soli paski baraniny, smarowane następnie miodem — pokrzepiają mnie, chociaż po rozgryzaniu zostają między zębami. Potem piję wodę z bukłaka, zastanawiając się, czy nie powinnam oszczędzać, bo nie wiem, jak długo pozostanę w tej norze. Obmacuję zawartość mojego worka, żeby zobaczyć, co zostawił mi Humberto. Drugą paczkę z jedzeniem, drugi bukłak, świecę, nóż, pudełeczko z hubką i krzesiwem. Nigdy jeszcze nie rozpałałam ognia, ale się przyglądałam, jak robią to inni. To nie powinno być trudne.

Chowam nóż w bucie, wsuwając go za onucę z wielbłądziej wełny. Czuję, że zanim zrobię jeszcze cokolwiek, muszę się wypróżnić. Rozważam wykopanie dołka w mojej minipieczarze, ale to by oznaczało, że będę siedziała potem na własnych odchodach. Wydaje mi się, że lepiej wypełznąć z nory i wrócić, zanim zacznie świtać.

Stopniowo, jak najciszej, wysuwam jedną nogę poza skalną listwę. Potem ostrożnie drugą. W rozpadlinie zjeżdżam po śliskim piaskowcu na brzuchu i decyduję się na skok w ostatnim momencie, wydając zbyt głośne westchnienie ulgi, gdy moje buty znajdują kontakt z piaszczystym podłożem jaskini. Prostuję się i zaczynam nasłuchiwać. Cisza. Robię kilka eksperymentalnych kroków do przodu. Dalej żadnych

odgłosów.

Nie odważam się iść za daleko, gdyż obawiam się, że w ciemności nie odnajdę drogi z powrotem. Przysiadam na moment, co sprawia, że odczuwam mniejszy ucisk w dole brzucha. Rozgarniam piasek, ale przerywam co chwilę, żeby nasłuchiwać. Macam po podłożu dłońią i wyszukawszy wgłębienie, podnoszę suknię i zaczynam rozwiązywać tasiemkę przy pantalonach. Parcie mam tak silne, iż ledwie zdążam kucnąć.

Słyszę głosy, potem chrzęst piasku pod stopami.

Nie mam czasu, by skończyć. Podciągam majtki i ruszam do rozpadliny, a ciepłe siuśki ciekną mi po nodze. Gramolę się w górę po gładkiej, śliskiej skale, czepiając się jej paznokciami i nie zważając na to, że zdieram sobie opuszki palców do krwi. Niestety, moje nogi zaplątane są w pantalony, bo nie zdążyłam zawiązać tasiemki, a głosy są tuż-tuż. Walczę rozpaczliwie, jednak za każdym razem, gdy zahaczę się już rękami, obsuwa mi się noga. Z przerażenia leją mi się łzy po twarzy. Czuję, że Boski Kamień zamienia się w kawałek lodu, jestem w szoku. Drętwieją mi palce, ręce przestają się trzymać piaskowca i ześlizguję się po pochyłości. Uderzam pośladkami o dno jaskini, a z moich płuc z głośnym jękiem uchodzi całe powietrze.

Oślepia mnie płomień pochodni. Brutalne ręce chwytają mnie za ramiona. Szarpnięciem stawiają mnie na nogi, odwracają twarzą do środka jaskini. Mam przed

sobą blade twarze, zmierzwione włosy, złe oczy.

Jeden z nich odwraca się ze wstrętem, marszcząc nos. Sama czuję drażniący ostry zapach własnego moczu. Na krótką chwilę strach zostaje wyparty przez poczucie upokorzenia. To mija, gdy w *lingua classica* odzywa się kolejny dzikus.

— Zabierajcie ją do Kota — mówi.

Ten przysadzisty mężczyzna, wydający rozkazy, przykłada mi miecz do gardła i zaczynają mnie popychać, bym szła. Powłócząc nogami, otoczona Inwiernymi, myślę o nożu, który schowałam w bucie. Po raz pierwszy pozwalam sobie na wspomnienie człowieka, którego zabiłam, przypomina mi się moment, gdy nóż trafia na kość i wbija się między żebraczym igła w grubą tkaninę. Krew, którą nasiąkła wtedy moja suknia, tak szybko zaschła. Czy mogłabym zabić znowu?

— Ta dziewczyna nie jest wojownikiem — mówi jeden. Oczywiście ma rację. Wykłętego rzeczywiście zabiłam, ale właściwie głównie przez przypadek.

— Gdzie są twoi towarzysze? — pada pytanie.

Już otwieram usta, żeby zapytać: „Jacy towarzysze?”, ale przypominam sobie w ostatniej chwili, że mieszkańcy tych gór nie znają *lingua classica*. Postanawiam więc używać *lingua plebeya*.

— Nie rozumiem — odpowiadam.

Cios przychodzi nagle. Nawet nie zdążyłam się przestraszyć. Usta mam szeroko otwarte i pulsujące

bólem, a przed sobą błyszczące w świetle pochodni ogniście pomarańczowe oczy prześladowcy.

— Wy, barbarzyńcy, jesteście wszyscy plugawi — mówi i słuwa. — Obszczywacie się i mówicie ordynarnym językiem. — Odwraca się do pozostałych. Oczy mi się już zaadaptowały i widzę, że jest ich pięciu, wszyscy ubrani w niebarwione skóry ozdobione futrem. — Sprowadźcie ją z klifu — rozkazuje. — Jeżeli nie będzie nadażać, zrzućcie ją.

Popędzają mnie do wyjścia i spychają, tak że przez moment zwisam ze skały, dyndając nogami. Jest zbyt ciemno, bym mogła dojrzeć, gdzie postawić stopy i czego mogę chwycić rękami, ale ostrze miecza przy mojej twarzy jest niczym inspiracja. Odrywam się i ześlizguję, starając się wyczuć nogą krzaki lub jakiś występ. Okazuje się, że nie było to takie trudne, jak mi się wydawało. Gdy już leżę plackiem na ziemi, uświadamiam sobie, że nachylenie zbocza jest strome, ale nie pionowe. Przychodzi mi do głowy, żeby sturlać się w dół i zniknąć z oczu porywaczom. Ryzykowałabym złamanie nogi, może nawet coś gorszego, ale to przyszłoby nieoczekiwanie. Zerknąwszy w dół, zmieniam zdanie. Ogniska armii Inwiernych ciągną się we wszystkie strony w nieskończoność. Tam w dole nie mam szans na ucieczkę. Więc ociągając się — na tyle, na ile pozwala mi wymierzone we mnie ostrze — schodzę ze zbocza z demonstracyjną ostrożnością.

Gdy docieramy w dolinę, jestem cała obolała, ale zarazem dziwnie pobudzona. Wciąż mam ochotę rzucić się do ucieczki mimo świadomości, że jestem zbyt powolna i za słaba, by nie dać się schwytać. Wyobrażam sobie, jakie to uczucie, gdy w plecy wbija się dzida. Na razie, z jakichś powodów, jeszcze żyję. Gdy prowadzą mnie do wielkiego, bielusieńkiego namiotu, jedyny opór, na jaki się ośmielam, to trzymanie wysoko głowy.

Znad ognisk, gdy przechodzimy obok, podnoszą się głowy i szeroko otwierają ciekawe oczy. Ktoś pochyła się nad nadzianym na rożen zającem i wyraźnie widzę zarys piersi wypychających ozdobiony futrem skórzany kaftan. Choć porywacze szturchają mnie, odwracam się, by na nią spojrzeć. Mam wrażenie, że nie potrafię odróżnić z odległości kobiet od mężczyzn. Wszyscy są identycznie ubrani, mają jednakowo skudłone włosy, taką samą bladą cerę.

Ze ściany białego namiotu zwisa mosiężny dzwonek. Na nasz widok któryś z Inwiernych nim porusza.

— Wejść! — woła ktoś z wewnątrz, a ja czuję, że lód skuwa mi wnętrzności. Modłę się o ciepło i bezpieczeństwo. Jeden z porywaczy odchyła klapę namiotu i wpycha mnie do środka.

Osnuwa mnie odurzający zapach kadzidła. Na kamiennym ołtarzu stoi mnóstwo palących się świec w różnym stadium wypalenia. Mrużę oczy porażone dymem i światłem.

— Przywiedliście mi kolejnego barbarzyńcę — sztydzi ten sam głos. Głęboki i zimny jak lód w moim brzuchu. — Dlaczego jej nie zabiliście?

Przysadzisty mężczyzna stojący z mojej prawej strony robi ukłon.

— Wybacz, panie, lecz wydawało mi się osobliwe, że w jaskini nad naszym obozem kryje się osoba, która najwyraźniej nie jest wojownikiem. Jeżeli jednak zyczysz sobie, żebym ją zabrał i nie zawracał ci głowy...

— Nie jest wojownikiem, hm? — Rozmówca podchodzi bliżej. To mężczyzna mojego wzrostu i tak chudy, że przywodzi na myśl pień kokosowej palmy. Jest odziany w lśniące białą szatę. Twarz ma bladą i gładką, jakby cyzelował ją rzeźbiarz, chcąc wydobyć z niej piękno. Na jedno ramię opada jak wąż długi warkocz białych włosów. Właściwie nie białych, lecz jasnożółtych jak kula wschodzącego słońca. Najbardziej zaskakują mnie jego oczy. Nigdy takich nie widziałam, bo są intensywnie niebieskie i wyglądają jak mój Boski Kamień. Czy on w ogóle widzi?

Pochyliła się ku mnie i jego mięsiste wargi są o centymetry od moich brwi.

— Jesteś delikatną dziewczynką, nieprawdaż? A może jednak wojownikiem?

Czy to mężczyzna, którego nazywają Kotem? Jest animagiem? Jednym z tych, którzy porażali ogniem moich ziomków? Którzy wciągają w wojnę kraj mojego

ojca i kraj mojego męża? Gdy patrzę w jego nienaturalne oczy, coś zaczyna we mnie iskrzyć. I nie ma to nic wspólnego z Boskim Kamieniem. Czuję, że to coś pulsuje we mnie, rozpała mi do czerwoności policzki. Uświadamiam sobie, że to wściekłość.

Patrzę na niego zwięzonymi w szparki oczami.

— Przykro mi, lecz nie rozumiem ani słowa — mówię głośno i dobitnie w *lengua plebeya*.

Bada mnie wzrokiem przez moment — w jego oczach rozpalają się dzikie i niebezpieczne błyski — po czym odwraca się plecami i odchodzi. Gdy obserwuję, jak się porusza, przechodzą mnie ciarki. Ma lekkość i miękkość snującego się wokół dymu.

Z drewnianego pulpitu stojącego obok jasno oświetlonego ołtarza podnosi bukłak na wino i napełnia kubek ciemnoczerwonym płynem, mam nadzieję, że winem. Gdy je sączy, popatruje na nas w zamyśleniu.

— Nie znaleźliście tych trzech, co uciekli? — pyta.

— Nie, panie — odpowiada przysadzisty mężczyzna.

Kolejny łyk wina. Wyciąga przed siebie wolną rękę i z irytacją pstryka niedbale palcami. Moi porywacze sztywnieją. Widzę w ich oczach przerażenie, krztuszą się, z trudem łapią powietrze, są niezdolni się poruszyć. Zdaję sobie sprawę, że to czarnoksiężska sztuczka — mój Boski Kamień rozgrzewa się w odpowiedzi.

Niebieskie oczy wpatrują się we mnie.

— A ty się jednak ruszasz! — złości się

czarnoksiężnik. Znowu pstryka palcami. Oczekuje, że nie będzie zdolna się poruszyć. Zostanę sparaliżowana jak tamci. Wyciszam się więc i nieruchomieję, chociaż wściekłość wciąż we mnie buzuje. W głowie słyszę głos Alodii: „Czasami najlepiej pozwolić”, mawiała z uśmiechem zadowolenia z siebie, „by przeciwnik mniemał, że ma kontrolę nad sytuacją”.

— Jeżeli nie znajdziecie ich do jutra, to znaczy, że się nam wymknęli — mówi mężczyzna.

Mój umysł skupia się na jego wcześniejszej wzmiance o trzech, co uciekli. Przecież towarzyszyły mi cztery osoby. Być może któraś z nich jest tu więziona jak ja. Może straciła życie. Ciężko mi udawać sparaliżowaną, gdyż martwię się o Humberta. Wyobrażam sobie, że leży gdzieś twarzą do skały z włócznią albo strzałą wystającą z pleców. Mimowolnie drga mi policzek.

— Znajdźcie tych pozostałych — odzywa się niebieskooki łagodniejszym tonem. Jeszcze raz pstryka palcami i mężczyźni czym prędzej znikają. Teraz zbliża się do mnie.

Przerażenie mnie nie opuszcza, lecz nie odbiera mi zdolności myślenia. W głowie aż huczy mi od pomysłów rywalizujących o pierwszeństwo.

Blask świecy zaigrał na czymś wiszącym na skórzanym rzemyku u szyi mężczyzny. To jakby kłateczka z czarnych prętów z malutkim haczykiem na górze, a jest tak mała, że zmieściłaby się w mojej dłoni.

W środku coś błyszczy.

— Delikatna dziewczynka — mówi niebieskooki i podchodzi bliżej, kłateczka dynda mu u piersi. — Widzę inteligencję w twoich oczach. I coś szczególnego w twojej twarzy. Coś dziwnego.

Słyszę słowa, ale nie chwytam sensu. Nie odrywam wzroku od jego amuletu, od rzucającego blaski kamienia uwięzionego w malutkiej klatce. Widziałam coś takiego w pracowni ojca Nicandra. I we własnym pępku.

Boski Kamień.



Oniemiałam, wrosłam w ziemię, lecz nie na skutek czarnoksięskich sztuczek animaga. Czy o tym amulecie mówiono? Czy to on pozostawia żywe rany na ciałach moich ziomek? Jeżeli tak, jak to możliwe, że Bóg pozwala na używanie rzeczy świętej do takich celów?

To nie może być Boski Kamień tego animaga, chyba że wyrwał go z własnego brzucha. Jednak wydaje się bardziej prawdopodobne, że zdobył go w inny sposób. Ojciec Nicandro dał mi tylko trzy kamienie, a przecież prawie dwadzieścia stuleci minęło od czasu, gdy Bóg przeniósł nas do tego świata. Więc już dwudziestu wybrańców nosiło Boskie Kamienie. I nagle najstraszliwsza wątpliwość przychodzi mi do głowy: czyżby Bóg wybierał ich także spośród naszych wrogów?

Takie myśli przelatują mi przez głowę, a animag wpatruje się we mnie badawczo. Mam nadzieję, że moja twarz nie zdradza zbyt wiele.

On się uśmiecha. Ma żółte, zepsute zęby, ostro kontrastujące z idealną cerą.

— Przez ciebie opóźnia się pora mojego obiadu — mówi śpiewnie. — Ale nie bój się, jestem rozsądnym

człowiekiem. — Przekrzywia głowę w jedną stronę, potem w drugą, a ja czuję się jak myszka, którą wypatrzył lew górski. — Nie rozumiesz świętego języka, he? Nie bój się jednak, nie bój się. Gdy wrócę, ziemia posmakuje odrobiny twojej krwi, a potem zobaczymy, co dalej. — Gładzi mnie po policzku, a ja z trudem powstrzymuję odruch wstrętu. — Przyniosę ci coś do jedzenia. Bądź grzeczną dziewczynką i nie ruszaj się z miejsca pod moją nieobecność. — Rechocze, jakby powiedział dobry dowcip.

Zostawia mnie samą w namiocie.

Gorączkowo rozglądam się dokoła, zastanawiając się, ile mam czasu. To być może jedyna szansa na ucieczkę, pod warunkiem że szybko coś wymyślę. Mogłabym wybiec z namiotu, ale między mną a wzgórzami są tłumy Inwiernych. Lepiej poczekać na powrót animaga i go zabić. Zabrać jego Boski Kamień i po wyjściu z namiotu nieść go przed sobą jak broń. Wprawdzie nie mam pojęcia, jak się nim posługiwać, jednak być może zyskałabym na czasie. A być może nie. W każdym razie umierałabym ze świadomością, że uwolniłam świat od złego czarnoksiężnika. Jednego zabił łucznik Hitzedar. Innego dziadek Humberta, Damián. Teraz przyszła kolej na mnie.

Czuję się jak idiotka, sięgając do buta po nóż, tym bardziej że dolatuje mnie zapach moczu, którym przesiąknięte są pantaloney pod suknią. Ale teraz nie pora się tym przejmować.

Nie wiem, czy będę potrafiła znowu zadać komuś cios. Zabijanie przy użyciu noża to akt bardzo osobisty, można rzec intymny, nie myślałam nigdy, że jestem do tego zdolna. Porywacze trafnie odgadli, że nie jestem wojownikiem.

Wiem, że muszę działać z zaskoczenia, bo inaczej mi się nie uda. Wsuwam nóż w szarfę opasującą mnie w pasie, choć trzonek uwiera mnie w plecy. Zdaję sobie sprawę, że przy gwałtownym skręceniu ciała sama mogę się zranić, gdyż między skórą a ostrzem mam jedynie poprzecieraną suknię. Nie mam jednak pomysłu na lepsze miejsce dla noża, po który w razie czego powinnam szybko sięgnąć.

Rozglądam się po namiocie, wypatrując czegokolwiek, co byłoby pomocne. Pod ścianą mata z owczej skóry, na niej pośłanie. Namiot stoi na ubitym, wygładzonym podłożu i poza kamiennym ołtarzem z płonącymi świecami oraz drewnianym pulpitem z bukłakiem na wino i kilkoma roślinami, szarobrazowymi z braku słońca, nic w nim więcej nie ma. Zerkam na te rośliny. Coś mi przypominają ich aksamitne liście i przywędnięte brązowawe owoce. Podchodzę bliżej i orientuję się, że na ołtarz wykorzystano naturalny głaz, wokół którego pozostawiono ginące rośliny. I one wyglądają znajomo. Kolor się nie zgadza, bo są pozbawione światła słonecznego i świeżego powietrza, ale nie mam wątpliwości, że to krzaki *duermy*.

Czas nagli. Zrywam kilka jagód, które z łatwością odrywają się od łodyg, bo są całkiem suche. Gdy w pośpiechu otwieram bukłak, strzela korek i choć delikatnie, to aż się wzdrygam. Wrzucam do wina jedną jagodę, waham się, zastanawiam. Resztę jagód rozpoławiam dla pewności paznokciem i strząsam z dłoni do bukłaka.

Słyszac kroki, zerkam na wejście do namiotu, tracac cenne chwile. Animag powinien mnie zastać dokładnie tak, jak mnie zostawił. Gdzie stałam? Czy ręce miałam opuszczone wzdłuż boków? Biegnę z powrotem na swoje miejsce i odwracam się twarzą do ołtarza. Coś jest nie tak, gdyż czułam wtedy na skórze gorąco od świec. Przesuwam się lekko w lewo, kiedy podnosi się kłapa namiotu. Ostrze schowanego noża kłuje mnie w plecy, zimne powietrze owiewa policzki, płomienie świec odchylają się od pionu, jakby przesunęła nad nimi niewidzialna ręka.

Wchodzi, słyszę stłumiony chichot.

— Ach, jaka posłuszna dziewczynka. Nawet nie ruszyłaś się z miejsca. Nawet po to, żeby się znowu zsikać. — Niesie dwie drewniane michy i choć jestem w tragicznej sytuacji, ślina napływa mi do ust, gdyż czuję zapach sarniny, bazylii i czosnku. — Przekonasz się, że jestem dobrym człowiekiem — mówi. — Nie wierzysz? Przynoszę ci wspaniałe jedzenie. — Stawia michę przede mną i siada ze skrzyżowanymi nogami. — Usiądź — nakazuje.

Gapię się na niego.

— Siadaj, siadaj, no siadaj. — Pstryka palcami, potem poklepuje ziemię przed sobą.

Robię, co każe, ale powoli i obserwując czujnie, czy nie zrobi jakiegoś gwałtownego ruchu.

Podnosi do ust płat sarniny. Zaciska na nim zęby, z grubych ust zwisają kawałki brązowego mięsiwa, a gdy potrząsa głową, obijają mu się o policzek. Wreszcie wyrzuca do przodu szczękę i połyka kawał mięsa w całości. Nie trudzi się przeżuwaniem.

Patrzę na swoją michę już bez apetytu.

— Jedz! — rozkazuje, wskazując na nią.

Waham się. A może zamierza mnie otruć?

— Jedz, mówię, jedz!

Zanurzam w sosie palec i podnoszę go do ust. Oblizuję łapczywie, nie mogąc się oprzeć kuszącemu smakowi.

— A teraz przy obiedzie... — wrzuca kolejny kawał mięsa do ust i połyka go w całości — ...opowiesz mi o swoich towarzyszach, którzy uciekli z grotty, zanim ciebie znaleźliśmy.

Po prostu gapię się na niego z miną imbecyla.

— Powtarzam raz jeszcze — mówi teraz w *lingua plebeya*. — Opowiadaj o swoich towarzyszach.

Zachłystuję się, co go rozśmiesza.

— Czuję obrzydzenie, gdy mówię twoim językiem. Jakbym miał gówno w ustach. Więc powiedz mi, co chcę wiedzieć, i to szybko, żebym nie musiał się kalać

wymawianiem zbyt wielu barbarzyńskich słów.

Serce mi wali. Najłatwiej byłoby udawać, że nic nie rozumiem. Tymczasem muszę dobierać słowa z niezwykłą ostrożnością.

— Co zamierzasz, panie, ze mną zrobić? — pytam i nawet nie usiłuję ukrywać drżenia głosu. Gram na zwłokę, chodzi mi o to, żeby wypić sporo wina. Albo w ostateczności zbliżył się na tyle, bym mogła go dźgnąć nożem.

— Mam zamiar wysłuchać przy obiedzie, co masz do powiedzenia o swoich towarzyszach. Jeżeli nie będziesz mówiła, nakarmię ziemię odrobiną twojej krwi i posłużę się magią, żeby ci otworzyć usta. Więc decyduj.

— Ja? — mówię szeptem. — Ja mam decydować?

— Tak, czy chcesz żyć, czy umrzeć.

Zatem jest jakaś cena, jakiś wybór. Nie są mi znane i nie dbam o to. Jeżeli go zabiję, są bez znaczenia.

— Chcę żyć — mówię, udając bardziej przerażoną, niż faktycznie jestem. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie czuję zimna. Nie potrzebuję nieprzerwanej modlitwy, bo nie lodowacieją mi ręce i nogi. Czy dlatego, że cokolwiek się za chwilę zdarzy, będzie wypełnieniem mojej misji? A może tak działa bliskość obcego Boskiego Kamienia?

No właśnie. Jego Boski Kamień. Jedyna szansa, żeby cokolwiek zrozumieć.

— To coś... co wisi u twojej szyi — mówię

i wskazuję amulet palcem. — On wzbudza lęk w moich
ziomkach.

— Jedz!

Znowu wsadzam palec do miski, a on się prostuje
i nieskazitelny błękit jego oczu jarzy się gniewną
arogancją.

— Bo jest się czego bać. Ten kamień i inne
w posiadaniu moich braci pozwolą nam przejąć wasze
ziemie. Taka jest wola Boga.

Byłam bliska tego, żeby go zadźgać w tym
momencie. Co on może wiedzieć o woli Boga? Jest
szaleńcem, półczłowiekiem z tym dzikim wzrokiem
i żarłocznością drapieżnika. Ręce trzęsą mi się
z wściekłości, a prawdę mówiąc, nie wiem, przeciwko
komu ją kierować. Rzekomo z woli Boga Reformatorzy
utrzymywali mnie w pełnej nieświadomości. Z woli
Boga ojciec Nicandro wyjaśnił mi, że noszę brzemię
mojego dziedzictwa. Cosmé i Humberto porwali mnie,
żeby wypełniła się wola Boga. A teraz mój wróg
ośmiela się twierdzić, że zna zamiary Boga.

Alentín przekonywał mnie, że każdy ma prawo do
wątpliwości. Wygląda jednak na to, że jestem jedyną
osobą, która nie ma bladego pojęcia, czego Bóg od niej
oczekuje. Jestem przez niego wybrana i nic nie
rozumiem.

— Dlaczego? — pytam szeptem. — Dlaczego to
robicie?

— Myślę, że trochę wina do obiadu dobrze nam

zrobi, tak? — Wyszczерza się do mnie i wstaje. Wstrzymuję oddech, obserwując go, gdy podchodzi do pulpitu z bukłakiem.

Boże, proszę, spraw, by się napił.

Sunie przez namiot z gracją dzikiego kota i mam wrażenie, że pod jego napiętą skórą rzeczywiście coś się pręży. Jeden żywy organizm w drugim. Alodia wydawałaby się przy nim słoniowata.

Napełnia dwa kubki.

Wiem za mało o działaniu *duermy*. Nie mam pojęcia, jaka ilość zabija, nie wiem nawet, czy surowe jagody mają taką moc. Zbliża się z kubkami, więc odchyłam się do tyłu, by poczuć pokrzepiający dotyk noża na pośladku.

Siada na ziemi.

— Opowiesz mi o swoich towarzyszach, to dostaniesz trochę wina — mówi.

Jakby wino miało być niezwykłą nagrodą. W tym indywiduum jest jakaś prostota i naiwność. Może wypływające z szaleństwa. Udaję, że się zastanawiam.

— Co chciałbyś wiedzieć, panie? — pytam. Wstrzymuję powietrze w płucach, gdy widzę, że on sący wino.

— Dlaczego tu dotarliście?

Belleza Guerra uczy, że najłatwiej zmylić przeciwnika, mówiąc prawdę.

— Chcieliśmy zobaczyć waszą armię — mówię.

— Nie wierzę w taką głupotę. — Znowu wypija łyk

wina.

Patrzę na drugi kubek niby to pożądliwie.

— Zostaliśmy tu wysłani.

Robi wielkie oczy.

— Przez kogo?

— Nie mogę powiedzieć.

Pochyla się w moją stronę, widzę czarne tęczęwki jego oczu. Są owalne jak u kota.

— Powiesz albo stracisz trochę krwi.

Przyglądam się jedzeniu w mojej misce, udając, że się namyślam.

— Wysłał nas hrabia — mówię wreszcie. — Hrabia Treviño. — Wiem już, że ten człowiek zaopatruje w żywność naszego wroga. Jest zdrajcą. — Na dworze hrabiego jest wielu takich, którzy nie dają wiary, że macie taką potężną armię. Chciał potwierdzenia i dlatego nas wysłał.

Prostuje plecy, przetrawia to, podnosi do ust kubek z winem.

— Nie wierzę ci.

Boże, spraw, by trucizna zadziałała.

— Dlaczego? — Staram się pozorować skonfundowanie.

— Bo nie jesteś wojownikiem. Hrabia jest wielkim głupcem, ale nie wysłałby na zwiady dziecka, które jeszcze leje w majtki.

Oczywiście ma rację, a jaka jest prawda, mówi tłukące się w mojej piersi serce. Mam w sobie Boski

Kamień! On aż krzyczy. Jestem jednak pewna, jak chyba niczego dotąd w życiu, że ten animag nie może się o tym dowiedzieć.

— Nie wiem, dlaczego akurat mnie wysłał. — Mówię to z pochyloną głową, udając zawstydzenie. Muszę podtrzymywać rozmowę jak najdłużej.

— Nie umiesz kłamać, dziewczynko.

Poruszył się tak szybko, że ledwie to zauważyłam. Czuję za to ostry ból biegnący wzdłuż przedramienia. I widzę krew ciekącą dwoma strużkami.

I wycelowane we mnie dwa palce zakończone jakimiś ostrzami, które wystają spod paznokci i ociekają moją krwią.

Rana pulsuje bólem, krwawi na brzegach szkarłatem wsiąkającym kroplami w ziemię. Widzę jak przez mgłę i mam wrażenie, że się kołyszę.

Znowu pociąga łyk wina.

— Teraz, kiedy ziemia posmakowała twojej krwi, poznamy, być może, prawdę.

Błyszczące krople padają na ubitą ziemię. Rozpryskują się, spłaszczają, tworzą brązowiejące plamy. Mój Boski Kamień wybucha żarem, który pełźnie wzdłuż mojego kręgosłupa w górę, aż mnie dusi w gardle.

— Ta ziemia kocha twoją krew — intonuje animag. — O tak, specjalnie twoją tak kocha, kocha, kocha. I rozgrzewa się mój magiczny kamień. — Podnosi kubek do rozchylonych w uśmiechu ust.

Amulet kołyszący się u jego piersi zaczyna świecić jasnoniebieskim światłem jak gwiazdy przed świtem. Animag zamierza mnie spalić. Wydobędzie ze mnie prawdę, przypalając mi skórę. Nie jestem silną osobą. Zdaję sobie sprawę, że powiem wszystko, byle powstrzymać ból.

Przeciwnik jest ode mnie dużo szybszy, więc muszę działać precyzyjnie. Gdy żywa krew z lewego ramienia wciąż karmi ziemię, prawą ręką sięgam powolutku do noża, który boleśnie uwiera mnie w plecy. Chwytam za trzonek i się waham. Być może przychodzi moment mojej śmierci. Swoimi spreparowanymi pazurami animag jest w stanie pociąć mnie na kawałki, a na pewno przetrząść mi gardło, jeśli zechce.

— Nie chcę umierać — mówię zgodnie z prawdą.

Uśmiecha się jak ojciec przymilający się do ukochanej córki. Z taką dobrotliwą tolerancją nasz papa zwykł patrzeć na moją siostrę.

— Przecież masz mi tylko powiedzieć...

Nie kończy. Spogląda na mnie dziwnym wzrokiem, mrużąc te swoje nieprawdopodobne oczy.

— Nie wymkniesz mi się, dziewczynko — mówi, przechodząc na *lingua classica*. — Za późno. Ziemia posmakowała już twojej krwi.

Nie spuszczam oczu z jego niby przyjaznej twarzy i zza szarfy wyciągam nóż.

— Jestem zmęczony. Strasznie zmęczony, zmęczony... — Rozgląda się po namiocie

nieprzytomnym wzrokiem. Nagle szeroko otwiera oczy, już wie. — Co mi zrobiłaś?

Chciałabym powiedzieć mu, że jest głupcem. Chciałabym pokazać mu mój Boski Kamień, żywy i prawdziwy. Nie mówię jednak nic.

Chwyta za uwięziony w klatce kamień i rzuca nim we mnie, ale amulet ledwie się skrzy.

— Dlaczego nie chwyta cię ogień? — pyta z pretensją nie swoim głosem. — Dlaczego?

— Ponieważ nie taka jest wola Boga — odpowiadam w *lingua classica*.

Niebieskie oczy otwierają się jeszcze szerzej. Rozchyła usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Przewraca się na plecy i leży nieruchomo z głową u stóp ołtarza, drżą poruszone liście umierającego krzewu *duermy*.

— Dzięki ci, Boże — wydaję głośne westchnienie ulgi. — Dzięki.

Przykładam rękę do klatki piersiowej leżącego. Serce trzepocze się pod żebrami, słabiutko, ale wciąż jeszcze. Nie jest martwy. Być może jagody *duermy* straciły moc na skutek wysuszenia. Jeżeli jednak moje własne doświadczenie z liśćmi *duermy* są jakąś wskazówką, mogę przypuszczać, że będzie spał długo.

Odcinam nożem brzeg mojej sukni i przewiążuję nim krwawiącą ranę na ramieniu.

To nieprawdopodobne, ale wciąż żyję. Musi być jakiś sposób na ucieczkę, muszę ostrzec swoich, bo

wiele się dowiedziałam. Animagowie jednym pstryknięciem palców potrafią sparaliżować mięśnie człowieka. Są uzbrojeni w Boskie Kamienie. Znaleźli sposób na wzniesienie ognia po uprzednim „nakarmieniu ziemi” krwią. Moja złożona z dzieci nieliczna armia, moje *Malficio*, musi o tych rzeczach wiedzieć.

Siedzę z nogami podkurczonymi pod brodą i myślę.

W żadnym razie nie uda mi się wyjść poza obszar obozu we własnym ubraniu. Muszę się przebrać. Moje oko przyciąga bielusieńka szata animaga. Pomysł jest przedni, niemal parskam śmiechem. Mogę ją włożyć. Zabrać jego amulet.

Z obrzydzeniem patrzę na jego głowę. Białe włosy mają żółtawy odcień, muskają moją dłoń, gdy zdejmuję mu z szyi amulet. Kiedy go zakładam, Boski Kamień w moim pępku porusza się z radosnym powitaniem.

— Przestań — protestuję.

Trudniejszym zadaniem jest zdjęcie z animaga szaty. Jest szczupły, ale ciężki. Przekręcam go na boki, uwalniając najpierw jedną rękę, potem drugą, a następnie układam go na brzuchu. Rozebrany wydaje się asteniczny, niebieskie żyłki oplatają jego bezwłose nogi niczym pajęczyna. Długi warkocz połyskuje w świetle świec jak płynne złoto. W przypiływie agresji chwytam za niego i ucinam mu go przy karku.

Kadzidlany zapach dusi mnie w gardle, gdy narzucam szatę animaga na ramiona. Zrobiona jest ze

skóry, jakiej nigdy przedtem nie widziałam, i chociaż gruba i ciężka, układa się miękko i faluje niczym jedwab. Zawijuję ją ciasno, a amulet wyjmuję na wierzch, tak że czarna klatka rysuje się wyraźnie na białym tle. Na głowę naciągam kaptur. Doczepiony do wiązania szaty pod szyją jego warkocz dynda mi z przodu na piersiach. Pod szatę chowam zaciśniętą na nożu rękę.

Zerkam na animaga. Delikatny. Niemal piękny. Kiedyś się obudzi. Być może powinnam wbić mu nóż w serce teraz, gdy śpi, żeby nie powrócił do życia i palenia ludzi żywcem. Odstępuje mnie jednak myśl o użyciu noża.

Mam lepszy pomysł.

Jego posłanie znajduje się pod ścianą namiotu. Chwyciwszy za jeden róg, przeciągam matę na środek. Owcza skóra jest lekka i suchuteńka. Zabieram jedną świecę z ołtarza, niosę ją ostrożnie, żeby nie poparzyć się gorącym woskiem. Chwytam za brzeg skóry i przytykam ją do płomienia świecy. Wełna zaczyna się tlić, skręca się i czernieje, muszę odwrócić głowę od gryzącego dymu. Mata pali się wolno. Upłynie kilka dobrych minut, zanim ogień przerzuci się na ściany namiotu. Wystarczy czasu, aby dotrzeć na skraj obozowiska. Staram się nie myśleć o człowieku leżącym u moich stóp.

Jestem gotowa do wyjścia, niestety, nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Boże, błagam cię, spraw,

żeby się udało. Muszę poruszać się z pewnością siebie. I z gracją. Muszę iść z pochyloną głową, żeby nikt nie zauważył wyróżniającej mnie ciemniejszej karnacji. Oddycham głęboko, odczekując, by uspokoiło się bicie serca. Za mną bucha ogniem poślanie; drobina żaru z sykiem spada mi pod nogi, czernieje w zetknięciu z ziemią.

Staram się opanować. Nie myśl teraz, Eliso, tylko rób swoje. Odsłaniam lekko klapę namiotu i wychodzę w noc rozświetloną blaskiem ognisk. Kłapa zamyka się za mną, kryjąc zarzewie pożaru w namiocie. Idę szybko przed siebie, stawiając stopy tak, jak mnie uczył Humberto. Na bardziej zgrabny chód mnie nie stać i mam nadzieję, że taki wystarczy. Inwierni popatrują na mnie, gdy przechodzę obok, lecz pozoruję obojętność i pewnie maszeruję przed siebie. Za plecami czuję na sobie ich dziki wzrok. Mój Boski Kamień ziębnie.

— Panie mój — odzywa się ktoś uniżenie. Skłaniam lekko głowę i z twarzą zasłoniętą kapturem przechodzę dalej. Niechybnie zauważy, że nie jestem szczupłą. Że nie poruszam się zwinnie.

Lawiruję między paleniskami i poślaniami w kierunku pogrążonych w ciemności wzgórz, modląc się, by ktoś nie podniósł alarmu.

Kątem oka widzę na lewo ode mnie coś, co zwraca moją uwagę. Leciutko odwracam głowę. To mężczyzna ubrany nie w skóry, lecz w luźne szaty ludzi pustyni. Ma czarne proste włosy, ciemną cerę. Wyskrobuje z miski

resztki jedzenia, więc nie widzę jego twarzy, lecz robi mi się gorąco z wrażenia. Obywatel Joya biesiaduje z wrogiem! Nie dostrzegam żadnych lin ani łańcuchów, które by go krępowały. Nie ma przy nim animaga gotowego sparaliżować go czarami. Siedzący obok bladej wojownik Invierno ze zmierzwionymi włosami poklepuje go przyjaźnie po plecach, na co ten podnosi głowę i się uśmiecha. Nogi się pode mną uginają i wyrywa mi się jęk rozpaczny.

Rozpoznaję Beléna.



Nie zostaliśmy wytropieni przez wroga. To Belén powiedział im, gdzie nas znaleźć. Przypominają mi się słowa animaga: „...tych trzech, co uciekli...” A ja się martwiłam, że kogoś z moich towarzyszy złapano lub zabito.

Ogarnia mnie fala wściekłości i drży mi ręka ściskająca nóż. Jeżeli miałabym kogokolwiek zabić dziś w nocy, tym kimś powinien być Belén. Przebrana za animaga mogłabym podejść do niego nawet teraz.

Odpycham jednak ten impuls, jak tylko się pojawił. Belén by mnie rozpoznał i nie udałoby mi się uciec. Dowiedziałam się wielu rzeczy i te informacje muszę przekazać swoim. Nie mogę sobie pozwolić na luksus zemsty.

— Panie? — odzywa się ktoś tuż obok mnie.

Niepotrzebnie zwolniłam kroku. Czy ktoś usłyszał okrzyk zdziwienia, jaki mi się wyrwał? Roztrzęsiona oddalam się od człowieka, który mnie zagadnął, mając nadzieję, że moje zachowanie przypisze arogancji animaga.

Jeszcze parę kroków i znajdę się pod osłoną ciemności. Po omacku będę wspinała się w górę klifu,

ale pocieszam się, że mam za sobą drogę w dół zbocza z jaskini na szczycie, więc powinnam sobie jakoś poradzić. Muszę dać radę. Najpierw jednak chcę pozbyć się białej szaty. Byłaby widoczna na tle ciemnego zbocza. Chętnie znalazłabym się znowu w jaskini i odszukała swój worek z jedzeniem i wodą. Prawdopodobnie jednak pilnują groty, a i tak w ciemnościach mam niewielkie szanse, że udałoby mi się ją odnaleźć. Muszę się obyć bez swoich rzeczy.

Wychodzę ostrożnie z kręgu światła. Przede mną wznosi się ściana klifu, u podstawy łagodnie nachylona, a dalej stromo pnąca się w ciemność. Ocieram się o gałąź jałowca, czuję na policzku delikatne ukłucia igieł, otacza mnie cierpki sosnowy zapach. Chowam się za jałowce, żeby zrzucić z siebie przebranie.

Z doliny dobiegają krzyki, gorączkowe i przenikliwe. Rozchylam gałęzie i widzę, że jedno ognisko płonie jaśniej, a ogień sięga wyżej niż w pozostałych. To płonie namiot animaga. Z legowisk blisko mojej kryjówki podrywają się Invierni i biegną w tamtym kierunku.

Muszę uciekać.

Zrzucam z siebie szatę animaga, ale nie mogę zostawić po sobie śladów. Nawet gdyby mnie nie wypatrzyli na zboczu, bez trudu domyśliliby się, co się stało, i ruszyli za mną w pościg. Chwilę zajmuje mi odczepienie od szaty warkocza — wsuwam go za szarfę w pasie — oraz zagrzebanie w ziemi pod warstwą

sosnowych igieł stroju animaga.

Gdy oni kręcą się wokół pożaru, ja biegnę do klifu. Początkowo wspinaczka jest łatwa, z rzadka podpieram się rękami, ale wyżej robi się stromo, więc wkrótce pełznę na czworakach, a moje palce po omacku szukają punktów zaczepienia. Korzenia albo pniaka. Piecze mnie skóra na udach od ocierania się o wciąż mokre od moczu majtki. Za paznokcie wbija mi się ziemia, bołą mnie mięśnie ramion, straciłam czucie w poduszczykach obu kciuków, które stwardniały od szorowania po kamienistym podłożu. Coś przebiega mi po ręku; strząsam to ze wstrętem. Nagle odbiera mi oddech straszliwy ból jednego palca; dłoń ocieka ciepłą krwią. Zdarłam sobie paznokieć.

Usiłuję nie zważać na ból i kontynuuję wspinaczkę. Jest za ciemno, żebym mogła się zorientować, ile zbocza zostało do pokonania, nie wolno mi też tracić czasu na zastanawianie się, jak daleko zaszłam. Wilgotna od krwi dłoń traci przyczepność, drętwieją mi ramiona. Gdy w pewnej chwili wyciągam w górę rękę, wyczuwam nad głową skalny nawis. Z rozpaczy serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe. Nie jestem w stanie pokonać tej przeszkody. Moje mięśnie zawodzą. Czołgam się w bok, szukając innej drogi.

Nawis ciągnie się bez końca. Pajęczyny oblepiają mi twarz, ale pokonuję obrzydzenie. Modłę się, by mój Boski Kamień się rozgrzał i tchnął życie w drętwiejące ciało.

Docieram w końcu do wyrwy w nawisie. Gorączkowo drapię się w górę, licząc się z tym, że lada chwila mogą mnie zauważyć. Prawą ręką wyczuwam skalną półkę. Nie chce mi się wierzyć, że to wreszcie szczyt klifu. Wciągam się tam ze łzami ulgi. Nie ufam trzęsącym się nogom i na drugą stronę zbocza turlam się na boku.

Nie wolno mi odpoczywać. Powinnam się podnieść natychmiast i uciekać na zachód jak najdalej od potężnej armii Inwiernych. Ale nie jestem w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Leżę na plecach i oddycham głęboko, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Gwiazdy świecą tu pełnym blaskiem z dala od poświaty obozowych ognisk. Białe iskierki na czarnym aksamicie nieba.

Piękno nocnego nieba dodaje mi, co dziwne, otuchy. Ono nigdy się nie zmienia. Niewrażliwe na toczony na tym świecie wojny. Można na nim polegać. Dźwigam się na nogi i biegnę dalej.

*

Powinnam była ukraść coś do jedzenia. A przynajmniej wodę. Kiedy pierwsze promienie brzasku padają mi na plecy, a ja wciąż idę przed siebie, potykając się co krok, zaczynam wreszcie rozumieć, że jestem w fatalnej sytuacji. W stanie skrajnego

wyczerpania nie ujdę pościgowi. Odczuwam straszliwe pragnienie. I nie mam pojęcia, dokąd idę.

Strach pcha mnie naprzód bez względu na wszystko. Odzywa się jednak w mojej głowie głos rozsądku, dający o sobie znać w ciągu ostatnich miesięcy, a ten podpowiada, że bez wody i odpoczynku niczego nie zdołałam. Muszę zaspokoić pragnienie i się przespać. W przeciwnym razie padnę z wycieńczenia. A w tym surowym górskim terenie ostre głazy i urwiska ostrzegają, że każde potknięcie grozi śmiercią, jak było w przypadku owczarza Damiána.

Postanawiam iść dalej, póki nie natrafię na jakiś potok, a wtedy rozejrzę się za jakąś kryjówką, gdzie się prześpię. Ale jak dotrzeć do wody? Zamykam oczy i przywołuję obraz Humberta, żałując, że go tutaj nie ma. Przypomina mi się nasz pocałunek, jego wargi na moich. Ścisza mi się serce na myśl, że być może już nigdy go nie zobaczę.

Otrząsam się i otwieram szeroko oczy. Nie o tym mam myśleć, tylko przypomnieć sobie, jak prowadził naszą wyprawę. Co zrobiłby teraz? Rozglądam się dokoła, czy nie ma w zasięgu wzroku jakiegoś jaru z roślinnością bardziej gęstą i zieloną niż gdzie indziej. Obiecująco wygląda miejsce nieomal na wprost, z lekkim odchyleniem na południe. Ruszam tam, czując napływ energii.

Niestety, to wyschnięty jar z dnem wygładzonym przez wiosenną powódź, a teraz popękany od upału.

Brzegi porasta jednak bogata roślinność, więc jestem na dobrym szlaku. Wspinam się po żwirowym zboczu, żeby ponownie się rozejrzeć.

Poniżej widzę gęstą kosodrzewinę. Muszę zboczyć dalej na południe, co mnie martwi, lecz bez wody nie przeżyję. Wlokę się, powłóczę nogami, a język mam wyschnięty na wiór. Kiedy docieram do pasa kosodrzewiny, okazuje się tak gęsta, że nic przez nią nie widzę, słyszę jednak odgłos szemrzącej wody. A może to wiatr porusza gałęziami? Czepiając się pni i głązów, ześlizguję się w dół. Piaszczystym korytem wije się jak wąz potoczek nie szerszy niż moja noga, ale kryształowo czysty. Z cichym okrzykiem padam na brzuch i zaczynam chłeptać wodę. Piję, aż wreszcie mój żołądek nie jest w stanie pomieścić więcej.

Marzę już tylko o tym, żeby zapaść w sen. Zmuszam się jednak do zdjęcia butów i majtek, które w strumyczku opłukuję z zaschniętego moczu. Mokrym skrajem sukni przecieram nogi. Są czerwone i podrapane, więc skóra mnie piecze, choć zimna woda przynosi trochę ulgi. Wieszam majtki na gałęzi, rozejrzawszy się, czy nie będą widoczne z góry. Wczołguję się pod karłowatą sosnę, podkulam nogi i otulam je suknią, po czym z głową na poduszce z sosnowych igieł natychmiast zasypiam.

Gdy się budzę, słońce jest już nisko. Chociaż bolą mnie plecy i ramiona, podrywam się od razu, chcąc wykorzystać jeszcze światło dnia. Nie mam żadnego naczynia na wodę, lecz nie ośmielam się wędrować wzdłuż biegnącego na południe potoczku, gdyż ważne jest, bym się oddalała od armii Inwiernych. Opijam się więc wodą na zapas, czym trochę oszukuję głód. Krzywiąc się z bólu, zdzieram z przedramienia zakrwawioną opaskę i po przemyciu rany obwiązuję ją ciasno. Piecze mnie w miejscu obrzęku i mam świadomość, że powinnam odszukać jakąś wioskę, zanim wda się infekcja. Oglądam starannie poszkodowany palec. Na szczęście zerwałam tylko połowę paznokcia i żywą tkankę już pokrył strup. Odrywam kolejny kawałek tkaniny z sukni, by obwiązać palec. Mając w pamięci podróż przez pustynię, oblewam ubranie wodą, żeby zabezpieczyć ciało przed upałem.

Jaszczurki czmychają mi spod nóg, a pod zbierającymi się od północnej strony chmurami krąży myszołów. Odświeżona, idę z większym animuszem. Chociaż rana na ręku mnie rwie i dokucza ból palca, uśmiecham się do siebie. Uciekłam całej armii Inwiernych. Groziła mi niewola, czarnoksiężnik, nawet tortury, a jednak się wywinęłam. W dużej mierze zawdzięczam to mocy mojego Boskiego Kamienia. Bez niego byłabym sparaliżowana sztuczkami animaga, spalona żywcem przez jego amulet, który teraz mam na szyi. Nie podziałała na mnie magia, bo chronił mnie

mój klejnot. Homer pisze w *Afflatusie*, że ten, kto nosi Boski Kamień, magię zwalcza magią. Być może miał na myśli tę osobliwą odporność na czary.

Chętnie przedyskutowałabym to z Humbertem. Albo z ojcem Alentínem. Najchętniej porozmawiałabym jednak z Ximeną i serce mi się ściska z tęsknoty za nią i pragnienia, by mnie utuliła w swoich silnych ramionach. Mam nadzieję, że nie dostała jeszcze wiadomości, że czuję się dobrze, by później dowiedzieć się, że zginęłam na pustyni.

Ze szczytu wzniesienia ogarniam wzrokiem dziki krajobraz. Grzbiety górskie poprzedzielane kanionami ciągną się na wschód i są z rzadka porośnięte drzewami jałoszynu oraz jałowca, skarłałymi niczym chylący się ku ziemi starcy. Czuję się malutka w tym rozległym i surowym krajobrazie. Poczucie osamotnienia uderza mnie jak obuchem. Zamiera mi uśmiech i zaczynam trząść się z zimna. Z nawyku modłę się, by zrobiło mi się ciepło. Tym razem jednak nie marznę z winy Boskiego Kamienia. Niebo na północy przecina błyskawica. Granatowe chmury ciągną w moją stronę, a zimny wiatr zwiastuje burzę.

Przeklinam idiotyczny pomysł oblania ubrania wodą. Cosmé i Humberto nie zrobiliby czegoś takiego. Wiatr się nasila, targa moją suknią, która smaga mnie po nogach. Mam nadzieję, że zacznie padać. Deszcz zatrze moje ślady, a ubranie i tak mam mokre. Gdy myślę jednak o przebytych szlaku, uświadamiam sobie, że teraz

stoję na grani i jeżeli mnie ścigają, to jestem widoczna z daleka.

Ewakuując się z grani, ześlizguję się do suchego zlebu. Ale jak długo będzie suchy? Przypominam sobie, że Humberto mówił o rwących potokach po ulewie i biegnąc, rozglądam się na boki za jakimś schronieniem. Słońce zachodzi i wszystko okrywa szarość, ale pod krzewami jałowca udaje mi się wypatrzeć potężny głaz w rodzaju okapu, więc wspinam się tam i trzęsąc się z zimna, przytulam do gładkiego kamienia. Żałuję, że nie mam pudełeczka z hubką i krzesiwem. Marzy mi się nawet zupa z jerboa. Gdy pierwsze grube krople deszczu rozpryskują się o ziemię przy moich kolanach, zaczynam myśleć, że wprawdzie ucieczka się cudem udała, lecz moim przeznaczeniem jest śmierć tutaj.

*

Pada przez całą noc, naprzemiennie to strugi deszczu leją się z nieba, to zacina lodowata mżawka. Jest za ciemno, bym mogła widzieć dno jaru, ale słyszę, że woda huczy niczym wiatr. Modłę się bez przerwy, więc trochę ciepła promieniuje z Boskiego Kamienia, chroniąc mnie przed groźnym wychłodzeniem, jednak nie mogę zasnąć. Boję się także, że gdy się zdrzemnę,

grozi mi stoczenie się do wody, a nie wiadomo, jak wysoko już sięga. Deszcz wreszcie ustaje, postanawiam jednak doczekać końca nocy i nie wędrować w ciemnościach. W głowie kręci mi się z głodu, jestem przemarznięta i obolała, mam świadomość, że raczej z tego nie wyjdę. To najdłuższa noc w moim życiu.

Świt nadchodzi z różową poświatą oraz rześkim krystalicznym powietrzem i na nowo budzi we mnie determinację. Nie jestem wojownikiem, to prawda, nie jestem też zaprawiona w wytrzymywaniu ekstremalnych warunków, a mimo to znajduję sposób na przetrwanie. „Masz tęgą głowę”, powiedział do mnie zdrajca Belén. Gdy mi się przypomina, moja determinacja rośnie. Muszę dotrzeć jakoś do wioski ojca Alentína, żeby wszystkich ostrzec.

Jarem płynie teraz woda, błotnista i spieniona. Nie mam ochoty na nią patrzeć. Opuszczam swoje wątpliwe schronienie i drapię się w górę. Ubranie nie jest całkiem mokre, lecz wystarczająco wilgotne, bym w nim marzła. Modłę się, idąc granią, wiem, że jestem na widoku, ale niżej mogłaby mnie porwać woda, czego bardziej się boję. Mam żołądek boleśnie ściśnięty z głodu. Za to o wodę nie muszę się na razie martwić.

Wschodzące słońce grzeje mnie w plecy, przynosząc odrobinę komfortu. I budzi skojarzenie.

Zatrzymuję się i przetrawiam myśl, która mi przyszła do głowy. W drodze do obozu Inwiernych mój Boski Kamień robił się coraz chłodniejszy w miarę

wzrastającego zagrożenia. Gdy teraz się oddalam, nieco się rozgrzewa. Przez lata promieniował ciepłem, gdy się modliłam, a nawet reagował na niektóre osoby. Więc być może doprowadzi mnie w bezpieczne miejsce.

Ostrożnie stawiam stopy, wyczulona na jego najlżejszy sygnał. Kieruję się na zachód i schodzę coraz niżej, mając nadzieję, że wyczuję intensywniejsze rozgrzanie lub jakieś poruszenie klejnotu. Mijają godziny, zanim zauważam jakby lekkie swędzenie. Ulotne wrażenie, wywołane może moją desperacką nadzieją. Jednak po jakimś czasie się powtarza. Ciepłko w okolicy pępka, lecz wystarcza, bym się podnieciła do tego stopnia, że zjeżdżam ze skarpy i ląduję na błotnistym dnie. Skupiam się, czekam i wreszcie sygnał jest wyraźny. Z radości trzęsą mi się ręce. Może jednak przeżyję.

Prę do przodu zdecydowanie, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby napić się wody z wgłębienia w skale lub wsłuchać się w Boski Kamień, a gdy przeszywa mnie prąd ciepła płynący od niego, rzucam się naprzód truchtem. W ten sposób wędruję wiele godzin. Niestety, nasilający się głód i coraz silniejszy ból ręki czynią swoje. Czuję, że słabnę. Nogi robią się ciężkie, jakby były z ołowiu, kręci mi się w głowie i mieni przed oczami — być może z gorączki. Organizm rozpaczliwie woła o odpoczynek, lecz jeżeli nie zdobędę czegoś do zjedzenia i nie zacznę leczyć rany na przedramieniu, to sobie nie pomogę, idę więc

dalej.

Boski Kamień wysyła coraz wyraźniejsze sygnały i dzięki Bogu, gdyż w tym stanie umysłu niewiele do mnie dociera. Popołudniowe słońce zawisa nad moją ścieżką, czerwona kula oślepia i zaczynam się potykać. Idę teraz krawędzią łagodnego wzniesienia po piaszczystym gruncie. Coś cienkiego i skręconego owija się wokół mojej kostki u nogi i wywijam orła w powietrzu. Czuję, że grzmotnęłam ramieniem i biodrem o zwirowany grunt. Odcina mi oddech, lecę w dół i niewiele widzę. Słyszę odgłosy toczących się wraz ze mną kamieni i trzaskanie kości, ale te dźwięki słabną, co nieco wyławiam jeszcze jakby z oddali, a potem zalega cisza.

*

Trzepoczą mi powieki. Światło i ból niczym ostre miecze przeszywają mnie na wskroś. Krzyczę, lecz wciągnięte do płuc powietrze pali mnie pod prawą piersią żywym ogniem.

— Eliso? Czy mnie słyszysz?

Ten głos! Cudowny głos.

— Humberto?

Śmieje się, całuje mnie w policzek, głaszcze po czole i bez końca powtarza moje imię.

— Wróciłem po ciebie, lecz nigdzie nie mogłem cię znaleźć, a w ich armii z niezrozumiałych powodów zapanowała panika, a potem rozpadało się i nawet zgubiłem szlak...

— Humberto, jestem strasznie głodna. — Gdy to mówię, ból rozsadza mi szczękę i rozlewa się aż do karku. Nie wiem, czy będę w stanie jeść.

— Rety! Jasne! Mam suszone mięso i...

— Nie... coś delikatnego...

Słyszę, że gorączkowo się krząta. Nalewa wodę z bukłaka.

— Zrobię zupę. Nie będzie tak dobra, jak zupa Cosmé, ale cię wzmocni.

Zamykam oczy, pozwalając mu zaopiekować się mną, zdumiona i szczęśliwa, że żyję. Przebieram palcami nóg i poruszam rękami, żeby ustalić, gdzie boli. Boli wszędzie, ale najgorzej żebra z prawej strony i lewa skroń. Leżę na brzuchu, coś miękkiego mam pod brodą, prawą rękę unieruchomioną na temblaku. Blisko mnie trzaska ogień. Po raz pierwszy od wielu dni jest mi cudownie ciepło.

— Humberto? Moja ręka...

Strzela ogień, gdy Humberto porusza palący się stosik.

— Wygląda na to, że złamałaś kilka żeber, spadając ze wzgórza. Założyłem ci temblak na rękę, żebyś nią nie poruszała podczas snu.

— Widziałeś, jak leciałam w dół?

— Eliso, sturlałaś się prosto do mojej kryjówki.

Jestem wstrząśnięta, wrywa mi się szloch, który skutkuje przeszywającym bólem żeber. Leją mi się łzy, przyśpiesza oddech. To Humberta szukałam. Boski Kamień doprowadził mnie do niego.

Staram się powstrzymać szloch, bo ból jest przejmujący. Mam mgłę przed oczami.

— Humberto — mówię szeptem.

— Czy dobrze się czujesz, Eliso?

Widzę jego sylwetkę nade mną, ale rozmazuje mi się przed oczami.

— Na ten czas, gdy robisz zupe, ja... ja... postanowiłam się wyłączyć.

Jest mi dobrze, otacza mnie ciepły mrok. Jednak coś kołacze się w mojej głowie. Natychmiast muszę powiedzieć o tym Humbertowi. O zdrajcy.

Zasypiam.



Jest prawie ciemno, gdy się budzę. Otwieram oczy i wzdrygam się na widok błyszczących w uśmiechu zębów nad moją twarzą.

— Wydawało mi się, że już nie śpisz. Dalej głodna?

Mamroczę coś pod nosem. Humberto unosi mi głowę i wkłada do ust łyżkę zupy. Jest bez smaku, wodnista i... cudowna. Nie mogę powstrzymać chichotu.

— Co jest? Co cię rozśmieszyło?

— Jest dokładnie tak jak przedtem. Kiedy mnie porwał. Tylko zupa nie jest taka dobra.

Przysiada na piętach, jego uśmiech znika.

— Przykro mi z tego powodu, Eliso.

— Ależ zupa jest doskonała!

— Miałem na myśli porwanie.

— Aaa! — I tylko tyle wydobywam z siebie, ponieważ paraliżuje mnie ból w klatce piersiowej.

— To był poważny upadek. — Karmi mnie kolejną łyżką zupy. — Miałaś szczęście. Mogło się skończyć krwiopluciem albo złamaniem nogi, albo...

— Nie jestem pewna, czy mam szczęście. Czuję się gorzej.

— Złamane żebra doskwierają najbardziej

drugiego dnia. Potem będzie lepiej.

— Humberto! — Usiłuję się podnieść, ale nachodzi mnie fala nudności. — Musimy ruszać. Trzeba wszystkich ostrzec. — Kręci mi się w głowie, a powinnam się dźwignąć na nogi.

— Nigdzie nie wyruszamy. — Przyłożywszy mi rękę do piersi, powstrzymuje mnie przed próbą wstawania. — Nie powinnaś maszerować przynajmniej przez dwa tygodnie.

— Dwa tygodnie! Humberto, zostaliśmy zdradzeni. Trzeba ostrzec ojca Alentína.

Łyżka z zupą zawisa w powietrzu nad moją twarzą.

— Zdradzeni? — mówi cicho Humberto ze zwężonymi oczami. — Co ty mówisz?

Patrzę łapczywie na łyżkę.

— To Belén. Widziałam go tam w ich obozie, jadł razem z nimi przy ognisku jak z najlepszymi przyjaciółmi.

Ręka z łyżką się zatrzęsła. Wysuwam ku niej brodę, otwieram usta, głód skręca mi kiszki.

— Belén by nigdy...

Z westchnieniem opadam na posłanie i odzywam się mimo bólu w klatce piersiowej.

— Jak inaczej by nas wykryli w jaskini? Przecież nie natknęli się na nas na drodze, nie pamiętasz? Nie wypatrzyli nas z dołu. Po prostu po nas przyszli. Wiedzieli.

Milczy bardzo długo. A mnie burczy w brzuchu.

— Czy jesteś pewna, że widziałaś Beléna?
Absolutnie pewna?

— Jestem pewna. Przeszłam tuż obok niego.

— Czy on cię widział?

— Być może. Nie sądzę jednak, by mnie rozpoznał.
Humberto patrzy gdzieś w dal.

— Belén — mówi pod nosem. — Dlaczego to zrobiłeś?

Nie mogę patrzeć na jego rozgoryczoną minę.

— Tak mi przykro.

— Masz rację. Musimy ostrzec naszych.

— A może jest inne wyjaśnienie. Może przyszedł tam, bo mnie szukał.

— Hm... możliwe — mówi bez przekonania. — Proszę, jedz zupę.

Siorbię ją łapczywie i już prawie kończę, gdy w gardle czuję coś jak pieczenie i w ustach nikły smak jakby cynamonu.

— Włożyłeś mi do zupy liść *duermy*.

— Tak. Ale tylko tyle, żebyś mogła przespać tę noc bez bólu. Jutro opowiesz mi, co się zdarzyło w obozie Inwiernych. A potem zastanowimy się, co dalej.

Moje powieki robią się ciężkie, wchłania mnie mrok.

— Humberto, jestem taka szczęśliwa, że cię znalazłam.

— Ja też, księżniczko.

*

— Chcesz powiedzieć, że wyszłaś ot, tak sobie z jego namiotu w jego szacie? — W głosie Humberta pobrzmiwa niedowierzanie, ale w kącikach oczu pojawiają się zmarszczki śmiechu.

— Tak było. Żałuję, że pozbyłam się jej, ale była biała i bałam się, że mnie zdradzi na zboczu klifu.

— Wspinałaś się na klif? Po ciemku?

Wyciągam do niego rękę i pokazuję wilgotny, zbrązowiały bandaż na palcu.

— Nie zalecałabym iść w moje ślady. Zerwałam sobie paznokieć. I mam również... — Podnoszę drugą rękę i zaczynam odwijać opaskę zrobioną z kawałka spódnicy. W miejscu, gdzie animag wbił swoje szpony, czuję pulsujący ból, na szczęście nie tak ostry, jak ból żeber. Prawie o tej ranie zapomniałam. Opaska przylepiła się do skóry i muszę ją zedrzyć zdecydowanym szarpnięciem. — Boję się, że wdało się zakażenie.

Trzymając mnie za nadgarstek, Humberto obraca moją ręką, przesuwając oczami wzdłuż biegnących równolegle ropni.

— Nie jest tak źle — mówi. — Muszę je nakłuć i wycisnąć ropę, ale powinny zaschnąć przez dzień lub dwa. — Patrzy mi w oczy. — Będzie bolało. Dobrze, że skóra wokół wygląda zdrowo. Sądzę, że jeżeli zrobimy

zabieg teraz, wszystko się ładnie wygoi.

Przełykam ślinę.

— Zaczynajmy.

Przez moment trzyma ostrze noża nad ogniskiem, potem czeka, aż wystygnie. Gdy przystępuje do nacinania, zagaduje mnie, żeby odwrócić moją uwagę. Jestem zdziwiona, że tak bardzo nie boli. Jakby przecinał bliską ciału warstwę ubrania. Gdy jednak zaczyna wyciskać ropę, przed oczami pojawiają mi się czarne mroczki. Tylko raz zerkam, co robi. Płyn wyciekający z obrzęków jest kleisty, zielonkawy, wymieszany z krwią. Odwracam głowę i zaciskam zęby. Kiedy wreszcie oblewa mi przedramię lodowatą wodą, łzy tryskają mi z oczu.

Strzelają płomienie, gdy wrzuca brudną opaskę na palące się gałęzie. Przez moment rozchodzi się smród zgniłego mięsa. Leżę spokojnie i powoli odzyskuję oddech.

— Powinienem cię przetrzymać tutaj choć przez tydzień przed drogą — mówi na głos Humberto, raczej do siebie niż do mnie. — Tymczasem musimy jak najszybciej dotrzeć do wioski.

Mógłby iść beze mnie, ale tego ze strachu mu nie sugeruję. Już nigdy nie chcę być zdana tylko na siebie. Zmieniam temat.

— Co się stało z Cosmé i Jaciánem?

— Moja siostra i ja znaleźliśmy Jaciána po kilku godzinach. A raczej to on nas znalazł. Obserwował

grootę i widział, że nas ścigają. — Twarz mu tężeje. — Ostatecznie się rozdzieliliśmy, żeby ich zmylić. Nie wiem, czy któremuś z nich się udało. Jeżeli tak, są daleko stąd.

— A ty zawróciłeś.

— Nie mogłem cię zostawić.

Patrzmy na siebie. Chciałabym, żeby mnie pocałował. Powinam coś powiedzieć po jego słowach.

— Wciąż jesteśmy bardzo blisko ich armii — wyduszam z siebie.

Jego spojrzenie prześlizguje się po moich ustach.

— Nie powinieneś podtrzymywać ognia.

— Hm... może i nie.

— Zgaś więc ognisko, Humberto. Ja wytrzymam. Jutro wyruszamy.

Potrząsa głową, jakby chciał uporządkować myśli.

— Ty praktycznie nie możesz chodzić.

— Z całą pewnością mogę. Przyrzekam nie szarżować. Raniutko pójdziesz na zwiady. Znajdziesz bezpieczne miejsce na postój jakieś kilka godzin stąd. Potem wrócisz i mnie zabierzesz. Jeżeli to się sprawdzi, być może następnego dnia pokonam większy dystans.

Zaczyna protestować, ale milknie. Rozumiem, że koniecznie chce wiedzieć, co się stało z Cosmé i Jaciánem, oraz ostrzec wioskę.

— Dobrze, spróbujemy. — Przystaje na mój pomysł i uśmiecha się. — No i co? Nie mówiłem, że jesteś bardziej dzielna, niż myślisz.

Patrzy na mnie tak uporczywie, że muszę odwrócić wzrok.

*

Każdy krok okupiony jest straszliwym bólem żeber i kręgosłupa. Jest gorzej, lecz i lepiej zarazem, ponieważ ruch niweluje sztywność mięśni. Oddycham z trudnością, za to w głowie mi się przejaśnia, rozluźniają się mięśnie szyi, siniaki na rękach i nogach zmieniają kolor z czerwonego na sinożółty. Boski Kamień nie wysyła lodowatych sygnałów, lecz mimo to cały czas się modłę.

Następnego dnia również jesteśmy w drodze i też tylko kilka godzin. Trzeciego przy porannej herbacie czuję, że coś mnie drapie w gardle.

— Czy dodałeś do herbaty *duermę*?

Nic nie mówi, stoi zadowolony z siebie.

Opadam na matę, którą rozłożył dla mnie. Powieki mam za ciężkie, żeby potraktować go surowym wzrokiem.

— Nienawidzę cię — mówię.

— Więcej powiesz mi jutro rano. — Nachyla się nade mną. Zasypiam z niejasnym wspomnieniem jego ust przyciśniętych do mojego czoła.

*

Po jakimś czasie odnotowuję z zadowoleniem, że roślinność znika i powietrze robi się gorętsze, co zwiastuje bliskość pustyni. Kiedy ziemia zmienia barwę na czerwoną, a na horyzoncie wyrastają pnące się do nieba kolorowe formacje skalne, ściska mi się serce z tęsknoty za domem.

Mamy jeszcze przed sobą pół dnia drogi do wioski, gdy natykamy się na wartownika. Natychmiast rusza uprzedzić, że to my idziemy, by nikt do nas nie strzelał. Wymieniwszy zdziwione spojrzenia, Humberto i ja przyśpieszamy kroku. On idzie przodem, bezbłędnie odnajdując szlak, ja za nim, dziękując Bogu, że mnie do Humberta doprowadził. Ten suchy płaskowyż poprzecinany jest mnóstwem krętych wąwozów i skalnych tworów podobnych jeden do drugiego. Nigdy nie odnalazłabym właściwej drogi bez pomocy.

Wreszcie wyrasta przed nami nasza góra, monolit, pod którego dającym schronienie nawisem zebrali się mieszkańcy wioski. Są wszyscy, żeby nas przywitać. Do oczu napływają mi łzy. Jakże różni się to powitanie od owianego podejrzliwością pierwszego spotkania. Alentín kuśtyka w moim kierunku z wyciągniętymi ramionami. Biegnę do niego, nie zważając na bolące żebra. Przytulam się do jego kościstej piersi.

Rozpoznaję mnóstwo twarzy, tym razem

przyjaznych i pełnych nadziei. Chcą mnie chwytać za ręce, tulić się do nóg, ale Humberto ich odpycha.

— Ona jest ranna! — krzyczy ze złością. — Nie ściskajcie jej.

Twarz pali mnie z upokorzenia. Z jakiegoś powodu nie podoba mi się jego opiekuńczość w tym akurat momencie. Dostrzegam, że Cosmé toruje sobie drogę przez tłum, rozpychając się łokciami. Widząc Humberta, zwalnia, wyraźnie odprężona. Wymieniają pełne ulgi spojrzenia. Gdy podchodzi do mnie, od razu rzuca mi się w oczy, że znowu obcięła włosy na krótko. Drga jej broda, patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami. Nachyla się i przez sekundę myślę, że chce mnie uściskać, jednak ona klepie mnie z całej siły w ramię.

— Nie myślałam, że uda ci się wrócić.

— Ja także — mówię, wzdychając.

— Ona zabiła animaga — oznajmia Humberto.

Wszyscy gapią się na mnie z otwartymi ustami.

— No, tego jeszcze nie wiemy — protestuję, przestępując z nogi na nogę. — Bo ciała nie widziałam.

— Ale uśpiłaś go jagodami *duermy* i potem podpaliłaś jego namiot.

Wzruszam ramionami.

Cosmé mi się przygląda.

— Nie wierzę.

— Czy możemy porozmawiać o tym później? Muszę wziąć kąpiel. I coś zjeść. Cokolwiek, byle nie suszone mięso ani daktyle.

Ona jednak nie odpuszcza.

— Kłamstwo nie zrobi z ciebie bohaterki.

Złość mną zatrzęsła na krótko, bo górę biorą żal i zmęczenie. Uznając, że nie mam nic do powiedzenia, odwracam się, myśląc jedynie o kąpieli. Zatrzymuję się jednak, bo coś przychodzi mi do głowy.

— Cosmé — rzucam przez ramię. — Mam dla ciebie prezent. — Sięgam za szarfę u sukni, wyciągam złotawy warkocz animaga i rzucam go jej pod nogi. — Należy ci się jako dobrej przyjaciółce.

Idąc do wejścia do jaskini, czuję na plecach świdrujące spojrzenia zebranych.

*

Nim kończę kąpiel, wieści o mojej ucieczce rozchodzą się szeroko. Gdy się pojawiam, nie ma końca poklepywaniu mnie po plecach, pytaniom i gratulacjom. Każdy ma też do opowiedzenia własną historię. Wymyślony przeze mnie *Malficio* był bardzo zajęty podczas naszej nieobecności.

Wieczorem pod skalnym dachem otwartej jaskini Alentín siada po turecku obok mnie na piasku. Czekamy na obiad. Opowiada mi o grupie starszych chłopców, którzy podczas polowania natknęli się na nieprzyjacielski oddział zwiadowczy. Szli za nimi przez

cały dzień, czekając na sposobność do ataku, i wreszcie wczesnym rankiem ze wzgórza ostrzelali wrogów. Tamci był liczniejsi, około piętnastu mężczyzn, więc każdy z naszych myśliwych zabił jednego z nich i wszyscy czym prędzej się wycofali. Dwa dni później powtórzyli taką samą akcję. Pozostawiając przy życiu iluś wrogów, mieli pewność, że rozejdą się wieści o klęsce. Odtąd naszym wezwaniem do boju jest okrzyk: „Każdy zabija jednego”.

— Robimy, co mówiłaś — dodaje Alentín. — Kąsamy i nie dajemy się zabić, by kąsać dalej.

— Każdy zabija jednego — powtarzam jak echo. — To znakomite. — Odsuwam od siebie myśl, że do zabijania zachęcamy dzieciaki młodsze ode mnie.

— Odkryliśmy także oddział na północny wschód od wioski. Prawdopodobnie byli łącznikami między ich dwiema armiami. Rozbili obóz nad potokiem. Jedna z naszych dziewcząt wrzuciła do wód potoku powyżej wielką porcję sproszkowanych liści *duermy*. Połowa oddziału straciła przytomność. Reszta wpadła w panikę. — Twarz Alentína stężała. — Zaszlachtowaliśmy ich, gdy spali. Zabraliśmy ich ubrania i broń. Ciała spaliliśmy. — Patrzy w bok.

— Zrobiliście, co trzeba — mówię, ale żołądek mi się skręca.

— Realizujemy twoją ideę. Wyrządzać szkody wrogowi, nie narażając życia. Terroryzować wroga. To słuszna taktyka, najlepsza z możliwych, lecz serce mnie

boli. — Spuszcza wzrok i czubkiem palca u nogi rysuje na piasku jakieś zawijasy. — Mam tylko nadzieję, że Jego Królewska Mość, niech minstrele tworzą poematy ku chwale jego imienia, wysłucha twoich rad i odda tę ziemię w ręce jej ludu.

— Zrobię, co tylko będę mogła — mówię szeptem.

— Wiem.

— Ojczy, muszę ci coś pokazać. — Rozglądam się, chcąc się upewnić, że nikt nie patrzy, po czym wyciągam zza wełnianego kaftana amulet animaga. Nie jestem pewna, jak Alentín zareaguje na widok sprawcy tylu cierpień, jednakże mam nieodpartą potrzebę porozmawiania z kimś o tym. Zamknięty w klatce Boski Kamień na mojej dłoni jest zimny i martwy.

Alentín wybałusza oczy.

— Czy zabrałaś to animagowi?

— Tak.

Sięga po amulet i nagle gwałtownie cofa rękę.

— Czy przyniesienie go tutaj było dobrym pomysłem, Eliso? To narzędzie zła. A jeżeli zacnie buchać ogniem...

— Nie zacnie.

— Skąd ta pewność?

— To nie jest zło. To Boski Kamień.

Twarz mu tężeje.

— Niemożliwe. Bóg nigdy nie pozwoliłby na takie rzeczy.

— Ja również tego nie rozumiem, ojczy. Ale Boski

Kamień potrafię rozpoznać. To czwarty, jaki widziałam poza własnym. Nie mam wątpliwości.

Alentín ścisza głos do szeptu.

— W jaki sposób animag zdobył taką rzecz?

— Boskie Kamienie w momencie śmierci tych, co je nosili, odpadają od ich ciał. Więc być może animagowie je kradną. Albo...

— Albo co?

Pochyliam się do jego ucha.

— Albo wśród Inwiernych też są wybrańcy.

Oczy Alentína się zwężają.

— Inwierni są złymi ludźmi. Nie kroczą ścieżką wytyczoną przez Boga.

Wzruszam ramionami.

— A jednak są w posiadaniu Boskich Kamieni, które służą im do uprawiania czarów. Gdybym się dowiedziała, w jaki sposób zmuszają je do działania...

— To podejmowanie bardzo niebezpiecznej gry — mówi Alentín surowo i apodyktycznie.

Śmieję się gorzko.

— Czy będzie bardziej niebezpieczna od tego, co robimy teraz? To ty, ojczec, powiedziałeś, że noszący Boski Kamień powinien zwalczać magię magią właśnie.

Słyszę westchnienie.

— Prawda. Dlatego cię tu sprowadziliśmy, lecz to nie znaczy, że jestem z tego powodu szczęśliwy. Przyrzekniesz staremu człowiekowi, że będziesz ostrożna?

W spontanicznym odruchu przytulam się do niego.

— Przyrzekam.

Rozmowę przerywa Mara, która niesie parujące talerze z golonką jagnięcą w przyprawach i szpinakiem na maśle. Wciągam przez nos powietrze nasyczone rozkosznymi aromatami. Nie będę jeść suszonego mięsa ani daktyli. Odbieramy talerze od Mary, która przed odejściem przyjaźnie szczypie mnie w ramię.

Pierwszy kęs przetrzymuję w ustach, żeby sos z mięsa mi je wypełnił. Niemal drzę z podniecenia. Przypomina mi się nasz ostatni bochenek chleba zjedzony w przeddzień odnalezienia armii Inviernych. Wyciągnięty z worka Beléna, zgnieciony na płasko. Belén.

— Ojcie, muszę ci powiedzieć o czymś jeszcze. Belén... czy on wrócił?

Alentín ma pełne usta, musi przełknąć.

— Nie wrócił. Jacián się pokazał, teraz poluje, ale Beléna nie ma. Cosmé martwi się o niego.

Biorę głęboki oddech.

— On prawdopodobnie nas zdradził.

Pochyla się do przodu, patrzy na mnie przenikliwie.

— O czym ty mówisz, dziecko?

Opowiadam, co widziałam w obozie Inviernych.

— Jesteś pewna?

— Zapytywałam siebie każdej godziny każdego dnia, czy nie jest możliwe, iż się mylę, ojcie. Nie trzymano go tam wbrew jego woli. Poruszał się

swobodnie po obozie. I nie można inaczej wytłumaczyć tego, że wiedzieli, gdzie nas znaleźć. Moi towarzysze mają duże doświadczenie. Jestem pewna, że żadnym zaniedbaniem nie zdradziliśmy, gdzie jesteśmy.

Alentín zastanawia się, szuka swojego wzroku.

— Jeżeli opowiemy o tym w wiosce, będzie twoje słowo przeciwko jego.

— Wiem.

— Wioska może ci uwierzyć, chociaż Belén jest jednym z naszych. Nosisz Boski Kamień. I zabiłaś animaga.

— Tak naprawdę jego ciała nie widziałam...

— Jeżeli tego zażądasz, zostanie stracony.

Przełykam ślinę.

— Tego nie chcę. Chciałabym dać mu szansę. Niech okaże się pomocny. Niech powie, co wie.

Alentín kiwa głową.

— Powiem komu trzeba, że jeśli Belén wróci, ma zostać zatrzymany i odpowiedzieć na kilka pytań. I podwoimy nasze warty. Jesteśmy przygotowani na ucieczkę stąd w razie ataku.

Jakiś plan więc jest. Skupiam całą uwagę na swoim talerzu.

Wszyscy pracujemy bardzo ciężko przez następane parę tygodni, nie wiemy bowiem, ile dni nam zostało do czasu, gdy wyruszy armia Inwiernych. Nasi „plotkarze” wrócili z okolicznych wiosek z wiadomościami, że fama o *Malficio* niesie się szeroko. Niektórzy przyprowadzają ze sobą zaufanych przyjaciół bądź krewnych. Położona blisko wioska została zrównana z ziemią przez animagów, więc i stamtąd przyjęliśmy do siebie tych, którzy przeżyli. Nasza społeczność powiększa się do ponad osiemdziesięciu osób, w tym ku mojemu zadowoleniu przybyło wielu dorosłych.

I nagle dzieje się coś, czego nie mogłam przewidzieć. Dociera wiadomość, że zdarzają się ataki na Inwiernych, które nie są organizowane przez nas. Inne wioski i ukryte gdzieś obozy uchodźców przyjęły naszą strategię. Nękają rozłożoną na rozległym terenie nieprzyjacielską armię, wgryzając się w jej boki i odskakując, by zaatakować ponownie. Legenda o klątwie *Malficia* żywi się sama sobą, *Malficio* żyje i daje znać o sobie.

Natomiast nie mamy żadnych informacji o Belénie. Humberto zdradza mi wreszcie, że Belén i Cosmé obiecali sobie, że się pobiorą, jeżeli podczas wojny nie zginą. Moja niegdysiejsza dwórka trzyma się z dala ode mnie, a ja pragnę kontaktu.

Któregoś dnia dochodzi krzyk ze skraju naszego terenu i po chwili pojawia się wartownik, prowadząc jakiegoś więźnia z przepaską na oczach. Chudego

chłopaka ubranego w szaty, do jakich już przywykłam. Tak ubierają się ludzie pustyni. Jednak przy bliższym oglądzie dostrzegam, że sploty tkaniny są gęstsze, biel jaśniejsza, a szarfa haftowana złotymi nićmi. Pojmany oświadcza, że niesie wiadomość dla przywódcy *Malficio*.

Wciągamy go w głąb jaskini, żeby nie oglądał wioski i okolicy. Mała grupa gromadzi się wokół nas, blokując mu próbę ucieczki. Jacián i wartownik trzymają go mocno za ramiona, ja zaś zrywam mu z oczu opaskę.

— Masz wiadomość? — pytam. Słyszę we własnym głosie twardość i ostrość, wynikające z poczucia odpowiedzialności i z niepokoju. Nie jestem pewna, czy mi się podoba.

— Wolno mi ją przekazać jedynie przywódcy *Malficio* — mówi. Muszę przyznać, że nawet mu powieka nie drgnie i głowę trzyma wysoko.

— Masz inny akcent niż ludzie pustyni.

— Nie mieszkam na pustyni.

— Dlaczego się tu znalazłeś?

Traci nieco animuszu. Dobrze znam i rozumiem uczucie skrajnego wyczerpania, kiedy trudno się kontrolować.

— Wędrowałem przez prawie trzy tygodnie, wypytyjąc o *Malficio*. Mówiono mi, że mam szukać bardziej na południe, bliżej pustyni. Powiedzcie, że jestem wreszcie na miejscu. Pomyślałem, że skoro

założono mi opaskę...

— Dotarłeś do *Malficio*.

— Och, dzięki Bogu. Czy ty jesteś przywódcą? —
Patrzy na mnie z konsternacją.

— To ja.

Jacián warczy ostrzegawczo, gdy posłaniec sięga za pas.

— Nie mam broni — zapewnia ten z drżącym uśmiechem. Wyciąga skórzany, płaski woreczek i manipuluje przy wiązaniu. Wyjmuje z niego zwitek pergaminu, także przygniecionego, lecz wciąż zalakowanego czerwoną pieczęcią. Czytam. I czytam raz jeszcze. Serce wali mi w piersiach, gdy podnoszę oczy.

— Ta wiadomość jest od hrabiego Treviña — mówię. — Zdrajcy. Ojca hrabianki Ariñi. — Chce negocjować przymierze.



— To pułapka — orzeka Humberto ze wzrokiem wbitym w podłogę z gliny.

— Absolutnie się zgadzam — mówi Jacián.

W mojej chatce z suszonej cegły są jeszcze Cosmé i ojciec Alentín. Zebraliśmy się, by omówić tajemniczą ofertę hrabiego. Mara przyrządziła moją ulubioną potrawę: jagnięcą golonkę z rusztu pokrojoną w cienkie plastry, zrolowane z chlebem, cebulą, czosnkiem i orzeszkami piniowymi. Jem powolutku.

Ojciec Alentín kiwa głową.

— Hrabia jest zdrajcą, to wiadomo. Owoce mozolnej pracy poddanych przekazuje Inviernym. Nie zamierza bronić wiosek. Niewykluczone, że przyrzekł też oddać cię w ręce wroga.

— Dlaczego? — pytam. — Co przez to osiągnie?

— Kto wie? — Humberto wyrzuca ręce do góry. — Obietnicę amnestii. Miejsce w nowym rządzie.

Przymykam oczy, zastanawiając się.

— A jednak jest możliwe — akcentuję słowo „możliwe” — że naprawdę chce rozmawiać o sprzymierzeniu się. — Kiedy rozglądam się po zebranych, by wyrazili aprobatę, jedynie Cosmé unika

mojego spojrzenia.

Widzę, że Humbertowi drga szczęka.

— Proszę, Eliso, nie jedź tam.

— Czy nie sądzisz, że to warte ryzyka? Może hrabia rzeczywiście chce nas wesprzeć. — Chciałabym wybrać się do Basajuan także z innych powodów. Do miasta tej wielkości muszą docierać wiadomości z Brisadulce, dowiem się czegoś o Alejandrze, a może doszła nawet odpowiedź Ximeny na mój list. O tych powodach jednak nie wspominam.

— Hrabia uważa, że postępuje słusznie — cicho mówi Cosmé, która milczała przez większość wieczoru. — Uważa, że pertraktując z nieprzyjacielem, ratuje swoich ludzi. — Trudno uchwycić wyraz jej oczu w świetle świec. Wszyscy jednocześnie patrzymy na nią, lecz twarz ma nieprzeniknioną.

Humberto się wychyla i ściska jej rękę. Czuję ukłucie zazdrości, które przemija, zostawiając pustkę.

— Cosmé — miękko zwraca się do siostry Humberto. — Czy hrabia wydałby Elisę, gdyby uznał, że to pomoże jego poddanym?

— Bez wahania.

Jacián buja się na piętach, wzdycha.

— Zastanawia mnie, że ten posłaniec tak łatwo nas znalazł.

— Mówi, że jest jednym z wielu wysłanych — zwraca uwagę Alentín. — Być może miał więcej szczęścia niż pozostali.

— Albo ktoś podpowiedział mu, gdzie nas znajdzie — kontrargumentuje Jacián.

— Co masz na myśli, mówiąc ktoś. Niby kto? — Cosmé odzywa się gniewnie, ostro.

Jacián pochyła się ku niej, nie jest speszony.

— Myślę o Belénie. Wciąż tam jest. Prawdopodobnie opowiedział hrabiemu o nas. Dwaj zdrajcy nawiązali współpracę.

— Belén by nigdy...

— Już raz to zrobił.

Patrzą na siebie przez dłuższą chwilę, lecz trudno mi wczuć się w ich emocje. Chociaż zdrada niemal spowodowała moją śmierć, to jednak Belén nie był moim przyjacielem z lat dziecińczych. Ani przyszłym mężem. Po raz setny pocieszam się, że może się pomyliłam. Przykładam palce do Boskiego Kamienia i modlę się, żeby się okazało, iż popełniłam błąd, i Belén, gdziekolwiek jest, pozostał wierny przyjacielom i naszej sprawie.

Ojciec Alentín przerywa pełne napięcia milczenie.

— Musimy zwiększyć liczebność naszych oddziałów. Teraz nękamy tylko jedną armię. Jeżeli chcemy odnieść sukces, obydwie powinny czuć nasz oddech.

— Czy sądzisz, ojcze, że hrabia może nam pomóc? Że przejdzie na naszą stronę? — pytam.

Pociera kikut ręki, zastanawia się, wreszcie potrząsa głową.

— Nie wiem, Eliso. Jego Królewska Mość, oby Jego miecz przebijał gładko piersi nieprzyjaciół, musi stanąć naprzeciw armii, które zostały wcześniej osłabione, bo tylko wtedy miałyby szansę na zwycięstwo.

Przeżuwam jagnięcą roladę i przetrawiam jego słowa, nie tracąc z pola widzenia Cosmé oraz Jaciána, którzy wciąż mierzą się wzrokiem.

Nagle o mało się nie krztuszę, bo wpadam na pewien pomysł i natychmiast chcę się nim podzielić.

— A co jeżeli... — Podnoszę rękę, by dali mi chwilę, żebym przeżuła i przełknęła. — A jeżeli zmusilibyśmy hrabiego do zawarcia sojuszu? — Następny kęs mięsa więźnie mi w przełyku, uderzam się pięścią w mostek.

— Co masz na myśli? — pyta Humberto.

— Uważam, że potrafimy zmusić go do sprzymierzenia się z nami. Jeżeli Invierni dojdą do przekonania, że złamał warunki umowy między nimi, wówczas nie będzie miał wyboru.

Oczy Cosmé robią się jak szparki, na twarzy Jaciána wykwita uśmiech.

— Tabor z zaopatrzeniem — mówi Cosmé.

Kiwam głową.

— Zaopatrzenie. Jeżeli będąc w Basajuan, dowiemy się, jak i kiedy hrabia Treviño przekazuje swoją daninę, to mając taką wiedzę, będziemy mogli namieszać. Zatrujemy żywność, do wody dodamy proszku z liści *duermy*, wymyślimy coś jeszcze, niech Invierni

podejrzewają zdradę. Jeżeli hrabia znajdzie się w rozpaczliwej sytuacji, przyjmie ofertę pomocy od *Malficio*.

— Jesteś szalona — mówi Humberto, widzę jednak, że na jego twarzy maluje się podziw. — To ma szanse powodzenia — przyznaje.

— Dostrzegam za dużo „jeżeli”, gdy chodzi o ten plan — odzywa się ojciec Alentín. — Jeżeli zdobędziecie szczegółowe informacje o sposobie zaopatrywania armii Inviernych. Jeżeli będziecie mogli ingerować. Jeżeli nie zostaniecie złapani. Jeżeli Invierni w ogóle dadzą hrabiemu szansę na porozumienie się z wami, bo przecież mogą rozbić go w puch na pierwszy sygnał o zdradzie.

Jego słowa mnie otrzeźwiają. To nie zabawa w wojnę i nie plan zrobienia komuś psikusa. Mogą umrzeć setki Inviernych. Albo i więcej. I trudno przewidzieć rozmiary odwetu, a to dotknie naszych ludzi.

— To jest wojna, ojczu — wtrąca Jacián spokojnie, lecz z zaciętą miną. Jestem zadowolona, że nie jest moim wrogiem. — Informacje, które zebraliśmy, wskazują na to, że Invierni wyruszą lada dzień. A na ich drodze będą ginęły tysiące. To nieuchronne. Plan Elisy daje szansę na wywarcie wpływu na przebieg wojny.

Ma rację, lecz nie czuję się z tym lepiej. Czy można decydować, kto ma żyć, a kto nie? Jak realizować plan, który może się udać? Takie decyzje przez lata

podejmowali mój ojciec i moja siostra, a Alejandro takich unikał. Powinam chyba nabrać dystansu i myśleć o wszystkich jak o pionkach na planszy do gry, a nie o żywych ludziach, bo to zbyt obciąża.

Ojciec Alentín wciąż kręci głową.

— To jest potwornie niebezpieczne — pomrukuje.
— Jak myślisz, Cosmé, czy hrabiego ucieszy twój powrót?

— Zakładasz, ojcze, że nie będziemy podróżować incognito, że się ujawnimy? — pytam.

Kiwa głową.

— Hrabia wie, że Cosmé zniknęła z pałacu w tym samym czasie co ty.

— Należy przyjąć, że Ariña dała mu znać o naszym zniknięciu — mówi Cosmé. — Moje pojawienie się na jego dworze wzbudziłoby zdumienie. — Obniża głos o ton. — Jednakże powitałby mnie z radością. Zawsze tak czyni. — Na jej twarzy malują się sprzeczne uczucia, próbuję z niej cokolwiek wyczytać, bo jest coś, o czym nie wiem. Po raz pierwszy, odkąd się znamy, Cosmé umyka przed moim badawczym spojrzeniem.

Nie chodzi mi jednak o wnikanie w relacje między nią a hrabią, z mojego punktu widzenia istotne jest, żeby chciała pomóc.

— Czy sądzisz, że zdobędziesz potrzebne nam informacje o taborze z zaopatrzeniem? — pytam.

Patrzy na mnie zdziwiona, a może nawet z wdzięcznością, że nie wścibiam nosa w jej osobiste

sprawy.

— Od hrabiego nie — odpowiada. — Natomiast mam tam kontakty, powinny być aktualne, i jeżeli te osoby zechcą mówić, to zdobędę informacje. Problem w tym, że muszę je uzyskać, zanim hrabia zastawi pułapkę.

— Wynika z tego, że nie zapowiadamy naszego przybycia — podsumowuje Humberto. — Damy sobie kilka dni na rozpoznanie sytuacji, dopiero potem zgłosimy się do Treviña.

Kiwam głową.

— Wyruszymy za dwa dni. Jak dużo liści *duermy* zebraliśmy?

Humberto się uśmiecha, znowu ma radosną twarz.

— Wystarczy, żeby uśpić na zawsze całą armię — słyszę.

— Jeżeli wybierzemy podróż skrajem pustyni, nie będziemy musieli się kryć — włącza się Jacián. — Weźmiemy wielbłądy.

Przytakuję bez entuzjazmu, choć o lepszy plan byłoby trudno. Perspektywa kolejnej forsownej wyprawy z niepewnym rezultatem mnie przeraża.

*

Jest pełna zgoda na to, że zabieramy mało ludzi, bo

gdyby sprawy się źle potoczyły i okazało się, że zastawiono na nas pułapkę, większość *Malficio* będzie nadal działać. Dopiero jednak po wielu dyskusjach ustaliśmy grupę dziesięcioosobową. Dwukrotność doskonałej i szczęśliwej liczby pięć.

Ojciec Alentín nie przyłącza się do nas.

— Obawiam się, że księży z klasztoru w Basajuan byliby niechętni mojemu powrotowi — wyjaśnia mi.

— Dlaczego? — pytam.

— Pojawiły się między nami ostre różnice doktrynalne. Głównie dotyczące wybrańców Boga obdarowanych klejnotem. Dla nich ważniejszy jest Boski Kamień, dla mnie ten, który go nosi. Gdyby odkryli, że go masz, wyrwaliby ci go z pępka.

Mrużę oczy z niedowierzaniem.

— Nie chcesz ich zobaczyć z powodu różnic doktrynalnych?

— Prawdę mówiąc, naraziłem się im trochę, bo podwędziłem najstarszy egzemplarz *Afflatusa*, jaki mieli.

Parskam śmiechem i klepię go po plecach. Odwracam się do wyjścia, ponieważ zamierzam szukać ochotników do wyprawy, gdy na drodze staje mi wysoka szczupła postać.

— Weź mnie ze sobą — prosi Mara. W jej głosie słyszę naleganie. Na policzkach ma plamy sadzy, spod skórzaney opaski wymykają się czarne włosy, tu i ówdzie jeszcze nieodrośnięte. Twarz wygoiła jej się

ładnie, chociaż na lewej powiece pozostała błyszcząca blizna po jakimś wcześniejszym urazie. Opadająca powieka nadaje jej twarzy wyraz permanentnego smutku. Jak zawsze wokół Mary wyczuwalny jest zapach czosnku i pieczonego mięsa. Wyobrażam sobie, że musi być bardzo zmęczona przygotowaniem jedzenia dla osiemdziesięciu osób.

— Od dawna marzę o zobaczeniu wielkiego miasta — mówi pośpiesznie. — Moja rodzina, oni wszyscy... nie żyją. Nie zostawiłabym nikogo, kto płakałby po mnie... — Głos jej drży, gdy mnie błaga.

— Gotowałabyś dla nas?

— Oczywiście.

— Będiesz gotowała zupę z jerboa każdego wieczoru podczas wyprawy?

Marszczy nos.

— Wolałabym co innego, lecz jeśli to...

— W takim razie zabierasz się z nami.

Uśmiecha się z ulgą, otwiera usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale rezygnuje i odwraca się do wyjścia. Z gorzkim uśmiechem patrzę na jej plecy, mając nadzieję, że wyświadczam jej przysługę.

Słyszę krzyk i jakiś ruch przed jaskinią. „Znajdźcie Elisę!”, ktoś krzyczy. Wybiegam, mrużąc oczy przed światłem. Poniżej naszej jaskini, gdzie ceglane domy zaczynają piąć się w górę zbocza, widzę grupę chłopców, którzy włoką budzącą litość istotę. Najpierw rzucają mi się w oczy skulone ramiona i postrzępione

łachmany, potem brudne, tłuste włosy, aż wreszcie spalone do kości palce.

Schodzę opadającą w dół ścieżką, a serce mi wali, choć nie wiem dlaczego. Gdy podchodzę do nich, ściska mnie w gardle. Ten człowiek jest chudy jak szczapa, ma zdartą skórę z kolan, bo nasi chłopcy wlekli go po ziemi. Podarta odzież zwisa z jednego ramienia, odsłaniając ledwie zasklepiające się rany po poparzeniach. Głowa kiwa mu się bezwładnie do przodu i wtedy przez zmierzwiłone włosy przeświecają łyse place na czaszce. Wstrząsa mną dreszcz. Gdy unosi głowę, dostrzegam pokryty strupami krater zamiast oczodołu. Patrzy na mnie z ukosa jednym ocalałym okiem. Wrywa mi się okrzyk.

Rozpoznaję Beléna.

— Boże mój — szepczę, przykładając rękę do ust.
— Co ci się stało?

Widzę, że z trudem łapie krótkie oddechy. Trzęsą mu się ramiona. Być może płacze.

— Eliso, słuchaj. Eliso, przyszedłem ostrzec... — Z bólu albo z powodu napięcia zaciska na widzącym oku powiekę. Nabiera powietrza i próbuje mówić dalej: — ...ostrzec ciebie. Wracaj do króla. Uciekaj z tego miejsca. Zanim cię znajdą animagowie.

Mój Boski Kamień rozgrzewa się na jego słowa. Czy dlatego, że Belén mówi prawdę?

— Potrzebujesz się napić i zjeść — mówię. — Zawołam Cosmé, zaopiekuje się...

— Nie! Tylko nie Cosmé. Każdy, byle nie ona. — Mamrocze pod nosem coś jeszcze, ale język mu się płacze.

Łzy napływają mi do oczu. Zagryzam wargi i zaciskam pięści, by się uspokoić.

— Wprowadźcie go do środka — nakazuję chłopakom, którzy trzymają go z dwóch stron za ręce. — Obchodźcie się z nim delikatnie. Musi być w formie, żeby wyjawić, co wie. — Natychmiast posłusznie odchodzą z nieszczęśnikiem, podtrzymując go z dwóch stron. Zwracam się do pozostałych trzech: — Szli za nim? Jak myślicie?

Popatrują na siebie, wzruszają ramionami.

— Rozejrzemy się po okolicy, Wasza Wysokość — mówi jeden. Ma bystre oczy.

— Dziękuję. Boję się, że mogli go śledzić Invierni.

— Wystawimy wartę w szerszym promieniu — dodaje. — Na wszelki wypadek.

— Dobrze pomyślane. Jak masz na imię? Nie gniewaj się, ale zapomniałam.

Twarz mu promienieje.

— Adán. Zajmuję się traperstwem, traperem też był mój ojciec. Teraz przyłączyłem się do *Malficio*.

Niełatwo mi zmusić się do uśmiechu, ale mam nadzieję, że to nie jest widoczne. Chłopak ma nie więcej niż trzynaście lat.

— Czynię cię odpowiedzialnym za spenetrowanie terenu, Adanie.

Z powagą kiwa głową.

— Zameldujemy się z powrotem, jak się zrobi ciemno. — Oddalają się pośpiesznie, gotowi ryzykować życie.

Nie mogę się nimi zamartwiać. Przełykam ślinę, biorę głęboki oddech i wracam do otwartej części jaskini. Belén siedzi oparty o skalną ścianę. Cosmé jest już przy nim i obmywa mu gąbką twarz. Nic do siebie nie mówią. Gdy ona odchyła mu podbródek, przyglądając się poparzeniom, on ucieka ze wzrokiem w bok. Dwaj chłopcy, którzy go przyprowadzili, czuwają nieopodal.

— Cosmé!

— On nie jest zdrajcą — rzuca, nie odwracając się.

— To możliwe. Kiedy będę mogła z nim porozmawiać?

Przykłada mu mokrą szmatę do rany na czole, która biegnie wzdłuż linii włosów.

— Majaczy w gorączce. Potrzebuje odpoczynku. Musi pić. Porozmawiasz z nim za dzień, dwa.

— Ostrzegaliśmy nas. Był przerażony.

— Musi odpocząć.

Wzdycham, lecz nie rezygnuję, pamiętam, jak papa i Alodia rozmawiali czasem ponad moją głową.

— Belén.

Cosmé odwraca się gwałtownie, prostuje się. W oczach błyszczy jej łzy.

— Mówiłam, że musi odpocząć. Dopiero potem

stać go będzie na cokolwiek. Inaczej nie wróci do zdrowia.

Ignoruję jej słowa.

— Belén — powtarzam. — Kiedy poczujesz, że możesz rozmawiać, wyślij po mnie Cosmé albo któregoś z wartowników.

— Elisa. — Łamie mu się głos, jest ledwie słyszalny, nie jestem pewna, czy w ogóle się odzywał. — Elisa!

Podbiegam i kucam przy nim. Śmierdzi od niego, ale się nachylam.

— Jestem tu, Belén. — Być może to zdrajca, lecz wcześniej był moim przyjacielem i takim pragnę go zobaczyć.

— Musisz uciekać. Uciekać z Boskim Kamieniem. Oni wiedzą, Eliso.

— Co wiedzą?

Cosmé kuca koło mnie gotowa interweniować, gdyby coś miało świadczyć przeciwko Belénowi.

— Wiedzą, że Bóg cię wybrał. Chcą ci zabrać twój Boski Kamień. — Nagle wyciąga rękę spomiędzy strzępów ubrania i z siłą desperata zaciska ją na moim nadgarstku. — Nie mogą go zdobyć, Eliso. Gdyby do tego doszło, zniszczyliby królestwo Joya. Musisz uciekać. Teraz. Dzisiaj. — Ledwie łapie powietrze, wywraca swoim jedynym okiem. Cosmé rzuca mu się na ratunek, bo huknąłby głową o skałę.

Powoli wstaję z kucek, zastanawiając się nad jego

słowami. Cosmé delikatnie układa go na wznak i choć Belén próbuje powiedzieć coś jeszcze, ucisza go i dalej przemywa mu rany. Jej ruchy są tak ostrożne i nieśpieszne, jakby Belén był z najcenniejszej porcelany. Przez cały czas coś do niego szepcze, co chwila przeczesuje palcami jego włosy i gładzi go po twarzy.

— Spróbuję się czegoś dowiedzieć, o ile to będzie możliwe — mówi zrezygnowana.

— Dziękuję. — Patrząc na nich, wtulam się we własne ramiona, bo przenika mnie lodowaty dreszcz. Wychodzę z jaskini na poszukiwanie Humberta. Pragnę go natychmiast zobaczyć. Tęsknię do jego radosnego uśmiechu, wesołych oczu, wsparcia.



Zwlekamy z podróżą do Basajuan, bo chcemy najpierw jak najwięcej dowiedzieć się od Beléna. Pierwszego dnia wypluwa z siebie w panicznym strachu strzępy informacji, których nie potrafimy połączyć w sensowną całość, rozumiemy jedynie, że boi się o moje życie i los wszystkich obywateli Joya d’Arena. Jego majaczenia, co może dziwne, traktuję z dystansem. Lęk już od dłuższego czasu jest moim stałym towarzyszem. Cóż znaczy jedno ostrzeżenie więcej? To tylko słowa szaleńca, nieszkodliwe i ulotne jak błędny ognek.

Humberto nie podziela mojego spokoju. Nigdy się ode mnie nie oddala i za każdym razem, gdy zerknę w jego kierunku, napotykam spoczywające na mnie czułe spojrzenie ogromnych brązowych oczu. Wiem, że w odróżnieniu od Alejandra reaguje na moją fizyczną obecność i odczuwam dreszczyk, ilekroć zauważę, że jest we mnie wpatrzony. Zastanawiam się, czy tak jak ja powraca wciąż myślą do naszego pocałunku.

Nie zniechęcam go. Niech mnie pilnuje. Nie znam bardziej konsekwentnej i utalentowanej osoby. Potrafi łąpać we wnyki zające, wyszukać na pustyni wodę,

rozweselić otoczenie. Jestem przekonana, że zrobi wszystko, by mnie ochronić.

Drugiego dnia po południu siedzę na kamienistym wzgórk, plecy opieram o nagrzaną słońcem głaz. Na kolanach mam rozłożony egzemplarz *Afflatusa*, który czytam po raz kolejny z nadzieją na wyszukanie czegoś, co mi pomoże, a czego się nie doczytano, mimo że studiowano ten tekst przez wieki. Wioska znajduje się o parę kroków stąd, ale z tego miejsca jest niewidoczna. Jeszcze nigdy w życiu nie cieszyłam się taką popularnością jak przez ostatnie kilka dni. Cenią moją opinię, moją aprobatę, moją obecność. Mam władzę nad tymi ludźmi, władzę dobrowolnie mi przez nich powierzoną. Ta nowa dla mnie sytuacja przeraża mnie i trochę fascynuje. Jest także męcząca, więc czuję ulgę, gdy mogę pobyć choć chwilę sama.

Słyszę chrzęst żwiru i czyjeś westchnienie. Rozczarowanie przechodzi natychmiast w radość, gdyż nad wierchołkiem wzniesienia pojawia się głowa Humberta. Witam go uśmiechem.

— Nie powinnaś być sama.

Uśmiecham się szerzej.

— Przecież już nie jestem.

Siada obok i czuję dotyk jego ramienia. Obejmuje rękami zgięte kolana i spogląda w dal w stronę pustyni.

— Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Znika mój uśmiech. Przełykam ślinę.

— O czym?

Nie patrzy na mnie, grzebie obcasem w ziemi.

— Tamten dzień. W jaskini. Zanim cię porwano. Pamiętasz?

Robi mi się gorąco na wspomnienie naszego pocałunku. Obmyślałam tę rozmowę mnóstwo razy, lecz nigdy jej nie rozpoczęłam, jakby mówienie o tym, a nawet pamiętanie tylko, miało strywializować tamten moment. To był pocałunek bez szans na szczęśliwy finał, więc wolę, żeby pozostał w mojej pamięci odrealniony, niezamykający możliwości.

— Eliso, przepraszam.

Przekręcam głowę, chcę widzieć jego profil.

— Za co?

— Myślałem... — Patrzy w niebo i oddycha głęboko. — Myślałem wtedy, że już nigdy cię nie zobaczę. Byłem przerażony i nieszczęśliwy i... bardzo chciałem cię pocałować. Zachowałem się głupio. Przysięgam, że nie pozwolę sobie ponownie... na niestosowne zachowanie wobec ciebie.

Nie tak wyobrażałam sobie naszą rozmowę. Zaciskam usta, żeby się nie rozpłakać.

— Żałujesz tego, co było? — pytam szeptem.

Uśmiech przemyka po jego ustach.

— Nie. To znaczy tak. To znaczy...

— Nie jestem pewna, czy chcę być żoną Alejandra.

Odwraca głowę tak nagle, że aż podskakuję, może nie tylko na skutek jego gwałtownego ruchu, lecz także wstrząśnięta własnymi słowami. Są prawdziwe

i zatrwajające, więc serce wali mi jak szalone. Alejandro jest przecież najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. To jednak za mało.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — pyta cicho z nadzieją w oczach, a mnie żal ściska w gardle.

— Muszę być jego żoną. To przyrzeczenie dane *Malficio*, a więc muszę zostać jego żoną, by dotrzymać przyrzeczenia, lecz...

— Lecz co?

Naprawdę składa się na to wiele bolesnych rzeczy.

— On mnie nie kocha. Marzyłam, żeby z czasem uczucie przyszło. Ale teraz, kiedy mnie tam nie ma... Wydaje mi się, że już go nie podziwiam. — Ciebie podziwiam, Humberto, myślę. — Jest przystojny. Czarujący. Lecz ma słabe strony charakteru. — Myślę też o tym, że nie przedstawił mnie na dworze jako swojej żony, o zaniedbywaniu Rosaria, a nawet braku szacunku dla kochanki. — I czasami bywa okrutny, bezmyślny.

Humberto przytrzymuje mój wzrok. Kocham linie jego twarzy, świadczą o dumie i sile. Pragnęłabym przesunąć palcami po jego wystającym policzku. Rozchyłam usta.

— Eliso — szepcze.

Pochyliłam się bliżej. Wargi mi płoną, mocno bije serce.

— Nie pocałuję cię po raz drugi — słyszę.
Zaciskam usta.

— Zrozum, nie dlatego, żebym nie chciał — mówi z niepewnym uśmiechem. Zawiesza wzrok na pustynnym pejzażu, jakby tam szukał ratunku. Milczy przez chwilę. — Jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam. I inteligentną. I... — Przesuwa nogą po żwirze. — I piękną... Król jest głupcem, jeśli cię nie kocha.

Mój następny oddech przypomina szloch. Powinam wyśmiać jego słowa albo za nie podziękować, nie mogę jednak nic z siebie wydobyć.

Zamiast tego idę w jego ślady i wgapiam się w suche krzewy oraz przebiegające od czasu do czasu jaszczurki. Siedzimy tak długo ramię przy ramieniu, obserwując, jak zanurzające się poniżej poszarpanej linii horyzontu słońce rzuca na ziemię różową i czerwoną poświatę.

Jest już szarawo i chłodno, gdy odnajduje nas Cosmé.

— Belén jest gotowy rozmawiać.

Podrywamy się na nogi i szybko podążamy za nią. Humberto nic do mnie nie mówi, nawet nie patrzy w moją stronę. Ale po chwili czuję, że jego ramię ociera się o moje i jego palce szukają mojej dłoni. Ściska moją rękę, lecz zbyt szybko ją puszcza. Gdy dochodzimy do wioski, moja ręka jest niewiarygodnie zimna.

Belén powtarza najpierw to samo.

— Eliso, błagam, uchodź stąd. Wracaj do Brisadulce. A najlepiej jeszcze dalej. Gdzieś, gdzie cię nikt nigdy nie znajdzie.

Humberto i ojciec Alentín wymieniają niespokojne spojrzenia, nie chcą na nich patrzeć.

— Zaczynij, proszę, od początku. — Staram się mówić łagodnym tonem. Cosmé założyła mu opaskę, więc nie muszę już oglądać jego pustego oczodołu. — Powiedz, jak się dowiedzieli o naszej kryjówce w grocie.

Zwiesza głowę.

— Ja im powiedziałem.

— Dlaczego?

Kołysze się w przód i w tył.

— Obiecali, że oszczędzą za to moją wioskę. — Jego widzące oko nie patrzy wprost. Chyba nadal jest strasznie zmęczony. Albo coś ukrywa.

Wciąż się kołysze.

— Belén?

— Doprowadziłem cię do bram wroga — wyrzuca z siebie. — Uważałem, że postępuję słusznie!

Zszokowana, aż się cofnęłam.

— Myślałeś, że przyczyniasz się do wypełnienia proroctwa Homera.

Kiwa głową, w dalszym ciągu nie patrzy na mnie.

— Wiedziałem, że pozostali jakoś się wymkną. Sądziłem, że ty musisz się znaleźć w obozie

nieprzyjaciela. Że taka jest wola Boga.

Wola Boga. Ileż to razy słyszałam o niej z czyichś ust, jakby każdy rozumiał, co to pojęcie znaczy, i tylko dla mnie pozostaje ono niezdefiniowane.

Humberto wychodzi przede mnie.

— Coś jednak spowodowało, że zmieniłeś zdanie.
— Mówi to z furją, daleki od bezsilnej rozpaczy, jaka maluje się na twarzy jego siostry.

Belén przestaje się kołysać.

— Ona uciekła — mówi po prostu. — A cała armia Inwiernych celebrowała to z dziką radością. Poniósł śmierć jeden z nich, animag, a oni świętowali.

— Nic nie rozumiem — mówię.

— Cieszyli się, ponieważ odnalazłaś się ty, Eliso. Ty, wybranka nosząca Boski Kamień. Tylko taka osoba mogła uciec animagowi. Tylko taka osoba mogła uśmiercić animaga ogniem. Szukali cię od pięciu lat, a ty sama przyszłaś do ich obozu.

— Czego chcą od niej? — pyta Alentín.

— Chcą jej Boskiego Kamienia. Mają już ich dziewięć. Prawie dwukrotność liczby doskonałej. Potrzebują jeszcze tylko jednego, żywego.

— Potrzebują jeszcze dwóch — oznajmiam stanowczo. Wyciągam amulet spod sukni i pokazuję. — Zabrałam go animagowi.

Alentín zdaje się tego nie słyszeć.

— W jaki sposób, na litość boską, zdobyli dziewięć Boskich Kamieni?

Humberto wzrusza ramionami.

— Być może okradali groby zmarłych wybrańców.
Cosmé patrzy na brata z niesmakiem.

— Wielu wybrańców Boga nigdy nie wypełniło swojej misji — przypomina Jacián. — Albo nigdy nie zostali ujawnieni. Być może właśnie dlatego, że Inwierni ich zamordowali, zabierając im klejnoty.

Alentín unosi brwi.

— Jeżeli to prawda, to zbierają Boskie Kamienie od wieków.

— Albo także wśród Inwiernych są wybrańcy Boga — mówię powoli.

Reakcją są lekko rozbawione sceptyczne miny. Nawet Belén marszczy pogardliwie nos. Nie rozumieją mojej koncepcji. Ja natomiast wolę wierzyć, że Boskie Kamienie trafiły do Inwiernych z woli Boga. W przeciwnym razie należałoby przyjąć, że oni mieszkali wśród nas, okradali nas, a teraz przymierzają się do zrealizowania scenariusza opracowywanego przez wieki. A jaki to scenariusz?

— Co mogą zdziałać, mając dziesięć Boskich Kamieni? — rzucam drżącym głosem pytanie.

Nareszcie Belén patrzy mi prosto w oczy.

— Zawładną magią. Na razie posługują się amuletami, żeby uszczknąć co nieco z potęgi magii kryjącej się pod ziemią. Gdy zdobędą dziesięć Boskich Kamieni, wyzwolą ją całkowicie.

— Ale po co? — pytam. Wiem, że *Scriptura Sancta*

zabrania wykorzystywania magii. Muszą mieć ważny powód.

Belén wzrusza ramionami.

— Tego nie jestem pewien. Nie mówię płynnie *lengua classica*. A do tego oni mają taki dziwny akcent. Po przypalaniu ogniem ból był nie do zniesienia, a kiedy wydlubali mi oko, nie byłem zdolny myśleć...

— Znowu głowa bezwładnie opada mu na bok, nerwowo drga policzek na wspomnienie tortur.

— Belén? — słycać szept Cosmé.

Uspokaja się trzepotanie jego powieki.

— Wypytywali o nią. Interesuje ich Boski Kamień.

Humberto podchodzi i chwyta go za brodę.

— Co im powiedziałaś?

Belén wykrzywia się z bólu.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

— Czy powiedziałaś o tej wiosce? O *Malficio*?

Łza wypływa Belénowi z oka.

— Nie wiem, Humberto! Chyba nie. Myślałem wtedy tylko o tym, że popełniłem błąd. Straszliwy błąd.

— A potem zdarzył się cud i zdołałeś uciec. — To gruby, dudniący głos Jaciána. Jakbym słyszała echo własnych niewypowiedzianych obaw, że Belén naprowadził Inwiernych na nasz trop, być może świadomie.

— To nie był żaden cud. Pozwolili mi uciec. Usiłowali iść za mną aż tutaj.

— Skąd wiesz, że ich zgubiłeś? — pytam.

Belén zamyka oko i opiera się o ścianę jaskini.

— Krążyłem przez wiele dni, żeby ich zmylić. Nie ośmieliłem się przyjść tutaj, póki nie miałem pewności, że zgubili mój ślad.

— Byłeś ciężko ranny — mówi Jacián. — Trudno mi sobie wyobrazić, że zdołałeś wyprowadzić ich w pole.

— To nie była miła wędrówka — odpowiada Belén wciąż z zamkniętym okiem. — Ale się im wymknąłem. — Jestem skłonna mu uwierzyć, ponieważ Adán i jego koledzy nie odkryli żadnych oznak, by gdzieś w pobliżu przyczaili się Invierni. Ja sama zdołałam ujść pościgowi, choć brak mi doświadczenia w poruszaniu się w dzikim terenie i fizycznie nie jestem sprawna. Wiem więc, że to możliwe. Moja wędrówka również nie należała do przyjemnych.

— Mówisz o dziesięciu Boskich Kamieniach — włącza się Alentín. — Czy naprawdę myślisz, że Invierni mogą ich użyć, by wyzwolić magię, i ta opanuje ziemię?

— Oni w to wierzą. Bardzo mocno. Każdy z nich ma oczy i uszy otwarte, każdy chce wytropić Elisę.

Zadajemy Belénowi więcej pytań, podczas gdy Cosmé pochyla się nad nim jak podejrzliwa kocia mama. Nie dowiadujemy się wiele więcej. Zgadza się, że jego zdrady nie należy łączyć z propozycją hrabiego, i rozchodzimy się, żeby złapać trochę snu, bo już jutro czeka nas podróż.

Ociągam się chwilę, nie mogąc odejść od Beléna

tak po prostu. Patrzę na jego wymizerowaną twarz, poparzenia na szyi i ramionach, mimowolne drganie rąk i nóg. Nigdy nie poznałam go tak dobrze jak Humberta czy Cosmé. Mimo to miło wspominałam jego skórę do uśmiechu twarz, podziwiałam jego pewny i równy krok pokonujący kilometry pustyni. Bronię się przed okazywaniem współczucia. Jest zdrajcą, chociaż ma coś na swoją obronę. Pewne jest, że gdyby tu była moja siostra, wydałaby rozkaz ścięcia go za zdradę.

Ja jednak nie jestem Alodią.

Dziękuję Cosmé, że się nim opiekuje, jemu zaś nakazuję odpoczywać i wreszcie udaję się do siebie. Długo przewracam się na pościeli, nie śpiąc. Myślę o Humbercie, Belénie i tajemniczych planach Inwiernych. Na moment przed zaśnięciem uświadamiam sobie, że nie jadłam kolacji.

*

Jest ciemno i zimno, gdy budzi mnie Humberto. Zwijam pościel, zarzucam worek na ramiona i wychodzimy razem na kęsający przed świtaniem ziąb. Na wschodzie granatowe niebo rozjaśnia żółta poświata wyłaniająca się spoza ciemnych, odległych szczytów Sierra Sangre. Patrzę na góry, nie mogąc nie myśleć o potężnej armii znajdującej schronienie w ich cieniu.

Cichutko poruszamy się między ceglanymi chatkami. Nasz plan dokonania sabotażu zależy od tego, czy pojawimy się u celu niespodziewanie. Posłaniec, który przybył z wiadomością od hrabiego, nie może wiedzieć, że wyruszamy, bo mógłby powiadomić Basajuan. Adán z kolegami ma go czymś zająć, a w razie czego nawet uwięzić, żebyśmy mieli przewagę kilku dni.

Gdy okrążamy z boku nasz monolit, wita nas ciche rżenie. Widzę Jaciána, który trzyma za wodze dwa konie, w ciemności są ogromne i nierozpoznawalnej maści. Cofam się odruchowo, kiedy jeden z nich potrząsa głową i brzęczą blaszki przy uprzęży.

— Konie? — pytam Humberta szeptem bliskim pisku. — Myślałam, że zabieramy wielbłądy.

Zalewa mnie rumieniec, bo słyszę jego cichy chichot.

— Konie są szybsze. Nie zagłębimy się daleko w pustynię, więc wielbłądy nie są nam niezbędne. Nie martw się. Nie będziesz musiała jechać na koniu.

Oddycham z ulgą i postanawiam trzymać się od tych zwierząt z daleka.

Reszta nadchodzi dwójkami i trójkami, tak że po chwili nasza grupa jest gotowa do podróży. Prowadzi nas Jacián, podążamy za nim na zachód w tempie szybkiego marszu. Tworzymy doskonałą dziesiątkę wraz z cichą Cosmé i wysoką Marą. Przyciskam czubki palców do Boskiego Kamienia i modlę się, żeby ta

podróż nie była tak feralna jak ostatnia.

*

Skręciwszy na północ, poruszamy się po płaskim terenie, więc w jednostajnym tempie połykamy kilometry. Ku mej radości nadążam bez wysiłku. Kostki mnie nie boją, płuca też nie, nie poobcierałam też sobie stóp. Dzięki koniom zabraliśmy jedzenie bardziej urozmaicone niż podczas poprzedniej wyprawy i co wieczór Mara gotuje dla wszystkich, racząc nas na zmianę to plackami pszennymi z lekko podduszonym suszonym mięsem, to pieczeńią z upolowanego zająca lub dzikiego indyka. Zabrała nawet ze sobą w torbie zestaw przypraw, których fachowo używa.

Podczas podróży Cosmé trzyma się na dystans, milczy, jej delikatne rysy zdają się wyrzeźbione w stali. Humberto zdradza mi, że niechętnie zostawiała Beléna i tylko wspólny apel Jaciána, ojca Alentína i jego samego spowodował, że zgodziła się wyruszyć. Dodaje, że siostra zwykle odgradza się milczeniem na całe dni, kiedy coś nie pójdzie po jej myśli. Zna ją dużo lepiej niż ja, lecz mnie nie przekonuje. Obawiam się, że jej zamknięcie się w sobie ma głębsze dno, niż mu się wydaje.

Po tygodniu nieprzerwanej podróży Jacián skręca

na wschód, z powrotem w stronę gór. Słońce stoi wysoko i grzeje mocno, pot ciurkiem leje mi się po szyi, wsiąkając w kołnierz sukni. Dochodzi nas zapach dymu. Początkowo myślę, że pochodzi z ogniska jakiegoś innego wędrowca. Gdy jednak posuwamy się naprzód, woń staje się intensywniejsza, a wkrótce nieźnośnie gryząca. Wymieniamy niespokojne spojrzenia. Dotykam palcami Boskiego Kamienia, chcąc wiedzieć, czy wysłała lodowaty sygnał, czy gorący, jakąkolwiek podpowiedź, co nas może czekać. Nie ma żadnej reakcji, jakby był zwyczajnym kamieniem.

Wreszcie z wierzchołka wzniesienia widzimy przed nami na horyzoncie, trochę na północ, zasłoną z dymu. Nie mogła powstać z palących się ognisk, to brunatny szeroki pas budzący grozę.

Jacián odwraca się do nas.

— Płonie wioska Cerrolindo. Miałem nas prowadzić tak, by ją ominąć, lecz teraz...

— Może ktoś ocalał — odzywa się Cosmé.

Popatrujemy na siebie i po pełnych determinacji twarzach już wiem, jaka będzie nasza decyzja.

— Eliso, czy twój klejnot coś ci podpowiada? — pyta Humberto.

Kręcę głową.

— Absolutnie nic.

— To znaczy, że wrogowie się wycofali — orzeka Jacián i nie potrzebujemy dodatkowej zachęty, by ruszyć za nim w dół wzniesienia.

Jeszcze zanim docieramy do wioski, spazmatycznie łapię powietrze, walcząc z dymem i przerażeniem. Mrużę oczy, bo pieką, lecz nawet przez zasłonę łez i dymu widzę poczerniałe szkielety domów. Drewniane pale kończące się zwęglonymi kikutami, pokryte sadzą kamienne ściany domów, żarzące się jeszcze szczątki stołów i krzesel.

— Szukajcie żywych ludzi! — krzyczy Humberto. Naciąga na głowę kaptur i osłania szalem nos oraz usta. Natychmiast go naśladuję. — Bądźcie ostrożni! — wrzeszczy. — Każda z nadpalonych konstrukcji może w jednej chwili runąć.

Biegnę uliczkami między zabudowaniami, które się jeszcze tlą. Mrużąc oczy, wypatruję oznak życia. Potykam się o spalone ciało jakiegoś zwierzaka — psa lub owcy, trudno powiedzieć — i ledwie powstrzymuję wymioty, gdy w nos uderza mnie smród spalonego mięsa i gdy patrzę na czerwonawe strużki wyciekające w tych miejscach, gdzie popękała skóra.

— Tutaj!

Nie potrafię rozpoznać, kto krzyknął ani z jakiego kierunku, ale rozbudził nadzieję.

— Gdzie jesteś? — odkrzykuję.

— Na północnym skraju! — To głos Humberta.

Zanurzam się w gęstszy dym, twarz zasłaniam zgiętą w łokciu ręką, jakby to rzeczywiście mogło chronić oczy, i biegnę na północ — tak mi się wydaje. Z lewej strony dostrzegam wysoką sylwetkę. To Mara.

Dołącza do mnie i razem pędzimy dalej.

Pali mnie w klatce piersiowej, gdy do nich dobiegamy. Zbita grupka zasmarowana sadzą, zanosząca się kaszlem. Jest ich czworo. To rodzina. Humberto przykucnął przy malutkim dziecku i je pociesza. Podnosi głowę, gdy się zbliżamy, w oczach ma łzy.

— Zamknęli ich na klucz w domu — mówi drżącym głosem. — Zostawili, by spłonęli żywcem.

— Mój Boże! — Niewiarygodne okrucieństwo. — Kto wam to zrobił? — pytam, jakbym nie wiedziała. Boski Kamień wściekle pulsuje w odpowiedzi na mój gniew.

Przede mną obca twarz kobiety pokryta pęcherzami. I wielkie oczy.

— To animagowie — szepcze. — Mówili, że mszczą się na nas. Zapowiedzieli, że zniszczą jedną wioskę za każdym razem, gdy zaatakuje ich *Malficio*.

Zgina się w pół, łapie ją kaszel. Ledwie to dostrzegam. Bo pode mną kołysze się ziemia.



Mamy nadzieję, że większość mieszkańców zdołała uciec, ponieważ nie znajdujemy już nikogo więcej, a doliczyliśmy się tylko kilku zwęglonych ciał. Przysiadam w bezpiecznej odległości na łysym pagórku i skulona czekam, obejmując ramionami kolana. Moi towarzysze przeszukują ruiny. Powinnam im pomagać, lecz żołądek mam ściśnięty z głodu, z oczu lecą łzy i czuję się straszliwie zmęczona.

Przez ostatnie tygodnie żyłam w przekonaniu, że jestem użyteczna. Pielęgnowałam w sercu satysfakcję z sukcesu *Malficio*, byłam dumna z tego, że członkowie naszej partyzanckiej grupki cenią moje przywództwo i sugestie. Poczułam się spełniona i dorosła. Okazało się, że byłam idiotką.

Jacián pewnie powie mi, że każda wojna przynosi ofiary. Humberto zaś zapewni, że nie ma w tym żadnej mojej winy. Obydwaj będą mieli rację. W tym momencie jednak, siedząc z zamkniętymi oczami, czuję, że obciąża mnie brzemień iluś śmierci.

— Eliso!

Błyskawicznie otwieram oczy. Biegnie do mnie Humberto.

— Łatwiej ci się oddycha? — pyta.

Kiwam głową.

— A ta rodzina? — Martwię się o nich.

Siada ciężko obok mnie.

— Niedaleko stąd mają krewnych. Cosmé zaproponowała, żeby udali się z nami do Basajuan, ale wolą pozostać w okolicy i rozejrzeć się, kto ocalał. Daliśmy im zapas jedzenia i wody.

Nic nie mówię. Delikatnie obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

— To nie twoja wina — szepcze w moje włosy.

— Wiem. — Z oczu tryskają mi jednak nowe łzy.

— Mnie dręczy pytanie, jak daleko na zachód zaszedliśmy. Nie spodziewałem się obecności Inviernych tak blisko pustyni.

— Niewykluczone, że natarcie na Alejandra nastąpi wcześniej, niż przypuszczaliśmy. — Wycieram nos w jego ubranie, przemyka mi przez głowę, że zachowujemy się niestosownie i powinnam utrzymywać dystans między nami, przygotowując się do pełnienia funkcji królewskiej małżonki.

— To samo mówił Jacián. Nie możemy opóźnić marszu. Natychmiast powinniśmy wyruszyć do Basajuan.

— Jeżeli potrafią spalić wioskę w odwecie za nasz drobny atak, to co zrobią, gdy zatrujemy przeznaczoną dla armii żywność?

Czuję, jak nabiera i wypuszcza powietrze.

— Przecież dlatego właśnie mamy to zrobić, Eliso — mówi perswadującym tonem. — Zapomniałaś? Chodzi o to, żeby napuścić Inwiernych na hrabiego.

— Zginie wielu ludzi.

— To prawda.

Otwarcie, bez osłonek mówi o sytuacji, co w jakiś sposób mnie uspokaja. Zaakceptował wybór, jakiego dokonaliśmy. Wierzy, że jest słuszny. Nie potrafi jednak ukryć smutku, słyszę to w jego głosie.

Wstaję i prostuję ramiona na znak, że chwila bliskości minęła.

— Chodźmy — mówię.

*

Atmosferę przekomarzania się, jaka ożywiała pierwszy etap podróży, zastąpiło posępne milczenie. Ja również nie mam nastroju do rozmów. Wykorzystuję czas na eksperymenty z moim Boskim Kamieniem.

Nie miałam żadnych świadectw, że jest magiczny. Żywy tak. Narzędzie komunikowania się, chyba tak — w każdym razie łącznik między mną a Bogiem. Tymczasem Boskie Kamienie, których używają animagowie, są poza żywym ciałem i nie pulsują życiem, a jednak za ich pomocą czarnoksiężnik przywołuje spod ziemi magię. Pamiętam, jak animag

ściskał w rękę amulet, by nas sparaliżować, a gdy chciał mnie spalić, kamień świecił jaskrawoniebieskim światłem.

Nie zapominając o zawartych w *Scriptura Sancta* uwagach ostrzegających przed magią, odchyłam kołnierz sukni i zaciskam rękę na klatce z amuletem. Boże, czuwaj nade mną, modłę się. Mój Boski Kamień pulsuje w odpowiedzi.

Trzymając uwięziony w klatce kamień, myślę intensywnie o magii pod powierzchnią świata, na którym żyjemy. Zmuszam umysł, by przebił suchą ziemię i wysłał myśli tam w głąb. Wyobrażam sobie, że kamień rozgrzewa się w moim rękę; wyobrażam sobie, że tryska ogniem i że po mojej lewej stronie zaczyna płonąć krzak jałowca. Koncentruję się tak bardzo, że potykam się o wystający kamień i się przewracam.

— Elisa! — Humberto podnosi mnie i stawia na nogi. — Nie zrobiłaś sobie krzywdy?

Trzyma mnie pod pachą ciut za mocno, ale to nie przeszkadza. Przytulam się do niego.

— Dziękuję — szepczę mu do ucha. Widzę reakcję na to, że ma mnie w ramionach: zamyka oczy, głęboko oddycha, a mnie robi się gorąco. Chcę zarzucić mu rękę na szyję i wpleść palce w jego miękkie włosy.

A przecież nie mogę sobie pozwalać na takie rzeczy.

— Nic mi nie jest — mówię pod nosem i strząsam energicznie piach z sukni, by zająć rękę czymś

bezpiecznym. Serce mi się ściska, gdy widzę jego rozżaloną minę. Z determinacją ruszam przed siebie.

Podróż do Basajuan trwa jeszcze dwa dni i w ciągu tego czasu bezskutecznie usiłuję wywołać jakąkolwiek reakcję obcego dziwnego kamienia.

*

Stolica ziem hrabiego Treviña wtuliła się w miejsce, gdzie stykają się dwa pasma górskie: Sierra Sangre na wschodzie i porośnięte dżunglą góry Hinders na północy. Jest tu chłodniej, wilgotne powietrze oblepia ciało jak kołderka. Humberto śmieje się z tego porównania i zapewnia mnie, że we własnym kraju czułabym teraz to samo, bo już przyzwyczaiałam się do pustynnego klimatu.

Idziemy między uroczymi jednopiętrowymi domami, podziwiam duże okna i kwiaty, które są tu wszędzie. Zachwycają mnie lśniące czystością kolorowe ściany; dominują koral i żółć, przeplatane tu i tam ciepłym błękitem i lawendą. Kute ornamenty z motywami ślimacznic ozdabiają okna i drzwi, bramy i schody wyłożone są jaskrawymi płytkami w żółtoniebieski wzór kwiatowy, identyczny jak w moim atrium w pałacu Alejandra. To przytulne, barwne miejsce i czuję ukłucie tęsknoty za moim domem w Amalur, bo

z nim mi się to miasto kojarzy.

Jacián wynajmuje dla koni boksy w stajni, a potem prowadzi nas do dwupiętrowego budynku z otwartą kawiarnią od frontu. Długie stoły rozmieszczone są pod dachem pokrytym czerwoną dachówką, w głębi znajduje się kontuar, nad nim kolorowe obrazy smakowitych mięs. Za ladą krzątają się kucharze wykonujący zamówienia. Nasza grupa zasiada przy dwóch stołach, a Jacián idzie do baru zamówić dla nas jedzenie.

Gdyby nas pytano, mamy mówić, że jesteśmy uciekinierami z Cerrolindo, którzy przybyli tu wymienić na pieniądze ocalały dobytek i zamierzają uciec z miasta, zanim zacznie się wojna. To był pomysł Mary i wszyscy go zaakceptowaliśmy. Ta historia jest nie tylko prawdopodobna, lecz również sugeruje, że hrabia jest panem nieudolnym, który nie potrafi lub nie chce chronić swoich poddanych.

Jacián wraca i siada przy naszym stole.

— Na górze mają kwatery dla gości — informuje. — Zarezerwowałem dwa pokoje. — Ścisza głos. — Zatrzymamy się tutaj, póki nie zdobędziemy potrzebnych informacji. Jesteśmy daleko od hrabiowskiego pałacu, nikt się nami nie zainteresuje.

Zwraca się do mnie:

— Eliso, dowiedziałem się na gołębiej poczcie, że nie ma jeszcze odpowiedzi niani na twój list.

— Aha. — W duchu myślę, że jest jeszcze na to za wcześnie. Ale ona powinna już wiedzieć, że jestem

bezpieczna. — Dziękuję — mówię mu.

Dzwony odległego klasztoru akurat wybijają triole oznajmiające południe, gdy bosy chłopak przynosi nam dwa półmiski smażonych pasków wołowiny i do tego pszenne placki. Patrzymy zdumieni na Jaciána.

Uśmiecha się, a ja zdumiewam się po raz drugi, widząc błyski wesołości w jego poważnych zazwyczaj oczach.

— Zaszalałem — wyznaje. — Wiem, że mamy mało pieniędzy, bardzo długo jednak byliśmy skazani na pustynię. Chyba od roku, a może i dłużej nie jadłem wołowiny.

Nie trzeba nas zachęcać do jedzenia. Pałaszujemy mięso łakomie, mlaskamy, śmiejemy się z pełnymi ustami, do chichotu pobudza nas skapujący na stół tłuszcz z mięsa nakładanego na placki. Jedyne oczy Cosmé i Humberta są zachmurzone. Domyślam się, że nie tylko mnie gnębi otrzeźwiająca wątpliwość co do prawdziwego powodu zafundowania nam przez Jaciána wspaniałego posiłku. Ostatniego?

*

Nasz pokój nie jest duży, ale czysty. Właściciel lokum pomaga nam przytaszczyć z magazynu kilka materaców, żeby uzupełnić niedostatek pryczy. Cosmé,

Mara i ja jesteśmy jedynymi dziewczynami w naszej dziesiątce, Jacián i Humberto mają więc dzielić z nami pokój. Wiele nocy spałam koło Humberta, w wiosce Alentína układał się jako ochroniarz przy drzwiach mojej chatki, a jednak ograniczona przestrzeń tutaj tworzy klimat większej intymności, więc silniej odczuwam jego bliskość, gdy rozkładujemy bagaże i rozkładamy materace.

Gdy już się urządziliśmy, Cosmé i Jacián wychodzą na miasto, żeby odszukać znajome osoby. Proponuję, że z nimi pójdę, jednak Cosmé zbywa to śmiechem.

— Z tobą wolniej by szło. Mam doświadczenie w zbieraniu informacji. Odpocznij; ja wkrótce wrócę.

Zamykają za sobą drzwi.

— Jakim cudem ktoś tak młody jest kompetentny w tak wielu zakresach? — rzucam pytanie w przestrzeń.

— Co masz na myśli? — pyta Mara.

— Cosmé była moją dwórką w Brisadulce. Potem dowiedziałam się, że jest przewodnikiem. Do tego zna się na medycynie. No i oczywiście jest szpiegiem. — Odwracam się do Humberta. — Czy wszyscy z tej strony pustyni są tacy wszechstronni?

— Jedynie wyrodne córki zbłąkanych hrabiów — odpowiada, chichocząc.

Otwieram szeroko oczy. A więc tak się sprawy mają. Silna więź łączy Cosmé i hrabiego — tej wiedzy mi brakowało.

— Myślałam, że ona jest twoją siostrą?

— Bo jest. Ta sama matka, dwóch ojców.

Mara przestępuje z nogi na nogę.

— Nie jestem pewna, czy powinnam to słyszeć...

— Cosmé nie będzie miała za złe, że o tym wiesz — zapewnia Humberto. — Teraz już nie. Między sobą nie mówimy o tym często. Jej prawdziwym ojcem został mój tata i ona uważa, że byłaby wobec niego nie w porządku, gdyby paplała o pokrewieństwie z hrabią.

— Ale mówiła mi, że jej rodziców zabili Invierni — wtrącam.

Humberto przytakuje.

— Około pięciu lat temu. To był dla nas ciężki okres. — Przysiadłszy na pryczy, Humberto przeciąga ręką po delikatnym zaroście na brodzie. — Cosmé udała się do hrabiego z prośbą o pomoc. Pragnęła zemsty, ale...

— Treviño nigdy nie miał zamiaru wojować z Inviernymi — dopowiadam.

— Od czasu, gdy zaczęli gromadzić swoje armie, z pewnością nie. Moja siostra nalegała. Hrabia oczywiście nic nie zrobił, lecz postanowił zatrzymać ją na dworze. Początkowo chodziło mu o to, by mieć ją na oku. Lecz przywiązał się do niej. Bardzo. Za bardzo. Poczula się niezręcznie. Dbał, żeby nabywała różne umiejętności i nadał jej status damy dworu Ariñi, jej starszej siostry. Obydwie dziewczyny polubiły się, jak się domyślam. Nawet zawarły umowę. Cosmé miała przyrzeczone, że jeżeli Ariñi uda się poślubić Alejandra,

to młodsza siostra zostanie jedyną spadkobierczynią hrabiego.

Otwieram szeroko usta.

— Lepiej więc byłoby dla niej pozostać w Brisadulce i pomagać Ariñi, by ta poślubiła króla, gdyż wtedy sama zostałaby dziedziczką.

Humberto kiwa głową.

— Lepiej. Doszła jednak do przekonania, że jej ojciec i siostra sprzedaliby dusze Inviernym, byle osiągnąć swój cel. I być może sprzedali. — Zaszklily mu się oczy, ściągnął brwi. — Widzieliśmy twarze mamy i taty pożerane przez ogień animaga. Ona nigdy tego nie zapomniała. Kiedy więc wujek Alentín uciekł z klasztoru i rozpoczął swoją małą wojnę, moja siostra zaczęła go tajemnie wspierać i zgłosiła chęć szukania osoby noszącej Boski Kamień.

Siadam koło Humberta i przetrawiam, co właśnie powiedział.

— Jeżeli nasz plan się uda, jeżeli uda mi się dotrzymać mego przyrzeczenia i wyzwolić tę ziemię spod panowania królestwa Joya, wówczas Cosmé zostanie hrabianką. A może nawet królową.

Szturcha mnie w ramię, uśmiecha się.

— Dlatego ci o tym wszystkim opowiedziałem.

Mara, wyraźnie zakłopotana, stoi bez ruchu pod ścianą niczym posąg, oczy ma szeroko otwarte jak zwierzak złapany w pułapkę.

— Pójdę rozejrzeć się za wodą. Chcę umyć włosy.

Gdy znika, Humberto i ja patrzymy na siebie, obydwójce skrepowani.

— Unikasz mnie od dwóch dni — mówi ostrożnie, spokojnym tonem.

Wlepiam wzrok w swoje ręce.

— Prawda.

Pochyla się, opiera łokcie na kolanach.

— W porządku. Rozumiem.

Nasze uda niemal się dotykają. Gdyby któreś z nas się poruszyło, otarłyby się o siebie.

— Przykro mi, Humberto. Muszę jednak poślubić Alejandra, żeby wszystko zagrało.

— Nie byłeś z nim w łóżku. — Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

Przełykam ślinę, niezręcznie się czuję, mówiąc z nim o takich sprawach.

— Nie, nie byłam.

Odwraca się i patrzy na mnie z napięciem.

— Eliso, gdyby był sposób, jakiś sposób... żebyś mogła uniknąć poślubienia króla, czy spróbowałabyś?

— Wszystko jedno jaki?

— Taki, który nie przyniósłby ci wstydu, to jasne.

Próbuję przywołać w wyobraźni twarz męża. Zawsze stawał mi przed oczami jak żywy. Jednak czas i odległość zatarły obraz.

Podnoszę wzrok na Humberta. Ma wydatne kości policzkowe — świadectwo, że jest dzieckiem pustyni — mocno zarysowaną szczękę i wargi układające się do

uśmiechu. Zdaję sobie w tym momencie sprawę, że to nie odległość i czas zamazują mi w pamięci wizerunek Alejandra, lecz sprawia to ta druga, doskonalsza i droższa mi twarz, która zawładnęła moimi myślami.

Oczy Humberta błyszczą jakąś desperacką nadzieją, pragnęłabym przeczesać palcami jego niesforne włosy i zapewnić go, że tak, że między nami szczęśliwie się ułoży. Tymczasem aż tyle nie mogę mu zaoferować.

— Gdyby znalazł się jakiś sposób, wolałabym nie mieć zobowiązań wobec Alejandra.

— Dobrze, że choć to słyszę. — Uśmiecha się.

Siedzimy obok siebie, bacząc pilnie, żeby się przypadkiem nie dotknąć. Wgapiam się w spódnicę, unikając jego spojrzenia, i przy okazji rzuca mi się w oczy, że zeszczuplały mi uda. Zapewne zwiotczała skóra szydzi z tego zeszczuplenia i cierpliwie czeka na powrót krągłości. Zerkam ukradkiem na Humberta i mam absolutną pewność, i to jest cudowne, że będzie mu na mnie zależało, choćbym znowu zaczęła się obżerać ciastami.

— Co cię śmieszy? — pyta.

Na szczęście nie muszę odpowiadać, bo Mara wraca z nowiną, że wymieniła owczą skórę na mydło i gorącą wodę.

Mara zaczyna splatać mi w warkocz jeszcze wilgotne włosy, gdy wracają Cosmé i Jacián. Po jej ściągniętej twarzy i mrocznym spojrzeniu ciemnych oczu Jaciána domyślam się, że nie jest dobrze.

— Jak było? Nikt nie chciał z wami rozmawiać?

— Dowiedzieliśmy się, czego trzeba — rzuca Cosmé i zaczyna przemierzać pokój tam i z powrotem.

Patrzę z niepokojem na Humberta. Wzrusza ramionami, jakby mówił, żeby dać jej chwilę na ochłonięcie.

I rzeczywiście Cosmé otwiera po chwili zasznurowane usta.

— Wozy z zaopatrzeniem wyruszają jutro z samego rana. Musimy zrobić coś już dzisiaj — wyrzuca z siebie na jednym oddechu.

Dzisiaj! Miałam nadzieję, że oswoję się z naszym planem, spędzę trochę czasu na modlitwie, zbiorę w sobie odwagę.

— Daninę zbierają księża. Przechowują żywność w klasztorze — dopowiada Cosmé.

Wywracają mi się wnętrzności. Niewiarygodne, że hrabia zdobył aprobatę zakonników. Nic dziwnego, że oboje są tak wzburzeni.

— Czy jest sposób na dostanie się do wewnątrz? — pytam.

Jacián kiwa głową, że tak.

— Dziś wieczorem odprawiają sakrament bólu. Pójdziemy tam w komplecie. Cała nasza dziesiątka. Gdy

tłum będzie się po ceremonii rozchodzić, prześlizgniemy się do pomieszczeń kuchennych. Wszyscy będziemy mieli ze sobą trujący proszek z *duermy*. Miejmy nadzieję, że przynajmniej dwojgu albo trojgu z nas uda się odnaleźć zmagazynowane zapasy.

— A jeżeli nas złapią? — cichutkim głosem pyta Mara.

— Jeżeli ktoś zostanie przyłapany, do Elisy będzie należało uwolnienie go — oświadcza Cosmé autorytatywnie.

— Do mnie?

— Tak, bo ujawnisz, że jesteś przywódcą *Malficio*. Zgodzisz się na rozmowy pod warunkiem, że oswobodzą twoich.

Zwęzam oczy.

— Równie dobrze mogę w ten sposób wam zaszkodzić. Tym szybciej was zabiją. Nie mamy pewności, jakie są intencje hrabiego.

Cosmé zaczepnie unosi brodę.

— Nikt nie mówił, że ta eskapada nie będzie ryzykowna.

— Innymi słowy nie mamy planu ucieczki. — Wzdycham i jest mi przykro, gdy to mówię.

— Jeżeli chcemy zmusić hrabiego, żeby bronił swoich ludzi — szeptem odzywa się Mara — to warto ryzykować. On ma znacznie większe możliwości niż nasz nieliczny *Malficio*.

— Być może dzięki temu większe szanse na wygranie wojny będzie miał twój mąż — dodaje Humberto z naciskiem na ostatnie dwa słowa.

Zabolało mnie.

— Cosmé, czy w razie czego wykorzystasz więź rodzinną i zaapelujesz do hrabiego, gdybyśmy znaleźli się w kłopotach?

Marszczy czoło.

— Powiedziałem jej wszystko — wyjaśnia Humberto przeproszającym tonem.

— Spróbuję — odpowiada Cosmé chłodno. — Niestety, odwoływanie się do łączących nas więzi jest błędem. Zgłaszanie próśb do niego jest... nieprzyjemne. Zawsze trzeba zapłacić wysoką cenę.

Przyglądam jej się ze zrozumieniem.

— Postaramy się tego uniknąć. Najwyższy czas zaznajomić pozostałych z naszym planem i ruszać.

*

Klasztor okazuje się pomniejszoną kopią tego w Brisadulce, którego przełożonym jest ojciec Nicandro. Takie same ściany z wypalanej gliny, takie same modlitewne świece i długie drewniane ławy. I podobnie jak w Brisadulce liczba wiernych jest skromniutka, ławy nie są zapełnione. Miałam nadzieję,

że będzie tłum i łatwo się w nim zagubimy.

Nasze przystosowane do warunków pustyni ubrania nie zwracają uwagi, są odpowiednie dla pokutników, którzy tu przyszli po łaskę sakramentu bólu. Cosmé i Humberto naciągają kaptury, żeby ich nie rozpoznano, i wkraczamy z nabożnymi minami. Rozprasza się, żeby nie budzić podejrzeń. Ciche modlitewne mruzcando wypełnia wnętrze, to nasilając się, to słabnąc. Mój Boski Kamień pulsuje ciepłem.

Ksiądz czekający przy ołtarzu, do którego będą podchodzić pokutnicy, nagle podnosi do góry głowę. Przeszukuje wzrokiem zgromadzenie.

Natychmiast schylam się i kryję za posuwającą się do przodu Cosmé. Przeklinam siebie, że zapomniałam o czymś tak ważnym. Chowanie się za jej plecami to daremny zabieg, ona jest drobna, a ja przeciwnie, jednak księdzu na razie nie udało się mnie zlokalizować i rozgląda się więc dalej. Możliwie niezauważalnym ruchem chwytam ją za łokieć i zmuszam, by usiadła w najbliższej ławce. Niemal przylepiam się do niej, jakbyśmy były jedną osobą.

— Mieliśmy się rozdzielić, a ty... — Cosmé szepcze, schylając głowę.

— Ksiądz wyczuł mój Boski Kamień. Podobnie jak Alentín i Nicandro. Nie mogę podejść bliżej ołtarza.

— Zatem powinnaś wyjść i nas zostawić, jak tylko ludzie wstaną na znak dany przez księdza — sugeruje Cosmé po chwili namysłu.

Wpadam na lepszy pomysł.

— Posłużę się moim Boskim Kamieniem, żeby odwrócić uwagę od was.

— Sądysz, że to się uda?

— Spróbuję. Gdy ceremonia się skończy, ty i reszta przemkniecie do pomieszczeń kuchennych. Ja wyjdę tylnymi drzwiami prowadzącymi do dormitorium i będę się modlić, żeby skierować ich uwagę na siebie.

Głowa Cosmé w kapturze nachyliła się do mojej, jej czoło ociera się o moje.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? — pyta szeptem.

— Tak. Spotkamy się w naszej kwaterze — mówię i mam nadzieję, że zdołam sama tam trafić.

— Będą wiedzieli, że osoba nosząca Boski Kamień znalazła się tutaj.

— To już się stało, nie da się tego przed nimi ukryć.

Nie nastraja to dobrze, czekamy w pełnym napięcia milczeniu. Gdy ksiądz intonuje *Glorificę*, ogromnym wysiłkiem woli tłumię religijne uniesienie wyzwalane przez liryczne piękno tego hymnu. Nie wolno mi teraz wielbić Boga i modlić się, gdyż pobudzałoby to mój Boski Kamień do wysyłania sygnałów. Myślę więc o rożkach kokosowych z kremem, starając się przywołać ich smak i aksamitną konsystencję.

Bębnię palcami w ławkę, gdy ksiądz podnosi w górę świętą różę z jej ogromnymi kolcami i trzyma ją

nad głową podczas hymnu dziękczynienia. Wreszcie prosi o podejście osoby przystępujące do sakramentu bólu. Kilka ławek przed nami podnosi się Mara. Wstają też inne osoby z naszej grupy. Tylko Cosmé i Humberto nie ruszają się ze swoich miejsc, w obawie, że zostaną rozpoznani. Ta przerwa w modlitewnej ceremonii przygnębia mnie i wywołuje poczucie winy.

Nareszcie nabożeństwo się kończy. Ostatni pokutnicy wyciągają krwawiące palce do przemycia, a ksiądz celebrant, który nadal z wyraźnym niepokojem obrzuca wzrokiem zgromadzonych, zaprasza chętnych do indywidualnej modlitwy i rozmowy. Paru z naszej dziesiątki okrąża księdza pod tym pozorem, a pozostali przesuwają się niepostrzeżenie w stronę bocznych drzwi prowadzących do klasztornej kuchni i stajni.

Wstaję, kieruję się w stronę drzwi do dormitorium, cały czas skupiając myśli na ukochanych ciastkach. Kątem oka widzę szczupłą sylwetkę Mary, która sprytnie zagaduje jednego z księży, absorbując jego uwagę. Uśmiecham się do siebie, zanurzając się w zimne i ciemne sklepienie przejścia.

Uśmiech znika, gdy stoję przed rozwidleniem korytarza. Trudny wybór, jedna i druga odnoga ginie w ponurym mroku. Z walącym sercem decyduję się na korytarz zakręcający w stronę wejścia. Zdaję sobie sprawę, choć nawet nie bąknęłam o tym Cosmé, że jeżeli mnie tu schwytają, mogę to przypłacić życiem. Ojciec Alentín mówił, że tutejsi zakonnicy wyznają kult

Boskich Kamieni, ale los tych, co je noszą, jest im obojętny, więc gdyby mieli taką okazję, wyrwaliby mi klejnot z pępka.

Posuwam się korytarzem, usiłując przebić wzrokiem mrok. Słyszę tupot nóg. Mam nadzieję, że to pokutnicy opuszczają miejsce zgromadzenia. Jednak pewności mieć nie mogę. Dochodzę wreszcie do łukowych dębowych drzwi na żelaznych zawiasach. Klamka robi się lodowata pod moim dotykiem, więc zaczynam się modlić.

Boże, pomóż mi odciągnąć od nich zakonników.

Boski Kamień reaguje na modlitewne powitanie i wysyła fale ciepła. Pcham ciężkie drzwi.

Proszę, Boże, czuwaj nad bezpieczeństwem moich przyjaciół. Spraw, by im się powiodło.

Fala świeżego, ciepłego powietrza owiewa mi twarz. Wychodzę na brukowaną ulicę. W regularnych odstępach czasu zalewa ją rudawa smuga światła. Kolejne grupki wychodzących z klasztoru powiększają stojący przed wejściem krąg pokutników w długich szatach i dochodzi stamtąd beztronski śmiech ludzi odprężonych po sakramencie bólu. Jestem bliżej wejścia, niż mogłam się spodziewać.

Dziękuję Ci, Boże, za to piękne miasto. Uchroń je przed zniszczeniem, jeśli taka byłaby Twoja wola.

— Znowu to czuję! — Słyszę rozgorączkowany męski głos. — Tędy!

Przykucam za krzakami rosnącymi wzdłuż murów

— nos mi podpowiada, że to kwitnące hibiskusy — i usilnie się staram wrócić myślą do rożków z kremem. Niestety, Boski Kamień wysyła ciepło, jakbym wciąż się modliła.

Zaczynam przywoływać w wyobraźni animaga, jego posiwiałe blond włosy i niebieskie oczy, jego kocie ruchy, gdy krzątał się koło zastawionego świecami ołtarza.

Boski Kamień ziębnie.

Skrzypienie zawiasów oznajmia, że otwierają się drzwi, którymi przed chwilą wychodziłam. Po tupocie nóg domyślam się, że jest ich dwóch, ale nie ośmielam się wysunąć głowy, żeby sprawdzić.

— Czuję to! Przysięgam!

Oczy ma zimne jak lód, amulet w jego długiej ręce wysyła okrutne języki ognia... — szepczę bezgłośnie.

— Wierzę ci. Ja też to czuję. A teraz nic. — Tupot się wzmacnia, dobiegają kolejni.

— Może pobiegliśmy w złą stronę?

Ma lśniącą białą szatę, twarz gładszą niż buzia dziecka...

— Być może. — Ale słyszę powątpiewanie w jego głosie. — Przeszukajmy dormitorium.

Biegną z powrotem, zamykają się dębowe drzwi, a ja pozostaję skulona za krzakami hibiskusa, coś mnie łaskocze w nos, mam nadzieję, że to nie pajęczyna. Powstrzymuję się od modlitwy dziękczynnej.

Jeszcze długo siedzę w kucki, mimo że zdrętwiały

mi stopy i zeszywniał kark. Prostuję się wreszcie, rozglądam czujnie i na koniec ruszam przed siebie, zmuszając się do nonszalanckiego kroku. Droga do kwatery wydaje mi się najdłuższą w życiu.

Pojawiam się pierwsza. Przez godzinę bezkarnie się modłę — doceniając ten luksus — gorączkowo błagam Boga o bezpieczny powrót moich towarzyszy. Kolejno się pokazują, najpierw Mara, potem naszych dwóch łuczników, dalej zmachany, ale triumfujący Jacián. Za nim Carlo, traper, i jego młodszy brat Benito. Przeżywamy długie, nerwowe chwile, zanim w drzwiach ukazuje się roześmiana twarz Bertína. Na samym końcu, kiedy już tracimy nadzieję, wchodzi, potykając się na progu, Cosmé i Humberto, wykończeni, ale uśmiechnięci.

Cała nasza dziesiątka wróciła szczęśliwie. I sądząc po triumfujących minach, akcja się powiodła. Aż na tyle nie liczyłam. Zwalamy się na prycze, rycząc ze śmiechu, który miesza się ze łzami, odczuwamy nieprawdopodobną ulgę.

Daleko, niestety, do sukcesu. Tabor z zaopatrzeniem musi dotrzeć do Inviernych. Zatrutych wśród nich ma być wielu, tylko wtedy skojarzą epidemię z dostawą żywności od hrabiego i zapragną zemsty. I przed nami jeszcze pertraktacje z hrabią Treviñem.

Na domiar wszystkiego księża z Basajuan wyczuli obecność Boskiego Kamienia.

Dzisiaj wieczorem jednak upajamy się naszym

drobnym sukcesem.



Ustalamy, że do kontaktu z hrabią dojdzie po trzech dniach — do tego czasu tabor dotrze do armii Inwiernych. Debatujemy, w jaki sposób i w jakim składzie stawić się przed jego obliczem, by wypaść jak najlepiej.

— A może jako oficjalna reprezentacja? — sugeruje Mara.

Cosmé z aprobatą kiwa głową.

— Jeżeli zapowiemy się oficjalnie, wówczas zabicie czy uwięzienie nas stanie się dla niego niezręczne.

— Przez chwilę. Zawsze może to zrobić trochę później. Kiedy przestaniemy być atrakcją dla jego dworu — mówię.

Cosmé uśmiecha się pobłaźliwie.

— Chwila nam wystarczy. Kiedy dotrze do niego wiadomość o fatalnej dostawie, już nie będzie miał wyjścia.

— Powinniśmy go zadziwić podczas audiencji — odzywa się Jacián, ściągając wargi. — Mamy zaprezentować się tak, by wzbudzić sympatię dla naszej sprawy.

Humberto marszczy czoło.

— To wykracza poza zakres mojego doświadczenia. Jestem synem pasterza.

Mara podnosi rękę.

— Jestem tylko kucharką, nie bywałam na dworze.

— W takiej sytuacji księżniczka jest jak znalazł — zauważa Cosmé.

I już cała reszta wlepia we mnie wzrok. Uśmiecham się blado, przypominając sobie czasy, kiedy wykręcałam się od dworskich obowiązków, bo wiedziałam, że Alodia poradzi sobie ze wszystkim.

— Hm... no tak, uważam, że trzeba dać pokaz siły i wzbudzić zaufanie. — Bezpieczna ogólnikowa uwaga.

— Mamy się godnie ubrać? — pyta Mara.

Że też nie przyszło mi to do głowy.

— Dokładnie.

— Na pewno muszę ci zrobić fryzurę — dodaje Mara. — Twoje włosy są... — Wykonuje nieokreślony ruch ręką.

Patrzę na nią spode łba.

— I trzeba wymyślić dla ciebie jakiś inny strój — rozważa na głos Cosmé.

Jej też rzucam złe spojrzenie.

— Nienawidzę gorsetów.

— Nie myślę o gorsecie — mówi Cosmé. — Coś ze skóry jak do jazdy konnej. Może także opończa. Nie możemy iść uzbrojeni, ale pusty kołczan na twoich plecach będzie wiele mówił. Także pas na miecz.

Wybałuszam oczy.

— Powinnaś wyglądać jak wojownik, Eliso — mówi Cosmé, a wargi jej drżą od powstrzymanego uśmiechu. — Masz wyrzeć wrażenie osoby silnej, by hrabia uznał, że nie możesz ot, tak sobie zniknąć.

Reszta spoziera na nas w niecierpliwym milczeniu.

Podnoszę do góry rękę.

— Róbcie, co uważacie za najlepsze.

*

Pałac hrabiego, mniejszy niż Alejandra, zbudowany z kamienia wapiennego, ma elewację w pastelowych kolorach, a we wnętrzu powtarza się znany mi niebiesko-żółty motyw kwiatowy. Przyszliśmy wszyscy oprócz Carla, który ma wrócić do *Malificio*, gdyby po upływie tygodnia nie przyszły od nas żadne wiadomości. Mamy na sobie najwytworniejsze tkaniny, jakie udało się nabyć za owcze skóry i monety. Mój jeździecki strój trzeszczy przy każdym kroku. Obciska mi biust, talię i uda. Chociaż odkrytą mam jedynie szyję i ramiona, czuję się naga, bo nie okrywa mnie luźna suknia.

Ustawieni w kolejce petenci trzymają się w bezpiecznej odległości od nas. Obrzucam wzrokiem swoich towarzyszy, próbując ocenić, jak mogą ich

postrzegać obcy ludzie. Jesteśmy młodzi, ale skórę mamy opaloną i spierzchniętą, włosy wyblakłe od słońca, tu i ówdzie zrudziałe. Stoimy dumnie wyprostowani, w czym pomagają determinacja i sprawność fizyczna nabyta podczas całodziennych marszów. Upojeni jeszcze sukcesem po akcji w klasztorze moi przyjaciele odpowiadają niewzruszonym chłodem na ukradkowe spojrzenia obecnych.

— Co cię rozbawiło? — pyta szeptem Humberto.

— Spójrz tylko na nas. Wyglądamy całkiem groźnie, choć tak naprawdę nie jesteśmy niebezpieczni.

Uśmiecha się.

— Cosmé i Mara wykonały niezłą robotę, ubrały nas na medal. Nie masz jednak racji: my jesteśmy groźni. Jesteśmy przecież *Malficio*.

Tłum posuwa się korytarzem co parę kroków do przodu i my wraz z nim.

— A ja jestem zadowolona, że kolejka idzie szybko.

— A ja jestem zadowolony, że tłum za mną blokuje mi drogę ucieczki — odpowiada, współgrając z moim stanem ducha.

— Łatwiej jest, gdy mam cię przy sobie — mówię.

Nie odpowiada, wpija się wzrokiem w moje oczy, usta, szyję. Znajdujemy się w środku gwarne go tłumu, a ja mam wrażenie, jakbyśmy byli sami.

— Eliso — mruczy mi do ucha. Miękką poduszka

kciuka dotyka mojego ramienia. — Wydaje mi się, że jest sposób.

— O czym mówisz? — Mogłabym tak stać z nim tutaj bez końca.

— Powiedziałaś, że gdyby był jakiś sposób na uwolnienie się od niego, spróbowałabyś. — Muska palcem mój obojczyk i dociera do zagłębienia pod gardłem.

Chyba kręci mi się w głowie. Mogę być wolna? Kolejka popycha nas do przodu.

— Nie mogę teraz o tym myśleć! — Na moment dotykam dłonią jego policzka. — Ale porozmawiamy o tym. Obiecuję.

Nagrodą jest jego promienny uśmiech, tak mi dobrze znany i drogi. Coś we mnie wzbiera jak rozkwitająca róża. Uświadamiam sobie, że go kocham.

— Co? — pyta szeptem. — Powiedz, co jest.

Serce mam tak wezbrane uczuciem, że aż boli.

— Powiem ci później!

Odwracam się od niego i nie chcę o tym myśleć, lecz czuję w sobie isierki radosnej nadziei. Więc gdy na koniec przychodzi kolej na nas, by wejść do sali audiencyjnej, i herold pyta, kto się zgłasza, odpowiadam dźwięcznym i pewnym siebie tonem.

— Jestem lady Elisa z *Malficio* na zaproszenie Jego Hrabiofskiej Mości.

W oczach herolda widzę błysk ciekawości. Stuka w dwuskrzydłowe drzwi laską. Otwierają się do

wewnątrz i wkraczamy do obszernej sali, a on powtarza moje słowa, przedstawiając mnie zgromadzonym dworzanom.

Słyszę okrzyki zdumienia z prawa i lewa i czuję na sobie świdrujące spojrzenia. Moja pewność siebie uchodzi wobec tak liczego zgromadzenia. Jak to możliwe, że zamknięta przestrzeń jest w stanie pomieścić aż tyle osób? Wciągam ich zapach — kwiatowe perfumy i gęste od oddechów powietrze. Zbyt długo przebywałam na pustyni.

— A więc to jest lady Elisa z *Malficio* — dobiega mnie wysoki, wyrazisty głos. Mój Boski Kamień się oziębia.

Zapuszczam wzrok tam, skąd dochodzi głos. Na końcu przejścia rozstępuje się kilku roślących fagasów, odsłaniając niepozornego mężczyznę na tronie. Ma jasną karnację. Czarne lśniące włosy oblepiają jego czaszkę, spiralne loczki sięgają brwi, także zawijają się wokół uszu. Czarne oczy patrzą przenikliwie. Zwraca uwagę zarys podbródka — delikatny jak u dziewczyny. Jak u Cosmé. Wygląda na znacznie młodszego, niż się spodziewałam.

Z szyi zwisa mu na złotym łańcuchu krzykliwy wisior wielkości mojej dłoni. Wzór jest osobliwy, groteskowy, jakby zwiędły kwiat, ale coś mi przypomina.

— Wasza Wysokość — odzywam się głośno, w ostatniej chwili przypominając sobie o dygnięciu.

W ślad za mną moi towarzysze też robią ukłon. Trudno powiedzieć, czy hrabia rozpoznał Cosmé, gdyż twarz zasłoniła kapturem, a jego uwaga skupiła się na mnie. Wyciągam zza skórzanego pasa zwinięty w rulon pergamin i wymachuję nim nad głową.

— Przybywamy w odpowiedzi na twoje wezwanie, Jaśnie Panie. Żeby porozumieć się w sprawie zawarcia sojuszu, o jaki prosisz.

Drga mu policzek i dłonie zaciskają się kurczowo na podłokietnikach tronu.

— Byłoby czymś niestosownym omawianie takich spraw tutaj. Poproszę straż przyboczną, żeby wskazali wam pokoje gościnne. — Pstryka palcami na jednego z nich, a nas obdarza przesłodzonym uśmiechem. — Odpocznijcie, proszę. Rozgośćcie się. Zamówcie sobie jedzenie i wino z kuchni. Poślę po was po południu.

Mam zamiar zaprotestować, niestety, strażnicy nas otaczają i wyprowadzają. Kątem oka widzę, że hrabia Treviño coś szepcze do straży i tłum się przed nami rozstępuje, odsłaniając boczne drzwi. Wchodzimy do ciemnego korytarza, rozgorączkowana sala się odpręża i żegna nas ściszym gwarem komentujących głosów.

Mój niepokój się nasila, gdy idziemy korytarzem, a potem w górę po skrzypiących schodach. Jeden ze strażników otwiera drzwi do dużego pomieszczenia z brudnożółtymi ścianami z piaskowca i belkowanym sufitem. Bez okien i zbędnych sprzętów, z kolistym kominkiem i szerokimi łóżkami, na oko dla czterech,

pięciu osób. Jednak strażnik wprowadza całą naszą dziewiątkę i zatrzaskuje drzwi. Potem słyszymy zgrzyt i stuk zasuwanego rygla.

Stoimy w szoku, póki Cosmé nie zrzuca z głowy kaptura. Śmieje się.

Gapimy się na nią.

— A czego oczekiwaliście? — pyta. — Kompletnie go zaskoczyliśmy. Tak roztrzęsionego widziałam go tylko raz, w dniu, kiedy poinformowałam go o naszym nieszczęsnym pokrewieństwie. Klapnęła na najbliższe łóżko z zadowoloną z siebie miną.

— Nie rozpoznał cię — mówi Humberto.

— Trzymałam pochyloną głowę, zakrytą kapturem. Zresztą patrzył tylko na księżniczkę.

— Co będzie dalej? — pyta Benito spiętym głosem.

— Kiedy uda mu się zebrać myśli, przyśle po Elisę i może jeszcze jedną lub dwie osoby. Najpierw przepyta was w grupie, potem każdego z osobna. Reszta z nas będzie trzymana jako zakładnicy.

— Znasz go dobrze — mówię.

Unika mojego wzroku.

— Tak.

Postanawiamy czekać, nie wpadając mimo nieoczekiwanego uwięzienia w panikę. Mam nadzieję, że Cosmé wie, co mówi, i będę miała szansę z nim rozmawiać, zanim odda nas w ręce Inwiernych.

*

Drzemiemy na zmianę. Strażnicy za drzwiami lekceważą nasze prośby o jedzenie, w rezultacie mam bóle brzucha z głodu, jeszcze zanim rozlega się szcęk odsuwanego rygla. Ci, co leżą, podrywają się na równe nogi. Wszyscy razem wpatrujemy się w drzwi. Cosmé kryje się z tyłu, nasuwając głęboko kaptur.

Wchodzą dwaj dobrze zbudowani mężczyźni. Krótkie miecze zwisają im przy biodrach, sztylety w skórzanych pochwach mają przypięte do cholew butów.

— Lady Elisa z *Malficio*! — wykrzykuje jeden.

Robię krok do przodu.

— Lady Elisa to ja.

— Idziesz z nami. Wy także. — Wskazuje palcem na Humberta i Benita.

Jeden ze strażników staje za nami, słyszę zgrzyt stali o kamień — niechybnie wyciągnął miecz z pochwy. Gdy prowadzą nas kilkoma korytarzami, Humberto trzyma mnie za rękę, jestem mu wdzięczna i odwzajemniam uścisk. Modłę się z zapamiętaniem.

Stajemy przed rzeźbionymi mahoniowymi drzwiami. Gdy się otwierają, strażnicy szturchają nas, byśmy weszli. To jakiś gabinet z wypolerowanym do połysku biurkiem i ogromnym kominkiem. Czuję zawrót głowy na widok takiego przepychu, bogactwa

złocień, puszystego dywanu, drapowanych zasłon. Korzenne kadzidło cuchnie podobnie jak w namiocie animaga. Przętykam ślinę, by się nie rozkaślać. Strażnicy podprowadzają nas do jednej ze stojących naprzeciwko biurka sof i każą usiąść.

Otwierają się mniejsze drzwi z tyłu za biurkiem. Wchodzi wysoki mężczyzna z pomarszczoną twarzą, w prostej długiej szacie, za nim hrabia Treviño. Za postawnym starcem wygląda mało okazale, ale ma wyrazistą twarz i zdecydowane ruchy.

— Lady Eliso — odzywa się śpiewnym tonem. — Bardzo się cieszę, że przyszedłaś, pani.

— Dlaczego nas uwięziłeś? — pytam ostro i po chwili dodaję: — Jaśnie Panie.

Odpowiada przesłodzonym uśmiechem i obłudnymi słowami.

— Dla waszego bezpieczeństwa, oczywiście.

Pozwalam mu na to kłamstwo.

— To szlachetny gest, dziękuję. — Stojący obok mnie Humberto sztywnieje, czuję jego milczący gniew. To mnie dopinguje. — Z zadowoleniem przyjąłam propozycję Jaśnie Pana. Sądzę, że sojusz między moimi ludźmi i twoimi, hrabio, okaże się obustronnie korzystny.

— Czyżby? — Wykrzywia usta, jakby usłyszał dobry dowcip. Brwi wygina w łuk. Dobrze znam tę mimikę. Cosmé nie musiała mieć trudności, by go przekonać, że jest jej ojcem.

Pomarszczony mężczyzna stojący obok niego ma nieprzeniknioną twarz.

— Z pewnością korzystny — podkreślam, choć narasta moja podejrzliwość. — Dzięki sprawności moich ludzi wspartych waszymi możliwościami Jego Królewska Mość uzyska przewagę i zwycięży w wojnie z Inviernymi.

Treviño wzdycha teatralnie.

— Obawiam się, że nie zawrzemy sojuszu, ponieważ nie będzie wojny.

Z ust Benita wyrywa się stłumiony okrzyk. Zaciskam pięści.

— Wyjaśnij, hrabio — mówię niemal szeptem.

— Pośredniczę w zawarciu traktatu pokojowego — oznajmia z dumą. — Tysiące istnień ludzkich zostaną ocalone.

Humberto potrząsa głową.

— Invierni zrównają twoje miasto z ziemią — wybucha. — Ich obietnice są nic niewarte.

— Nie, nie i jeszcze raz nie. Jesteś w błędzie. — Treviño zbliża się do nas, amulet ślizga się na łańcuchu, jakby na potwierdzenie jego słów; wzdrygam się, bo mój Boski Kamień promieniuje gorącem. — Okazało się, że są rozsądni. Pertraktacje z nimi to przyjemność. Akurat wczoraj ich ambasador powiadomił mnie o zatruciu szerzącym się w ich obozie. Początkowo podejrzewali, że to ja rozpętałem wojnę tym zuchwałym aktem. Oczywiście zapewniłem, że tego nie zrobiłem.

Ambasador zasugerował więc, że prawdopodobnie to wina *Malficio*. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy zjawiacie się na moim progu akurat w tym samym czasie! — Chodzi w tę i z powrotem, purpurowy płaszcz zdobiony złotem faluje mu wokół kostek, odsłaniając sztylety przyczepione do cholewek. — Miasto uchronię, bo wystarczy, bym wydał was w ich ręce. Was wszystkich. Przykro mi, naprawdę przykro. Pokój jest jednak tego wart, nie sądzicie? — Obraca się gwałtownie i pochyla nade mną, niemal przytyka nos do mojego. — Więc powiedz mi, pani, gdzie się kryje wasz obóz.

Przełykam ślinę, usiłując wymyślić jakąś strategię i elokwentnymi argumentami wybawić nas z opresji, a przynajmniej zyskać na czasie. Nic mi jednak nie przychodzi do głowy.

— Nigdy ci tego nie zdradzę, hrabio — mówię tylko.

Cofa się o krok i wzrusza ramionami.

— Powiesz. A potem wyślę was do obozu Inwiernych na dowód, że jestem godzien zaufania. Z jakiegoś powodu okropnie im zależy, żeby właśnie ciebie, pani, dostać w swoje ręce. — Pstryka palcami, przywołując straż. Ciężkie łapsko chwyta mnie za ramię, paluchy wbijają mi się w ciało pod obojczykiem.

— Nie! — Humberto podrywa się z sofy. — Weźcie mnie. Ja jestem przywódcą *Malficio*. Dziewczyna miała was zmylić.

Powietrze w moich płucach nabiera ciężaru głazu. Wołam w duchu: „Humberto, nie, błagam cię, nie”. Kręcę głową, próbując złowić jego wzrok, lecz nie spuszcza oczu z hrabiego.

Treviño odwraca się do pomarszczonego mężczyzny z pytaniem w oczach.

— On kłamie — chrypi starzec. — Przywódcą *Malificio* jest ona. Ma w pępku Boski Kamień. Zwietryłem go już wcześniej. Ten chłopak jest nikim.

To ksiądz! Hrabia i starzec mierzą Humberta złowróbnym spojrzeniem niczym kojoty dorodnego zająca.

Ze strachu skręcają mi się kiszki.

Twarz Humberta jest także zmrożona strachem. Nagle się jednak rozluźnia — to godzenie się z losem. Humberto odwraca się do mnie, patrzy mi intensywnie w oczy. Ma takie ciepłe spojrzenie i odważny uśmiech.

— Moja Eliso — szepcze. — Na pewno wiesz, jak bardzo...

— Zabijcie go! — rozkazuje Treviño.

— Nie! — Podrywam się z sofy, żeby zasłonić go swoim ciałem. Lecz ręka strażnika już szarpie Humberta za włosy, odgina mu głowę do tyłu.

Wyciągam ręce, lecz błyska stal, zimna i szybka, przecinając mu gardło. To rozdziela się gładko, wykwita na nim purpurowy uśmiech.

Humberto przewraca się do przodu, chwytam go. Mimo że dygocze, że oddycha krwią, ramionami

opasuje mnie w pasie i przyciska do siebie. Dławiąc się, coś wykrztusza chrapliwie. Moje imię. Próbuje wymówić moje imię.

Nogi się pod nim załamują i razem zwałamy się na dywan. Wtulam twarz w jego włosy, czuję, że odchodzi. Zwalniają uścisk ramiona obejmujące mnie w pasie. Zbyt późno szepczę mu do ucha: „Kocham cię”.

Mogłabym tak go trzymać bez końca, ale już jakieś ręce chwytają go i wyrywają z mojego uścisku. Siadam na piętach, trzęsąc się cała i wpatrując w jego bezwładne ciało, które gdzieś odciągają. Oczy wciąż ma otwarte, ale chłopak, którego znałam, już nie żyje.

Słyszę przenikliwy, ostry krzyk, dziki. Uświadamiam sobie, że to ja krzyczę.

Chwytają mnie pod pachy i podnoszą z podłogi. Stoi przede mną hrabia. Rzucam się na niego, ale strażnik szarpie mnie do tyłu, odwracam się błyskawicznie, lecz jestem za słaba, by z nim walczyć. W jednej sekundzie mnie obezwładniają i przyciskając mi ręce do boków, stawiają znowu przed hrabią. Treviño ma na policzku krew, czerwone kropki biegną aż do brwi. Domyślam się, że to z moich włosów. Smagnęły go po twarzy, gdy się odwracałam.

Mówi do mnie bardzo cicho:

— Opowiesz mi o *Malficio*. Za każdy dzień twojego milczenia zapłaci życiem jeden z twoich towarzyszy. Przyślę po ciebie jutro po południu. Jeżeli nie zdradzisz lokalizacji waszego obozu, ten chłopak

zginie.

Benito. Zapomniałam, że wciąż tu jest.

Strażnicy wloką nas z powrotem korytarzami. Nie mam ani krzty siły. Ani determinacji. Nie czuję nawet wściekłości. Tylko rozpacz tak straszną, że mogłabym utonąć w jej otchłani.

Dla tych, co na nas czekają, sytuacja jest jasna, gdy tylko strażnicy otwierają drzwi. Nie ma z nami Humberta, moje włosy i strój jeździecki są we krwi, teraz już zimnej i zasychającej.

Tylko Cosmé żąda wyjaśnienia.

— Co się stało? Gdzie Humberto?

Z trzaskiem zamykają się drzwi, zgrzyta rygiel.

Nie jestem w stanie mówić. Cała się trzęsę. Ostry ból przeszywa mi skronie, zamazują się twarze. O Boże, mój Boże... Boski Kamień odpowiada ciepłem na mój ból.

Boski Kamień!

Jego chcą Invierni. Nie o mnie chodzi, nie o *Malificio*. Tylko o ten kamień we mnie, który uzupełni ich zbiór do doskonałej liczby dziesięciu.

— Potrzebny mi nóż — mówię.

Wytrzeszczają oczy.

— Nóż! — wrzeszczę. — Czy ktoś ma nóż?

Podchodzi do mnie Jacián, twarz ma bardziej ponurą niż zwykle. Sięga ręką do buta i wyjmuje nożyk nie dłuższy niż mój palec wskazujący, wywija nim i podaje go trzonkiem do przodu. Cofa się, krzyżuje

ramiona i zastyga z niemym pytaniem w oczach.

Zdzieram z siebie skórzany kaftan, podciągam koszulę, odsłaniając brzuch. Pępek wysyła niebieskie ogniki.

— Co chcesz zrobić? — ktoś pyta.

Wbijam ostrze w pępek, w miejsce, gdzie skóra zakrywa tkwiący w ciele klejnot. Pcham nóż głębiej, przesuwam ostrze wokół klejnotu. Niesamowity ból rozrywa mi brzuch, sięga do pośladków, nie pozwala oddychać. Jakby trafił mnie ognisty piorun. Ale lepiej znoszę ból fizyczny niż cierpienie serca, więc wciskam ostrze głębiej i podważam kamień. Krew cieknie mi po skórze do spodni, mieszając się z krwią Humberta. Jednak Boski Kamień nie chce ze mnie wyjść. Próbuję go wydobyć rękami, ale nie daje się uchwycić. Podważam nożem od drugiej strony, jednak ból jest tak potworny, że robi mi się słabo i uginają się pode mną nogi.

Rezygnuję z metody podważania i postanawiam go wyciąć wraz z ciałem wokół. Będę musiała ciąć bardzo głęboko. Nie zastanawiaj się, Eliso, rób, co masz robić, ponaglaj siebie. Podnoszę rękę z nożem.

Chwyta mnie za nadgarstek ręka drobna, lecz silna. Palce wbijają się w nasadę dłoni. Nóż ze szczękiem uderza w podłogę.

— Już dobrze, Eliso. — To głos Cosmé. Obejmuje mnie. Czarne włosy pieszczotliwie muskają mój policzek.

— Nie chcę go — szepczę jej do ucha. — To mój koniec. Bóg nigdy nie powinien był mnie wybrać. Popełnił błąd i to jest mój koniec.

— Może jednak On z tobą nie skończył. — Obydwe osuwamy się na kolana. Przytula mnie tak mocno, że mam wrażenie, iż mnie udusi.

— Ale, Cosmé...

— Wiem. — Jej ciało przy moim wstrząsa szloch, policzek mam mokry od jej łez. — Ja wiem.



W pokoju kąpielowym Cosmé i Mara starają się doprowadzić mnie do jakiegoś takiego stanu. Ściągają ze mnie przesiąknięty krwią strój jeździecki i rzucają go w kąt. W naszym spartańskim lokum nie ma bieżącej wody, więc przecierają mi ciało kawałkiem płótna oderwanym od prześcieradła. W brzuchu czuję rwący ból, a z ran po nożu, jakie sama sobie zadałam, jeszcze sączy się krew, ale gdy Mara owija mnie resztą prześcieradła, sprytnie przewiązując rogi wokół mojego ramienia, czuję się mniej brudna i już nie trzęsę się z zimna.

— Jak przyjdą strażnicy, poproszę o wiadra z wodą — zapowiada.

Zbieramy się w sypialni. Siedzimy na łózkach, z nogami zwieszonymi nad podłogą, tylko Jacián i Mara stoją. Mieścimy się łatwiej, bo jest o jedną osobę mniej.

Jacián pierwszy przerywa milczenie.

— Dalibyśmy radę strażnikom. Jest nas ośmioro. Mamy nóż.

Cosmé potrząsa głową.

— Drzwi są za wąskie. My musielibyśmy ich obezwładnić, a oni tylko zaryglują drzwi i wystarczy.

Bez użycia broni... — Mówi spokojnie, nie ma już łez w oczach. Zgrzytam zębami. Nie podoba mi się łatwość, z jaką pogodziła się ze śmiercią brata, gdy ja tak cierpię.

— A może zwabić jednego ze strażników do środka? — podrzuca Benito.

Jacián kiwa głową.

— Może nawet dwóch. Nie sądzę, żeby pilnowało nas więcej niż czterech naraz. Więc połowa z nas wciągnie tu dwóch strażników, druga staranuje drzwi.

— Będą ofiary — mówi Cosmé. — Oni są uzbrojeni. My nie.

Popatrujemy na siebie nawzajem zbici z tropu. Cosmé ma oczywiście rację: dzień dzisiejszy dowiódł, że kolejne ofiary są więcej niż prawdopodobne.

— Przyszedł czas, żebym to ja stanęła przed hrabią — odzywa się szeptem Cosmé. — Głowę ma jednak spuszczoną i pięść kurczowo zaciśniętą na kapie. Dociera do mnie, jak bardzo nienawidzi ojca. Powiedzieć, że go nie lubi czy się go wstydzi, byłoby za mało. Mniemam, że darzy go zawziętą nienawiścią z domieszką lęku.

— To może pogorszyć sytuację — zauważa Jacián. — Co on robi, dowiedziawszy się, że zdradziła go córka, przyłączając się do *Malficio*?

— Nie próbuj tego, Cosmé — mówię cicho. Chociaż patrzę akurat na własne nogi, przesuвам palcami gołych stóp po resztkach frędzli przetartego dywanu, czuję na sobie ich spojrzenie. — Treviño

blefuje. Inwierni napadną na niego z powodu masowego zatrucia, jestem pewna. Ma nadzieję, że się uratuje, podając im na tacy *Malficio*. Ale im na tym nie zależy. Oni chcą tylko mojego Boskiego Kamienia. Kiedy wy mnie wykradaliście, nie mieliście pewności, że przysłużę się waszej sprawie. Byliście gotowi wyrwać klejnot z mojego pępka. Nie pamiętasz, Cosmé? — Mówię to niemal ze śmiechem.

Zatkało ją. Odzywa się szeptem.

— Humberto cię wybronił. Niech to nie pójdzie na marne.

Przez moment żal spada na mnie czarną kłębiącą się chmurą. Chce mnie udusić, porwać. Ciemnieje mi w oczach.

— Elisa!

Otrząsam się, wstaję z łóżka, chcę się przejść, bezwład jest niebezpieczny. Ruch rozjątrza jednak ranę w brzuchu, kamień wydaje się cięższy i twardszy niż normalnie. Ale ból rozjaśnia mi w głowie.

— Nie poddam się — zapewniam ich.

— Więc co zrobimy? — pyta nieśmiało Benito. Ma nie więcej niż trzynaście lat, tyczkowatą chłopięcą sylwetkę, nieproporcjonalnie duże dłonie.

— Jutro Benito i ja pójdziemy przed oblicze hrabiego, jak zostało ustalone. — Dziwię się, że kiedyś zabicie człowieka wydawało mi się odrażające. — Jutro zabiję hrabiego.

*

Na śniadanie dostajemy z polecenia hrabiego rozrzedzone płatki owsiane i cienkie wino. Jem razem ze wszystkimi, żeby mieć choć trochę siły. Chwilę później zwracam wszystko w garderobie.

Treviño wzywa nas wcześniej, niż oczekiwaliśmy.

Prośbę o wodę spełnili, przynieśli trzy pełne wiadra. Jedno zostało zużyte na splukanie krwi z mojego kaftana i spodni. Kiedy więc strażnicy przychodzą, by zabrać pod eskortą przerażonego Benita i mnie, mam znowu na sobie strój do jazdy konnej. Popychana na korytarzu rzucam okiem na skórzany kaftan. Jest wilgotny i wygląda obrzydliwie — śmierdzi i oblepia ciało jak druga skóra. Poczerniałe brązowe plamy przypominają o zadaniu do wykonania i wzmacniają determinację.

Hrabia jest już w gabinecie, siedzi przy swoim ogromnym biurku. Przyodział się dziś w zieleń, ozdobioną złotymi lamówkami. Te barwy czynią jego twarz ziemistą, ale czarne włosy lśnią jak zawsze. Ten sam krzykliwy amulet dynda mu na piersi. Mój Boski Kamień rozgrzewa się w odpowiedzi.

— Lady Eliso, czy przyprowadziłaś przyjaciela na śmierć?

Potrzebuję, żeby się ruszył z za biurka, by go nic nie zasłaniało.

— Oczywiście, że nie. — Zwieszam głowę na znak uległości. Patrzy na mnie plama na dywanie, rdzawy krąg wyznacza miejsce, gdzie Humberto umierał w moich ramionach.

— Wspaniale. — Hrabia wstaje z fotela; załomotało mi serce. — Wiem, że posłałem po was wcześniej, za co przepraszam, a przepraszam, bo lubię dotrzymywać słowa.

Nie patrzę mu w oczy z obawy, że wyczyta z nich podstępłą intencję.

— Obawiałam się, że zmieniłeś zamysły, Jaśnie Panie.

— Jakie zamysły?

— Zamierzałeś odstąpić od zabicia moich przyjaciół, jeżeli wskażę, gdzie jest obóz *Malficio*.

Zbliża się do mnie z ojcowskim uśmiechem na pięknej twarzy.

— Jak mówiłem, dotrzymuję słowa. Wezwałem was wcześniej, ponieważ spodziewam się wyjątkowego gościa i przedtem chcę załatwić sprawę między nami. Posłużę się wami jako dowodem na poparcie moich pokojowych intencji. — Uśmiecha się szerzej, w oczach błyszczą mu iskierki zadowolenia. — Czyż nie jest wolą Boga, żeby wszyscy ludzie żyli w pokoju? Tak czytamy w *Scriptura Sancta*!

To ma być według niego działanie w służbie bożej. Wstrząsa mną oburzenie, więc wbijam wzrok w plamy na dywanie, żeby ukryć swoją reakcję. Zastanawiam się,

co zrobili z ciałem. Łzy tryskają mi z oczu i pozwalam im płynąć. Mam sprawiać wrażenie osoby niezrównoważonej. Słabej.

Zbliża się jeszcze o krok.

— Powiedz zatem, gdzie ukrywaliście się przez ostatnie miesiące.

Myśl moja krąży wokół sztyleciku Jaciána, który ukryłam w bucie. Treviño jest prawie wystarczająco blisko.

— Lady Eliso? Jeżeli nic nie powiesz, twój przyjaciel umrze.

Boję się, że prawdopodobnie już nie podejdzie bliżej. Więc wyrywam się do przodu i padam na kolana u jego nóg. Słysząc, że ktoś z tyłu wyciąga miecz z pochwy.

— Och, Jaśnie Panie — szlocham. Łzy płyną tak łatwo. — Chcę to usłyszeć z twoich ust.

— Co chcesz usłyszeć z moich ust?

Na szczęście się nie cofnął. Widzę sztylety w pochwach przypiętych do jego cholewek. Ostrza z pewnością mają dłuższe niż ten mój.

— Powiedz, panie, że jeżeli się dowiesz, co chcesz wiedzieć, oszczędzisz moich przyjaciół. — Obejmuję niby to w desperacji jego nogi w kostkach. Swoją prawą podciągam do przodu, by dawała oparcie.

Rozlega się pukanie do drzwi. Strażnik mówi coś do hrabiego, lecz nie słucham. Przesuwam ręce w górę, sięgam do rękojeści jego sztyletów.

— Tak, tak — mówi rozradowany hrabia. — Niech wejdzie. Jestem pewien, że zechce być świadkiem tego, co nastąpi.

Wyszarpuję sztylety z pochew i podrywam się z kolan. Nim zdążył mrugnąć okiem, ostrza znalazły się przy jego gardle, tuż pod delikatnym podbródkiem.

— Nie ruszaj się! — warczę. — Nawet nie próbuj drgnąć. Powiedz strażnikom, żeby odsunęli się od Benita, bo jak nie, poderżnę ci gardło. — Ogromny amulet wychyla się ku mnie. Szczerze złoto i prymitywna obróbka. Trudno oderwać od niego wzrok.

— Nie jesteś wojownikiem — mówi hrabia, ale w oczach ma strach, bo przyparłam go do biurka.

— Zapomniałeś, jak krew mojego przyjaciela trysnęła na twój dywan? Zapomniałeś, jak zaszklily mu się oczy i zmętniały niczym klejnoty ze skazą? — Treviño jest średniego wzrostu, nie wyższy ode mnie i delikatnej budowy. Ja zaś solidnej. Wgniatam mu kolano w krocze i przyciskam ostrza do jego szyi.

Otwiera usta. Zamyka. Wreszcie:

— Zróbcie, co ona każe. Odsuńcie się od chłopaka. — Drży mu górna warga, wytrzeszczył oczy. Powinno mnie cieszyć jego przerażenie. Jednak czuję tylko obrzydzenie.

— Rozkaż straży, żeby uwolnili moich przyjaciół.

— Zróbcie to — syczy z wściekłością. — Natychmiast. — Słyszę tupot nóg, przynajmniej jeden strażnik wybiega z gabinetu.

Wiem, że strażnik nie wypuści na wolność moich towarzyszy. I wiem, że za chwilę wróci z posiłkami. Strzała przebije moje plecy. Albo ostrze długiego miecza.

— Inwierni wiedzą już, że tu jesteście — mówi hrabia przymilnie. — Mógłbym wam pomóc w ucieczce.

Powinnam chyba udawać, że go słucham i mu wierzę, póki nie wymyślę sposobu na uwolnienie reszty, zanim sama zginę.

Zza moich pleców dochodzi czyjś głos.

— To nie będzie konieczne.

Doznaję szoku, zadrzały mi ręce trzymające sztylety. Znam ten głos. Niski i budzący zaufanie. Przyjazny głos.

— Czy to jest ów przywódca buntowników, o którym mówiłeś, hrabio? — pada pytanie. Boję się uwolnić hrabiego, bo to zabrzmiało jak groźba.

Treviño przełyka ślinę, grdyka mu drga pod ostrzami.

— Tak.

Słyszę ciche świsnięcie miecza wyciąganego z pochwy. A więc koniec. Muszę natychmiast zabić hrabiego, nim stracę szansę.

— Ja przejmuję inicjatywę, Wasza Wysokość. — Ten sam głos. Czubek miecza z cichym brzękiem ląduje na moich sztyletach. Mały purpurowy bąbelek wyrasta w miejscu, gdzie ostrze zetknęło się z białą szyją hrabiego.

Serce wciąż tłucze mi się w piersi, mam przyśpieszony oddech, ale rozluźniam chwyt rąk ściskających sztylety. Ktoś przychodzi mi na ratunek. Ktoś, kto zwraca się do mnie: „Wasza Wysokość”.

Cofam się, opuszczam ręce ze sztyletami i odwracam się do swojego zbawcy.

— Witaj, Eliso — mówi lord Hector, ale nieubłaganie mierzy wzrokiem hrabiego. — Od lat szukałem pretekstu, żeby przyłożyć miecz do gardła jego hrabiowskiej mości, więc jestem ci, pani, wielce zobowiązany.

Cała wściekłość i żal, i strach wypływają ze mnie i ogarnia mnie słabość. Słaniając się, podchodzę do lorda Hectora, obejmuję go.

— Uważaj na sztylety, Wasza Wysokość. — Wolną ręką nieśmiało poklepuje mnie po plecach.

— Co ty robisz?! — woła Treviño. — Ta dziewczyna to zdrajczyni!

Ręka lorda Hectora sięgnęła do mojego rozplątanego warkocza. Palce znieruchomiały, gdy wyczuł, że włosy są oblepione zaschniętą krwią.

— Elisa nie jest zdrajczynią — mówi. — Co więcej, sądzę, że Jego Królewska Mość będzie wzburzony, gdy się dowie, że więziłeś jego małżonkę.

Dopiero teraz przychodzi nagle moment zdziwienia, że dowódca osobistej gwardii mojego męża znalazł się tutaj, tak daleko od Brisadulce.

*

Chętnie wrzuciłabym hrabiego Treviña do więziennego lochu. Lord Hector tłumaczy mi cierpliwie, że dyplomatyczniej będzie trzymać go w areszcie domowym — dostanie zakaz opuszczania swego apartamentu.

— Chociaż działamy w imieniu Jego Królewskiej Mości, współpraca podwładnych hrabiego jest nieodzowna.

— Będziemy więc traktować go z respektem — odzywa się Benito. Patrzy na lorda Hectora z uwielbieniem jak na bohatera wojennego.

Wiem, że mają rację. Póki jednak poszarzała twarz hrabiego nie zniknie za drzwiami, nie opuszcza mnie przemożna chęć zadżgania go mimo wszystko. Zadowolam się zerwaniem mu amuletu z szyi.

Hector kwituje to zdziwionym spojrzeniem.

— Ten amulet — wyjaśniam — przemawia do mnie w jakiś sposób. Za każdym razem, gdy na niego patrzę, mój Boski Kamień się rozgrzewa.

— Jest brzydki — wtrąca Benito.

— Prawda. Nie mam pojęcia, dlaczego nasz fircykowaty hrabia wybrał sobie właśnie taki. — Czuję w rękę jego ciężar, chropowatość nieoszlifowanego wzoru. Przeszywa mnie dreszcz.

Lord Hector wydaje polecenia strażnikom. Bierze

mnie potem pod rękę, Benito trzyma się w tyle, a mnie przypomina się tamten pamiętny dzień — wydaje się, że było to tak dawno temu — kiedy gwardzista oprowadzał mnie i Ximenę po pałacu mojego męża.

— A teraz, Wasza Wysokość, musisz opowiedzieć mi dokładnie, jak doszło do tego, że się tutaj znalazłaś. I jak doszło do tego... śmiałego ataku na hrabiego.

Dawno nie rozmawialiśmy i nie wiem, czy rzeczywiście w jego głosie pobrzmiwa nuta podziwu, czy nie.

Waham się początkowo z obawy, że moi przyjaciele zostaną ukarani za porwanie mnie. Jestem jednak skrajnie wyczerpana, więc nie zmyślam, bo i tak prędzej czy później pozna prawdę. Opowiadam o porwaniu, podróży przez pustynię, odkryciu, że wojna się już rozpoczęła. Tłumaczę, dlaczego nabrałam zaufania i szacunku dla moich towarzyszy. Mówię, że czytałam *Afflatusa* i stworzyłam *Malficio* z kalekich uchodźców i osieroconych dzieci. Oczywiście robią mi się okrągłe, kiedy opowiadam, jak porwali mnie Invierni. A szczęka opada, gdy słyszysz, że zabiłam animaga, ukradłam jego amulet, uciekając, wspinałam się na klif i kierowałam się sygnałami Boskiego Kamienia w drodze do ocalenia. A kiedy zaczynam opisywać nasz plan zatrucia trybutu składanego przez zdrajcę Treviña, lord Hector zatrzymuje się w miejscu.

— A więc to ty?

Spuszczam wzrok na podłogę i studiuję

geometryczne dzieło sztuki kamieniarskiej.

— Eliso?

Nabieram powietrza.

— Tak, ja. Mieliśmy nadzieję, że zmusimy hrabiego do wystawienia oddziałów. Nie wyszło tak, jak planowaliśmy. Zostaliśmy uwięzieni. Humb... mój przyjaciel zastał zabity. — Narzucam sobie beznamiętny ton, lecz nie jestem w stanie oszukać Hectora. Podnoszę wzrok i patrzę na niego, pamiętając, że jest niewiarygodnie inteligentny. I rzeczywiście jego oczy wydają się wirować, gdy zastanawia się nad moimi słowami i wyciąga wnioski.

Ruszamy dalej.

— Domyślasz się zapewne, że Ximena i Nicandro nigdy nie stracili nadziei — mówi ciepłym tonem. To miłe, że zmienia temat, lecz na sam dźwięk imienia mojej niani nie potrafię powstrzymać łez. — Twierdzili z uporem, że żyjesz. Ximena była pewna, że w twoje zniknięcie zamieszana jest Ariña.

Mam tyle pytań! Chcę usłyszeć, jak się ma Ximena i ojciec Nicandro, i mały Rosario. Nawet Alejandro. Dochodzimy jednak do pomieszczeń, gdzie są uwięzieni moi przyjaciele. Strażnicy patrzą na nas podejrzliwie, ale zobaczywszy na ramieniu lorda Hectora pieczęć królewską, spinającą fałdy jego czerwonego płaszcza, prostują się na baczność.

— Uwolnić więźniów z rozkazu Jego królewskiej Mości, króla Alejandra de Vegi — pada z ust lorda

komenda.

Uwijają się, by się wykazać. Otwierają drzwi. Na widok Benita i mnie lęk na twarzach moich towarzyszy ustępuje miejsca trwoźnej nadziei.

Kolejno przedstawiam ich lordowi. Zachowują się nieskazitelnie poprawnie, mimo oczywistych pytań w oczach każdego, tylko Cosmé wygląda na gotową lada moment uciekać. W końcu to ona mnie porwała. Jednak Hector uśmiecha się do niej.

— Miło cię znowu widzieć, Cosmé — mówi.

Dziewczyna odpręża się z wyraźną ulgą, w odpowiedzi mamrocze coś pod nosem.

Hector rozgląda się po naszym ponurym lokum, potem wychyla głowę na korytarz.

— W gościnnym skrzydle macie znaleźć odpowiednie pokoje dla każdego — rozkazuje strażnikom. — Rozlokujcie ich jak najbliżej mojego apartamentu. — Odwraca się do nas. — Gdy już każdy się rozgości i odświeży, spotkamy się. Mamy wiele do omówienia i zaplanowania.

*

Mnie Hector odprowadza osobiście.

— Dla ciebie, pani, pokój już wybrałem.

Wzruszam ramionami. Po doświadczeniach

podróży przez pustynię każdy pokój byłby dobry.

— Hectorze, tam w gabinecie hrabiego powiedziałaś mi, że jestem żoną Alejandra.

— Tak.

— To przestało być sekretem?

— Król złożył oświadczenie. Gdy skończył się sezon sztormów i wznowiono handel z Orovalle, nie miał wyboru.

Powinnam być zadowolona, że wreszcie uznał oficjalnie nasze małżeństwo. Niczego takiego jednak nie odczuwam.

— A co tam u niego? — pytam cicho. Wydaje się właściwe, żeby żona zapytała o męża.

Stoimy przed grubymi drzwiami. Hector patrzy na mnie ze współczuciem.

— Wszystko w porządku, Eliso. Jest zajęty przygotowaniami do wojny. Martwi się o ciebie, to pewne. Ale czuje się dobrze.

Do drzwi apartamentu, który dla mnie wybrał, Hector puka, co mnie dziwi.

Uśmiecha się.

— Nalegała, żeby się tu znaleźć. Tak była pewna, że Ariña i jej ojciec są zamieszani w twoje zniknięcie, pani.

Jeszcze nie rozsupłałam znaczenia jego słów, gdy otwierają się drzwi i zerka zza nich Ximena.

Moje serce zamienia się w gorący gejzer, gdy czuję jej wzrok na sobie. Szpakowate włosy zbiegały jej na skroniach, kości policzkowe są bardziej zaznaczone,

zmarszczki wokół oczu głębsze. Na mój widok palce wędrują jej do ust, a łzy tryskają z oczu.

— Och, Eliso! Och, słońce moje! — Obejmuje mnie i wciąga do środka.

*

Zapomniałam już, jak to jest być tak rozpieszczaną. Cudowne uczucie zanurzyć się w kąpieli, w ciepłe penetrującym mięśnie, podczas gdy ktoś masuje ci ramiona, mydli włosy, dopieszcza skórę nawilżającymi ziołami. Wyciera i otula miękką szatą, a potem zaczyna czesać ci włosy, gdy siedzisz już na skraju łóżka.

Zamykam oczy i rozkoszne wydaje mi się nawet to, że szczotka od czasu do czasu zadraśnie mnie w szyję.

— Czy otrzymałaś wiadomość ode mnie? — pytam.

— Jaką wiadomość? — Czuję lekkie szarpnięcie, gdy wciera odrobinę oleju słonecznikowego w końcówki moich włosów.

— Parę tygodni temu wysłałam ci wiadomość, żebyś wiedziała, że jestem bezpieczna.

— Opuściłam Brisadulce miesiąc temu.

— Ach, tak.

— To ubranie, które masz na sobie, jest całe poplamione krwią — mówi spokojnie. Nie przestaje szczotkować moich włosów.

Nie ośmielam się otworzyć oczu i mija jakiś czas, zanim jestem w stanie coś powiedzieć.

— Tak. — Przecież wiem o tym. — Ximeno, czy mogłabym opowiedzieć ci o wszystkim kiedy indziej?

— Oczywiście, słońce moje. — Pociągnięcia szczotką są tak delikatne, jakby niani sprawiało radość, że dotyka moich włosów. — Zmieniłaś się — stwierdza, lecz bez cienia zarzutu w głosie.

To prawda. Pod wieloma względami. Postanawiam mówić o tym, co jest oczywiste.

— Pustynia wysała ze mnie trochę ciała.

— Nie to. — Zwalnia ruchy szczotką. — To znaczy tak, to też widać. Ale nie o tym mówię. Widzę zmianę postawy. Sposobu, w jaki się poruszasz.

Szybko kończy szczotkowanie, ubiera mnie w miękką zieloną suknię zamówioną z pałacowych zasobów. Jest trochę za szeroka w pasie, trochę za ciasna w biuście i niezbyt ciepła w porównaniu z moim ubraniem na pustynię i strojem jeździeckim. Jednak rzut oka na zachwyconą twarz Ximeny, gdy mnie ogląda, zamyka mi usta i się nie skarzę.

Przychodzi po mnie strażnik, który ma mnie zaprowadzić do apartamentu lorda Hectora. Nie mogę wyjść, bo Ximena łapie mnie i mocno przyciska do piersi. Śmieję się z nosem w jej włosach.

— Mamy całą noc do pogadania. Cały jutrzejszy dzień — szepczę cicho.

Wypuszcza mnie z objęć i cofa się, ale wysoko

podnosi podbródek.

— Chcę usłyszeć o wszystkim z detalami. A teraz, podczas mojej nieobecności, znajdę dla ciebie więcej strojów.

Rzucam okiem na mój worek leżący przy kominku. Jest w nim wszystko, czego potrzebuję: okrycie wierzchnie, nóż, pudełko z hubką i krzesiwem, bielizna. Wygląda jednak na to, że znowu mam się stać księżniczką.

— Dziękuję, Ximeno. Niedługo wrócę.

Apartment Hectora mieści się w tym samym korytarzu, dwoje drzwi dalej. Są już w nim moi przyjaciele i kilku jego gwardzistów, siedzą na podłodze na pufach, czekają. Gapią się na mnie, gdy stoję w drzwiach, bo jako jedyna ubrałam się odświętnie. Pozostali przywdziali jedynie nowe, czyste wersje codziennego ubioru. Mara wywraca oczami, Jacián spuszcza wzrok. Wkraczam, czując ukłucie serca, choć nie bardzo wiem dlaczego.

Hector schyla głowę na powitanie.

— Skoro księżniczka już jest z nami, możemy zaczynać.

Siadam na pufie koło Cosmé.

— Lordzie Hectorze, czy mógłbyś zacząć od wyjaśnienia, dlaczego znalazłeś się w Basajuan? — pytam. — Sądziłam, że dowódca osobistej gwardii króla nigdy go nie odstępuje.

— Zwykle nie. Jednak po twoim zniknięciu, pani,

Jego Królewska Mość zarządził ewakuację z terenów hrabiego — odpowiada Hector z poważną twarzą. — Wszystkim mieszkańcom tutejszych gór zaoferował schronienie za murami Brisadulce. Hrabia odmówił.

— Treviño wierzył, że wynegocjował pokój — odzywa się Cosmé.

Hector kiwa głową.

— Tak napisał w liście, który dostaliśmy. Hrabianka Ariña dokładała wszelkich starań, żeby przekonać króla o prawdziwości słów ojca. Jego Królewska Mość wahał się długo. Ostatecznie posłuchał innych rad i wysłał mnie tutaj, żebym osobiście dopilnował ewakuacji. Musiał delegować członka Kworum Pięciorga, kogoś uprawnionego do przejęcia w razie czego kontroli nad terytorium hrabiego. Jedynymi dostępnymi członkami byliśmy ja i Ariña. Ja przybyłem tu wczoraj.

— I wczoraj hrabia zapewniał cię, że znalazł sposób na utrzymanie pokoju po wsze czasy — wtrącam.

— Tak. Powiedział, że schwytał przywódcę rebelii. — Przelotny uśmiech poruszył koniuszki jego wąsów. — Kogoś, kogo z determinacją poszukiwali animagowie. Treviño uważał, że jak w geście dobrej woli przekaże cię, pani, Inviernym, to wznovią handel i negocjacje. Zdarzył się jednak incydent, który z ich punktu widzenia unieważnił wcześniejszą umowę. Chodzi o jakieś zatrucie żywności.

Moi towarzysze popatrują na siebie nawzajem,

mają skonsternowane miny, nie widzą bądź nie rozumieją iskierki wesołości w oczach lorda.

— Błyskotliwy plan, błyskotliwie przeprowadzony — konkluduje ostatecznie Hector z ukłonem w naszą stronę. — Jestem przekonany, że zapracuje na naszą korzyść.

— Ale co dalej? — pyta Cosmé. — Uważam, że powinniśmy przekazać wiadomość do Alentína oraz *Malficio* i...

Pukanie do drzwi.

— Lordzie Hectorze — słychać stłumiony głos — Tu kapitan Lucio.

Hector zaalarmowany wygina w łuk brwi. Maszeruje do drzwi i otwiera je z rozmachem.

— Kapitanie?

Nic nie widzę spoza szerokich barów lorda, ale słyszę donośny i wyraźny głos kapitana.

— Właśnie otrzymaliśmy wiadomość. Armia Inwiernych maszeruje na Joya d’Arena.

CZĘŚĆ III





Hector poprosił, bym wracała z nim do Brisadulce. W głowie mam zamęt, trudno mi zdecydować, co wybrać. Wmawiam sobie, że *Malficio* mnie potrzebuje, chociaż wiem, że tak nie jest. Jestem pewna, że moi ludzie dadzą sobie radę beze mnie i będą działać dalej. Być może bardziej ja ich potrzebuję. Ja ich stworzyłam. Są wyłącznie moim dziełem, niezależnym od mojej siostry i mojego męża. Mam powód do dumy. Gdy ich porzucę, zostanę tylko Elisą.

Próbuję sobie wyobrazić powrót do Alejandra po takim czasie. Gdy zamykam powieki, widzę pukle włosów opadające na kark i miodowobrazowe oczy, lecz dokładnych rysów twarzy nie potrafię sobie przypomnieć. Im usilniej próbuję, tym bardziej moja pamięć zawodzi i widzę go jak przez mgłę. A potem materializują się inne kontury, pojawia się smągła twarz i śmiejące się oczy, silnie zarysowany podbródek przyprószony zadatkiem na brodę.

Już nie płaczę. Jestem zbyt zmęczona. Ximena wie, że z jakiegoś powodu mam ranę w sercu, ale nie potrafię jeszcze mówić o Humbercie. Jeszcze nie.

Cosmé przekonuje mnie, że powinnam jechać.

— Jeżeli to, co mówił Belén, jest prawdą... — Przełyka ślinę i stara się kontynuować. Wciąż cierpi, bo żal jej Beléna tak strasznie pokiereszowanego. — Jeżeli on mówił prawdę, animagowie polują na twój Boski Kamień. Nawet nie próbujmy odgadywać, jakiej magii użyją, mając ten ostatni żywy klejnot, który nosisz. Musisz stąd uciekać. Daj mężowi szansę, by cię chronił. — Mówi dobitnie, ale bez emocji. Jest jak stal. Albo jak lód. Dociera do mnie, że straciła więcej, niż sobie uzmysławiałam. Ja nie straciłam rodziców, bo tak naprawdę ich nie miałam. Matka umarła przy moim urodzeniu, a ojciec nigdy nie poświęcał mi czasu — więc nie jestem w stanie zrozumieć jej bólu. I straciła także Beléna. Oraz wielu przyjaciół i krewnych. A teraz jeszcze brata.

Cosmé ma rację, co teraz wreszcie rozumiem. Invierni nie mogą wejść w posiadanie mojego klejnotu. Nie mogą się dowiedzieć, że noszę teraz na szyi amulet i że w Brisadulce znajdują się ukryte w doniczkach z palmami klejnoty, które dostałam od Nicandra.

Zostawiamy Basajuan pod nadzorem Cosmé, której ma pomagać Jacián i większość przybyłych z lordem Hectorem żołnierzy. Jej zadaniem jest ewakuować jak najwięcej ludzi, a potem posłużyć się oddziałem hrabiego do nękania północnej armii Inviernych, która zdążyła w kierunku terytoriów położonych nad morzem. Carlo ma wrócić do *Malficio* z ostatnimi nowinami.

Czuję potrzebę utrzymania jakiejś więzi z życiem

i posłannictwem, jakie ostatnio dla siebie wykreowałam. Mara godzi się zostać moją dwórką, zajmując miejsce po zmarłej Aneaxi. Także Benito wybiera się z nami, ponieważ Hector obiecał mu, że wcieli go do pałacowej gwardii.

Wyruszamy następnego dnia o świcie, kiedy nieśmiały brzask oświeśla szare niebo. Mimo takiej godziny wszyscy przychodzą do stajni nas pożegnać. Rozstanie z towarzyszami wędrówki przez pustynię to jak odcięcie kończyny. Jak można żegnać się z ręką? Chyba nikt tego nie robi. Każdy udaje, że to się nie zdarzyło. Opancerzam się, sercu każę być kamieniem. Przyjaciele są rozczarowani, że nie robię wielkiego halo. Zwłaszcza Carlo patrzy na mnie z rozżaleniem, ma łzy i oczekiwanie w oczach. A ja ściskam mu pośpiesznie dłoń i się odwracam.

Ktoś mnie chwyta z tyłu i obraca do siebie. To Cosmé. Ściska mnie na tyle długo, by szepnąć:

— Nie bądź zimna, Eliso. Nie bądź taka jak ja.

Chwiejąc się, robię krok do tyłu.

— Ale... to pomaga.

Potrząsa głową.

— Nie. Wydaje ci się, że tak, lecz wcale tak nie jest.

Nie przekonuje mnie, jednak kiwam głową.

Hector pomaga mi wsiąść do powozu. Ximena i Mara siedzą już w środku z rękami złożonymi na kolanach, zachowują stoicki spokój. Ktoś wydaje rozkaz, szarpnięto za wodze i ruszamy.

*

Armie posuwają się powoli, uspokaja mnie Hector. Mimo to każdy odczuwa potrzebę pośpiechu, choć się o tym nie mówi. Musimy dotrzeć do Brisadulce dużo szybciej niż Invierni.

Nie da się pokonywać pustyni z końmi i powozami, więc okrążamy ją od północy, zachowując bezpieczną odległość od porośniętych dżunglą gór Hinders, z obawy przed napaścią Wyklętych. Powozem szarpie i kołysze, więc przez część dnia biegnę obok. Aż trudno mi uwierzyć, że kiedyś wolałam chybotliwy powóz od pary własnych nóg.

Na szczęście nikt nie próbuje zachęcać mnie, bym wsiadła na konia.

Nie zatrzymujemy się nigdzie na odpoczynek, nawet po dotarciu do drogi, która mogłaby nas zaprowadzić przez góry Hinders do kraju, gdzie się urodziłam. Jeszcze zanim znaleźliśmy się w miejscu, gdzie zmarła z powodu zakażenia Aneaxi, Ximena przyhołubiła sobie Marę, przyjmując moją nową dwórkę na łono „rodziny”. Nie mogę się nie uśmiechać, widząc, jakie są rozbawione, jedna siwowłosa i tęga, druga młoda i strzelista jak palma. Ich przyjacielskie relacje poprawiają mi nastrój. Stopniowo podczas wieczornego szczotkowania włosów czy gdy wsiadam na jakiś czas do powozu, opowiadam im o Humbercie.

Nie wszystko od razu, bo wspomnienie o nim jest na razie zbyt drogie sercu. Ale też żadna nie nalega na zwierzenia, więc całą prawdę odsłaniam po trochu.

Nocami nawiedzają mnie przerażające sny, w których pojawiają się czarnoksiężnicy o złych oczach i plujące ogniem amulety. Czasem uciekam przed szponiastymi rękami, które sięgają do mojego pępka. Kiedy indziej rozpaczliwie czegoś szukam, ponieważ jeżeli tego nie znajdę, umrą wszyscy, na których mi zależy. Gdy się budzę, nie pamiętam już, czego szukałam. Jednak w tym krótkim momencie mam świadomość, że są sprawy, których zrozumienie jest jeszcze przede mną. Zaciskam dłonie na amuletach — Boskim Kamieniu animaga osłoniętym klatką i na brzydkim złotym kwiecie — bo one przypominają mi, że dwa razy odniosłam zwycięstwo.

Wiem, że to nie wystarczy. Że wciąż coś mi się wymyka.

Zdesperowana zamykam oczy. Módl się mimo wątpliwości, przykazywał ojciec Alentín. Więc się modłę.

Przemy ostro do przodu, tak że nasza karawana pokonuje drogę z Basajuan do Brisadulce w niewiele ponad miesiąc. Jak poprzednio, gdy zostawiamy za sobą pasmo palm, nagle przed nami wspina się do nieba potężny mur, harmonijnie wkomponowany w żółtopomarańczowy piasek, z którego wyrasta. Wrażenie mam identyczne, jak za pierwszym razem, gdy

ujrzałam to miasto. Ściska mnie w gardle. Ile czasu mnie tu nie było? Pięć miesięcy? Więcej? Zgubiłam rachubę.

Hector zatrzymuje karawanę i podjeżdża do mnie. Patrę na niego, zasłaniając oczy przed pustynnym słońcem.

— Jak życzysz sobie wjechać do miasta, Eliso? Uroczyście przez główną bramę? A może jak poprzednio aleją kupiecką?

Jego koń, ciemny gniadosz, potrząsa łbem i rozdyma chrapy, aż się wzdrygam.

— Tylko nie przez główną bramę, proszę.

Lord Hector kiwa głową.

Wjeżdżamy więc aleją kupiecką. Prowadzi nas wzdłuż murów na południe. Widzę zmiany, jakie zaszły podczas mojej nieobecności. Powstały prowizoryczne fortyfikacje przed murami: ciemne doły pułapki w piachu, pośpiesznie wzniesione mury z cegieł i gliny z otworami dla łuczników, wały piachu przykryte brezentem i skórami. Wysoko, na krawędzi muru, widzę chodzące w tę i z powrotem drobne jak zabawki figurki wartowników, uzbrojonych we włócznie i w łuki.

Za murami przygotowania są jeszcze bardziej widoczne. Wzdłuż wewnętrznej ściany rozmieszczono stosy strzał, a pierwsze budynki, do których się zbliżamy, są ciche i wymarłe, opustoszałe, odgradzając miasto barierą bez śladów życia. Smutek przygniata mi serce, gdy napotykamy pierwszych mieszkańców Brisadulce. Poruszają się szybkim krokiem, ze

spuszczonymi głowami, bez uśmiechu na twarzach. Jakże różni od tych, których zapamiętałam.

Gdy znaleźliśmy się przed stajniami Alejandra, odciągam Hectora na bok.

— Czy jesteś pewien, że nikt nas nie oczekuje?

— Baliśmy się wysłać jakąkolwiek wiadomość. Mieliśmy na uwadze to, że podczas ostatniej podróży zaatakowali nas Wyklęci. A teraz, gdy wiadomo powszechnie, że jesteś żoną Alejandra, ty stałaś się celem.

Pomyślałam sobie, że celem jestem od dawna, bo noszę w sobie Boski Kamień, ale powstrzymałam się od tej uwagi.

— Więc Alejandro nie wie, co się ze mną dzieło?

— Nie.

Nagle ogarnia mnie zadowolenie, że Ximena nie dostała mojego zaszyfrowanego listu. Niespodziankę obrócę na naszą korzyść.

— Proszę, nie ogłaszaj jeszcze naszego przybycia. Pragnę zrobić prawdziwy spektakl — mówię do Hectora.

Zwężają mu się oczy.

— Jak mam to rozumieć?

— Chcę mu zostać przedstawiona jako przywódca *Malficio*. Na oczach wszystkich.

Zastanawia się przez jakiś czas.

— W takim razie nie mogę zaprowadzić cię, pani, do twojego apartamentu. Musimy znaleźć inne miejsce,

gdzie się odświeżysz. Coś w części pałacu dla służby.

— Znakomicie.

Zasuwamy zasłonki w powozie i czekamy, podczas gdy Hector czyni niezbędne przygotowania. Wkrótce Ximena, Mara i ja zostajemy ulokowane w surowym pobielonym pomieszczeniu z piętrowym łóżkiem. Mara deklaruje, że będzie spała na podłodze.

Król Alejandro ma spotkać się z dworem dopiero następnego popołudnia. Zamawiamy dla siebie jedzenie i nie wychodzimy — rozmawiamy, przechadzamy się po pokoju. Dziwnie się czuję, moje myśli krążą wokół męża, który jest teraz oddzielony ode mnie wieloma ścianami. Powinnam się czuć w tym pałacu swojsko, jak w swoim domu. Tutaj jestem znowu księżniczką i przyszłą królową. Tymczasem mam poczucie dystansu. Brakuje mi otwartej przestrzeni, przeplatania się światła z mrokiem w naszej wiosce wmontowanej w monolit.

I tęsknię za Humbertem.

Następnego dnia Ximena szykuje mnie jak prawdziwy ekspert. Z części włosów zaplata mi warkocz i przypina go z przodu jak diadem. Reszta włosów opada swobodnie aż za talię. Tego dnia, kiedy wyruszaliśmy z Basajuan, wyrzuciła poplamiony krwią strój jeździecki i przeszukała pałacowe szafy, wyławiając stosowne suknie. Dzisiaj wyjmuje je z podróżnego kufra i pokazuje jedną po drugiej, bym którąś wybrała. Pierwsza, z delikatnego zielonego płótna, przymarszczona pod biustem, ma wierzchnią

warstwę spódnicy z powiewnej, przezroczystej tkaniny.

— Zbyt kobieca — orzekam. — Mam wyglądać jak ktoś, kto przez ostatnie miesiące dowodził *Malficio*.

Przynosi suknię z mięsistego aksamitu w geometryczny wzór, ozdobioną czarnymi lamówkami. Ale kolor — czerwień pustynnego piasku o zachodzie — może się kojarzyć z krwią. Mówię, że suknia się nada, jeżeli nie znajdziemy nic lepszego.

Ximena odkłada na bok spódnicę do jazdy konnej i sięga po następną suknię.

— Czekaj! — wołam. — Co tam masz?

Podnosi w górę spódnicę z grubego czarnego sukna z rozcięciem z przodu na dole. Znajduje do niej gorset i ciemnozielony kaftan z czarnymi guzikami i takim samym oblamowaniem. Wygląda to solidnie i ambitnie. Na oko wydaje się może trochę za małe.

— Podoba mi się — mówi Mara.

O dziwo leży na moich biodrach wprost idealnie. Ximena sznuruje mi gorset przy akompaniamencie groźnych ostrzeżeń, co się z nią stanie, jeżeli ściągnie sznurki za mocno. Potem niania nakłada mi róż na wargi i odrobinę wciera w policzki, a na koniec podbarwia mi rzęsy proszkiem antymonowym. Mara obserwuje to wszystko bacznie, jest zafascynowana.

Przychodzi po nas lord Hector i prowadzi do reprezentacyjnej części pałacu.

— Król Alejandro przyjął do wiadomości, że zaanonsuję przywódcę *Malficio*. Ale nie wie, że to ty,

pani. Chyba zdajesz sobie sprawę, że to drobne oszustwo może mu się nie spodobać, więc jak?

Uśmiecham się, ale nie jest mi do śmiechu.

— Będę cię bronić. — Wiem jednak, że dopiero się okaże, czy mam jakikolwiek wpływ na własnego męża.

Odwracam się do moich pań.

— Kiedy zostanę zaanonsowana, obserwujcie reakcję zgromadzonych. Chcę się zorientować, jaki jest ich stosunek do *Malificio*. I chcę także wiedzieć, czy nastroje się zmienią po tym, jak już wszyscy się dowiedzą, kim jestem.

Kiwają głowami, że zrozumiały, podczas gdy lord Hector ma chmurną minę.

Dochodzimy na miejsce szybko, jak dla mnie zbyt szybko. Stając przed okazałymi dwuskrzydłowymi drzwiami, czuję się bardzo mała. Ostatnim razem, gdy byłam w tej sali, znajdowałam się na podium, a małe dziecko ogłaszało światu, że jestem gruba.

Drzwi otwierają się, przed nami długie przejście między gęstym tłumem po obu stronach. Ciężkie żyrandole zwisają z sufitu, wyznaczając idealną linię prostą wiodącą do podium i tronu. Mój mąż, król Alejandro de Vega, rozpira się na nim w pozie monarszego znudzenia — ramiona rozluźnione, jedna noga wyciągnięta niedbale do przodu, na pięknej twarzy niemal nie widać reakcji na moje pojawienie się.

— Wasza Królewska Mość — zwraca się do króla lord Hector — przedstawiam oto przywódczynię

Malificio, która niedawno własnoręcznie pozbawiła życia jednego z animagów.

Posyłam mu gniewne spojrzenie, nie prosiłam, by o tym mówił.

Dworzanie zerkają na mnie z niekłamanym zainteresowaniem. Alejandro poprawia się nieco na tronie, mruży oczy. Jak niegdyś nie oddycham swobodnie pod jego intensywnym wzrokiem. Hector ponagla mnie lekkim szturchnięciem w łokieć, więc idę niepewnie do przodu, moje panie tuż za mną.

Zbliżając się do podium, wyraźniej widzę twarz króla. Jest dziwnie obojętna, choć dostrzegam lekki przebłysk ciekawości. Dopiero gdy mam za sobą pół długości sali, jego twarz się ożywia. Oczy wędrują wzdłuż mojego ciała od stóp do głowy, zatrzymując się na chwilę na moim biuście. Usta wyginają się w półuśmiechu. Zaciekawiałam go i jego zainteresowanie rośnie. Pochlebia mi. Ale to twarz nieznanego.

Oblewa mnie gorący rumieniec. Przyjemny dreszcz przeszywa mnie niczym strzała. Nie dreszcz zmysłowy — dreszcz podniecenia z poczucia władzy, jakiego dotąd nie znałam.

Alejandro wstaje, uśmiecha się.

— Witaj, władczyni *Malificio*. — Głos ma oficjalny, oczy pełne zachwytu.

Niemal wpadam w panikę. Znika rozkoszne poczucie władzy nad nim, zastępuje je poczucie upokorzenia. Staje się dla mnie oczywiste, że mój mąż

nie rozpoznaje własnej żony. Na domiar złego nie przejmuje się publicznością i nie kryje zachwytu dla obcej kobiety, którą uznał za atrakcyjną.

Kiedyś patrzył na mnie z taką samą intensywnością, jakbym była dla niego jedyną ważną osobą na świecie. Czy aż tak się zmieniłam? A może to hipnotyzujące spojrzenie to tylko rodzaj broni w całym arsenale uwodzenia. Być może wtedy patrzył, lecz nie widział.

Pozostałą odległość pokonuję niesiona gniewem. To on powinien czuć się paskudnie i się wstydzić, nie ja. Wchodzę na stopnie podium, dygam głęboko.

— Wasza Królewska Mość — mówię głośno ze spuszczonej oczami.

Słyszę cienki głosik po lewej ręce Alejandra.

— Elisa? Ehm... to znaczy Wasza Wysokość?

Prostuję się zaskoczona. Spoza czyjejś szerokiej spódnicy zerka na mnie chłopczyk. Rozczochrane czarne włosy, cynamonowe oczy. To księżę Rosario uśmiecha się od ucha do ucha.

— To jesteś ty! — wykrzykuje.

Wyrywa się do przodu, wyciągam do niego rękę. Czepia się moich bioder, pochylam się i całuję go w czubek głowy. Mrugam powiekami, powstrzymując łzy, bo nie chcę pokazać po sobie, ile znaczy dla mnie jego entuzjastyczne powitanie.

— O mój Boże! — Alejandro robi parę kroków do przodu. — Nie rozpoz... myślałem, że...

To jest naprawdę nie do wybaczenia. Rosario nie

miął problemu z rozpoznaniem mnie, chociaż spędziliśmy ze sobą zaledwie parę godzin. Do tego Ximena za moimi plecami powinna być jakimś sygnałem. Postanawiam jednak być wyrozumiała.

— Miło cię znowu widzieć, Alejandro.

— Tak, tak, tak, ciebie także. — Przyciska wargi do mojego czoła, potem przygląda się bacznie mojej twarzy. Jego konsternacja mnie śmieszy. — Co to za gra z tą przywódczynią *Malificio*? — pyta.

— Mamy nie tylko to do omówienia.

Mruży oczy kilka razy. Obejmuje wzrokiem zgromadzonych.

— Audiencja jest odwołana w dniu dzisiejszym — oznajmia głośno. Na jego twarzy pojawia się uśmiech, ten chłopięcy, od którego tajałam po palce stóp. — Wróciła moja żona — dodaje bardziej miękko.

Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie, prowadząc ku wyjściu, podczas gdy tłumek dworzan ożywia się i żegna nas gwarem. Alejandro wydaje się zadowolony, że pierwszy szok minął.

Ja natomiast chciałabym wiedzieć, co tak naprawdę czuję.

*

Opowiadam mu co nieco o pobycie na pustyni i o

uwięzieniu przez hrabiego. Jednak w obecności męża czuję się nieswojo. Chociaż wraz z moimi paniami nie przeniosłam się jeszcze z ciasnego pomieszczenia, wymawiam się głodem i zmęczeniem, by jak najszybciej rozstać się z Alejandrem.

Zgadza się dać mi trochę czasu.

— Ale wieczorem zjemy razem obiad — nalega. — W moim apartamencie. Wtedy skończysz opowiadać.

Mamroczę pod nosem coś niby na zgodę i pozwalam się prowadzić do dawnych pokoi. Do apartamentu królowej. Kiedy idziemy korytarzami po kamiennej posadzce — Ximena i Mara za nami — dociera do mnie, że zamek wygląda troszkę inaczej. Jest jakby odświeżony i jaśniejszy. Po drodze obrzucam wzrokiem każdy hol i alkowę, starając się uchwycić, na czym polega zmiana. Skręcamy za róg, potrącam ręką pierzasty liść palmy.

Rośliny! Na tym polega różnica. Są wszędzie. Palmy i paprocie, większość ukwiecona jak w dżungli.

— Dlaczego się uśmiechasz, co cię tak nagle ucieszyło? — pyta Alejandro.

— Rośliny w donicach!

Śmieje się rozbawiony.

— No tak. Zaczęło się po twoim zniknięciu. Rozeszło się, że nakazałaś ozdobić roślinami swój apartament. Potem każdy też chciał mieć je u siebie.

Dochodzimy do drzwi. Jest podobnie jak wtedy, gdy Alejandro eskortował mnie tu po raz pierwszy.

Mam wrażenie, że jestem gościem i zostaję na jedną noc.

Pochyliła się i muska wargami moje usta.

— Zobaczmy się na obiedzie — szepcze.

Przełykam ślinę, gdy odchodzi. Ximena i Mara wpadają do środka przede mną.

— Och, jak tu pięknie! — piszczy Mara.

Zamykam drzwi.

— Boskie Kamienie — mówię gorączkowo. — Musimy je znaleźć. Zanim zrobimy cokolwiek innego.

— Rozglądam się po pokoju. Nie ma mojej palemki.

— O czym ty mówisz? — pyta Ximena.

— Ojciec Nicandro dał mi kilka Boskich Kamieni. Starych. Zagrzebałam je między korzeniami palmy.

Niania wygląda na zszokowaną. Wciąż nie jest przyzwyczajona do mówienia otwarcie o takich sprawach. Ale już nie czuję przed nią strachu, nie zważam na nią i biegnę do balkonu, rozsuwam zasłony. Balkon jest pusty.

— Tutaj jest palma! — z atrium woła Mara, aż się niesie echo.

Wpadam tam i patrzę w kąt, który pokazuje.

— To nie ta — mówię. — Jest mniejsza i gęściejsza. Moja była wyższa. — Wracam z powrotem do sypialni, ale coś przyciąga mój wzrok. Kafelki wokół wanny. Na nich wymalowane drobniutkie żółte kwiatki. Dziwne czterolistne kwiatuszki z niebieskimi plamkami. Mój Boski Kamień zadrgał.

— Słońce moje — odzywa się Ximena — nie ma tu

innych palm. Jesteś pewna, że to nie ta?

Serce zaczyna mi łomotać, bo sytuacja staje się poważna.

— Och, Ximeno, to straszne, że te klejnoty zniknęły.

Ktoś musiał wtargnąć do mojej sypialni, gdy nastąpiła moda na dekorowanie pomieszczeń roślinami.

— Jestem pewna, że w końcu je znajdziemy — uspokaja mnie Ximena, ale brwi ma ściągnięte, nie pojmuje mojej paniki.

— Nic nie rozumiesz. Musimy znaleźć je teraz, być może zniszczyć. Jeżeli ich nie znajdziemy i wpadną w ręce animagów, przegramy wojnę.



Po kilku godzinach jestem zmuszona porzucić poszukiwania, ponieważ czeka mnie obiad z królem.

Apartament Alejandra wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam: przyćmione światło świec, czerwienie i brązy, łoże i toaletka zrobione z surowego drewna, kadzidlany zapach, ciepło. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na wielkiej poduszce z frędzlami. Naprzeciwko mnie mój mąż. Półmiski z parującymi potrawami na dywanie tworzą bezpieczną barierę między nami.

Zaczynam od *pollo pibil* — ulubionego dania Alejandra, jeśli dobrze pamiętam — i popijam pierwszy kęs łykiem schłodzonego wina. Przyglądam się półmiskom, zastanawiając się nad wyborem następnej potrawy, a robię to w takim skupieniu, jakby od tego zależały losy królestwa Joya. Unikam w ten sposób uporczywego wzroku Alejandra, który przygląda mi się z niegasnącym zaciekawieniem.

Beztroski chłopięcy uśmiech zniknął z twarzy, która zdradza teraz oznaki zmęczenia i troski.

— Przemawiałem dzisiaj na spotkaniu Kworum Pięciorga — zaczyna ostrożnie, gdy ja sięgam po

gorący grzyb w czosnkowej panierce.

— Ach tak?!

— Uważają, że powinniśmy urządzić uroczystość koronacyjną jak najszybciej. Zbliża się wojna... — Załamał mu się głos i przygasły błyski w oczach. Pogryzam grzybowy smakołyk i słucham, co ma jeszcze do powiedzenia. — Ponieważ zbliża się wojna, uważają, że radość z posiadania świeżo koronowanej królowej podniesie morale podwładnych.

— A ty co o tym myślisz? — pytam z pełnymi ustami.

— Zgadzam się z nimi.

Nie śpieszę się z żuciem i przełknięciem, bo chcę zebrać myśli.

— Kiedy się tu znalazłam po raz pierwszy, prosiłeś mnie o zgodę na utrzymanie naszego małżeństwa w sekrecie. Teraz śpieszysz się, żeby oficjalnie uznać mnie za żonę i królewską małżonkę. Dlaczego?

Podnosi kielich z winem.

— Przedtem wiele politycznych korzyści płynęło z tego, że tron królowej wciąż był pusty. — Oczy ma rozbiegane i zachłannie pije wino, jakby to była woda życia.

— A teraz, ponieważ wszyscy poznali sytuację, są zdania, że powinnam natychmiast zostać ukoronowana?

— Tak.

— Nawet Ariña? — Hrabianka dostała zapewne apopleksji, kiedy się dowiedziała o naszym małżeństwie.

To prowadzi mnie dalej do wniosku, że nie polityczne względy były powodem utrzymywania w sekrecie naszego ślubu. Alejandro zwyczajnie nie miał odwagi stanąć z taką informacją przed obliczem kochanki.

Palce jego ręki zaciśniętej na kielichu z winem pobielały, ale głos ma spokojny.

— Nawet Ariña. Zwłaszcza w świetle informacji, że nie kto inny, tylko ty przewodziłaś tajemniczemu *Malficio*. Wielkim dobrodziejstwem dla obywateli będzie świadomość, że ich królowa nie tylko została wybrana do noszenia Boskiego Kamienia, lecz dzięki własnym przymiotom została bohaterką.

Bohaterką? Zabrzmiało mi to groteskowo.

— Wpadłam po prostu na pomysł. To wszystko. Twoi podwładni dokonali reszty. — Marszczę brwi, patrząc mu w oczy. — Musisz, Alejandro, zdać sobie sprawę z tego, że hrabianka Ariña to zdrajczyni.

Zwężają mu się oczy.

— Nie znajdzie się już w moim łóżu, jeżeli to budzi twój niepokój.

— Mój niepokój budzi banalna sprawa zdrady stanu — wybucham ze złością. Rozmowa nie przebiega tak, jak sobie wyobrażałam, nie chce mi się wierzyć, że to szyderstwo mi się wyrwało.

Wzrusza ramionami, znowu wydaje się bezbronny.

— Nie możemy być pewni...

— Wiedziała, co robi jej ojciec. I nic nie powiedziała. Pomyśl o tych wszystkich wojennych

naradach, Alejandro. O tych wszystkich spotkaniach Kworum, kiedy mogła wyjawić prawdę.

Cień wahania przebiega mu po twarzy.

— Jeżeli poprawi ci to samopoczucie, będę ją obserwował.

Chciałabym, żeby ostatecznie znalazła się w więzieniu i już nigdy nie stanęła na drodze ani mnie, ani Cosmé, jeżeli w ogóle przetrwamy tę wojnę.

— To się przyda. Dziękuję — mówię krótko.

— Kworum zakłada, że uroczystości koronacyjne odbędą się za dwa dni.

To niemal już! Pamiętam chwile — wydaje się, że to było bardzo dawno temu — kiedy leżałam w łóżku w sąsiednim apartamencie, przyciskając palcami Boski Kamień i kierując do Boga pytanie, czy powinnam zostać królową. Teraz muszę podjąć grę, choćby tylko po to, żeby spełnić obietnicę daną grupie ludzi, którzy marzą o własnym wolnym miejscu na ziemi.

Wino rozgrzewa mi krew i dodaje odwagi, a ciepłe i tęskne spojrzenie Alejandra znowu budzi we mnie poczucie władzy, więc decyduję się na pierwszy krok.

— Miałeś rację co do jednego — odzywam się, powracając do tonu pełnego respektu. Niemal przymilnego. — Partyzanci są bohaterami. Są najdzielniejszymi wojownikami, jakich znam. Oddaliby życie, byle przyczynić się do twego zwycięstwa.

— Masz rację, że jesteś z nich dumna.

— Jeżeli przetrwamy wojnę... — Lęk zaciemnia

mu twarz na słowo „wojna”. — Zatem jeżeli przetrwamy wojnę, chciałabym się osobiście nagrodzona, gdyby zostali uhonorowani.

— Oczywiście — zgadza się szybko, ale umyka gdzieś ze wzrokiem i marszczy brwi.

— O co chodzi, Alejandro?

Słyszę westchnienie.

— Czy mogę ci coś powiedzieć w zaufaniu, Eliso?

— Oczywiście.

Dopija wino i odstawia kieliszek.

— Boję się tej wojny. — Uśmiecha się z nutą autoironii. — Mój ojciec zginął od strzały jednego z Inwiernych. Na moich oczach. Do tej pory prześladują mnie koszmary senne. A kolejne doświadczenie na polu walki skończyło się dla mnie sporą utratą krwi.

— Mówisz o Wyklętych? — pytam cicho. Czyżby dlatego nie był zdolny do podejmowania decyzji, że łatwo poddaje się panice?

— Tak, o nich. Widzisz sama, jak daleko mi do bohaterstwa. To ty mnie uratowałaś tamtego dnia, chyba pamiętasz?

Nie zdawałam sobie sprawy, że świadomość zawdzięczenia komuś życia może być upokarzająca. Omal nie przewróciłam oczami.

— Przyrzekam oszczędzić ci wstydu następnym razem. Pozwolę ci zginąć.

Widząc bolesny grymas na jego twarzy, chętnie cofnęłabym te słowa. Skąd się wzięła ta nowa okrutna

Elisa?

— Rozumiem cię — mówię pojednawczo. — Kilkakrotnie w ciągu ostatnich miesięcy byłam tak przerażona, że mogłabym umrzeć ze strachu. Ale to mijało, bo trzeba było podejmować decyzje i działać, więc na jakiś czas lęk mnie opuszczał.

— Czy tak jest łatwiej?

Uśmiecham się gorzko.

— Jestem teraz bardziej przerażona niż kiedykolwiek. Widziałam umierających ludzi. — Umierali w moich ramionach, dodaję w duchu. Przełykam ślinę. — Mam świadomość, że będzie trudno dalej żyć... Nawet jeżeli zwyciężymy.

Kuli się w sobie, a więc prawdopodobnie pogorszyłam sprawę.

Wstaję i przeciągam się. Odebrało mi apetyt i zatęskniłam do Ximeny i Mary.

— Mam nadzieję, że wybaczysz mi nagłe odejście, Alejandro, ale skoro koronacja ma się odbyć za dwa dni, muszę rozpocząć przygotowania. — To kłamstwo. Mam gdzieś uroczystości koronacyjne.

On też wstaje i przytrzymuje moje ręce.

— Cieszę się, że wróciłaś. — I znowu pojawia się wyraz bezradności na jego twarzy, który niegdyś wywoływał u mnie chęć przytulenia go i szeptania słów pociechy.

Spuszcza wzrok, patrzy na moje piersi. Gorset i kaftan jeździecki wypychają mi je niemal pod brodę.

Mam wrażenie, że gdybym schyliła głowę, mogłabym ją oprzeć na nich jak na wygodnej poduszce.

Alejandro obejmuje mnie ręką w talii, po czym przyciąga do siebie i przyciska tak mocno, że rozpląszcza mi biust.

— Elisa — szepcze i łakomie patrzy na moje wargi.

Chcę, żeby mnie pocałował, chociaż w sercu noszę poczucie krzywdy. Chcę poczuć satysfakcję z tego, że jestem pożądana przez tego, kogo kiedyś sama pożałowałam. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzy, wiem, że tej nocy mogę być po raz pierwszy z mężczyzną, jeżeli się na to zdecyduję.

Pochyla się i muska wargami moje usta. Najpierw delikatnie, potem łapczywie. Jego palce wplątują się w moje włosy, wciąga moją dolną wargę między swoje, przesuwa językiem po moich zębach. Jego usta dżentelmena przebywającego na ogół w czterech ścianach są miękkie. Bardziej miękkie niż usta Humberta.

Gwałtownie wyrywam się z jego objęć.

Jest zaskoczony, ale szybko przywołuje na twarz wyrozumiały uśmiech.

— Rozumiem, Eliso. Nie jesteś na to gotowa. Mamy dużo czasu, żeby się poznać nawzajem. — Takim tonem przemawiał do małego Rosaria. Dobrodusznym. Protekcyjnym.

— Dziękuję za zrozumienie. — Uśmiecham się słodko. Humberto tego dnia, kiedy umierał, mówił

o sposobie uwolnienia się od Alejandra. Co odkrył?

Teraz to nie jest ważne. Muszę zostać królową, jeżeli chcę pomóc ludziom, którzy stali mi się bliscy. Mam nadzieję, że za kilka miesięcy pozostanie jeszcze coś, czym będę władała jako królowa.

*

Wchodzę do siebie przez drzwi łączące obydwie apartamenty. Ximena czyta *Scriptura Sancta*, Mara naprawia swoją suknię. Podnoszą wzrok ze zdziwieniem.

— Nie spodziewałam się ciebie tak szybko — mówi Ximena.

— Czy znalazłyście donicę z tą palmą?

Ximena wzdycha.

— Nie. Nie ma jej w klasztorze. Mara sprawdziła pokoje służby.

— Kuchmistrz przyłapał mnie na rozgrzebywaniu ziemi w doniczce — opowiada Mara bliska parsknięcia śmiechem.

Padam sfrustrowana na łóżko.

— Dekoruje pewnie apartament jakiegoś dworskiego dygnitarza. Muszę znaleźć sposób na sprawdzenie wszystkich pałacowych pokoi. Mam nadzieję, że Hector mi pomoże.

— Poprosimy go o to jutro — mówi Ximena. Ona

oczywiście czuje się nieswojo, wprzęgnięta w poszukiwanie Boskich Kamieni, ponieważ jako wyznawczyni Reformacji ma ugruntowany pogląd, że wszystkie takie sprawy należy zostawić ich naturalnemu biegowi. Zgodziła się pomóc, ponieważ zdołałam jej wyjaśnić, że będzie dużo gorzej, jeżeli czarnoksiężnicy Inwiernych znajdą je przed nami. Przypuszczam, że jako koronowana królowa mogłabym zarządzić przeszukanie całego pałacu, ale myśl o tym mnie mierzi. Zaiste cudowny sposób na zjednywanie sympatii nowych podwładnych.

Nabieram w płuca powietrza i komunikuję:

— Za dwa dni będę koronowana na królową.

Wybałuszają oczy.

— To cudownie, Eliso — mówi Mara.

Ktoś puka. Podskakuję, myśląc, że to może być Alejandro. Ximena uchyla drzwi i chwyciwszy coś, zatrząskuje je.

— Wiadomość dla ciebie z poczty gołębiej — mówi, wyciągając rękę. Malutki pojemniczek trzyma między kciukiem i palcem wskazującym.

Wyrywam go z jej palców, odkręcam wieczko i rozwijam drobny zwitek pergaminu.

— To od Cosmé! — wykrzykuję w podnieceniu. Łzy tryskają mi z oczu. — Natarli na Basajuan, wojska hrabiego uciekły w rozsypce w góry Hinders. Spalili wszystkie okoliczne wsie. Cosmé organizuje grupę, która ma nękać tyły Inwiernych maszerujących na

Brisadulce. — Podnoszę wzrok, wymachuję małym pergaminem. — Ona pisze, że możemy się spodziewać uchodźców. Nawet tysięcy.

— To chyba dobrze, czy nie? — zauważa Mara. — To znaczy, że udało jej się ewakuować mnóstwo ludzi.

Kiwam głową.

— Tak, to dobrze.

Módl się mimo wątpliwości. Padam na kolana na kamienną podłogę. Leżąc twarzą do ziemi, modlę się o bezpieczeństwo Cosmé, Jaciána, nawet zdrajcy Beléna. Błagam Boga o ocalenie Alentína i ludzi z jego wioski. Zaklinam Boga, by podpowiedział mi, jak walczyć z czarami animagów. Skoro nie proszę o błahę sprawę, On z pewnością rozważy moje prośby.

Gdy wreszcie padam na łóżko, moje ciało aż paruje, tak jest rozgrzane od Boskiego Kamienia.

*

Następny dzień to nużący młyn. Każdy chce wiedzieć, co myślę, ale pytają o sprawy dla mnie bez znaczenia. „Jak ma wyglądać twoje wejście na salę, Wasza Wysokość?”. „Jakie potrawy zyczysz sobie na uczenie po uroczystości?”. „Czy wolisz orientalne lilie czy kwiaty allamandy?”. „Czy orkiestra ma grać hymn *Glorifica* czy *Wjazd triumfalny*?”.
.

Czy oni nie zdają sobie sprawy, że nadchodzi wojna?

— To właśnie nadchodząca wojna sprawia, że koncentrują się na uroczystości ze wszystkimi jej detalami — tłumaczy mi Ximena. — Więc jako przyszła królowa bądź wyrozumiała, uśmiechaj się, niech się cieszą tą krótką chwilą szczęścia.

Ma rację. Wzbiera we mnie poczucie winy. Zapominam o tym, że trzeba być wyrozumiałą.

— A teraz powiedz mi, słońce moje, która z tych kreacji najbardziej ci się podoba?

Zgodnie wybieramy jedwabną suknię spowitą tiulem w kolorze złocistego wina, wykończoną delikatnym haftem z motywem winorośli. W zestawieniu z połyskliwą tkaniną moja przyciemniona słońcem skóra nabiera blasku. Zwykle moje suknie wymagały podwinięcia, ale jestem teraz nieco wyższa niż przed porwaniem na pustynię. Z pewnością to mój ostatni skok wzrostowy.

— Będzie idealnie, jeżeli poluzuję ją w biuście — orzeka Ximena. — Alejandro zobaczy, jaka jesteś piękna. — Z jej oczu bije jakaś siła. Jest moją matką, bo tej nigdy nie miałam, i jak to matka będzie się upajała dniem mojej koronacji i przechowywała potem w sercu każdy moment.

Muszę ją uścisnąć.

— Dziękuję, Ximeno.

Raniutko następnego dnia niania mnie budzi,

rozsuwając balkonowe zasłony. Wschodzące słońce rzuca mi na twarz miodowy strumień światła. Idę po śliskich kafelkach do basenu w atrium podtrzymywana przez Marę, a Ximena szuka zioła do kąpieli.

— Maro, te kafelki... — Przesuwam palcami po glazurowanej powierzchni. Każdy jest trochę inny, ale wszystkie mają ten sam wzór: bukiet złożony z czteropłatkowych kwiatków, a na każdym płatku jedna niebieska plamka przypominająca kleks, a może oko. Gdy przyglądam im się z bliska, mój Boski Kamień żywo reaguje, jakby witał starego przyjaciela. — Czy możesz popytać o nie dzisiaj? Dowiedzieć się czegoś?

— Oczywiście. — Namydla mi głowę, a ja zamykam oczy i układam się wygodnie.

Kilka godzin później staję przed salą audiencyjną po raz drugi w ciągu trzech dni. Czekając w kremowych jedwabiach, słyszę gwar za dwuskrzydłowymi drzwiami i robi mi się duszno. Kolejna ceremonia przygotowywana naprędce, tak jak mój ślub. I znowu Alejandro czeka na mnie na końcu długiego przejścia od drzwi do podium. Tym razem nie ma ojca, który by mnie wprowadził, ten zaszczyt przypadł na moją prośbę lordowi Hectorowi.

Podnoszę wzrok na jego przystojną ogorzałą twarz. Jest wyższy od Alejandra, mocnej budowy, podnosi mnie na duchu jego obecność.

Przypatruje mi się w skupieniu.

— Jesteś piękną królową, Eliso — mówi ściszym

głosem.

Nie spodziewałam się po nim, że powie coś takiego.

— Miesiąc czy dwa obżerania się ciastami i wrócę do normy. — Śmieję się, by potraktował to jako żart.

Nie zmienia wyrazu twarzy.

— Nawet to ci nie zaszkodzi.

Miło, że tak mówi.

— Dziękuję ci za wsparcie. Jestem szczęśliwa, że jesteś przy mnie.

Delikatnie ściska mnie w ramię.

— Będę zawsze. — Wbija teraz wzrok w drzwi, przyobleka na twarz kamienną maskę, ale znam go coraz lepiej. Tak jak Cosmé trzyma uczucia na wodzy.

Pierwsze dźwięki hymnu *Glorifica* przesączają się przez ściany. Hector i ja prostujemy się. Muzyka rozbrzmiewa coraz głośniejszymi akordami, drzwi otwierają się do wewnątrz. Trzymam głowę wysoko, gdy Hector prowadzi mnie przejściem wyłożonym świeżym dywanem. Alejandro patrzy na mnie jak porażony, przy nim dostrzegam drobną sylwetkę Rosaria.

Wszystko potem dzieje się bardzo szybko. Alejandro całuje mnie w policzek; ojciec Nicandro wyśpiewuje słowa przysięgi mówiące o honorze i odpowiedzialności, a ja powtarzam je za nim. Z poduszki leżącej na postumencie ksiądz podnosi koronę — ciężką złotą obręcz, na widok której już

zaczyna mnie boleć głowa — i osadza ją na moich włosach, puszczając do mnie oko. Gestem prosi, bym odwróciła się do zgromadzonych.

— Oto królowa Lucero-Elisa de Vega z domu Riqueza! — obwieszcza.

Szlachetne zgromadzenie klęka jak jeden mąż. Alejandro chwyta mnie za rękę i siadamy na stojących obok siebie tronach. Patrzą z zazdrością, jak małego Rosaria zabiera jego niania. Po jakimś czasie drętwieją mi pośladki, bo wszyscy muszą być mi kolejno przedstawieni. Ale pamiętam o słowach Ximeny, że oni rozpaczliwie potrzebują otulić się welonem szczęścia. Witam więc każdego z pewnością siebie i uśmiechem, przekazuję słowa otuchy, gdy ktoś podniesie temat wojny.

To wszystko jest tylko teatrem, gdyż w miarę mijającego popołudnia mój pępek zaczyna pulsować, wysyłając charakterystyczny sygnał — zimna. Jest słaby, nic takiego, czego nie zniwelowałyby krótka modlitwa. Oznacza jednak, że nadciągają po mnie Invierni i są bliżej, niż myśleliśmy.



Kiedy ceremonia się kończy, myślę o ponownym skoncentrowaniu się na poważnych sprawach związanych z przygotowaniem do wojny. Tymczasem wygląda na to, że połowa obywateli ma zapotrzebowanie na poradę czy względy królowej. Druga połowa jest zainteresowana zrobieniem ze mnie swojego dłużnika, więc dzielą się ze mną bezcennymi spostrzeżeniami na najróżniejsze tematy, zasypują mnie prezentami, przedstawiają wpływowym osobom. Dwa pierwsze dni panowania jako królowa spędzam na kiwaniu głową niczym kurczak i powtarzaniu w kółko „dziękuję”.

Drugiego dnia po południu, gdy drobna, ale brzydka lady Jada trajkocze w moim apartamencie, lawinowo narasta we mnie frustracja. Tyle jest rzeczy do zrobienia. Muszę szukać Boskich Kamieni, porozmawiać o strategii na czas wojny z generałem Luz-Manuelem, poczynić przygotowania na przyjęcie uchodźców, odbyć rozmowę z hrabianką Ariñą, spędzić trochę czasu z Rosariem.

Rosario. Nikt nie poświęca mu czasu. Nikt się nie zastanawia, co robi chłopiec.

Podnosząc do góry rękę, przerywam gadkę lady Jady, która narzeka akurat na pałacową pralnię.

— Przypomniało mi się właśnie, że muszę dopilnować czegoś bardzo ważnego — mówię chłodno. — Mam nadzieję, że wybaczysz mi, pani.

Marszczy nos skonfundowana, ale szybko odzyskuje rezon.

— Będziemy musiały znowu porozmawiać. — Wykonuje poprawny dyg.

— Do zobaczenia wkrótce.

Jak tylko wychodzi, zwracam się do Ximeny:

— Rosario przeprowadzi się do nas na kilka dni. Trzeba wnieść dodatkowe łóżko, przynieść jego ubranka codzienne, może trochę zabawek. Powiedz jego niani, że ma tydzień wolnego. A tak naprawdę nie musi wracać, póki wojna się nie skończy.

Ximena uśmiecha się radośnie.

— Idę wszystko załatwić.

Po chłopca wysyłam Marę i czekając, przechadzam się po pokoju zatopiona w myślach. Ilekroć zerknę na kafelki, którymi wyłożony jest basen w atrium, Boski Kamień lekko drży.

Wraca Mara, holując Rosaria. Ten ma oczy szeroko otwarte, a w nich jakby cień podejrzliwości.

Uśmiecham się do niego.

— Pomyślałam sobie, że być może chętnie zostaniesz tu z nami przez jakiś czas.

Zwężają mu się oczy.

— Po co?

Otwieram usta, żeby powiedzieć mu coś zdawkowego w rodzaju: „Poznamy się lepiej” albo „Potrzebuję towarzystwa na kilka spacerów”. Przypomina mi się jednak, jak to w pałacu papy dorośli rozmawiali ponad moją głową, więc zwracam się do niego rzeczowo.

— Potrzebna mi twoja pomoc.

Ściąga usta, widać poważny namysł.

— Mówiłem papie, że chcę pomagać, bo ma być wojna. Ale powiedział, że mam czekać, aż dorosnę.

— Ja potrzebuję twojej pomocy od zaraz. Bo ma być wojna. Czy nie zechciałbyś zająć się szpiegowaniem?

Odpowiedzią jest nieśmiały uśmiech.

*

Późnym popołudniem napływa pierwsza fala uchodźców. Są to w większości ludzie młodzi i zdrowi — tacy przywędrowali szybciej. Kilkaset osób jesteśmy w stanie pomieścić w samym pałacu, pozostałe sto w posiadłościach wielmożów wokół niego. Wczesny wieczór mija mi na doglądaniu wszystkiego, żeby zapewnić przybyłym wygodę, a przy okazji próbuję wyłowić z ich opowieści o trudach ucieczki jakąś

wzmiankę o przyjaciołach, których zostawiłam w Basajuan. Dowiaduję się, że *Malficio* daje znać o sobie, że już tysiące ludzi, głównie uchodźców, wspiera ich akcje. Niestety, mój Boski Kamień jest coraz zimniejszy, więc martwię się o tych, którzy nie zdołają dotrzeć do nas przed armią Inwiernych.

Późnym wieczorem w sali jadalnej spotykam się przy kameralnym obiedzie z Alejandrem i generałem Luz-Manuelem. Półmisek z dzikim indykiem w polewie miodowej z tartą skórką pomarańczową jest już prawie opróżniony, gdy wpada zdyszany zwiadowca, a tuż za nim lord Hector. Zwiadowca melduje, że widział liczne oddziały konne nieprzyjaciela w odległości mniejszej niż dzień jazdy.

— Tylko kawaleria? — pyta Alejandro.

Zwiadowca potwierdza i dostaje polecenie odejścia.

— To nie ma sensu — zauważa Alejandro, gdy lord Hector siada ciężko na poduchę koło niego.

— To straż przednia — uspokaja Luz-Manuel. — Chcą nas odciąć. Armia nadciągnie mniej więcej za miesiąc.

Alejandro wzdycha głęboko.

— Musimy zamaskować doły i zamknąć bramy.

Kładę mu rękę na ramieniu.

— Uchodźcy będą napływać po trochu przez całą dzisiejszą noc. Czy nie można choć przez ten czas trzymać bram otwartych?

Król się waha, lord Hector milczy i czeka, wreszcie

kiwa głową.

— Każda para rąk i oczu będzie potrzebna na murach — mówi.

— To prawda. Więc bramy pozostaną otwarte. — Alejandro całuje mnie w czoło i wraz z lordem Hectorem wychodzi.

Generał i ja patrzymy na siebie przez moment. Widzę, że ma worki pod oczami i wymizerowane policzki — to stres ostatnich miesięcy odcisnął swoje piętno. Poza Hectorem i Alejandrem jest jedynym członkiem Kworum, którego widzę po powrocie. Lord Eduardo wyjechał kilka miesięcy temu, żeby bronić swoich terenów przed południową armią Inwiernych, a hrabianka Ariña nie opuszcza swojego apartamentu.

— Cieszę się, że jesteś tu z nami, Wasza Wysokość — odzywa się generał, marszcząc lekko brwi.

Zaskakuje mnie. Nigdy nie okazał mi nawet cienia zainteresowania.

— Być może będę potrzebował twojej pomocy, pani — wyjaśnia. — Jego Wysokość jest... no cóż, nie jest człowiekiem od szybkich decyzji. Wspaniała cecha, gdy sprawy dotyczą administrowania państwem. Ale w czasach wojny...

Niestety, król się boi, myślę w duchu i kiwam głową.

— Pomogę w każdy możliwy sposób.

Pociera łysinę.

— Dziękuję. On potrzebuje słów otuchy od jeszcze

jednej osoby mającej dostęp do jego ucha.

— Musisz wiedzieć, generale, że Invierni pragną dostać w swoje łapy Boski Kamień, który noszę. Być może w którymś momencie będę musiała zniknąć.

Kiwa głową.

— Wiem, są przekonani, że potrafią wykorzystać jego moc. Hector mówił mi o tym.

Nie odzywam się.

— Będziemy cię chronić, pani, wszelkimi sposobami, lecz jeżeli zdobędą Brisadulce, to mają wojnę wygraną, choćby Boskiego Kamienia nie mieli.

— Chcą zdobywać miasto ogniem. Będą szturmowali bramę.

Posępnije mu twarz.

— Uchodźcy mówią o dziwnym ogniu. Niektórzy mają nawet blizny po oparzeniach. Gromadzimy zapasy wody przy murach, nasza brama jest na szczęście solidna. Gruba.

— Generale, widziałam spustoszenia, jakie czyni ten ich ogień, i zapewniam cię, że animagowie są w stanie spalić naszą bramę.

— Zatrzymają ich spuszczone kraty — przekonuje mnie.

— A jeżeli brama stanie w płomieniach, na co może przerzucić się ogień? Niechybnie na nasze wieże oblężnicze. — Rozmieściliśmy je w regularnych odstępach wzdłuż murów. W większości z nich złożyliśmy broń, żeby była pod ręką. — I na pewno są

drewniane elementy w samych murach, prawda? A co z najbliższymi budynkami?

— Jak blisko muszą podejść, żeby użyć tego... ognia?

— Nie wiem. Przykro mi, lecz po prostu nie wiem. Może ktoś z uchodźców...

— Zapytam — mówi generał. — A do obrony bramy wyznaczymy naszych najlepszych łuczników. Bądźmy dobrej myśli.

— Aha, koniecznie trzeba powiedzieć łucznikom, żeby się kryli. Żadnego zerkania znad muru.

— Dlaczego?

— Animagowie potrafią porazić człowieka samym wzrokiem. Sparaliżować.

*

Mara niemal rzuca mi się w ramiona, gdy wracam do apartamentu.

— Pytałam każdą osobę, na którą się dzisiaj natknęłam, ale nikt nic nie wiedział. To znaczy wszyscy wiedzą, o jakie kafelki chodzi, ale nikt nic nie potrafi o nich powiedzieć. — Mara żywo gestykułuje, jest podekscytowana.

Na moim łóżku siedzi Rosario, przebiera palcami stóp i przygląda się jej i z ciekawością, i niespokojnie.

— Wydaje się, że jednak coś odkryłaś, tak? —
pytam Marę.

Uśmiecha się.

— Rosario wie coś o nich.

Odwracam się do książątka.

— Ojciec Nicandro mi opowiadał. — Marszczy
nos. — Na lekcji historii.

Wstrzymuję oddech. A więc to musi być coś
ważnego. Mój Boski Kamień nie reagował bez powodu.

— Co dokładnie powiedział ci ojciec Nicandro?

— Mówił, że te kafelki wykonała bardzo ważna
osoba. Teraz już nikt o niej nie wie, ale ojciec Nicandro
myśli, że ludzie znowu o niej usłyszą.

Nie widzę w tym logicznego sensu.

— To wszystko!?! Tylko tyle ci powiedział!?

Rosario aż kuli się w sobie.

— Nie pamiętam — odpowiada cienkim głosem.

Przestraszyłam go. Dla uspokojenia robię głęboki
oddech.

— Dziękuję, Rosario. Bardzo mi pomogłeś.

Rozjaśnia mu się buzia.

Nie pytam, czy szukał Boskich Kamieni. Jeden rzut
oka na jego ręce — ma półksiężycy brudu za
paznokciami — mówi mi wszystko. Przepraszam, że go
zostawiam, bo muszę iść do klasztoru.

Ojciec Nicandro wita mnie z radością. Tłumię uśmiech rozbawienia, gdy mnie obejmuje — ledwie sięga mi do policzków i przy mnie jest jak chuchro. Prowadzi mnie ze świecą do pokoju skrybów i siadamy na taboretach przy stole.

— Jestem bardzo zadowolony, że przyszłaś, Wasza Wysokość. Nie mieliśmy okazji porozmawiać dłużej po twoim powrocie. Powiedz mi, proszę... — Nachyla się ku mnie, drgają mu nozdrza. — Czy jest prawdą, że zostałaś zabrana do bram wroga?

Wzruszam ramionami.

— Nie wiem, ojcze. Byłam w obozie wroga bardzo krótko, ale w ich kraju nie byłam.

— Interesujące. A czy jest prawdą...

— Ojcze, przepraszam cię, ale się śpieszę, a chciałabym dowiedzieć się czegoś o kafelkach w moim atrium.

— Jakich kafelkach?

— Książę Rosario powiedział mi, że znasz ich historię. Małe żółte kwiatki z niebieskimi plamkami. Tak naprawdę wcale nie są efektowne...

— Ach tak! Powinienem przewidzieć, że będziesz chciała coś o nich wiedzieć.

— Co masz na myśli?

— Prawie każdy kafelek z tym wzorem został namalowany ręcznie przez jakąś Jacomę. Jej ojciec zajmował się glazurnictwem, był właścicielem manufaktury. Od kiedy Jacoma zaczęła chodzić, bawiła

się w malowanie kafelków. — Widząc moje rozbawienie, Nicandro dodaje: — Nosiła Boski Kamień w pępku, Wasza Wysokość.

Przeszedł mnie dreszcz. Wiedziałam. Coś przeczuwałam.

— Umarła, gdy była w twoim wieku. Miała zaledwie siedemnaście lat. Z zachowanych zapisków wiadomo, że nie wypełniła swojej misji. Ale namalowała ponad dwa tysiące kafelków z motywem tego brzydkiego kwiatka. Całe pokolenia artystów kopiowały ten wzór. Smutne, że jedyni ludzie, którzy o niej pamiętają, to księża i artyści.

— Niejaka Jacoma — powtarzam ze zdumieniem. — Nosiła Boski Kamień.

Ksiądz znowu się nachyla do mnie, patrzą na mnie bacznie jego czarne okrągłe oczy.

— Czy pamiętasz, jak ci pokazywałem pewien fragment *Afflatusa*?

— Pamiętam.

— Mam swoją teorię. Mówi się tam o każdym z wybrańców Boga z osobna, a potem to się zmienia. Dlaczego nagle tekst odnosi się ogólnie do wszystkich noszących Boski Kamień?

Kiwam głową, przypominając sobie długie godziny spędzone nad egzemplarzem *Afflatusa*, który dostałam do czytania od Alentína, i jak zastanawiałam się wtedy, czy to ja stanę u bram wroga.

— Więc ja uważam, że interpretowaliśmy to

w błędny sposób. A jeżeli ten fragment odnosi się do każdego i zarazem do wszystkich? Jeżeli misja to jest coś, co wszyscy wybrańcy mają wspólnie wypełnić na przestrzeni wieków?

— O czym mówisz, ojcze?

Potrząsa głową.

— Dobrze nie wiem — odpowiada już ze znużeniem. — Sam nie wiem, o czym mówię. To zaledwie przebłysk jakiejś idei. Czuję jednak, że chodzi o coś znacznie głębszego, a ja ślizgam się po powierzchni.

— Zastanowię się nad twoimi przemyśleniami. Dziękuję, ojcze Nicandro. Być może będę miała więcej pytań do ciebie.

— Zawsze ci służę czasem. — Uśmiecha się. — Bardzo się cieszę, że bezpiecznie wróciłaś, moja królowo.

Powstrzymuję się od wyznania, że bezpieczna nie czuję się ani trochę.

*

Z samego rana następnego dnia Alejandro nakazuje zamknąć bramy, pozbawiając resztę uchodźców azylu. Słuszna decyzja. Kapitan z gwardii Hectora zameldował, że wzdłuż wschodniej linii horyzontu wirują kłęby

kurzu, zwiastując nadciąganie armii. Serce mi się ściska na myśl o tym, że tysiące ludzi nie zdążyło schronić się wewnątrz murów.

Dużą część popołudnia spędzam w atrium, wpatrując się w kafelki. Niosą jakieś przesłanie. Jestem tego pewna. Przyglądam się uważnie kwiatkom, zastanawiam nad ich kolorem i kształtem, przesuвам czubkami palców po falistych brzegach płatków. Czuję pokrewieństwo z malarką z dawnych czasów. Dziewczyna jak ja. Giacomo, co próbujesz mi przekazać? Oczywiście nie odpowiada, ale Bóg rozgrzewa w odpowiedzi mój brzuch, jakbym zwracała się nie do niej, lecz do Niego. Jednak takie sygnały to za mało, potrzebuję od Boga czegoś więcej, żebyśmy mogli odnieść zwycięstwo.

Wciąż jestem w atrium, gdy rozlegają się krzyki. Słyszę tupot nóg w korytarzu, a przez otwarty balkon dobiegają paniczne wrzaski. A potem powolnymi, głębokimi dźwiękami dzwony klasztorne obwieszczają alarm.

Zostawiam Rosaria pod opieką Ximeny i wybiegam z apartamentu. Natykam się na Alejandra. Chwyta mnie za rękę i ciągnie korytarzami do kuchennego wyjścia, a stamtąd do stajni.

Drętwieję na widok wystających z boksów olbrzymich końskich łbów.

— Alejandro, ja nie jeżdżę konno.

Marszczy brwi.

— Tylko do muru i z powrotem. — Chłopcy stajenni już siodłają wyrośniętego gniadego ogiera. — Przejdźcie na piechotę zajmie za dużo czasu.

— Ja pójdę z królową. — Odwracam się na głos Hectora. — Armia najbardziej potrzebuje ciebie, Najjaśniejszy Panie — dodaje Hector. — Doprowadzę Jej Wysokość na mury. Wkrótce do ciebie dołączymy.

Alejandro kiwa głową, wskakuje na konia i odjeżdża.

Na ulicach jest mnóstwo ludzi, którzy biegną przyjrzeć się wrogiej armii. Lawirujemy między budynkami i spanikowanymi mieszkańcami, by wreszcie dotrzeć do jednego z naprędce wzniesionych rusztowań po wewnętrznej stronie muru. Hector asekuje mnie, gdy wchodzę na szczyt po chwiejnych schodach. Wiatr natychmiast rozwiewa mi włosy i wywołuje pieczenie oczu. Wciągając czyste pustynne powietrze, czuję ukłucie serca — tęsknię do moich partyzantów z pustyni.

Na zewnątrz obwarowania dostrzegam jakieś poruszenie, które przyciąga moją uwagę. Kawaleria rozciągnięta jest w obydwie strony, aż po horyzont. Popołudniowe słońce odbija się od pierścieni wędzideł i parującej końskiej sierści, od obsydianowych grotów strzał i twarzy posmarowanych białą farbą.

Biała farba na twarzach.

Dziwię się, że przeprowadzili tyle koni przez pustynię. Jeżeli nawet wybrali dłuższą drogę wzdłuż zielonego pasma gór Hinders, musieli mieć trudności

z zaopatrzeniem koni na taką daleką podróż. Nie mogą teraz liczyć na to, że zwierzęta przetrwają długie oblężenie na gołej ziemi.

Jakaś grupa wyłamuje się z szyku i rusza do przodu. Tworzą krąg i zaczynają jeździć w kółko, wymachując włóczniami i wyjąc jak dzikie koty. Nawet z tej odległości patrząc, wzdrygam się, gdy wirują naprzemiennie czarne i białe wzory na ich ciele.

— Hectorze! — wołam. Doznaję wstrząsu. Te konie nie odbyły dalekiej wędrówki z kraju Inwiernych.

Schyla głowę, żebym mu mogła szepnąć do ucha.

— To nie są Inwierni — mówię. — To Wyklęci.

Ponuro kiwa głową.

— Wiem. Od dawna podejrzewaliśmy, że się ze sobą sprzymierzą.

— Przybyli tutaj, żeby nas wziąć głodem przed pojawieniem się armii Inwiernych.

— Obawiam się, że tak.

Jeszcze długo stoimy na murach. W oczach Hectora pojawiają się gniewne błyski, twarz mu tężeje i jest niczym rzeźba. Wydaje się, że zatopił się w myślach, ale się nimi nie dzieli. Ja zaś się modłę.

*

Zostaliśmy zamknięci przez Wyklętych we

własnym mieście jak w pułapce. W ciągu kilku kolejnych dni Alejandro, Hector i generał Luz-Manuel opracowują system racjonowania żywności i gromadzenia zapasów wody do walki z ogniem. Tymczasem ja i Rosario zajmujemy się poszukiwaniem zaginionych kamieni.

Dochodzą mnie pogłoski, że u księcia rozwija się chorobliwa obsesja grzebania w ziemi. Przynajmniej raz dziennie ktoś przyłapuje go przy przewróconej doniczce z jakąś palmą i smudze wilgotnej ziemi. Każdego takiego donosiciela traktuję z należytą powagą, a jak tylko drzwi się za nim zamykają, obsypuję Rosaria pochwałami. Mimo wszystko jego entuzjazm zaczyna słabnąć. Jestem bliska zarządzenia oficjalnego przeszukania pałacu. Powstrzymuje mnie pamięć o zdradzie Beléna. Nie mogę dopuścić do tego, żeby o zaginięciu Boskich Kamieni dowiedziała się niewłaściwa osoba.

Oddziały, które obiecał wysłać mój ojciec jako warunek zawarcia mojego małżeństwa, przybyły na trzech wielkich okrętach. Hector i kapitan Lucio przeprowadzają ludzi kanałami ściekowymi łączącymi miasto z klifowym wybrzeżem. Zaglądam tego dnia do baraków, licząc na to, że zobaczę znajome twarze. Wiele rzeczy przypomina mi Orovalle: ostry zapach naoliwionej skóry, szarfy z wyhaftowanym wizerunkiem słońca — herbem de Riquezów, luźne bluzy żołnierzy armii Orovalle, jakie noszą poza polem bitwy. Ale

nikogo nie rozpoznaję. I także nikt nie rozpoznaje mnie. Po jakimś czasie muszę przyznać sama przed sobą, że tak naprawdę szukam ojca, a może nawet Alodii, więc poczuwszy się jak idiotka, oddalam się stamtąd.

Przybycie tych oddziałów nie jest ani trochę przedwczesne. Już następnego dnia w mieniącym się barwami pustynnym krajobrazie materializuje się pierwsza fala potężnej armii Inwiernych. Wykłęci witają ich z dzikim entuzjazmem, wrzeszcząc i jeżdżąc w kółko, wystrzeliwując strzały w niebo. Stoję obok lorda Hectora i obserwujemy zbliżanie się wroga. W tych pierwszych chwilach w połączonych siłach królestwa Orovalle i królestwa Joya d’Arena zapadła pełna trwogi cisza. Nieprzyjaciel jest liczny, bosy, kolorowy, ale jakby nieczłowieczy.

Ja również milczę, ale z innego powodu. Mam w oczach potężną armię Inwiernych, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy — ich ogniska rozświeciły wzgórze w okolicy, jak daleko sięgałam wzrokiem. Wiem więc, że ta pierwsza fala to zaledwie ułamek sił, które nadciągną potem.

Hector uderza pięścią w kamienny mur.

— Chciałbym wiedzieć, czego oni chcą.

— Wierzą, że wypełniają wolę Boga — mówię cicho.

— Walka o morski port? Najazd na inny kraj? Zabijanie niewinnych ludzi? Którą z tych rzeczy chcą obciążyć rachunek Boga?

Ostrość jego słów sprawia mi przyjemność.

— Chcą mnie albo Boski Kamień.

— Tak, ale dlaczego?

— Też chciałabym wiedzieć.

Patrzy na mnie z determinacją.

— Nie dostaną cię, Eliso. Nie dostaną, póki ja żyję.

— Odwraca się gwałtownie i odchodzi. Na dole znika za grupą łuczników.

*

Pocztą gołębią dociera następna wiadomość od Cosmé. Drżącymi palcami rozwijam pergamin, a Mara zerka zza mojego ramienia, gdy czytam.

Eliso!

Część południowej armii Inwiernych oderwała się od reszty i dołączyła do marszu na Brisadulce. Pięciu animagów zmierza teraz w Waszym kierunku, tylko trzech pozostawiono z siłami, które zaatakują od południa. Myślę, że oni wiedzą, gdzie jesteś.

W dalszym ciągu nękamy ich tyły. Niestety, Wyklęci utrudniają nam zadanie. Zaczęli strzelać do naszych gołębi. To będzie ostatnia wiadomość ode mnie.

Uważaj na siebie

Cosmé



Napływa coraz więcej Inwiernych i ciemna wstęga ich wojsk na pustyni zamieniła się w rzekę, która rozlała się szeroko, i z punktu obserwacyjnego najwyższej wieży widać teraz ocean pcheł uwijających się w piasku.

Stoję z grupą łuczników od wewnętrznej strony muru i choć Boski Kamień wysyła fale zimna, a ja cała dygoczę, nie mogę oderwać oczu od scenerii tam w dole. Przez rozszerzające się na zewnątrz otwory strzelnicze ogarniam spojrzeniem szeroką panoramę. Jak wszyscy inni wyteżam wzrok, mimo że oczy łzawią mi od gorąca oraz jaskrawego światła, i wypatruję z uporem, czy jakiś subtelny manewr wroga nie zdradzi ich planów.

W końcu pokazują się animagowie. Najpierw widzę ich biało-żółte głowy wyskakujące ponad szeregi Inwiernych. Potem wysuwają się przed szereg i zbliżają do głównej bramy. Jest ich pięciu, jak zapowiadała Cosmé, każdy ubrany w luźną białą szatę, na której wyraźnie widać ciemną klatkę z amuletem. Gdy podnoszą oczy na mury — swoje jaskrawoniebieskie oczy — zginam się wpół w napadzie zimna.

— Wasza Wysokość!

Widzę troskę na ogorzałej od słońca twarzy kapitana Lucia.

— Nic, nic, czuję się dobrze, dziękuję. — Wymuszam uśmiech i prostuję się, zwłaszcza że zaczyna mnie rozgrzewać modlitwa, która spontanicznie popłynęła z serca. Potrafię teraz modlić się w każdych okolicznościach.

Przypomina mi się prośba generała, bym dodawała otuchy królowi, więc żegnam kapitana i schodzę na drogę, gdzie mój mąż dogląda gromadzenia beczek z wodą.

Alejandro wita mnie z ulgą. Obejmuje mnie w pasie i przytula, ale tym gestem nie pociesza mnie, lecz siebie.

— Kraty na zewnątrz wytrzymają — zapewnia. — Choćby nawet spalili bramę.

Przechodzący koło nas żołnierze nie kryją uśmiechów. Nie wiedzą, że jeszcze nie dzieliliśmy łoża, podoba im się czuła scena między królem i królową. Zatem odwzajemniam uścisk Alejandra, chociaż nie potrafię się zdobyć na słowa otuchy.

*

Nigdy dotąd w życiu nie pragnęłam tak bardzo, żeby się okazało, iż nie miałam racji. Niestety, rano

następnego dnia, kiedy polewana wodą brama paruje pod rażącymi promieniami wschodzącego słońca, animagowie przystępują do ataku. Smukli jak palmy ustawiają się ramię przy ramieniu poza zasięgiem naszych strzał. Muszę modlić się żarliwiej niż kiedykolwiek, by ożywić zdrętwiałe od zimna członki.

Pięciu innych mężczyzn, ze zmierzwionymi włosami i bosych, wysuwa się przed tłum i staje przed animagami — jeden przed każdym. Rozlega się dźwięk jakby trąbki, ale jakiś dziwny, przenikliwy — takiego instrumentu nigdy nie słyszałam. Pięciu animagów wyciąga jak na komendę pięć mieczy ukrytych w fałdach szat. Nie zauważam błysku ostrzy, ale pięć ciał wali się na ziemię i krew, szkarłatna, skrząca się w słońcu, leje się zbyt wartko, by wsiąkać od razu w piasek.

Złożyli ofiarę z własnych ludzi. Amulety zawieszane na szyjach animagów zaczynają się świecić.

Mój Boski Kamień tnie moje ciało lodowatym nożem.

Pięciu kolejnych Inwiernych występuje z szeregów i poddaje się woli animagów. I zaraz potem kolejnych pięciu. Animagowie kontynuują rozcinanie gardeł, aż wreszcie na piasku leży dwadzieścia pięć skręconych ciał, których krwią karmi się teraz magia wijąca się pod ziemią.

Amulety świecą jaśniej.

— Więcej wody! — krzyczę przez ściśnięte gardło. Nie wiem, jak daleko niesie się mój głos, bo na murach

jest tłoczno, więc wrzeszczę jeszcze raz: — Więcej wody na bramę, natychmiast!

Nie sprawdzam, czy ktoś wykonuje moje polecenie. Patrzę znowu przez otwór strzelniczy. Widzę, że Boskie Kamienie rzucają ze swoich klatek oślepiające światło. Każdy z animagów odrzuca głowę do tyłu i otwiera szeroko usta — to wysiłek czy ekstaza? Wbijam paznokcie w piaskowiec, gdy olśniewające jasnoniebieskie światło mknie z każdego amuletu prosto jak strzała w naszym kierunku i uderza w bramę.

Czuję gryzący dym. Drżą kamienne mury.

— Wody! — ktoś krzyczy. — Wody, więcej wody!
— Podejmują to zawołanie inni.

Przeżywam okropne chwile — to marznę do szpiku kości od lodowatych sygnałów Boskiego Kamienia, to rozgrzewam się modlitwą — gdy przeciwko ich magii stajemy z wiadrami, garnkami i chochlami. Nareszcie strumienie światła wygasają. Słaniając się na nogach, animagowie się wycofują i wchłania ich rozfalowana ściana Inwiernych.

Po naszej stronie przetacza się jeden potężny wiwat, który wstrząsa murami równie silnie co sztuka czarnoksięska. Przyłączam się do wiwatów, bo tego ode mnie oczekują mieszkańcy.

Lord Hector odnajduje mnie chwilę potem.

— Jak uważasz, pani, czy znowu uderzą? — pyta szeptem.

— Tak. Trochę odpoczną. Potem raz jeszcze znajdą

dwudziestu pięciu gotowych złożyć ofiarę z życia i podejść pod nas ponownie.

Ściska mnie za ramię tak mocno, że wyrywa mi się okrzyk.

— Eliso, nie powinnaś tu być. Prawdopodobnie z drugiej strony tej bramy zrobił się czarny krater wielkości korony na sztandarze Alejandra. Przetrzymamy co najwyżej jeszcze trzy ataki, nie więcej.

— Jestem królową! — protestuję. — Muszę tu być, żeby...

— Sama mówiłaś, że nie wolno dopuścić, żeby znaleźli twój Boski Kamień. Czy nie widzisz, co zdołali zrobić, mając tylko pięć?

Przełykam ślinę i kiwam głową.

— Znajdę kogoś, żeby cię odprowadził, pani. Bądź przygotowana na ewentualność ucieczki kanałami ściekowymi, gdyby zrobili wyłom w murze.

— A co z... Alejandrem?

— Spróbuję go przekonać, żeby wrócił do pałacu, więc go wyglądaj. Tutaj jest raczej utrapieniem.

Takie słowa mogły mu się wyrwać jedynie w stresie spowodowanym walką. Widać w jego oczach i zdziwienie, i żal, ale kładę mu rękę na ramieniu, doceniając jego szczerłość.

— Uważaj na siebie, Hectorze.

Zamiast wracać do swojego apartamentu, śpieszę do klasztoru, zobaczyć się z ojcem Nicandrem.

Znajduję go w pustej sali zgromadzeń, klęczącego

przed ołtarzem, na którym palą się świece. Klękam obok niego.

— Och, drogie dziecko, powinno nas tu być o wiele więcej — wzdycha. Na ten głos pełen żalu serce się kraje. — Czy mieszkańcy tego kraju zboczyli tak daleko z bożej ścieżki, że nawet w czasie takim jak ten nie zwracają się do Niego?

— Być może sytuacja nie jest jeszcze całkiem rozpaczliwa — mówię. — Może wkrótce przyjdą.

— Może.

— Ojczy, ja też nie przyszedłam się modlić.

Patrzy na mnie zaskoczony. Opowiadam mu o strumieniu ognia, który uderzył w naszą bramę.

— Co ty na to, ojczy? To ta krew. Krew karmi ziemię i dzięki temu ich amulety nabierają mocy.

Ciemne oczy Nicandra nabierają ostrego wyrazu, patrzy na mnie ostrzegająco.

— Chcesz spróbować czegoś z amuletem, który zabrałaś animagowi?

— Tak, ojczy, muszę spróbować.

Opiera się plecami o ołtarz.

— O czym dokładnie myślisz?

*

Przygotowania zajmują zaledwie kilka chwil.

Wyjmuję spod kaftana amulet i wpatruję się w niego, podczas gdy ojciec Nicandro przynosi rytualną różę. Przywołuje mnie skinieniem głowy do ołtarza.

— Nie tu — sprzeciwiam się. — Powinniśmy przejść do ogrodu. Tam nikt nas nie zaskoczy.

Waha się tylko przez moment i prowadzi mnie za ołtarz do tylnych drzwi. Ogród klasztorny jest niewielki, z trzypoziomową fontanną i ławką na nie więcej niż dwie osoby. Siadamy obydwójce pod trejażem, który oplata pnąca róża. Nie kwitnie i dzięki temu długie kolce są ostro wyeksponowane.

Unisono śpiewamy hymn *Glorifica*. Przykładam palce prawej ręki do Boskiego Kamienia, a lewej do amuletu. Mam w pamięci, że to także Boski Kamień. Zastanawiam się, kto go nosił. Czy odpadł od ciała tej osoby w momencie jej śmierci? Czy rozstała się z nim dobrowolnie, czy też został wyrwany z jej brzucha przez animaga, gdy leżała, jęcząc w agonii?

Nicandro przyciąga moją głowę do swojej, tak że niemal stykają się nasze nosy.

— Czego ty szukasz, drogie dziecko?

Wciągam głęboko powietrze i w prośbę wlewam całą moją duszę.

— Szukam sposobu na zwycięstwo nad wrogami.

Ukłucie jest głębokie i bolesne. Pierwsza kropla pokazuje się na palcu błyskawicznie, a gdy Nicandro cofa rękę z różą, są już trzy następne. Skapują, rozbijając się o ubitą ziemię.

Sucha ziemia pije moją krew, a ja się modłę. Sięgam myślami głęboko pod skorupę ziemi. Wyobrażam sobie, że amulet na mojej piersi jarzy się rozbudzony magią. Koncentruję się tak bardzo, że zapominam, gdzie jestem: nie widzę ogrodowego zakątka ani ojca Nicandra, ani jasnego pustynnego nieba nad głową — wszystko zlewa się w jakiś chory splot żądania i modlitwy. Jest mi gorąco.

I nic się nie dzieje.

Otwieram jedno oko, by zerknąć na księdza.

— Może trzeba więcej krwi? — pyta sceptycznie.

Całe powietrze ze mnie uchodzi z rozczarowującą szybkością.

— Gdyby to miał być jakiś sposób, coś bym wyczuła. Wiem, że nie jestem czarnoksiężnikiem, ale przecież żyje we mnie Boski Kamień! Powinnam wydobyć z siebie jakąś moc i coś zrobić.

Obejmuje mnie jedną ręką.

— Być może w proroctwie nie mówi się akurat o tobie — mamrocze pod nosem. — Może chodzi o wszystkich, co nosili Boski Kamień.

Kładę głowę na jego ramieniu.

— Mówisz znowu o tej swojej dziwnej teorii? O idei, której nie potrafisz sprecyzować?

Wzdycha ciężko.

— Tak. O tym właśnie.

*

Wracam do pałacu przybita poczuciem bezsilności. Korytarze są puste i ciche, głośne są natomiast moje kroki. Hector ma oczywiście rację, mówiąc, że nie wolno ryzykować: Invierni nie mogą znaleźć mojego kamienia. Nie mogę jednak pogodzić się z byciem bezużyteczną. Chcę stać na murach razem ze wszystkimi, wciągać wiadra z wodą, służyć rannym, gdy zajdzie potrzeba.

Jak długo animagowie będą zbierać siły do następnego ataku? Godzinę? Dzień? Oblężenie nie będzie trwało długo, tego jestem pewna. Serce mnie boli, gdy pomyślę o odważnych ochotnikach *Malficio*, czym ryzykują, jak wielu zginęło. I to wszystko na nic, ponieważ moja wspiana strategia błędnie założyła długotrwałe oblężenie, które osłabi ducha naszego wroga.

Nie mogłabym się pogodzić z tym, że Humberto zginął na próżno.

Zastaję Rosaria i Marę siedzących na moim łóżku w apartamencie. Ximena przy pustym kominku szyje spódnice.

— Co się stało, Eliso? — pyta Mara, widząc moją minę.

— Animagowie zaatakowali. Ten atak przetrzymaliśmy.

— Papa ich wszystkich zabije — odzywa się Rosario.

Wymieniamy z Ximeną smutne spojrzenia. Padam koło niego na łóżko i chcę go mocno uścisnąć, ale wywija mi się, wykrzywiając buzię.

Dotykam amuletów — martwego Boskiego Kamienia i brzydkiego naszyjnika — i myślę o moich bezowocnych zwycięstwach, których są symbolami. Nie udało mi się osiągnąć celu, tworząc *Malficio*. Nie udało mi się wykorzystać mojego Boskiego Kamienia przeciwko wrogowi, wbrew prorocctwu Homera. Być może za kilka wieków jakiś ksiądz pokaże jakiejś młodej osobie z Boskim Kamieniem w pępku listę wybranych przez Boga. Być może wskaże na moje nazwisko i powie: „A tu jest Lucero-Elisa. Jej też się nie udało”.

Patrzę na królewskiego synka. Może jest moją ostatnią szansą na zrobienie czegoś z dobrym skutkiem. Kiedy animagowie sforsują bramę, ktoś musi zadbać o bezpieczeństwo księcia. Nie potrafię uratować królestwa Joya d’Arena, ale postaram się uratować następcę tronu.

— Ximeno! Nie, raczej ty, Maro! — Mara będzie lepiej wiedziała, co przynieść i jak zapakować. — Idź do kuchni i w spiżarni wyszukaj suchy prowiant na podróż. Dla nas czworga na dwa tygodnie. Pośpiesz się! — Powinna mieć z czego wybierać, gromadzono tu zapasy na wiele miesięcy.

— Wybieramy się w podróż? — pyta Rosario.

— Możliwie najszybciej. Jednak nie od razu.

Słyszę westchnienie Rosaria.

— Bo jeszcze nie znalazłaś tych kamieni?

— Tak.

— Myślę, że ma je hrabianka.

— Co?! — Na mój krzyk Ximena aż podrzuca do góry głowę.

— Próbowałem wejść do jej pokojów trzy razy. Ale jej dwórka mówiła, że ona potrzebuje odpoczynku. Co to są miesiączki?

Dobrze, że zdążyłam ugryźć się w język.

— Hm... to takie dni, kiedy kobieta nie czuje się dobrze.

— Aha. Ale hrabianka ma takie dni już bardzo długo.

Ariña rzeczywiście prawie się nie pokazywała. Na krótko pojawiła się na mojej koronacji, ale od tamtej pory jej nie widziałam. Zastanawiam się, czy Alejandro dotrzymuje przyrzeczenia i ma ją pod obserwacją.

— Dlaczego uważasz, że ona je ma?

— Wszędzie indziej sprawdziłem.

To ma sens. Kiedy Cosmé i ja zniknęliśmy, Ariña niewątpliwie skorzystała z okazji i przeszukała mój apartament. Pozostaje pytanie, czy palmę zarekwirowała ze złości, czy też wiedziała, że są tam ukryte Boskie Kamienie.

— A więc, Wasza Wysokość, sądzę, że musimy

natychmiast złożyć hrabiance wizytę. — Nachyliam się nad nim i mówię konspiracyjnym szeptem: — Ja zajmę ją rozmową, a ty pogrzebiesz sobie w donicy.

*

Drzwi otwiera nam kobieta o żółtawej cerze i szarobrązowych włosach.

— Hrabianka nie przyjmuje gości... och, Wasza Wysokość! — Dyga niezgrabnie.

— Czy możemy wejść? — Ściskam mocniej rękę Rosaria, by poczuł się pewniej. A może to sobie dodaję otuchy.

Służąca blokuje ciałem drzwi, tak że nie mogę zajrzeć do środka.

— Przykro mi, Wasza Wysokość, ale obawiam się, że hrabianka naprawdę czuje się...

Nie mam na to czasu. Patrzę na nią z góry.

— Nalegam.

Cofa się ze spuszczoną głową.

— Proszę, Wasza Wysokość.

Wchodzę pośpiesznie. Apartament Ariñi jest podobny do mojego — duża sypialnia i przylegająca do niej część kąpielowa. Hrabianka gustuje jednak w ciemniejszych tonacjach, co mnie dziwi. Wyobrażałam ją sobie na tle bieli i kolorów

pastelowych.

Ariña, w śliwkowej koszuli, spoczywa na łożu z baldachimem, oplatając jednym ramieniem dekoracyjny wałek. Na powitanie podnosi drugą rękę z kieliszkiem wina.

— Wasza Wysokość! — Dziecinny głosik, a brzmi, jakby wykrzykiwała przekleństwo.

— Witaj, Ariño. — Nie jest tak piękna, jak ją pamiętałam. Ta sama szczupła figura, te same oczy o barwie złocistego miodu. Lecz kojarzy mi się teraz ze starą kolbą kukurydzy, wysuszoną i pustą w środku.

— Czy przyszłaś nacieszyć się moim nieszczęściem?

Tak naprawdę nie myślałam o tym, będąc skoncentrowana na szukaniu Boskich Kamieni.

— Przyszłam do dawnej przyjaciółki.

Ariña wpada w chichot i wreszcie dociera do mnie, że jest pijana.

— Chciałabym porozmawiać o czymś z tobą. Na osobności. — Służąca powinna wyjść z pokoju, żeby Rosario mógł zacząć poszukiwania.

Ariña pstryka palcami i służąca czmycha.

— Nie masz nic przeciwko temu, żeby książe skorzystał z twojej toalety? — pytam i nie daję jej szansy na odpowiedź, tylko delikatnie ściskam chłopca za ramię i mrugając porozumiewawczo, wysyłam go do części kąpielowej.

Nieproszona przysiadam obok niej na łożu.

— Mam do ciebie kilka pytań na temat twojego ojca. Chciałabym zrozumieć, dlaczego hrabia Treviño...

Robi okrągłe oczy. Wpatruje się w mój biust i przymruża powieki.

— O co chodzi? To... Skąd to masz? — Gwałtownie rusza ręką z kieliszkiem i trochę złocistego wina oblewa jej palce. Nawet tego nie zauważa.

Przykładam rękę do biustu i dotykam amuletów.

— Który z nich...

— Amulet Roldána. Jest własnością mojego ojca. Nie wolno ci go nosić.

— Stał się moją własnością, kiedy twój ojciec próbował sprzedać mnie wrogom.

— Ach, nic dziwnego. Masz Boski Kamień. Nawiasem mówiąc, zachowałeś się chytrze, nie zdradzając się z tym, gdy tu przybyłaś.

— Powiedz coś o tym amulecie.

Wzrusza ramionami. Trudno jej się skupić.

Strzelam palcami przed samym jej nosem.

— Ariña!

Mruga powiekami.

— To amulet Roldána. Pierwszy, jaki wykonał. Roldán został słynnym jubilerem i kolekcjonerzy płacą wysokie ceny za jego wczesne wyroby. Ten amulet — znowu wymachuje kieliszkiem, wychlapując wino — jest prymitywny, ale bezcenny. Był w posiadaniu mojej rodziny od wieków.

Przykładam rękę do amuletu. Chropowaty i z

ostrymi brzegami jest niemiły w dotyku, ale wystarczyło, bym dłonią przesunęła po nim, a natychmiast mój Boski Kamień wybucha gorącem.

— Ten jubiler, Roldán... — ciężko mi powstrzymać drżenie głosu — ...czy był wybrańcem z Boskim Kamieniem?

Ariña patrzy na mnie z wyższością.

— Oczywiście.

Robi mi się gorąco i duszno, jakby ściany zbliżały się do mnie. Ale to nie one, to historia Boskiego Kamienia napiera na mnie z nieubłaganą presją. Historia bogata i wciąż żywa, zaskakująca mnie na każdym zakręcie.

„Wszyscy wybrani na przestrzeni wieków”, powiedział ojciec Nicandro. Wszyscy.

Drobna, brudna rączka wsuwa się w moją dłoń i nią potrząsa.

— Czy możemy już wyjść?

Widzę, że Rosario jest podekscytowany. Znacząco porusza brwiami. Liczę na to, że hrabianka jest zbyt pijana, żeby cokolwiek dostrzec.

— Damy ci odpocząć, Ariño. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej.

Odwracam się do drzwi, za mną Rosario.

— Nie masz więcej pytań do mnie? Nie napijesz się wina?

— Może później. — Otwieram drzwi.

— On też nie chce ze mną rozmawiać. Od twojego

powrotu. A teraz wciąż ktoś za mną chodzi... ale co się stało z moją palmą?

W tym momencie odzywają się klasztorne dzwony i wszystkie trzy nieprzerwanie głośno biją. To nie pora nabożeństwa. Bicie dzwonów może oznaczać tylko jedno: została sforsowana główna brama.

Zatraskujemy za sobą drzwi apartamentu Ariñi.



Wpadamy do mojego apartamentu. Rosario sięga do kieszeni i wyciąga skórzany woreczek — teraz ciemnobrązowy, prawie czarny — oblepiony ziemią, która sypie się na podłogę. Klaszczę, ściskam malca i całuję go w policzek.

— Zabierzemy je ze sobą — mówię. — Inwierni nigdy ich mieć nie będą.

— Teraz możemy już wybrać się w podróż? — pyta Rosario.

— Tak. — Jeżeli Mara zaraz nie wróci, będziemy musieli wyruszyć bez niej. Brama sforsowana, mamy zaledwie parę minut.

— Czy papa wybiera się z nami?

Zapomniałam o Alejandrze!

— Nie zapominaj, że twój tata będzie potrzebny na murach. — Jest dokładnie odwrotnie, ale tego Rosario nie musi wiedzieć.

Otwierają się szeroko drzwi i do środka wbiega nie kto inny, a właśnie Alejandro. Oczy ma okrągłe z przerażenia, na twarzy smugi sadzy.

— Puścili ogień na bramę — mówi zduszonym głosem. — Tylko dwa ataki i zdołali ją spalić.

— Czy są w drodze tutaj?! — wykrzykuje pytanie.

Przełyka ślinę.

— Będą tu za parę minut. Co robimy, Eliso? — Rosario wysuwa się zza mnie, podbiega do ojca i oplata rękami jego nogi.

— My uciekamy. Mara będzie tu za moment z prowiantem. Pójdziemy kanałami ściekowymi, jest nadzieja, że woda nie będzie wysoka.

— Ale klify... trzeba będzie się wspinać... Rosario nie pływa dobrze i...

— Damy sobie radę. — Patrzę mu w twarz. — Uciekam stąd i zabieram ze sobą przyszłego króla, więc przynajmniej jeden z was przeżyje. — Mówię ostro, choć nie miałam takiej intencji, ale nie daję dostępu poczuciu winy. Raz czy dwa sama zostałam twardo potraktowana przez Cosmé, i to mnie tylko wzmocniło.

Jakby dostał policzek. Po jego oczach widzę, że jednak się opanował. Kiwnął głową.

Ximena przez cały ten czas milczała, nie przerywając szycia spódnicy, jakby było z góry przesądzone, że jutrzejszy dzień będzie normalny. Teraz składa materiał, nie wstając.

— Ktoś musi zabezpieczać wam tyły — mówi spokojnie. — Ktoś musi tu zostać.

Jej twarz jest poważna, spokojna i piękna, ale ja wiem, co niania ma zamiar zrobić.

— Nie, Ximeno. — Kręcę głową, nie mogę znieść tej myśli. — Nie zgadzam się, Ximeno.

— Zyskacie dzięki temu parę minut. Minuty cennego czasu. Wiem, co zrobić. To jedyny sposób.

— Nie mogę ciebie stracić.

Uśmiecha się.

— Odszukam was później. — Niestety, i ona, i ja wiemy, że tak nie będzie. Ximena jest w stanie opóźnić pościg, ale nie zdoła przeżyć konfrontacji z czarnoksiężnikiem.

Nie mogę do tego dopuścić. Jeszcze nie wie, że nauczyłam się być stanowcza.

Biegnę do atrium, gdzie są rzeczy Rosaria. Będzie potrzebował mocnych butów, zmiany ubrania, sygnetu potwierdzającego jego tożsamość, który nosi zawieszony na szyi.

Gdy przechodzę obok basenu, mój Boski Kamień promieniuje takim ciepłem, że aż się odwracam w tamtą stronę. Z kafelków patrzą na mnie kwiatki, każdy o czterech płatkach.

Ręka sama wędruje do amuletu Roldána. Cztery wcięcia na obrysie jak w każdym kwiatku. Zdejmuję go przez głowę i mu się przyglądam. Czy to podobizna kwiatka?

Słyszę łomotanie. Skrzypią zawiasy gwałtownie pchniętych drzwi. Do moich uszu dobiegają zdyszane oddechy.

— Czy to ten pokój? — Nie widzę mówiącego z miejsca, gdzie przycupnęłam przy basenie, ale jego głos przeszywa mnie dreszczem.

Pełzną na czworakach i zaglądam do sypialni, by natychmiast cofnąć głowę.

Serce wali mi jak szalone, bo widzę, że droga ucieczki została odcięta. Trzech animagów stoi przy drzwiach, bieleją ich włosy, świecą amulety z Boskimi Kamieniami — nakarmione przelaną krwią. Jako czwarta stoi z nimi Ariña.

— To ten pokój, mogę przysiąc — mówi. Przeprowadziła ich prosto do mnie. Powinnam wiedzieć, że zdradzi przy pierwszej okazji. Powinnam wiedzieć...

— Gdzie jest ta osoba, która ma na sobie znamię czarnoksięstwa?

Nikt nie odpowiada.

— Jeżeli nie powiecie, kto ma znamię czarnoksięstwa, spalimy was — ryczy ktoś inny.

Boski Kamień pulsuje mi w pępku gniewnym ogniem.

Jest gorący. Powinien być zimny. Lodowaty. Patrzą na amulet, który trzymam w ręku, potem na kafelki. Wszyscy wybrani... — pamiętam te słowa. Małe żółte kwiatki z niebieskimi plamkami, po jednej plamce na każdym kwiatku. Jaskrawy, nasycony niebieski kolor. Kolor Boskiego Kamienia.

Boże, powiedz, co mam robić.

Płatki amuletu są zaokrąglone. Wklęsłe. Wielkości Boskiego Kamienia. Kamień w moim pępku podskakuje na to skojarzenie. Teraz obmacuję zawieszoną u szyi

klatkę z uwięzionym w niej kamieniem, próbuję otworzyć haczyk, niestety moje palce zawodzą.

— Ja mam takie znamię — słyszę głos Mary dochodzący z dość daleka. Widać podeszła do nich. — To mnie szukacie — mówi.

Och, nie, Maro, nie. Ściągam przez głowę naszyjnik z klatką, którą cudem otwieram paznokciem. Przechylam ją i antyczny Boski Kamień ląduje mi na dłoni.

Słyszę gniewne pytania, głosy są stłumione, nie rozróżniam słów. Potem cichy okrzyk: „Né es ella”. To nie ta.

Przykładam Boski Kamień z klatki, martwy, do amuletu Roldána — wpasowuje się w jeden z czterech wklęsłych płatków. Czy to powinnam zrobić, Boże? Coś klika, wisior wpada w wibrację, cofam szybko palce. Boski Kamień jest teraz wmontowany w amulet z kwiatowym wzorem — jakby to zrobiła ręka jubilera. Serce bije mi strachem i nadzieją. Potrzebuję jeszcze trzech kamieni, które ma Rosario.

Wsuwam amulet za szarfę w talii, wstaję i wychodzę z kryjówki. Muszę w jakiś sposób ściągnąć wzrok Rosaria, dać mu do zrozumienia, czego od niego chcę. Jeżeli stoi gdzieś sparaliżowany ze strachu, będę musiała do niego podejść.

Mój Boski Kamień pulsuje zachętą, ale serce podchodzi mi do gardła i palce mam lodowate. Wchodzę do sypialni.

Mara z pochyloną głową klęczy u stóp jednego z animagów. Ten trzyma ją za włosy.

Amulety wszystkich trzech świecą. Hrabianka Ariña leży trochę dalej na boku. Ma nienaturalnie przykurczone nogi, a jej krew tworzy kałużę na kamiennej podłodze. Krew hrabianki, jak widać, ma im posłużyć do wydobycia ogniem zeznań z Mary.

— Czekajcie! — Robię krok do przodu. Najbliżej drzwi jest Ximena, zastygła w miejscu w pół kroku do Rosaria. Chłopiec patrzy na mnie błagalnie.

— Ja jestem tą, której szukacie. — Mój głos brzmi donośnie. Bo robię rzecz słuszną. Jeżeli nawet nie uda mi się sięgnąć po Boskie Kamienie, które ma Rosario, jest szansa na to, że oddając się w ręce animagów, ocale moje przyjaciółki.

Jeden z animagów omija klęczącą Marę.

— Ty nosisz znamię?

— Jeżeli masz na myśli kamień taki jak twój — wskazuję palcem jego amulet — kamień żyjący w moim ciele, to tak. Mam czarnoksiężskie znamię.

Animag wybałusza te swoje niesamowite oczy. Ale już na niego nie patrzę, rozglądam się, gdzie jest Alejandro z nadzieją, że może jakoś uciekł. Jednak nie, to jego głowa wystaje zza łóżka. Mój mąż leży na podłodze nieopodal Ariñi, sparaliżowany, zmuszony patrzeć w szoku na jej martwe ciało.

Amulety animagów świecą coraz jaśniej, gdy coraz więcej krwi wsiąka w szczeliny kamiennej posadzki.

Niewiele czasu nam zostaje do chwili, kiedy nas wszystkich spalą.

— Uwolnijcie wszystkich poza mną, a pozwolę wam żyć — mówię.

Ten stojący najbliżej śmieje mi się w oczy. Wzdrygam się na widok jego ostrych zębów z brązowym nalotem.

— Nie jesteś groźna — odpowiada uprzejmie.

Nogi mi dygoczą z chęci do ucieczki.

— Mam w sobie żywy Boski Kamień. Martwy przedmiot zwisający z twojej szyi nie jest konkurencją. — Absurdalny blef, który nikogo nie oszuka.

Tymczasem on się zawahał, zwęził oczy.

— A może ja powinnam zabrać twój — ciągnę dalej bezczelnie, jednocześnie patrząc znacząco na Rosaria.

Rosario się porusza, lekko unosi podbródek w moim kierunku. A więc jego nie sparaliżowało. Uchroniły go Boskie Kamienie. Tylko udaje tak samo jak ja kiedyś w namiocie animaga. Nieoceniony, mądry chłopiec!

Mój rozmówca nie jest przekonany.

— Kłamiesz — warczy. — Gdybyś potrafiła wydobyć z ziemi ogień, dawno byś to zrobiła.

Muszę dać przekonywającą ripostę. Trzęsą mi się ręce. Robię krok do przodu, jestem blisko animaga i Rosaria. Trzymam wysoko głowę, patrzę chłodno. „Bojownikowi nie wolno się lękać”, pisał Homer

w swoim proroctwie.

— Czekałam — mówię. — Czekałam z jednym kamieniem, póki nie zdobędę więcej. I oto proszę! Jesteście. Jest was trzech. — Jeden krok dalej i mam Rosaria tuż za sobą. Animag przede mną nie rusza się ze swego miejsca. Mam nadzieję, że przesłaniem mu chłopca. — Z pewnością słyszeliście, co spotkało waszego brata. Tego, który przebywał w obozie północnej armii. — Nie przerywając, wysuwam do tyłu rękę wnętrzem dłoni do góry. — Spaliłam go żywcem. Wykorzystałam przeciwko niemu jego własny amulet i tak właśnie go spaliłam.

Cień niepokoju zmienia na moment porcelanową twarz animaga. Natychmiast zostaje wyparty przez okrutny uśmiech.

— Wydaje się, że za bardzo kochasz swoich przyjaciół, dziecko — syczy. Odwraca się do dwóch pozostałych. — Spalić tę wysoką.

— Nie! — Twarzy Mary nie widzę, ale ją sobie wyobrażam. Opuszczona powieka z blizną, zaciśnięte z determinacją wargi.

Rosario upuszcza Boskie Kamienie na moją zwiniętą w łódkę dłoń.

Światło z amuletu animaga jest tak silne, że razi w oczy.

„Bojownik nie może okazać słabości”.

Wyszarpuję zza szarfy amulet ze złotym kwiatem i wrzucam na niego te trzy Boskie Kamienie. Za sprawą

magii każdy wpasowuje się z kliknięciem w swoje wgłębienie w płatkach. Niestety, strumień światła z amuletu animaga już pada na piersi Mary, a ja dopiero podnoszę rękę z moim amuletem wymierzonym w niego.

Pomóż mi, Panie. Bóg nigdy dotąd nie interweniował, by uratować życie kogoś mi bliskiego. Mimo to modłę się, żeby amulet coś zrobił, cokolwiek. Ten jeden raz.

Nic się nie dzieje. Amulet nawet nie rozgrzewa się w mojej dłoni.

Krzyk Mary rozdziera powietrze. Coś we mnie pęka.

— Czekał! — krzyczę. — Oddam ci mój Boski Kamień. Tylko przestań!

Animag odpycha Marę, przewracając ją na podłogę. Z jej ubrania unosi się dym. Och, nie, Maro, już tyle wycierpiałaś, poruszam bezgłośnie wargami.

Wszyscy trzej ruszają na mnie — niebieskie oczy utkwione w dziwny przedmiot w moim ręku, długie palce poruszają się nerwowo jak nogi pająka. Łzy płyną mi po policzkach. Kompletnie zawiodłam. Rosario nie ucieknie. Animagowie będą mieli swoje dziesięć kamieni, a nawet więcej. Ręce mi opadają wzdłuż boków, zwieszam głowę. A przecież cztery Boskie Kamienie powinny były coś zdziałać.

Krzyki, ciężki tupot nóg, brzęk stali. Przez drzwi wpadają nasi żołnierze. Zaskoczeni animagowie

odwracają się ode mnie. Wycofuję się szybko, ściskając w rękę amulet, który zawiódł.

Jeden z animagów chwyta za ramiona Ximenę i zasłania się jej ciałem, a pozostali dwaj wykorzystują jako tarcze Alejandra i Rosaria. Przybycie żołnierzy nie zmienia sytuacji. Czarnoksiężnicy będą mieli to, czego chcą ode mnie.

— Puśćcie ich wolno! — rozkazuje basowy głos. Lord Hector! Rozgrzewają mnie iskierki głupiej nadziei. Nie, to Boski Kamień promieniuje ciepłem.

— Wyjdźcie stąd natychmiast albo spalimy waszego króla i królową.

Boski Kamień pulsuje we mnie z maniakalną intensywnością, jakby miał wyrwać się z mojego brzucha. Nie zdziwiłabym się, gdyby promienie światła przebijały się przez szarfę. I nagle uświadamiam sobie, że przyciskam do pępka amulet.

Mój umysł przenika gorączka i jasność, a ciało wszechogarniające poczucie mocy.

Cztery Kamienie to za mało. Pięć jest liczbą doskonałą, boską grupą.

Odwracam amulet w rękę. Na odwrocie jest prawie niewidoczne jeszcze jedno wgłębienie — w samym środku.

Wszystko jasne. Żywy Boski Kamień powinien uzupełnić boską grupę. Mój Boski Kamień.

Rozrywam opasującą mnie w talii szarfę, podciągam do góry kaftan i przytrzymuję jego brzeg

zębami. Boski Kamień jaśnieje dla mnie, ale jak! Światło w nim wiruje. Nie, to wiruje tysiące światełek od białego do ciemnobłękitnego — jakbym patrzyła na wirowy, leniwy ruch malstromu.

Przyciskam prymitywny amulet Roldána do brzucha. Naprężają się mięśnie całego mojego ciała, gdy klika i trafia na właściwe miejsce. Animag, który osłaniał się Ximeną, rzuca nią o podłogę i maszeruje do mnie ze wzrokiem wbitym w amulet. Wyciąga po niego rękę.

— Nie! — krzyczy Alejandro. Wrywa się drugiemu animagowi i rzuca się na tego, który podchodzi do mnie. Wyszarpnąwszy sztylet z cholewki buta, wbija go czarnoksiężnikowi w plecy.

Ten zastyga w pół kroku, szeroko otwiera oczy. Pada na kolana z krwawą pianą na ustach.

Pozostali dwaj podnoszą ręce z amuletami skierowanymi na króla; strumienie światła przeszywają jego ciało. Alejandro zwala się na podłogę, przeraźliwie krzycząc z bólu.

— Papo! — woła Rosario.

W tym momencie amulet Roldána zaczyna się kręcić na moim pępku niczym wiatraczek.

Drży powietrze. Malstrom wirującego światła z mojego Boskiego Kamienia oblewa mnie ze wszystkich stron — jest piękny i przerażający. Wchłaniam przez skórę energię ziemi i powietrza, karmi się nią mój pełen życia Boski Kamień.

Nieprawdopodobna siła! Dygoczę i łapię powietrze haustami. Moje ciało z trudem to wytrzymuje. Mam wrażenie, że ta siła mnie rozerwie, jeżeli natychmiast czegoś nie zrobię. A amulet kręci się coraz szybciej.

Instynktownie uciekam się do tego, co nieprzerwanie praktykowałam od miesięcy. Modłę się — bardziej żarliwie i desperacko niż kiedykolwiek dotąd.

Potężny, drogi Boże, oddaj wrogów w moje ręce.

Malstrom światła skupia się w zbitą kulę, która jak niebieskie słońce unosi się nad moim pępkiem. Podkładam pod nią ręce. Chociaż powietrze wokół rozrywają trzaski, ta kula w moich dłoniach jest zimna. Unoszę ją w kierunku animagów.

Z moich ust bez udziału woli wypływają znamienne słowa:

— Mój Bóg jest ze mną. Nie okażę słabości. Mój Bóg jest ze mną. Jego siła jest moją siłą. — Animagowie patrzą na mnie z przerażeniem. Dociera do mnie, że cytuję w *lingua classica* fragment ze *Scriptura Sancta*. Nie mogę powstrzymać strumienia słów i mój głos rozbrzmiewa coraz donośniej. — I spojrzę z triumfem na wrogów moich. W rozsypce uciekną na skraj świata i sprawiedliwa prawica Boga będzie panować po wsze czasy!

Kula światła wiruje, a moje ciało przenika wielka moc. Mój głos przechodzi w krzyk.

— Jestem sprawiedliwą ręką Boga! I nie okażę

słabości.

Rozstawiam szeroko nogi i podrzucam małe wirujące słońce wysoko ponad głowę.

Unosi się przez moment pod sklepionym sufitem, coraz szybciej wirując i wysyłając iskry na wszystkie strony.

Potężny huk wstrząsa światem, gdy kula wybucha gorącą falą rozedrganego powietrza. Zwiewa mi włosy do tyłu, a spódnica przylepia mi się do nóg. Trzaskają szyby w oknach i szkło pokrywa podłogę mieniącą się powłoką.

Animagowie krzyczą. Obserwuję ze zgrozą, jak ich ciała kurczą się i rozsypują, zostaje z nich czarny proszek.

I nagle jestem pusta w środku. Bez sił. Jak wysuszona łuska.

Nogi przestają utrzymywać mój ciężar. Osuwam się na podłogę, amulet odpada z mojego pępka, z brzękiem uderza o podłogę i toczy się pod łóżko.

Leżę na boku z policzkiem wciśniętym w dywan z owczej skóry, opadają mi powieki. Amulet rozbłyskuje jeszcze raz światłem w miejscu, gdzie się potoczył i gaśnie. Mnie również niczym błogosławieństwo spowija ciemność.



Budzi mnie ostre słońce padające na moje powieki.

— Elisa? — Czyjaś głowa nade mną. Mrugam gwałtownie, ale mój umysł nie chce się wyrwać ze snu.
— Eliso! Obudziłaś się.

— Rosario?

— Ximeno! Wreszcie się obudziła.

Jeszcze jedna głowa pochylona nade mną. Widzę wyraźniej. Boli mnie całe ciało, jakbym została obita drewnianymi pałami.

— Ximena? — Chrypię, prawie się krztuszę, tak sucho mam w gardle. — Co się stało?

Przykłada mi rękę do czoła i chichocze radośnie.

— Eliso, słońce moje, zwyciężyłaś animagów.

Wyrywa mi się szloch ulgi, wraca pamięć.

— Tak. Tak, zrobiłam to.

— To ten twój amulet. Wysłał falę światła czy żaru na całe miasto. Popękały wszystkie lustra i okna w Brisadulce. A animagowie po prostu... zamieniali się na naszych oczach w starców i znikali. Najdziwniejsze zjawisko, jakie widziałam w życiu. To samo stało się z tymi, którzy pozostali na polu z armią.

Niesamowite. Animagowie zginęli. Łzy ciekną mi

z kącików oczu. Z przyzwyczajenia przykładam palce do Boskiego Kamienia i wysyłam modlitwy dziękczynne. Kamień odpowiada łagodnym ciepłem.

— On żyje. Mój kamień żyje — wyrywa mi się okrzyk.

— Cóż. Wygląda na to, że Bóg cię jeszcze nie zwolnił.

Nie jestem pewna, czy odpowiada mi jej rozbawiony ton. Wolę nie rozważać ewentualności dalszego wykorzystywania przez Boga mojego klejnotu, gdyż na samą myśl o tym mogłabym się rozchorować.

— Twój amulet natomiast nie przetrwał — mówi Ximena. — Kiedy odpadł od twojego brzucha, poczerniał i się roztrzaskał.

— A co z armią Inwiernych? — pytam drżącym głosem.

Ximena gładzi mnie po włosach.

— Lord Hector i generał puścili się za nimi w pogoń. Lord mówił, że armia już znajdowała się w rozsypce, gnębiona przez *Malficio*. Bez animagów Inwierni nie są zdolni stanąć do walki.

Przełykam ślinę.

— A co z armią południową?

— Ta też jest w odwrocie. Twoja dziwna fala dotarła aż do południowego wybrzeża. Ale... — Zaciska rękę. Głęboko wciąga powietrze. — Jest coś jeszcze.

Siadam. Pamiętam, że słyszałam krzyki, czułam swąd palącego się ciała.

— Co? Mara? Cosmé? Czy Cosmé się odezwała?

— Z nimi w porządku. Mara poleguje, musi wyleczyć oparzenia.

— Więc...

— Papa jest chory — wtrąca Rosario.

Alejandro. Przerzucam nogi przez krawędź łóżka. Ximena chwyta moją suknię zwisającą z kolumny i podaje mi ją.

— Chory? — Pytam cicho, a serce łomocze we mnie z trwogi. Ocalił mi życie, tak jak ja przed miesiącami uratowałam jego od śmierci. Zasztyletował animaga i za to porazili go ogniem.

— Jest w ciężkim stanie — ścisza głos Ximena. Wyraz jej twarzy zdradza, że rany są bardzo poważne.

— Zaraz wracam.

Wszystkie kości mnie bołą, gdy kuśtykam do drzwi łączących nasze apartamenty. Zatrzymuję się, żeby odetchnąć i się uspokoić. Na ostrożne pukanie odpowiada kapitan Lucio.

— Wasza Wysokość. — Kłania się.

— Jak on się czuje?

Kapitan przeciera pięścią zmęczone oczy.

— Animagowie poważnie go poparzyli, a do tego został skaleczony odłamkiem szyby z twojego okna. Zatomowaliśmy krwotok, lecz jest bardzo słaby i...

Odsuwam go na bok i wchodzę. Pamiętam, jak moje okno się roztrzaskało. Ilu więcej mieszkańców Brisadulce znalazło się w podobnie niefortunnym

miejscu, kiedy uderzyła wysłana przeze mnie fala wstrząsowa? Ilu zginęło?

Alejandro leży na plecach. Płótno zakrywa częściowo jego piękną twarz, nawet usta. Ciało przykrywają koce i czuję ulgę, gdyż nie zniósłabym widoku jego ran. Niezabandażowane oko mruga na mój widok.

— Elisa. — Zduszony szept zdradza, że go bardzo boli.

Pochyliłam się nad nim i całuję go w czoło.

— Tak mi przykro, Alejandro.

Spod bandaża dobiega chrapliwe westchnienie.

— Niepotrzebnie. To był mój wybór.

Przesuwam czubkami palców po jego brwiach, wędruję nimi wyżej do linii czoła i wplątuję palce w jego włosy, tak jak wiele razy marzyłam.

— Co mam przez to rozumieć?

Poddaje się mojej pieszczocie.

— Animag, który mnie trzymał, zagapił się. — Znowu musi zaczerpnąć powietrza. — Nawet nie miałem czasu, żeby pomyśleć. Najważniejsza byłaś ty.

Wzbudza we mnie więcej czułości niż kiedykolwiek przedtem.

— Jesteś bohaterem — mówię z przekonaniem. — Dziękuję.

Zamyka oczy, z jego twarzy znika napięcie. Mam zamiar odejść na palcach, ale się odzywa.

— Eliso, zostaliśmy przyjaciółmi, prawda?

Nie jestem tego pewna, chociaż chciałabym, żeby tak było.

— Oczywiście. Tak jak obiecywałeś w noc poślubną.

— To dobrze. — Znowu wzdycha. — Ariña nie żyje?

— Nie wiem na pewno. Myślę jednak, że niestety tak.

— Kochałem ją. — Smutek ściąga mu brwi. Po chwili wydaje się, że zamyka się w sobie. — Zaopiekuj się Rosariem — mówi, a ja czuję w jego głosie dziwny dystans.

— Sam się będziesz nim opiekował.

— Przyrzeknij mi. On cię pokochał.

Powinam dodać mu otuchy zaprzeczaniem oczywistości. Powinam tchnąć w niego nadzieję. Albo być szczerą.

— Przyrzekam.

— Eliso? Ciebie też bym pokochał, gdybym miał więcej czasu.

*

Podczas ostatnich świadomych chwil Alejandro przywołuje do łóżka mnie, ojca Nicandra i generała Luz-Manuela. Drżącą dłonią podpisuje edykt ustanawiający

mnie następczynią tronu i królową kraju Joya d'Arena do czasu osiągnięcia pełnoletności przez jego syna.

— Kiedy odejdę — wyjaśnia głosem tak słabiutkim, że musimy się nachylić, żeby go słyszeć — nikt nie może kwestionować twojego prawa do sprawowania władzy. Mimo że się tutaj nie urodziłaś.

Nawet bez jego wsparcia potrafiłabym wprowadzić Rosaria na tron. Teraz już na tyle poznałam siebie. Jednak jestem ujęta jego gestem. Ze wzruszenia muszę chwilę pomrużyć i przełknąć ślinę.

— Dziękuję, mój przyjacielu. Rosario będzie dorastał w poczuciu, że jego ojciec postępował szlachetnie do samego końca.

Wydaje się, że moje słowa go uspokoiły. Następnego dnia zapada w śpiączkę i już się z niej nie wybudza.

Lord Hector ścigał wielką, ale rozproszoną armię Inwiernych aż do postrzępionych gór Sierra Sangre i dopiero wtedy zawrócił do domu. Zdaje mi meldunek w urzędzonej z przepychem komnacie, wyłożonej puszystymi dywanami i obłożonej półkami z mnóstwem lśniących ksiąg — moim nowym gabinecie, w którym jeszcze nie czuję się swojsko. Na koniec kładzie mi na biurko list z rezygnacją.

Podnoszę na niego wzrok skonsternowana.

— Co to jest?

— Wasza Wysokość, jestem osobistym gwardzistą króla i kawalerzystą. Mój król nie żyje. Więc ja nie mam

pracy. Ten list potwierdza to formalnie.

Bicie serca czuję aż w gardle. Myśl o stracie Hectora jest nie do zniesienia. Nie wiem nawet kiedy, bo się nad tym nie zastanawiałam, ale polubiłam go za bardzo.

Chcę coś odczytać z jego twarzy, ale przystojne rysy są jak rzeźba z brązu — nic nie zdradzają.

— Masz ochotę wycofać się ze służby? — pytam ostrożnie. — Naprawdę chcesz odejść?

Otwiera usta. Zamyka. Przestępuje z nogi na nogę.

— Jeżeli to nie jest twoja ostateczna decyzja, chciałabym, żebyś się zastanowił nad pozostaniem. Ja... ja, wybacz mi... — Policzki mnie pieką i pocą mi się ręce. — Ja byłam pewna, że będziesz chciał być przywódcą gwardii królowej.

Czekanie na jego odpowiedź trwa wieczność.

Widzę jednak odprężenie na jego twarzy, ledwie zauważalnie drgają mu wąsy, gdy na ustach pojawia się ciepły uśmiech.

— Będę zaszczycony, Wasza Wysokość.

Oddycham z ulgą.

— Dzięki Bogu.

*

Trzy miesiące po śmierci Alejandra, kiedy

mieszkańcy Brisadulce zdjęli już żałobę, wkładam koronę na głowę Cosmé, czyniąc ją królową Basajuan, nowego państwa rozciągającego się od wschodniego skraju pustyni do podnóża gór Sierra Sangre. Obecni są Jacián i ojciec Alentín. Chcąc powitać nową królową, daleką podróż z leżących na południu włości odbył nawet hrabia Eduardo.

Tylko papa i Alodia nie przyjęli zaproszenia, przysłali jednak listy z gratulacjami.

Podczas tej samej ceremonii medalem Gwiazdy Królowej odznaczam Rosaria za odważne i heroiczne czyny w sytuacjach skrajnie niebezpiecznych. Stoi wyprostowany i tylko wargi mu drżą, gdy przypinam mu do szarfy medal.

Wielu zasługuje na taki sam zaszczyt. Być może są takich setki. Jednak to on jest idealnym reprezentantem dzieci mojego *Malficio* — sierota jak oni i jak oni odważny. Dla nas jest uosobieniem nadziei; nadziei na silne państwo i silnego króla. Kiedy przedstawiam go zgromadzonym jako laureata medalu, rozlegają się gromkie wiwaty.

Sala jadalna jest za mała, żeby pomieścić wszystkich gości, więc służba przynosi z kuchni półmiski do sali audiencyjnej. Kiedy już czuję miłe przejeżdżenie po piersiach kurczaka poczerniałych od przypraw, kartoflance na śmietanie i pomarańczowych rożkach, podchodzi do mnie Cosmé w świeżo założonej koronie. Nachyla się i całuje mnie w policzek.

— Dziękuję, przyjaciółko — mówi. — Cieszę się, bo stało się oczywiste, jak bardzo myślałam się co do ciebie. — Jest zażenowana; taka deklaracja nie przychodzi jej łatwo. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, szybko odchodzi i pochłania ją ściana świętujących.

W talii czuję oplatającą mnie rękę Ximeny. Razem przyglądamy się roześmianemu, kłębiącemu się tłumowi.

— Widzisz, słońce moje — szepcze Ximena. — Bóg miał rację, wybierając ciebie. Przez cały czas miał swój plan, jak mówiła Aneaxi.

Szczypie mnie lekko w ramię.

— Wiem, że któregoś dnia uświadomisz sobie, ile jesteś warta. Ile masz zalet.

Kręcę głową.

— Och nie, Ximeno, owszem, miał rację, że mnie wybrał, lecz nie dlatego, że jestem coś warta. — Z radością patrzę na przyjaciół, którzy przewijają się przez salę, raczą się dobrym jedzeniem i gawędzą. — Ty, Cosmé, Hector, nawet mały Rosario podejmowaliście sami z siebie bohaterskie czyny. — I Humberto, podpowiada cienki głosik w mojej głowie. — Nie musieliście być przez Boga wybierani. Tymczasem ja nie dokonałabym niczego, byłabym nikim, gdyby nie ten klejnot we mnie. Więc, widzisz, Bóg wybrał mnie właśnie dlatego, że byłam nic niewarta.

— Ale dojrzałaś do swojej misji. Obudziłaś

w ludziach nadzieję. Rozwiązałaś boską zagadkę nierozwikłaną od wieków. Pokonałaś naszych wrogów.

Zrozumienie przychodzi jak uderzenie obuchem. Wstrząsa mną. Wiem, że Bóg mnie wybrał, ponieważ potrzebowałam dopingu, ale Ximena również ma rację — sprostalam wyzwaniu. Nie tyle potrzebowałam wiary w Boga, ile wiary w siebie.

— Tak, ja to wszystko sprawiłam, prawda? — Zdumiona odkryciem, głęboko oddycham. Kochałam i ponosiłam straty, i przetrwałam. Ja, a nie kamień w moim pępku. Przykładam drżące palce do mojego Boskiego Kamienia.

Pulsuje w pogotowiu.

Bóg mi jeszcze nie odpuścił i mogę się znaleźć w większym niebezpieczeństwie niż dotychczas, ponieważ teraz cały świat wie, że noszę Boski Kamień. Dziś jednak pragnę upajać się naszym zwycięstwem, radosnym poczuciem, że wywalczyłam sobie godną pozycję, że jestem wśród przyjaciół. Po raz pierwszy od dłuższego czasu się nie boję.

Podziękowania

Powieść, zwłaszcza pierwsza, jest niewyobrażalnym wyzwaniem, wymagającym wiary i odporności na frustrację, gotowości do uczenia się i podtrzymywania w sobie nadziei, do przeżywania rozpaczy i triumfu. Nie poradziłabym sobie z tak szalonym przedsięwzięciem, gdyby nie cudowni ludzie, których poniżej wymieniam.

Serdecznie dziękuję:

niezwykłej redaktorce Marcie Mihalick, która zakochała się w tej opowieści i nieustrudzenie ją ulepszała. (Czy jesteś pewna, że nie mamy czasu na jeszcze jedną korektę?);

zespółowi Greenwillow za ich życzliwość i entuzjazm oraz piękną obwolutę i bardzo wiele z pozoru błahych spraw;

mojej superagentce Holly Root za czuwanie nad poziomem mojego przedsięwzięcia, za niekończącą się cierpliwość i poczucie humoru, za dbałość o wszystkie detale;

moim przyjaciółom z Online Writing Workshop for Science Fiction, Fantasy and Horror, w tym Jenni Smith-Gaynor (tak, byłaś pierwsza), Ianowi, Heidi, Deb, Marshy, Amber, Aaronowi, Bradowi, Jo i Heather;

Elizabeth Bear, która wzięła nowicjuszkę pod swoje skrzydła i przekazała fundamentalne rady, nie oczekując nic w zamian poza wypłaceniem się tym samym innym. Przyrzekam kontynuować tę tradycję;

Amandzie Downum, Leah Bobet, Verniedzie Vergarze, Chance'owi Morrisonowi, którzy czytali wersje początkowe i nie szczędzili tak potrzebnych zachęt;

Jodi Meadows, Jaime Lee Moyer i Jill Myles, ofiarom pierwszych wersji powieści; Wasza przyjaźń była bezcenna;

Sarah Prineas za pomocną odpowiedź na mój napisany w chwili paniki e-mail, za zrozumienie mojej potrzeby i za to, że była szczerym i życzliwym czytelnikiem i że jest takim samym przyjacielem;

Holly McDowell za przyjaźń i rady, a przede wszystkim za spędzony razem cudowny czas;

Rebekah Piedad, mojej siostrze i najlepszej przyjaciółce, za bycie moją cheerleaderką;

i przede wszystkim mojemu mężowi C.C. Finlayowi, najwspanialszemu człowiekowi, jakiego znam, za geniusz edytorski, dzięki któremu moje utwory są lepsze, za snucie fantazji wraz ze mną i za to, że nigdy się nie skarży, gdy naczynia nie są pozmywane. Bardzo cię lubię.

ZOSTAŁA WYBRANA I WŁAŚNIE NADSZEDŁ JEJ CZAS

DZIEWCZYNA COGNIA i CIERNI



RAE CARSON